

# Carlton Harold

## Cena namiętności tom 1

*Marcella Balducci osiągnęła prawie wszystko - jest popularną autorką romansów, matką dwojga sławnych dzieci: Soni, wziętej modelki, i utalentowanego muzyka, Marka. Nic nie łączy jej już z przeszłością, jakże kontrastującą z tym, co osiągnęła w Nowym Jorku... nic poza tęsknotą za namiętnością, której nie potrafił zaspokoić jej mąż.*

*Przelewanie na papier swych prawdziwych potrzeb i marzeń pozwala Marcelli opanować pożądanie i utrzymać w ryzach skrywane przed światem niebezpieczne pokłady seksu, które, uwolnione z więzów, mogłyby zniszczyć jej życie. Czy - podobnie jak Sonia i Mark - przestanie kontrolować swe namiętności, z wszystkimi tego konsekwencjami?*

*Majorka, Hiszpania, grudzień 1990*

Piękna kobieta, która otworzyła ciężkie, rzeźbione drzwi klasztoru, różniła się od osób odwiedzających zazwyczaj to surowe miejsce odosobnienia. Po pierwsze, była znacznie lepiej ubrana; swoją drogą jej czerwony kostium od Chanel prezentował się pośród wiejskiego krajobrazu Majorki równie obco jak skafander astronauty. Po drugie, większość ludzi opuszczała klasztor uspokojona, zamyślona, natomiast na zapłakanej twarzy kobiety malowało się rozkojarzenie. Kiedy wyszła na pusty dziedziniec wyłożony kamiennymi płytami, oślepiło ją słońce późnego popołudnia. Spazmatycznie zaczerpnęła tchu, usiłując zapanować nad uczuciami. Rozglądała się we wszystkie strony. Najwyraźniej zastanawiała się, dokąd powinna pójść. Taksówkarz, który na nią czekał, zaparkował w cieniu i, z gazetą rozłożoną na kolanach, oddawał się rozkoszy sjesty.

Przeszła szybko obok samochodu, minęła ogród z równymi grządkami warzyw i przekroczyła murek zbudowany bez użycia cementu z wygładzonych przez wiatr kamieni. Puściła się biegiem w dół stromego zbocza wzgórza, dość wysokiego, by zasługiwać na miano małej góry. Oślepią łzami biegła, nie patrząc, dokąd zmierza, potykając się o korzenie drzew i połamane gałęzie leżące na jej drodze. Przy każdym poślizgnięciu chwytiała się wysokich chwastów, łapała się kurczowo szorstkiej kory drzew, a ziemia umykała jej gwałtownie spod stóp. Upadła głową w przód, toczyła się po stwardniałej ziemi, dopóki nie zatrzymało jej drzewo oliwko-

we. Podniosła się nieporadnie i ruszyła dalej w dół przez całkowicie nieprzychylny jej teren, a nieliczne pasące się kozy odprowadzały ją pustym wzrokiem.

Dół zaskoczył ją całkowicie. Ukryty pod wysokim poszyciem, czekał, aż postawi ostatni krok w suchym, sypkim pyłe. Nagle straciła grunt pod nogami i runęła pięć metrów w dół na stertę gałęzi oliwnych. Nieco złagodziły jej upadek.

Była oszołomiona. Przez kilka minut zanosila się histerycznym śmiechem. Tego dnia potrzebny był jej jeszcze do szczęścia tylko taki głupi wypadek. Potem zaczęła głośno wzywać pomocy. Kiedy głos odmówił posłuszeństwa, skuliła się ze strachem patrząc na czerwonawe suche ściany więzienia.

Jej kostium pokryty był liśćmi, kurzem i kozimi bobkami. Otrzepawszy się, spróbowała wyjść z głębokiej rozpadliny, ale zanim dotarła do jednej trzeciej wysokości, suchy piach, w który wbijała stopy, osunął się i runęła z powrotem.

To komiczne - pomyślała. Spróbowała opanować popłoch, wyobrażając sobie, jak pewnej nocy opowie o swej przygodzie podczas miłego przyjęcia na Manhattanie, widząc wokół siebie twarze gości wyrażające współczucie dla jej położenia.

„Zupełnie jak w jednej z twoich powieści!” - na pewno ktoś zauważy, a ona skrzywi się skromnie, dając do zrozumienia, że przeszła przez koszmar. Wiejski krajobraz Majorki pozostawał pogrążony w zupełnej ciszy, a jedynym dźwiękiem był od czasu do czasu brzęk dzwonka jednej z pasących się owiec. Kobieta zdała sobie sprawę, że spędzi tę noc w towarzystwie kóz i baranów. Może i ona powinna nosić dzwonek? Spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej! Jak szybko płynie czas, kiedy się dobrze bawisz - pomyślała. Komu przyjdzie do głowy szukać jej tu po zapadnięciu nocy, która w zimie niewątpliwie nadejdzie szybko? Komu przy zdrowych zmysłach przyjdzie na myśl, że Marcella Balducci Winton, amerykańska autorka bestsellerów, tkwi w jakiejś dziurze w zboczu góry na środku Majorki? Czy to była kara za jej nadmierne upodobanie do mężczyzn? Za przesadne pragnienie seksu? Za to, że przedkładała swego syna nad

wszystkich, nawet nad Santiago? Potrząsnęła głową. Najpierw stąd wyjdź - przypomniała sobie - a dopiero potem zrozum, dlaczego się to stało.

Jeszcze jedna próba przed zapadnięciem nocy - ponagliła samą siebie - wiesz, że potrafisz! Spojrzała uważnie na korzenie oliwki u szczytu rozpadliny. Gdyby doszła tam, na ten skrawek suchej trawy, chwyciła się tego poskręcane go korzenia, na pewno udałoby jej się podciągnąć. Wyobraziła sobie, jak z triumfem, zaledwie lekko potłuczona wychodzi z dołu, otrzepuje się z liści i kurzu; pędzi taksówką z powrotem do hotelu po walizkę, potem na lotnisko, żeby zdążyć na ostatni samolot do Madrytu. Jeśli potrafisz sobie coś wyobrazić - powiedziała sobie - potrafisz to też zrobić!

Postawiła prawą stopę na splachetku suchej trawy, nachyliła tułów, koncentrując się tak intensywnie jak nigdy dotąd. Dobrze - odetchnęła, patrząc w górę - teraz! Wyprostowała się, wyrzuciła w górę ręce, by chwycić korzeń, podskoczyła i... złapała! Przez kilka sekund, trzymając się drapiącego kawałka drzewa, wisiała w powietrzu. Nikt by w to nie uwierzył! - pomyślała zdumiona. Uczyniła drugi potężny wysiłek, żeby podciągnąć się do granicy dołu. Kiedy patrzyło się na tych mistrzów olimpijskich obracających się i wirujących na drążkach, wydawało się to takie łatwe, ale dla nie mistrza, nie było to tak proste. Udało jej się zaledwie powoli unieść, wspierając ciężar ciała na przegubach. Poczula potworny ból, a korzeń zaczął się uginać, ale przecież musiało jej się udać! Jeszcze jeden wysiłek... rozległ się trzask jak dźwięk wystrzału, kiedy korzeń pękł, rzucając ją z powrotem na dno dołu. Złamała gałęzie oraz, jak jej się zdawało, nogę. Potężny ból przeszył jej łydkę jak wielka igła. Krzyknęła i straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, granatowe niebo migotało gwiazdami. Niektóre świeciły znacznie jaśniej niż inne. Noga leżała skrzyta, opuchnięta i obolała. Z trudem zginając rękę, zdołała odczytać godzinę: za dwadzieścia dwunasta. Ile czasu upłynie, zanim ktoś zauważy, że nie wróciła do hotelu? Może przedtem odnajdzie ją jakiś wcześniej wstający pasterz kóz? Jeśli nie, jeśli miała tu umrzeć pośród dzwoniących

zwierząt, syn będzie musiał zdecydować, czy jej autobiografia powinna zostać opublikowana. Ta książka okazałaby się ostatnim jej bestsellerem. Bestsellery! Jak pusto brzmiało tutaj to słowo. W tej chwili z radością oddałaby wszystkie swoje bestsellery za manierkę gorącej kawy i drabinę.

Poruszyła się z trudem na ostrych gałęziach, opierając się pragnieniu, by rozplakać się jak dziecko. Nie poddawaj się tak łatwo - zbeształa się. - Przypomnij sobie o ojcu. Przypomnij sobie o synu. Pamiętaj o milionach swoich czytelników. Oni wszyscy trzymaliby za ciebie kciuki. Płacz na nic się nie zda. Jednak łzy wezbrały, popłynęły i nie sposób ich było zatrzymać.

Później, kiedy zaczęło padać, spróbowała ułożyć nad sobą dach z gałęzi oliwnych i zasnąć. Ale to okazało się niemożliwe. Mogła więc tylko rozmyślać o własnym życiu. Jak łatwo z tej perspektywy dostrzegała wszystkie swoje błędy. Ludzie powinni częściej wpadać do dołów; to powoduje oszalamiający obiektywizm!

- Dobry Boże - modliła się, składając dłonie po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. - Dobry Boże, w którego nie wierzę. Wydobądź mnie stąd, a przyrzekam, że już nigdy nie spojrzę na mężczyznę!

Ten pakt z Wszechmogącym zerwałaby podobnie jak wszystkie inne, ponieważ nie wierzyła. A jeśli coś ma działać, trzeba w to wierzyć. Zwłaszcza w religię.

Znalazła w torebce papierosa i udało jej się go zapalić. Nic nigdy jej tak nie smakowało. Palila nie przestając rozmyślać, a deszcz padał na zaimprovizowany dach. W jaki właściwie sposób się tu znalazła? Dlaczego nie przewidział tego jej jasnowidz, który zawsze tak szybko odgadywał przyszłość? W ciągu ostatnich kilku dni doznała zbyt wielu urazów. Zbyt wiele smutku. Przeżyła najtragiczniejszą rzecz, jaka może spotkać kobietę: straciła dziecko. Była pewna, że uratowała życie drugiego. Straciła, być może na zawsze, jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała. Dlaczego przydarzyło jej się to wszystko? Czy czymś na to zasłużyła? I teraz ma ugrzęznąć tu, zmoczona, zziębnięta, drżąca! Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Wprost nie

mogła pojąć, że zaledwie kilka dni temu planowała spędzić Boże Narodzenie z synem w Nowym Jorku. Zanim jeszcze łańcuch koszmarnych zdarzeń nie doprowadził ją do tej komicznej sytuacji.

Zgasiła papierosa na wilgotnej gałęzi. Nie - pomyślała. Aby zrozumieć, jak znalazła się w dole pełnym kozich gówien na mroźnym wzgórzu Majoriki, musi cofnąć się dalej niż o kilka dni. Musi zrozumieć, dlaczego w ogóle została pisarką. Cofnąć się do czasów, zanim jeszcze zaczęła marzyć, że nią zostanie. Do czasów, kiedy matka myła jej usta mydłem, za opowiadanie przyjaciółkom pieprznych historyjek. Z powrotem do Little Italy.

# KSIEGA PIERWSZA

*Little Italy, 1966*

Z okna łazienki Balduccich dobiegały mrożące krew w żyłach krzyki.

- Czy ktoś torturuje dziecko? - krzyknęła sąsiadka, wychylając głowę przez pobliskie okno.

Kobieta stojąca na ulicy podniosła wzrok.

- W tym domu nikt nie torturuje dzieci! - odparła z oburzeniem. - To Marcelli Balducci znowu myją usta mydłem.

Opowiadała te swoje historie! To skandal!

W łazience Ida Balducci energicznie nacierała myjkę mydłem Dove, drugą ręką otwierając usta córki.

- Nie waż się mnie ugryźć! - ostrzegła.

- Zwymiotuję! - krzyczała Marcella. - Rozboli mnie brzuch!

Aldo Balducci opierał się o drzwi łazienki. Obserwował tę scenę, mrużąc coś z dezaprobatą.

- Czy musisz ją trzymać za usta jak zwierzę? - spytał.

- Jeśli będzie się zachowywała jak zwierzę, tak właśnie będę ją traktować - wydyszała Ida.

Marcella usiłowała zauważyć, że zwierzęta nie opowiadają historii przyjaciółkom, ale matka niezbyt delikatnie wsuwała jej namydloną myjkę między zęby i przesunęła nią po języku dziewczynki. Marcella zakrztusiła się, zaczęła płuć i wrywać się ze wszystkich sił.

- To jedyny sposób, żeby ją oduczyć - krzyknęła Ida, trzymając mocno Marcellę. - Jak psa, któremu zanurza się pysk w odchodach!



- Dobrze, dość już... - Aldo zdjął rękę żony z szyi córki.

- Dostała lekcję.

Położył delikatną dłoń na ramieniu Marcelli, która pluła do miednicy, drząc na całym ciele. Wyprostowała się z oczami zaczerwienionymi od łez gniewu.

- Zrobiłaś mi to po raz ostatni! - krzyknęła do matki.

- Mam nadzieję, młoda damo - zgodziła się Ida. - Ponieważ jeśli jeszcze raz usłyszę, że opowiadasz koleżankom te wstrętne historie, nie wiem, co zrobię, ale będzie to coś znacznie gorszego niż mydlenie ust. - Zdecydowanym ruchem złożyła ręcznik i umieściła na wieszaku. - Czternastoletnia dziewczynka, która wymyśla takie rzeczy!

Powiedziałam o tym ojcu Carmello i chce się z tobą widzieć. Aldo, czym zasłużyłam na coś podobnego? Taka urocza dziewczynka i taki język!

Aldo westchnął, nie mogąc się powstrzymać od spojrzenia w lustro na swą grzywę siwych włosów i szybkim przesunięciu po nich dłonią.

- Może zwalisz to na moją rodzinę, co? Moja ciotka była śpiewaczką operową. Miała artystyczny temperament!

- O, wiem o niej dobrze! - prychnęła Ida. - Śpiewaczka operowa, co? To dlaczego nigdy nie śpiewała w operze?

Marcella płukała usta. Rzuciła ojcu błagalne spojrzenie. Nie pozbedzie się smaku mydła przez wiele godzin, a tymczasem koleżanki czekały na nią w lodziarni. Obiecały jej kupić deser lodowy, by wynagrodzić Marcelli karę.

Ida usiadła ciężko na obitej aksamitem pokrywie sedesu i wachlowała się gazetą. Marcella wybiegła z łazienki.

- Dokąd to? - krzyknęła za nią Ida.

- Mówiłaś, że ojciec Carmello chce się ze mną widzieć

- odkrzyknęła Marcella przez ramię.

Mydło nie powstrzyma mnie od opowiadania moich historii - myślała, zbiegając po schodach. - Nic mnie nie powstrzyma, ani groźby, ani miliony Zdrowasiek, które każe mi zmówić ojciec Carmello!

- Marcello, poczekaj! - Dobiegł ją z korytarza głos ojca. Oparła się o skrzynkę na listy i poczekała, aż ją dogoni.

- Nic ci nie jest? - spytał, obejmując córkę ramieniem.

- Wiesz, że matka nie chce być surowa. Po prostu chce, żebyś była małą damą!
- Wyswobodziła się z jego objęć, zbyt duża, by przytulać się do męskiej szerokiej piersi.
- Ona jest po prostu zazdrosna! - powiedziała.
- Zazdrosna o co? - spytał ojciec, marszcząc czoło. Marcella szukała właściwych słów.
- Bo wie, że ciebie kocham bardziej niż ją! - wyrzuciła. Uścisnęła go pospiesznie i pocałowała. Potem wybiegła z domu i pognąła do lodziarni ulicami pokrytymi lipcowym kwiatem. Kiedy weszła, dziewczynki podniosły wrzask. Marcella ruszyła nonszalancko do ich stolika, napawając się pytającymi spojrzeniami.
- Czy było naprawdę ohydne? - spytała natychmiast Andrea Falucci.
- Mm. - Marcella pokręciła przecząco głową, wciskając się między koleżanki.
- Rzygałaś? - spytała dziewczynka imieniem Sisi. Marcella tylko zachichotała.
- Dove zaczyna mi smakować! Koleżanki wybuchnęły śmiechem.
- Co powiedziała twoja mama? - spytała ruda, piegowata dziewczynka.
- Och, znacie ją! - Marcella przyjęła groźną postawę.
- „Twoje koleżanki mogą opowiadać świństwa, ile im się podoba, ale nie moja córka”. Bla, bla, bla! - Wypuściła powietrze. - Rany, zabiję tę wścibską Ginę. Teraz już cała dzielnica wie, że opowiadam wam pieprzne historie!
- Podeszła kelnerka i spojrzała na Marcellę spod uniesionych brwi.
- Mary, przynieś mi podwójny cocktail czekoladowy
- zamówiła Marcella. - Wy płacicie, zgadza się? - Koleżanki spojrzały po sobie i pokiwały głowami. - W takim razie poproszę o dodatkową porcję bitej śmietany i orzechów z gorącą polewą czekoladową - dodała szybko. - Chcecie przecież, żebyśmy pozbyła się smaku mydła, prawda?
- Skinęły głowami z wahaniem.
- Mam się spotkać z ojcem Carmello - oznajmiła Mar-

celta, przewracając oczami. - Ale nie pozwolę, żeby wywołał u mnie w poczucie winy. To, co wam mówię, nie jest gorsze niż historie, które ukazują się co tydzień. Pewnego dnia spiszę je i wyślę do wydawcy!

- Czy będziesz z nami rozmawiać, kiedy staniesz się sławna, Marcello? - spytała z podziwem Sisi.

- No pewnie!

Marcella zrobiła nadętą, „sławną” minę, a dziewczynki roześmiały się. Dopijały głośno resztki coca-coli i wylizywały topiące się lody. Marcelli przyniesiono deser.

- Moja kolejna historia będzie o ojcu Carmello! - ogłosiła, atakując śmietaną. - I o jego sekretnym życiu seksualnym!

- Spojrzała po twarzach koleżanek. - Piękna dziewczyna z wielkimi cyckami wchodzi do konfesjonału. Spowiada się długo z wielu rzeczy, a on po prostu nie potrafi trzymać od niej rąk z daleka!

Dziewczynki oniemiały. Łączenie seksu z religią było śmiałe nawet jak na Marcellę.

- Czy nie boisz się, że Bóg cię położy trupem za wymyślanie takich rzeczy? - spytała Sisi.

Marcella zlizwała z łyżki polewę czekoladową.

- Właściwie nie - wyznała wreszcie. - W każdym razie nie wcześniej, niż napiszę tę historię i sprzedam do filmu za dziesięć milionów dolarów!

- Nigdy nie nakręcą filmu o życiu seksualnym księdza! - zaproponowała Andrea. - Zbyt wielu katolików byłoby przeciw. To byłoby bluźnierstwo! Poza tym taki człowiek jak ojciec Carmello nigdy by nie robił podobnych rzeczy!

- Jest na nie dostatecznie młody. Moja mama mówi, że on ma dwadzieścia lat!

- Jest naprawdę słodki!

Marcella odczekała, aż komentarze ucichną.

- Oczywiście, że robi te rzeczy - stwierdziła autorytatywnie. - Przecież jest mężczyzną, prawda? Mężczyźni muszą coś robić, bo inaczej moczą łóżka!

Wszystkie wybuchnęły głośnym śmiechem, patrząc na Marcellę w zdumieniu. Skąd ona tyle wiedziała? Marcella śmiała się razem z koleżankami, czując lekkie mdłości po

skończeniu lodów. Chciała wymyślić tę skandaliczną nową historię natychmiast, napawając się ich skupieniem i podniecającymi okrzykami zachwyty, ale zbyt wiele osób mogło podsłuchać, a ona nie czuła się jeszcze przygotowana na kolejne mydlenie.

Dlaczego opowiadasz te historie, Marcello? - spytał łagodnie ojciec Carmello. - Co się stało z twoją wiarą?

Ledwo widziała jego twarz przez kratkę, ale знаła ją dobrze. Była gładka, okrągła, opalona latem, przechodząca w łysinę, która także się opalała. Ksiądz miał duże, naiwne, niebieskie oczy. Marcella cieszyła się, że w chwilach takich jak ta nie mógł się jej przyglądać.

- Nie wiem, ojciec - wymamrotała. - Może po prostu lubię zwracać uwagę? Mama nigdy mnie nie słucha. Tata najczęściej pracuje. Ludzie zwracają na mnie uwagę tylko wtedy, kiedy opowiadam moje historie.

- Ale dlaczego tyle miejsca zajmują w nich sprawy seksu?

- Żeby mnie słuchali! - odparła ze wzruszeniem ramion. - Kto by zechciał słuchać, gdybym opowiadała o zakonnich? Dlatego opowiadam o dziewczynach, które szaleją na punkcie seksu.

- A czy ty szalejesz na punkcie seksu? - spytał.

- Właściwie nie - powiedziała. - To znaczy, lubię patrzeć na chłopców, ale nic poza tym...

Kogo ja nabieram? - myślała w drodze powrotnej do domu. - Oczywiście, że szaleję na punkcie seksu! Swędzenie pojawiło się mniej więcej na jej trzynaste urodziny, nawet wcześniej. Dotykała się w gorącą letnią noc. Okno otwarte, nieruchoma firanka, ponieważ powietrza nie poruszał żaden podmuch. Marcella przykryta tylko prześcieradłem. Nagła gorąca ulewa i zapach ciepłego deszczu, który na zawsze miał jej się kojarzyć z seksem.

Wyobrażając sobie, że dłoń leżąca na prześcieradle to dłoń mężczyzny, dotykała się przez materiał, tak jak on by to robił. Piosenka w radiu, z uporczywym rytmem, który zdawał się ją ponaglać do jakiegoś szczytowania. Jej pierwsze! Dlaczego czuła się o tyle bar-

dziej dorosła, bardziej wtajemniczona niż inne dzieci? Czy z powodu ojca? Zawsze uważała, że jest podniecający. Duża, przystojna twarz z lwią grzywą srebrnych włosów. Równo przystrzyżone wąsy. Potężne ciało pokryte włosami wystającymi spod kołnierza koszuli i z rękawów. Tata w majtkach, z tym tajemniczym wybrzuszeniem między nogami. To wszystko było niewinne. To na pewno było niewinne. On po prostu uwielbiał ją dotykać, pieścić, jego dłoń wkładała się pod bluzkę Marcelli, żeby pieścić jej plecy, płaskie piersi, na długo nim jeszcze się ukształtowały. Kiedy weszła w okres dojrzewania, powstrzymała ojca, kładąc mu dłoń na przegubie. Czy dzisiaj to, co on robił, nazwano by wykorzystywaniem dzieci? Marcella bez wątplenia nie czuła się wykorzystywana. Czuła się kochana i ceniona, a w późniejszym okresie życia zawsze całkowicie rozbierał ją taki delikatny, szczęśliwy, nieświadomy dotyk męskiej ręki.

W matce nie była tak zakochana. W sąsiedztwie panowała zgodna opinia, że Ida „sobie odpuściła”. Marcelli wydawało się, że włoskie żony mają do wyboru, albo się zagłodzić, albo „sobie odpuścić”. Decyzja ta dotyczyła makaronu, tłustych sosów, długich sobotnio-niedzielných drugich śniadań przeciągających się do połowy popołudnia. Chodziło o stare pytanie: dziewczyna wzbudzająca powszechny zachwyt czy tradycyjna mamuska? Większość mężów pragnęła obu: Ida mieściła się na pewno w kategorii mamusiek. Gruba, sprawna, wspaniała kucharka, nieco zazdrosna o to, że to jej mąż był tym, którego urodę podziwiano. Marcella nigdy nie widziała, żeby rodzice bili się czy rzucali w siebie rzeczami, tak jak to podobno miało miejsce w domach jej koleżanek. Nie kończyli też kłótni obejmowaniem się i pocałunkami. Rzadko widywała, żeby się dotykali, co sprawiało, że seks stawał się dla niej jeszcze bardziej tajemniczy. Większość nieporozumień dotyczyła Marcelli.

- Aldo, zawrócisz jej w głowie! - krzyczała Ida, kiedy ojciec komplementował córkę.

- Nie dawaj jej tego, Aldo, bo ją rozpieścisz! - ostrzegała, kiedy proponował, że kupi Marcelli coś, czego pragnęła.

Wydawało się, że matka strzeże ją przed przyjemnościami

życia. Marcella sądziła, że rodzice stanowią niedobraną parę. Aldo cechowała afirmacja życia; sam spacer ulicą w jego towarzystwie stawał się wydarzeniem. Zachowywał się z teatralną buńczucznością prawdziwego Rzymianina, mimo że nigdy nie widział Rzymu. Ida po prostu wyglądała godnie - to było wszystko, na co mogła się zdobyć. Nie starała się ubierać według wskazań mody, upinała włosy w kok, zostawiała brwi nie wyskubane. Tylko na wyjątkowe okazje pudrowała się i szminkowała usta na czerwono. Jej długi nos, ciemne oczy i usta wyrażające zdecydowanie składały się na przyjemną twarz, ale Marcella odziedziczyła urodę po ojcu.

Była późnym dzieckiem; przyszła na świat, kiedy Ida miała trzydzieści siedem lat, a Aldo czterdzieści pięć, lecz zamiast czuć się hołubiona jako specjalny późny dar, często czuła, że jest zawadą, zakłóceniem średniego wieku rodziców. To ojciec zabierał ją na koncerty w Carnegie Hall czy Central Park, zaszczipiając Marcelli miłość do muzyki. Gdy wybierali się do parku, matka pakowała jedzenie na piknik. Ida nigdy nie zgadzała się usiąść na ziemi, nawet na kocu. W letnie wieczory córka z ojcem rozkładali wytarty pled na Wielkim Trawniku i razem słuchali opery. Marcella zasypiała zazwyczaj w trzecim akcie na kolanach ojca, ukołysana bogactwem muzycznych dźwięków.

Aldo Balducci pracował jako kucharz w jednej z lepszych restauracji Little Italy. Raz w miesiącu gotował w domu. Tego dnia Marcella kręciła się wokół desek do szatkownia, nie spuszczać ojca z oczu. Przed przystąpieniem do pracy, Aldo wrywał jej włos i przecinał go, by zademonstrować, jak niebezpieczny jest ostry nóż. Ukłucie bólu podczas wrywania włosa stanowiło ekscytujący znak rozpoczęcia specjalnego dnia. Aldo pracował, śpiewając arie cyrulika z *Cyrulika Sewilskiego*, a sterty warzyw i mięsa zamieniały się w tace zgrabnych kosteczek i plastrów, wielobarwnych i pachnących świeżością.

Na posiłek zawsze spraszano gości. Schodzili się przyjaciele z restauracji, kumple od kart i ludzie z sąsiedztwa; przynosili Chianti i zamieniali mieszkanie w knajpę pełną rozgadanych, śmiejących się i pijących mężczyzn. Kilka żon

dotrzymywało towarzystwa Idzie. Po posiłku wszyscy grali w karty do późnej nocy. Ida protestowała słabo, ale Aldo nalegał, że raz w miesiącu musi gotować z miłości, nie dla pieniędzy. Marcellę tulono, cmokano nad nią i pozwalano jej pić wino z jej własnego małego kieliszka, dopóki jej nie uspiło. Czując radość i wirowanie w głowie, odnajdywała drogę do łóżka, gdzie poszewka na poduszkę pachniała sączącym się do pokoju dymem tanich cygar.

Szkoła stanowiła mordęgę, z wyjątkiem wypracowań z angielskiego. Po odczytaniu klasie wypracowania Marcella błyszczała, rozkwitając w deszczu pochwał panny Woolfe.

- Masz dar przykuwania uwagi słuchaczy - powiedziała jej panna Woolfe.

Marcella dobrze o tym wiedziała! Przykuwała ich uwagę także poza klasą, snując historie, wymyślając je w trakcie opowiadania, dodając wątki romansowe i seksualne, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Panna Woolfe nie miała pojęcia o tym aspekcie jej talentu.

- Obserwuję twarze dziewcząt, kiedy czytasz - powiedziała Marcelli. - Wyrażają oczarowanie. Chyba zamierzasz coś zrobić ze swym talentem? Czy myślisz o studiach?

Marcella wątpiła, czy rodziców stać na opłacenie jej college'u. Ojciec sugerował czasem, żeby podjęła pracę kelnerki w jego restauracji. Obiecał, że mógłby wstawić się za nią u właściciela... Jakby taka pozycja wymagała poparcia! Marcella wiedziała, że jeśli czegoś nie zrobi, czeka ją taki los, ale jedyne, o czym mogła marzyć, to opublikowanie książki. Ilekroć zostawała sama w swej sypialni, przystępowała do kolosalnej pracy notowania nazwisk i historii rodzinnych wymyślonych przez siebie postaci. Bruliony stanowiły jej surowiec, nad którym postanowiła pracować, kiedy groźba pracy zbliżała się niebezpiecznie.

Tymczasem pojawił się Harry Winton. To był drugi podniecający aspekt szkoły, który kazał jej rano ubierać się starannie, położyć ukradkiem choćby smużkę makijażu na oczy i usta, a także przyjść wcześniej, żeby patrzeć, jak chłopcy rozgrywają popisowy mecz koszykówki. Harry Winton był najpotężniejszym ze sportowców, największym chłop-

cem w szkole. Zwrócenie jego uwagi stanowiło swego rodzaju symbol wysokiego statusu. A Marcella jako najbardziej rozwinięta dziewczyna w szkole zwróciła uwagę największego chłopca. Jego duże rozmarzone oczy wpatrywały się w nią, ilekroć się pojawiała. Pod względem fizycznym byli swymi przeciwieństwami. Harry o jasnej cerze, niebieskooki syn irlandzkiego gliniarza i Marcella, swawolna, ciemnowłosa, ciemnooka młoda dziewczyna, córka Włochów. Kiedy występował w szkolnej reprezentacji i zdobywał punkt, zawsze patrzył na nią, a Marcella posłuszenie wiwatowała. Nie czuła się ładna, ponieważ nie była delikatna i szczupła jak niektóre dziewczęta. Zaokrąglone kształty stanowiły dziedzictwo rodzinne, z którym musiała nauczyć się żyć. Podziw ze strony mężczyzn w cudowny sposób utwierdzał ją w przekonaniu, że była atrakcyjna. W miarę jak dorastała, pojawił się problem: każdy, kto okazywał jej zainteresowanie, podniecał ją. Seks zadomowił się na dobre. Kiedy mężczyźni patrzyli na nią, ciało Marcelli zaczynało funkcjonować niezależnie; piersi prężyły się, sutki twardniały, wilgotniała tam w dole, tam, gdzie, jak jej mówiono, źle było czuć cokolwiek! Uwaga ze strony mężczyzn zapierała Marcelu dech w piersiach, lecz pozostawiała uczucie niedosytu. Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie chodzić na randki. Gdy miała szesnaście lat, wreszcie pozwolono jej pójść z Harrym do kina. Podczas seansu drżała z oczekiwania, ale na pierwszej randce Harry dbał o to, by poprzestać na trzymaniu jej dłoni na ramieniu. Usiłowała przysunąć pierś ku jego zwisającym palcom, ale wpatrzony w ekran Harry nawet nie drgnął. Później, kiedy pozwolono mu brać samochód ojca, parkował za rogiem przed domem Marcelli i całował jej szyję, twarz, usta, zbyt podniecony, by zdecydować, co całować dalej. Okna samochodu pokrywały się parą, a Marcella zachęcała Harry'ego do większej śmiałości. Czasem, w połowie sesji całowania, przerywał, żeby złapać oddech. Opierał się na siedzeniu, pokazując jej oznakę swego podniecenia - długi, zaokrąglony kształt biegnący od krocza do brzucha. Niesłychanie bulwersowała ją myśl, że to ona



odpowiada za to tajemnicze wybrzuszenie. Uwielbiała władzę, jaką nad nim miała; samym tylko patrzeniem Harry'emu w oczy i laskotaniem go w dłoń, potrafiła sprawić, że wił się niezręcznie.

Spotykali się przez całe parne lato, oboje boleśnie świadomi bariery, dręczeni pokusą, by ją przekroczyć. Raz, kiedy pokazał Marcelli, jak bardzo stał się przez nią twardy, wyciągnęła rękę i pogłaskała tę długą twardość przez spodnie.

- Nie powinnaś tego dotykać - wymamrotał ochryple z zamkniętymi oczyma.

Przesunęła delikatnie dłonią, a z jego ust wyrwał się jęk.

- Dlaczego nie? - spytała. - Przecież to lubisz, prawda?

- Tak - przyznał. - W tym cały kłopot.

- Dotknij mnie, Harry - poprosiła, trochę zdziwiona własną śmiałością.

Miała na sobie spódniczkę mini i krótkie białe skarpetki. Rozsunęła nogi, a Harry nie przestając całować, z wahaniem położył dłoń na jej udzie, zatrzymał ją tam przez chwilę, potem z pozorną niedbałością przesunął dłoń nieco wyżej. Wędrowała chyłkiem, tak wolno, jakby chciał, żeby Marcella tego nie zauważyła. Lecz ona była bliska zemdlenia, kiedy palce Harry'ego dotarły do brzegu majtek. Wygięła plecy, przytuliła się do jego dłoni. Cofnął gwałtownie rękę jak oparzony.

- Nie boisz się? - spytał.

- Czego - zaśmiała się.

- Nie wiem - mruknął. - Chyba piekła i potępienia. Wszystkich tych rzeczy, o których mówią...

Marcella wybuchnęła śmiechem.

- Myślę, że nasze ciała zostały stworzone dla naszej przyjemności.

Podciągnęła spódniczkę, wsunęła palec pod bieliznę i odsunęła ją od ciała. Podniecało ją to, że Harry na nią patrzy.

Gdy zdejmowała majtki, wiedziała, że spełnia jego marzenia. Obnażając się przed nim, poczuła rozkoszną falę wstydu i podniecenia. Patrzyła, jak dłoń przesuwana się niemal niezależnie od woli Harry'ego. Oddała się tej dłoni, zaprosiła ją.

Teraz mogła przestać sobie wyobrazać, mogła naprawdę czuć dotyk męskiej ręki. Pieścił ją opuszkami palców tak delikatnie, że chciało jej się krzyczeć. Ten niezdarny, nieporadny chłopiec obchodził się z nią jak z najbardziej kruchym motylem. Jego palce trzepotały wokół wrażliwego wejścia do jej ciała. Pragnęła zaznać jak najwięcej tego dotyku otwartej dłoni, całej długości palców, siły kciuka. Zmieniła pozycję, by przylgnąć do niego, lecz Harry znowu cofnął się z jękiem.

- Nie... - wymruczała. - Nie przerywaj teraz!

- Jeśli nie przestaniemy... coś się stanie - powiedział niskim głosem.

Spojrzała na jego uda. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak niewygodnie było mu w spodniach.

- W takim razie wyjmij to - poprosiła, prostując się na siedzeniu. - Pokaż mi.

Harry ociągał się, ale widziała, że pomysł obnażenia się przed nią go podnieca. Kiedy to wyjął, było twarde, lśniące i czerwone. Chwyciła to w dłoń, a Harry odrzucił głowę z rozkoszą. Odważył się wreszcie wsunąć w nią palce. Nagle westchnął spazmatycznie, po czym wypuścił powietrze, a ciepłe nasienie trysnęło na slipy raz i drugi.

Znieruchomiał. Marcella jęknęła, czując rosnące napięcie. Odsunął od niej rękę; łaskotanie ustało. Harry wytarł się zwitkiem chusteczek higienicznych, a potem przysunął usta do jej ust. Ssała jego język, aż odsunął się, żeby złapać tchu.

- Mówiłem ci, że coś się stanie - powiedział, opadając z powrotem na siedzenie.

- Mnie też o mało się to nie przydarzyło - szepnęła. Jediną osobą, której mogła o tym powiedzieć, była Gineeta, starsza dziewczyna ze szkoły, o której mówiono, że zaliczyła kilka „romansów”. Miała ciemną karnację, była piękna i paliła jak dorosła. Ona i Marcella spotykały się czasem w pobliskiej kawiarni i rozmawiały o chłopcach. Nowiny Marcelli nie wywarły na Gineecie wrażenia.

- Gdyby był prawdziwym mężczyzną, poczekałby, aż ty zrobisz to przed nim - stwierdziła, omdlewającym ruchem strzepując popiół z papierosa.

- Dlaczego? - spytała Marcella.

Gineeta wiedziała o tyle więcej niż ona.

- Dlaczego? - Gineeta się zaśmiała, co stanowiło rzadkość. - Ponieważ kobiety mają pierwszeństwo, oto dlaczego.  
- Następnym razem, kiedy jego rodzice wyjadą, chcę z nim pójść na całość - zwierzyła się Marcella. - Nie wydasz mnie, prawda?

Gineeta wzruszyła ramionami.

- Jasne, jeśli ci na tym zależy. Ale uważaj. Wiesz, co mówią o irlandzkich chłopcach?

- Nie. A co? - spytała Marcella, otwierając szeroko oczy. Gineeta zdusiła papierosa i rzuciła na stół pięćdziesiąt centów.

- Raz pójdziesz z nimi do łóżka i masz dziecko.

Następnego roku w lipcu, podczas jednego z najgorętszych dni, jakie zanotowano, rodzice Harry'ego pojechali do New Jersey na konferencję o zapobieganiu przestępczości, a jego siostra nocowała u koleżanki. Harry miał być sam w domu przez całą niedzielę. Marcella załatwiła sobie alibi u Gineety i poszła do Harry'ego po lunchu. Otworzył drzwi w dżinsach i koszulce z krótkimi rękawami. Był dobrze wyszorowany i różowy jak niemowlę.

Kiedy zamknął za nią drzwi na podwójny zamek, rozejrzała się po mieszkaniu. Mieściło się w nowszym bloku niż ten, w którym mieszkała Marcella. Tradycyjny wystrój: wszystkie sprzęty pokryte plastikową folią. Tylko jeden duży abażur uniknął uwięzienia. Marcella zachichotała. Przeszła wolno do salonu, by przyrzeć się przeszklonej serwantce pełnej wyrobów z porcelany, które kolekcjonowała matka Harry'ego.

- Widziałam reklamę tego w magazynie - powiedziała z nosem przyciśniętym do szyby.

Kolekcja przedstawiała miniaturowe figurki postaci z filmu *Czarodziej Oz*. Zawsze się zastanawiała, kto zamawia podobne wyroby. Teraz już wiedziała. Ludzie pokroju matki Harry'ego.

- Napijesz się? - zaproponował Harry. Poszła za nim do kuchni.

- Nie masz wina albo czegoś w tym rodzaju? - spytała. - Jestem trochę zdenerwowana, Harry.

Spojrzał na nią wstydliwie.

- Wiesz? Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty - powiedział.

Dotknęło ją to stwierdzenie.

- Wycofujesz się?

- Nie...

Znalazł butelkę zbyt słodkiego czerwonego wina i napełnił kieliszki. Zmusiła się do wypicia ciepłego trunku, za ciężkiego na ten upalny dzień.

Było jasne, że jeśli ona nie uczyni pierwszego kroku, Harry będzie siedział i wpatrywał się w nią.

- Który pokój jest twój? - spytała.

Wino szumiało jej w głowie. Podniosła się i poszła w stronę przedpokoju. Harry w ślad za nią.

- Tam.

Wskazał, a Marcella weszła do ciasnego pomieszczenia, usiadła na łóżku i posłała Harry'emu zmysłowe spojrzenie.

- Chcesz mi się pomóc rozebrać? - spytała, podnosząc ręce.

Ostrożnie rozebrał ją do naga. Grdyka podskakiwała mu za każdym przełknięciem, a oddech świszczał coraz głośniej w małym pokoju. Oglądał jej pulchne ciało, a Marcella szła za jego spojrzeniem. Sutki sterczały wyprężone, pełne piersi przechyliły się na jedną stronę, kiedy wsparła się na łokciu i parzyła na niego pytająco. Przyglądał jej się, a ona lekko rozchyliła nogi. Ujrzała, że Harry zerknął tam ukradkiem.

Widziała, jak pod dzinsami rośnie wypukłość. Pospiesznie zrzucił ubranie, odsłaniając duże ciało. Było tak blade, jakby nigdy nie dotarło do niego słońce. Kiedy Harry klęknął na łóżku i nachylił się nad Marcellą, wyprężony członek stał przed nim. Nagle położył się na niej, a jego usta przywarły do jej ust. Ujął dłońmi jej piersi, wbił członek w jej brzuch. Rozchyliła usta, by mógł wejść w nie językiem i przyłgnęła do Harry'ego nagim ciałem. Rozkosz przeszła wszystkie wyobrażenia. Kiedy przywarł ustami do jednej z piersi i zaczął ssać, coś w Marcelli oszalało. Za bardzo się spieszył,

napierał na nią dolną częścią ciała, ale tak bardzo pragnęła przeżyć to doświadczenie, że dostosowała się do tego pośpiechu. Otworzyła się przed nim, wprowadziła w siebie nabrzmiały żądzą członek. Położyła dłonie na białej piersi Harry'ego. Przyzwyczajając się do tej nowej cudownej inwazji. Wiedziała, że musi przyjmować go powoli, że musi najpierw pozwolić swemu ciału zwilgotnieć z pożądania, zanim pozwoli mu wsunąć się w nią choć o cal głębiej. Ale Harry stracił cierpliwość, bo nagle wdarł się w nią cały. Krzyknęła z bólu. Nie zwrócił na to uwagi. Pompował w górę i w dół, najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać. Chociaż początkowo czuła ból, było to też tak nieznacznie podniecające. Zaczęła na niego napierać, odpowiadać na jego ruchy, przedstawiać własne żądania, chwytając go mięśniami nigdy dotąd nie używanymi, mięśniami nagłymi Marcellę, by dopełniła obrzędu, do którego całe młode życie zdawało się ją popychać.

Ujęła zębami dolną wargę Harry'ego i ugryzła delikatnie. Oderwał się, by zatopić twarz w jej piersiach, by ssać po kolei obie sutki. Doznanie płynące stamtąd połączyło się z tym w dole i Marcella zatraciła się w fali omdlenia, oddając się rozkoszy płynącej ze wszystkich stron. Mimo że Harry był duży, pragnęła czuć go jeszcze głębiej, tak głęboko, by stopili się i stali się dwiema połówkami jednej osoby. Jego usta ocierały się o jej usta, a Marcella odsunęła twarz, zmuszając Harry'ego, by lizal jej szyję jak szczeniak. Ocierał się o nią całym ciałem, aż wydał ochryply okrzyk niewiarygodnej rozkoszy. Zamarł w bezruchu, pozostawiając ją w oczekiwaniu ze swędzącymi, domagającymi się spełnienia, zakończeniami nerwowymi. Uniósł głowę, a Marcella otworzyła oczy, by spojrzeć na jego twarz. Wykrzywił ją grymas rozkoszy, powieki miał zaciśnięte, a usta szeroko otwarte. Jego przyjemność podziałała na Marcellę jak iskra i Marcella poczuła, że rodzi się jej własna rozkosz. Zadrżała, odepchnęła głowę Harry'ego i poruszyła się pod nim, przerażona, że mógłby ją porzucić, zanim dałby jej to, czego potrzebowała. Aż nadeszło: fala rozkoszy, a po niej kolejna i następna; przyciskała Harry'ego nogami, nie pozwalając mu się odsu-

nać. Wciąż był twardy, wciąż dyszał, a Marcella drżała pod nim i dygotała w pierwszym orgazmie z mężczyzną w sobie; wszystkie fantazje i marzenia mieszały się w jej ciele i umyśle.

- Kochasz mnie? - wykrztusił, tuląc ją do siebie, kiedy opadli z sił.

- Szaleję za tobą - szepnęła.

Potem wtulił głowę w jej ramię, łaskocząc Marcellę włosami w podbródek i zasnęli w ciepłe niedzielne popołudnie. Jego nasienie wypływało z niej, jego płodne, irlandzkie nasienie, które, zgodnie z ostrzeżeniem przyjaciółki, miało ją zapłodnić.

Wyjść za niego! - krzyknęła Marcella. - Ale co będę robić przez cały dzień?

- Będiesz wychowywać jego dzieci! - odkrzyknęła Ida. - Będziesz się troszczyć o męża! Będiesz robić to samo, co ja!

- Nie mogłabym robić tego, co ty! - Marcella potrząsnęła głową. - Ty nic nie zrobiłaś ze swoim życiem!

- Miałam ciebie, prawda? Czy ty jesteś niczym?

- Wolałabym, żebyś mnie nigdy nie urodziła! Wolałabym nie przychodzić na ten świat! - krzyknęła Marcella, rzucając się na łóżko ze łzami. Od chwili, gdy otrzymała dodatni wynik testu ciążowego, nie potrafiła jasno myśleć.

- W przyszłym roku miałam kończyć szkołę! - łkała.

- Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim nie zgłupiałaś na jego punkcie - odparła Ida, kręcąc głową.

- Chciałam spróbować dostać się na studia! Panna Woolfe mówi, że mogę pisać - zawodziła.

- Pisać? - Ida udała atak serca. - Czy to nie przez te historyjki tak śpieszno ci było do wygłupów z tym chłopakiem?

Ja wyszłam za męża, kiedy miałam siedemnaście lat. Mnie nikt nie posłał na studia!

Marcella uniosła zalaną łzami twarz.

- Ty nigdy nie zaznałaś radości!

Ida usiadła ciężko na łóżku i pogładziła córkę po głowie. Zrezygnowanym tonem, jakby wypowiadając prawdę, którą nawet idiota jest w stanie pojąć, powiedziała:

- Małżeństwo to ofiara, Marcello! Ofiara, składana swoim dzieciom. Myślisz, że jakkolwiek kobieta lubi być

niewolnicą mężczyzny, który wraca do domu i połyka jedzenie, nie zwracając na nią uwagi? Spytaj którąkolwiek kobietę na tej ulicy, czy jest szczęśliwa ze swoim mężem! One wszystkie poświęciły życie dzieciom i tak właśnie powinno być!

Marcella usiadła obok matki.

- Ale ja nie wybrałam Harry'ego na męża. Ja po prostu lubiłam się z nim spotykać, to wszystko! On też mnie nie wybrał. Jest zmuszony do małżeństwa!

Ida wzruszyła ramionami.

- Robi jedyną porządną rzecz, jaką może, Marcello.

- Wstała i wyszła z pokoju.

Marcella leżała pogrążona w myślach. Ofiara, co za potworne, brzemiennie słowo. Nie chcę stać się ludzką ofiarą

- zdecydowała - a już na pewno nie dla moich dzieci. Obie pary rodziców spotkały się na zebraniu, w którym „dzieciom” zakazano uczestniczyć. Nie dało się sprawy utrzymać w sekrecie przed sąsiadami. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że pospiesznie zorganizowano ślub córki Balduccich i chłopaka Wintonów.

Nazajutrz po dniu, kiedy zdecydowano o ich przyszłości, Marcella poszła wcześniej do szkoły, z nadzieją, że spotka Harry'ego. Kopał z kolegami piłkę na boisku. Obserwowała go przez chwilę, starając się uwierzyć, że na resztę życia ma zostać żoną tego ociążałego chłopaka. Zauważył ją, powiedział coś do kolegów, kopnął silnie piłkę i odszedł.

- Co będzie? - wymamrotał, zbliżywszy się do Marcelli, a jego okrągłe niebieskie oczy patrzyły wszędzie, tylko nie na nią.

Spojrzała na niego z ukosa. Oparł się o ceglany mur.

- Chyba wiesz, prawda? Myślę, że powinniśmy się pobrać. A co ty o tym sądzisz?

Zmrużył oczy, wpatrzony w jakiś odległy punkt.

- Chyba nie spodziewałem się, że ożenię się tak młodo.

- Zaśmiał się nerwowo.

- Ach tak? Myślisz, że ja się spodziewałam, że mając siedemnaście lat, zostanę matką?

Wzięła go za rękę. Po chwili wyrwał dłoń z uścisku.



- Przynajmniej popatrz na mnie, Harry! - wybuchnęła.

- Noszę twoje dziecko!

Miała wrażenie, że odgrywa scenę z filmu. Czy to naprawdę jej życie? Ilekroć wyobrażała sobie, że mężczyzna prosi ją o rękę, zawsze widziała to w jakiejś romantycznej scenerii, mężczyzna zaś miał szaleć na jej punkcie! I oto stała na tym głupim boisku, niemal błagając Harry'ego.

Harry westchnął ciężko i spojrzał na Marcelłę.

- Kiedy ludzie się pobierają - powiedziała cicho - zazwyczaj robią to z miłości.

- Chyba potrzebuję trochę więcej czasu, żeby oswoić się z tą myślą - odparł, patrząc na swe stopy. - W przyszłym roku wybieram się do college'u. Miałem zamiar skończyć studia i zostać księgowym.

- Ja też chciałam spróbować dostać się do college'u

- przypomniała mu.

- Chcesz zostać pisarką, prawda? - Uśmiechnął się nagle.

- Słyszałem, że opowiadasz koleżankom naprawdę szalone historie.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Teraz będę chyba musiała o tym zapomnieć. Ale, Harry, możemy postarać się, żeby było fajnie. Możemy być dobrymi rodzicami, nie tak surowymi jak moi.

Skinął głową bez przekonania.

- W takim razie chyba już ustaliliśmy? Poklepał Marcelłę w ramię i wrócił do kolegów.

- Ustaliliśmy? - powtórzyła pod nosem.

Żadnego „kocham cię” ani nic? Odwróciła się, łzy zapiekły ją w oczy. Dzieciaki zaczęły się zbierać, dyskutując o pracy domowej lub klasówkach. I pomyśleć, że te sprawy były kiedyś dla niej ważne! Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna.

Zacniemy mówić, że zaszła w ciążę podczas miesiąca miodowego - oświadczyła Ida tego wieczoru podczas kolacji, krzątając się po kuchni.

- Oni nie będą mieli miesiąca miodowego - zauważył Aldo.

Ida ściągnęła usta.

- Wobec tego powiemy, że dziecko urodziło się przed terminem. Pierwsze dzieci rodzą się czasem późno, ale mimo to powiemy, że przyszło na świat przed terminem!

- Posłuchaj, mamó! - Marcella odepchnęła talerz makaronu. - Czy moglibyśmy porozmawiać o czym innym?

- Oczywiście! - odparła wesoło Ida, siadając do stołu. - Jasne! Porozmawiamy o pogodzie, dobrze, panienko?

Marcella spojrzała błagalnie na ojca, ale kiedy oddał jej spojrzenie, w jego oczach malowało się tylko zmieszanie i rozczarowanie.

- Mój Boże! - Rzuciła widelec na stół. - Chyba nie jestem pierwszą dziewczyną w Little Italy, której się to przytrafiło, prawda?

- Nie... - Ojciec potrząsnął głową. - Ale jesteś naszą dziewczyną. Wszyscy rodzice chcą dla swego dziecka jak najlepiej. Chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej! - Uścisnął dłoń Marcelli.

- Wiem, tato. - Odwzajemniła uścisk.

- Jego rodzice to mili ludzie - powiedziała Ida, nawijając spaghetti na widelec. - Najważniejsze, żeby obie rodziny pomagały ci, dopóki Harry nie skończy studiów. Pan Winton zna pewnego ważnego biznesmena, który jest mu winien przysługę. Obiecał, że po studiach znajdzie Harry'emu pracę. Na Wall Street!

Marcella zauważyła, że rodzice wymieniają spojrzenia mówiące, że istnieje jeszcze jakaś nadzieja. Nadzieja na osiągnięcie zamożności i uchronienie wnuków przed wstydem.

Zawsze lubiła podniecenie, które ogarniało ją, gdy spowiadała się z grzechów ojcu Carmello. Pragnęła, by ktoś powiedział jej prawdę o tym, co się z nią działo. Następnego dnia po lekcjach, odszukała go w kościele. Podszedł do niej z rozpostartymi ramionami, ujął jej dłonie i uścisnął.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz - powitał ją.

- Chcę się wypowiedzieć - oświadczyła.

Słuchał jej z poważną miną, z dłonią przyciśniętą do czoła.

- Nawet nie znam tak dobrze Harry'ego! - wyrzuciła na koniec. - Chyba go nie Kocham!
  - Wiedziałem o tym, Marcello - przyznał ojciec Car--mello spokojnie. - Państwo Winton rozmawiali ze mną. Wasi rodzice postępują słusznie, popierając wasze małżeństwo.
  - Popierając je? Oni nas zmuszają!
  - Udzielę wam ślubu - powiedział. - Będziesz miała ślubne dziecko. Poznasz i pokochasz męża.
  - Wiesz to, tak ojciec? - spytała sarkastycznie. - Widzisz przyszłość, czy co?
- Ojciec Carmello uciszył ją delikatnie.
- Och, ojciec, czy możemy wyjść z tej klatki? - spytała wstając. - Potrzebuję powietrza!
- Uśmiechnął się i poszedł za nią na trawnik przy kościele. Marcella oparła się o mur.
- Jestem przekonana, że to zrujnuje mi życie! Ojciec Carmello spojrzął na nią ze współczuciem.
  - Jesteś inteligentną dziewczyną, Marcello. Wiesz, że w tych okolicznościach nie masz właściwie wyboru. Jeśli włożysz wysiłek w to małżeństwo, będziesz miała cudowną rodzinę i...
- Popatrzyła na niego z rozczarowaniem.
- Dziękuję, ojciec - przerwała mu.
- Poszła spokojnie do domu. Czy tylko to mogła dla niej zrobić religia w chwili rozpacz? Powiedzieć, że nie miała wyboru?
- Po zakończeniu roku szkolnego, żal jej było rozstawać się tylko z jedną nauczycielką, panną Woolfe.
- Marcello, jaka szkoda, że odchodzisz! - Panna Woolfe patrzyła na nią zmęczonymi, dobrymi oczyma. - Czyje opowiadania mam teraz czytać klasie? Czy nie możesz wstrzymać się z małżeństwem na dwa lata?
  - Hm...nie!
- Marcella nagle nie mogła powstrzymać chichotu..
- Ale będziesz nadal pisać?
  - Postaram się, panno Woolfe...

Panna Woolfe zanotowała na skrawku papieru swój numer telefonu.

- Weź to. Mieszkam w Greenwich Village. Gdybyś kiedykolwiek chciała się czegoś dowiedzieć o ewentualnych studiach, zadzwoń proszę.

Później, kiedy Marcella wraz z koleżankami świętowała zakończenie roku pożegnalnymi lodami, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że odbiera się jej część życia. Koleżanki paplały podniecone o letniej pracy, a ona zdała sobie sprawę, że jej letnią pracą jest małżeństwo.

Spójrz! - Kelner odsunął ciężkie czerwone zasłony w drugiej co do jakości sali przyjęć u Carvellego, by pokazać scenę kasjerce. - Córka Aldo wyszła za mąż!

Kasjerka popatrzyła na młodą parę siedzącą u szczytu stołu zastawionego na dwadzieścia osób.

- To jeszcze dzieci! - wykrzyknęła.

- Aldo wygląda na szczęśliwego! - odparł kelner, wzruszając ramionami.

Aldo Balducci robił wszystko, żeby się dobrze bawić. Jeśli ma tylko jedną córkę, tylko raz wydaje się przyjęcie weselne, toteż zamierzał się cieszyć tą wyjątkową okazją. Złani potem jasnowłosi Irlandczycy o rumianych twarzach, kuzyni Harry'ego i koledzy jego ojca z policji, zerkali ze zdziwieniem na ekstrawertycznych Włochów, z którymi niektórzy zostali nagle spowinowaceni. Aldo przyrządził kolację weselną, ale wypił za dużo wina i nerwy go zawiodły. Rozgotowane *ziti* stało w parującym garnku na stole obok, rzucając wyzwania gościom, którzy odważyliby się sięgnąć po dokładkę.

- Taka piękna uroczystość. - Ida, ocierając oczy, zwróciła się do matki Harry'ego. - Ojciec Carmello wspaniale celebrował ślub.

Aldo co pewien czas również ocierał oczy, kiedy spoglądał na surową, piękną twarz córki. W żaden sposób nie mógł nie zauważyć smutnego aspektu tego dnia. Wzruszył ramionami, kazał podać więcej Asti Spumante.

- Ci Irlandczycy potrafią pić tak dobrze jak Włosi! Przynieś jeszcze jedną skrzynkę! - szepnął do kelnera.

Muzyków nie opłacono. Goście weselni zadowalali się popisami skrzypka i akordeonisty, którzy grali w sąsiedniej sali. Z uprzejmości dla Aldo, robili to wyjątkowo głośno.

Marcella miała na sobie krótką białą sukienkę pożyczoną od przyjaciółki Idy. Z nadzieją, że trochę się wstawi, wyciągnęła kieliszek po następną porcję szampana. Obserwowała Harry'ego. Czuł się niezręcznie w nowym garniturze.

Pod koniec wieczoru ze strony mężczyzn padło kilka żartobliwych komentarzy na temat stanu Marcelli. Przyjęcie przeniosło się na ulicę. Śpiewano, krzyczano, a nawet tańczono. Niektórzy mężczyźni służyli Harry'emu radami, jak zadowolić kobietę. Irlandczycy i Włosi postanowili sprawdzić, kto wykona najbardziej wulgarny gest. Ida złapała Aldo za rękę, kiedy zamierzał przyłączyć się do współzawodnictwa.

Następnie bezładny korowód gości weselnych odprowadził młodą parę do jej nowego domu, kilka przecznic dalej. Mieszkanie wynajął ojciec Harry'ego po okazjnie niskiej cenie, ponieważ popełniono w nim przestępstwo; ten szczególnie zatuszowano ze względu na Marcellę.

Wszystkie meble były tanie. Wybrała je matka Harry'ego. Nowe mieszkanie wywołało w Marcelli uczucie dziwnego zagubienia i nietrwałości. Pierwszą rzeczą, którą zrobił Harry po zamknięciu drzwi, było głośne beknięcie.

- Bardzo romantyczne! - stwierdziła Marcella, rzucając mu ostre spojrzenie.

- Przepraszam! - powiedział i poszedł do sypialni.

Starannie powiesiła pożyczoną sukienkę, dotknięta faktem, że Harry jej nie objął ani nie pocałował. W maleńkiej łazience ze starą różowo-czarną mozaiką na podłodze rozczesła włosy i umyła twarz. Włożyła nowy szlafrok, po czym poszła do Harry'ego, do sypialni. Leżał na łóżku w nowej koszulce z krótkimi rękawami i majtkach tak białych, że Marcella wyobraziła sobie, iż matka musiała mu je kupić specjalnie na tę okazję.

Usiadła na łóżku i spojrzała na jego nieruchome ciało.

- Nie umyjesz się?

- Za bardzo jestem zmęczony. - Ziewnął. - Jutro rano

idę do szkoły, pamiętasz? Zapisalem się na letni kurs księgowości.

- O, to świetnie! - Położyła się obok niego. Nawet nie drgnął. - To pierwszy raz, kiedy jesteśmy razem, od...

-Przerwała. Może niezbyt taktownie przypominać mu o tamtym niedzielnym popołudniu, które było bezpośrednim powodem tego, co stało się teraz. - Teraz możemy robić, co się nam podoba, Harry - wymruczała. - Jesteśmy dorośli!

- Wielka rzecz... - jęknął.

Wpadła w panikę. Nie mieli najmniejszych szans, jeśli Harry nie będzie szalał na jej punkcie! Przytuliła się do niego, wsunęła mu dłonie pod koszulkę. Wyczuła u Harry'ego pierwsze oznaki podniecenia. Potrafi go zdobyć, wprowadzić w lepszy nastrój, tak jak robiła z ojcem, kiedy wracał zmęczony i zirytowany po długim dniu. Zdjęła szlafrok, pozwoliła, by jej pełne piersi kołysały się blisko jego twarzy. Otworzył usta i lizał sutki, jakby były jagodami. Już pierwszy dotyk jego ust wznicił pożądanie Marcelli. Wsunęła mu rękę do majtek i ścisnęła go mocno. Czuła jego gorący, wilgotny oddech.

- Nie przerywaj - westchnęła.

Odwróciła się, by mógł sięgnąć po drugą pierś. Zdjęła mu slipy. Spróbował położyć się na niej, rozgrzany i ciężki; duży członek wpychał jej między nogi.

- Dotknij mnie tam najpierw, Harry - wymruczała. -Przygotuj mnie..

Sięgnął i dotknął jej niedbale.

- Delikatniej - skrzywiła się.

- Czy przestaniesz bez przerwy mówić? - wybuchnął Harry.

Zgasił nocną lampkę, wsunął rękę pod kołdrę i brutalnie wsadził w Marcellę dwa palce.

- To boli! - krzyknęła. Cofnął rękę.

- Przestań mi mówić, co mam robić, do cholery! Czy myślisz, że nie spałem z innymi kobietami? Myślisz, że nie potrafię tego robić?

Powstrzymała łzy.

- Każda kobieta jest inna, Harry - szepnęła. - Czasami lubię być...

Znów szorstko wsunął w nią palce, a Marcella poczuła, jak część jej serca się zamyka. Harry celowo zadawał jej ból, a ona widziała, że go to podnieca. Położył się na niej okrakiem, przyciskając Marcellę do łóżka swym ciężarem.

Usiłował się w nią wcisnąć. Zsunęła nogi.

- Powiedziałaś, żebyś był delikatny! - krzyknęła.

Przycisnął usta do jej warg, wsuwając język tak, jak próbował się w nią wcisnąć na dole. Odwróciła twarz, uciekając z ustami.

- Nie mogę oddychać! - wykrztusiła.

- Chciałaś mnie podniecić, tak? - dyszał ciężko. - No więc jestem podniecony!

Pożądanie Marcelli wygasło. Leżała bezradnie na łóżku, a Harry wepchnął się w nią i, kilkoma pełnymi podniecenia ruchami, ściskając jej piersi, doprowadził się do głośnego orgazmu. Odetchnął, owiewając Marcellę zapachem cygara, które wypalił po kolacji. Poczuła płynące łzy.

- O co chodzi? - Dotknął jej twarzy, a jego głos był pełen poczucia winy. - Czy nie było dobrze?

Przygryzła wargi. Łkała cicho, w milczeniu. Wkrótce Harry odwrócił się, wyciągnął po swojej stronie łóżka i za-chrapał. Leżała, usiłując ułożyć jakiś plan na życie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Kiedy obudziła się rano, Harry już wyszedł. Nie zostawił na stole nawet kartki, tylko brudny talerz i filiżankę po kawie.

Początkowo próbowała traktować małżeństwo jak grę. Bawiła się w dom, biegała przez dziewięć przecznic do matki po przepis, czekała co wieczór, aż Harry wróci z kursu księgowości. W kilka minut zjadał posiłek, który przygotowywała przez kilka godzin. Potem wymrukiwał kilka odpowiedzi na jej pytania o to, jak minął dzień, i chował głowę w gazetę. W gorące noce rozbierał się do slipów i pracował w kuchni. Chciał zrobić postępy, więc przygotowywał się do następnej lekcji. Marcella raz po raz wchodziła do kuchni, by rozproszyć jego uwagę. Harry jadł i kochał się w ten sam

sposób - pospiesznie, niecierpliwie, jakby chciał mieć to z głowy. Usiłowała narzucić mu włoski zwyczaj leniwego przesiadywania przy stole, a w łóżku konieczność wprowadzenia kobiety we właściwy nastrój, zanim się na nią wskoczy. Najtrudniej było Marcelli przywyknąć do życia bez rozmów. Jej ojciec zawsze wyrażał uczucia, czasem w sposób wybuchowy. Harry skrywał emocje. Brak reakcji z jego strony prowokował Marcellę do flirtowania z mężem, kręcenia wokół niego, siadania mu na kolanach lub na stole, by zwrócić jego uwagę.

Pieniądze na dom rozchodziły się w zatrważającym tempie. Marcella nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy z istnienia takich wydatków jak pralnia, kosmetyki, środki do czyszczenia. Pierwsze rachunki za telefon i prąd pożarły oszczędności. Kiedy przechodziła obok restauracji, wycyganiała od ojca dziesięć dolarów, ale rodzice doszli do wniosku, że młodemu małżeństwu dobrze zrobi, jeśli nauczy się oszczędzać. W sobotni wieczór Marcella i Harry musieli spacerować ulicami Village, przyglądając się ludziom siedzącym w ulicznych kafejkach.

Harry zaglądał do szaf kuchennych, by zobaczyć, jakie zrobiła zakupy.

- Nie musisz kupować plastikowych worków na śmieci, Marce - powiedział. - Używaj reklamówek, które dostajesz w supermarketach. Zawsze kupuj te zwykłe. Są tańsze.

Marcella pokiwała poważnie głową. Lubiła, kiedy do niej mówił, chociaż odzywał się tylko wtedy, gdy sądził, że czegoś ją uczy.

Powoli upłynęło kilka tygodni małżeńskiego życia. Czy jej się zdawało, czy ciąża zaczynała być widoczna? Brzuch się zaokrąglił, ale mogło to być wynikiem lodów, które jadła z nudów popołudniami.

Seks ciągle jej nie zadowalał; Harry nie pozwalał, by zwracała mu uwagę na potrzeby swego ciała. Kiedy próbowała mu pokazać, czego potrzebuje, wpadał w złość, urażony w swej dumie.

- Zwolnij... przygotuj mnie na siebie - szepnęła pewnej nocy.



- Za bardzo mnie podniecasz, Marce!

- To tylko wymówka. Nic cię nie obchodzi! - krzyknęła. Kiedy potem zasnął, leżała wpatrując się we wzór rzucany na sufit przez latarnię uliczną i nie mogła się uspokoić. Co mogła zrobić? Jej matka na nic się nie zda; zaczęłyby bredzić

O małżeństwie jako ofierze. Przed tradycyjnym pokrażeniem się w sen, z uczuciem, że nie jest szczęśliwa, postanowiła spotkać się z ojcem Carmello.

Następnego dnia przygotowała się do wizyty. Zrobiła staranny makijaż, umalowała ciemne oczy, pokryła szminką pełne usta. Ostatecznie była mężatką i miała prawo ubierać się i malować jak dorosła kobieta.

Powitalny uśmiech zniknął z twarzy ojca Carmello, kiedy Marcella oznajmiła, że chce się wypowiedzieć.

- Coś jest nie w porządku, Marcello? - zapytał łagodnie w konfesjonale.

- On nie czyni żadnego wysiłku, ojciec - zaczęła. - Gdybym nie odzywała się do niego, kiedy wraca do domu, nie zamieniałby ze mną słowa.

- Czy w tym leży problem, Marcello? W braku rozmów? Spojrzała na jego znajomą twarz.

- Czy mogę porozmawiać z tobą o seksie, ojciec? - spytała z wahaniem.

- Nie jestem właściwą osobą, Marcello - mruknął. - Powinnaś zwrócić się do swego lekarza albo doradcy do spraw rodziny...

- Nie mogę wejść do gabinetu jakiegoś obcego człowieka

i oznajmić mu, że uprawianie seksu z moim mężem nie daje mi satysfakcji! - krzyknęła.

Ojciec Carmello potrząsnął głową.

- Daj sobie czas. Jesteś mężatką dopiero od kilku tygodni...

- Ale ja wiem! - przerwała mu Marcella. - Wiem, że nigdy nie będzie dobrze! On nawet nie próbuje...

- Marcello! - krzyknął. - Mąż ma swoje potrzeby i musisz...

- A co z moimi potrzebami, ojciec? Co mam z nimi zrobić?

- Czy próbowałaś na chwilę zapomnieć o własnych potrzebach? Być całkowicie wolna od egoizmu?

Zmarszczyła czoło.

- Masz na myśli poświęcenie się? Ale seks powinien być tą jedyną miłą stroną małżeństwa, a nie mam nawet tego!

- Wobec tego poniechaj swoich potrzeb, Marcello - poradził ojciec Carmello. - Dla Boga. Przekonasz się, że...

- Dla Boga? - krzyknęła.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wypadła z konfesjonału i wybiegła z kościoła. Szła targana gniewem; piersi zdawały się wyprężyć do przodu, ku lekkiemu wiatrowi, który wzbijał kurz i liście w małych tumanach na boisku i tarasach.

Sutki Marcelli ocierały się o bluzkę, tęskniąc za dotykiem mężczyzny. Za delikatnym dotykiem! Weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nigdy nie otrzyma od Harry'ego tego, czego pragnie! Po prostu nie było między nimi chemii! To nowość, niebezpieczeństwo, jej własna śmiałość były kiedyś podniecające, nie on!

Długo stała pod prysznicem, żeby się uspokoić. Potem usiadła za stołem, zastanawiając się nad radą ojca Carmello.

Przed oczami pojawiła jej się zadbana, opalona, okrągła głowa, jego wrażliwe palce głaszczące różaniec. Musi uważać, że jest zbyt święty na seks - pomyślała. Czy kiedykolwiek tęsknił za kobietą, tak jak ona za mężczyzną?

Machinalnie sięgnęła po papier i napisała opowiadanie o tym, co mogło się zdarzyć, gdyby spróbowała uwieść księdza. Pisała dla rozrywki i z chęci zemsty. Jeśli byłby prawdziwym mężczyzną, powiedziałby: „Może ja mógłbym cię zadowolić, Marcello!” Tak właśnie powiedział ksiądz w jej opowiadaniu. Nadała historii najbardziej pieprzny charakter, jak potrafiła, rozkoszując się wizją ojca Carmello, bezradnego w szponach zmysłowego pożądania.

Entuzjazm i siła bijące z opowiadania podkreślały wyrażony w nim brak szacunku. Ksiądz przylgnął ciałem do kratki konfesjonału. Marcella wykopała kratkę, wsunęła rękę i chwyciła jego gorącą męskość, sprawiając, że ksiądz krzyknął z zakazanej rozkoszy. Kiedy pisała, miała sucho w ustach, była tak podniecona, jakby wszystko działało się naprawdę. Po godzinie pisania ojciec Carmello i ona spróbo-

wali wszelkich odmian seksualnych pozycji, jakie tylko potrafiła wymyślić. Kiedy wreszcie przyłączył się do niej po jej stronie konfesjonału, wziął ją na stojąco, „a jej kolana drżały, kiedy osiągnęła orgazm, i kolejny, i jeszcze jeden, gdy zaciskała palce za plecami i czuła gorący strumień płynący jej po nogach”.

Zapisując ostatni pulsujący orgazm, Marcella wsunęła lewą dłoń pod wilgotne majtki.

Kiedy napisała „Koniec”, było późne popołudnie. Zostały jej dwie godziny na przygotowanie obiadu. Powlokła się do sypialni, by zdrzemnąć się chwilę. Emocje ją wyczerpały. Była zmęczona dokonaniem nieświadomie odkryciem nowej kariery.

Obudziło ją uderzenie w twarz wymierzone dużą dłonią Harry'ego. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani czym zasłużyła na takie traktowanie. Potem ból dotarł do niej i rozbudziła się zupełnie. Policzek wymierzony przez Harry'ego, rozciął jej wargę o zęby. Usta Marcelli wypełnił słony smak krwi. Potem Harry pchnął ją na podłogę.

Wymachiwał pokrytymi ręcznym pismem kartkami żółtego bloku.

- Ja haruję jak wół, a ty siedzisz tu i podniecasz się tym? Przeturlała się byle dalej od jego stóp. Otworzyła szeroko oczy; w głowie dzwoniło jej od uderzeń. Spojrzała na zegar - spała twardo przez bite dwie godziny!

- Nie miałaś prawa tego czytać! - krzyknęła. Wiedziała, że kontratak to jedyny sposób obrony. - To jest moje!

- Leżało na środku stołu w kuchni! - wrzeszczał. - Nosisz moje dziecko, więc mam prawo czytać wszystko, co piszesz. Czy to się wydarzyło? Czy to twój dziennik, czy co? Chcesz powiedzieć, że ojciec Carmello, ksiądz, który dał nam ślub...

- Oczywiście, że to nieprawda! - krzyknęła. Harry pokręcił głową i usiadł na łóżku.

- W jakiś sposób to jeszcze gorzej... - Spojrzał na Mar-cellę. - Skąd ty to wszystko bierzesz? Czy aż tyle myślisz o seksie?

- Zdaje się, że i ty znajdujesz w nim niemałą przyjemność - odparła.

Zastanawiała się, czy nie pójść do rodziców i nie pokazać rozciętej wargi. Ale gdyby to zrobiła, musiałaby im wyjaśnić, dlaczego Harry ją uderzył, a matka pewnie przyznałaby mu rację i zaczęłaby mówić, jak ona trzymałaby córkę w ryzach. Najpierw mydła ci usta, a potem twój mąż cię policzkuje

- myślała Marcella z goryczą. Poczowała narastającą wściekłość. Wstała z podłogi i wytarła usta chusteczką.

- Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, Harry, zabiję cię! - ostrzegła. - Zostanę pisarką! Potrafię pisać historie, które miliony kobiet zechcą czytać. Wiem, że potrafię! Nie zdołasz mnie powstrzymać!

Minęła go biegiem i zamknęła się w łazience, zdumiona złożoną obietnicą. Czy tak zaczyna się kariera pisarska?

Słowa Marcelli brzmiały znacznie pewniej, niż się czuła: nie miała pojęcia, jak się zabrać za zostanie pisarką.

Oplukała twarz. Kiedy w końcu wyszła, widziała, iż Harry wstydzi się trochę, że stracił panowanie nad sobą. Ukryła blok. Tej nocy kochali się lepiej niż kiedykolwiek, ale Marcella czuła wstyd przed sobą za to, że odpowiada na jego pieśzczy. Potem leżała obok męża, gromadząc w myślach wątki do nowych opowiadań.

Czy naprawdę mogłabym zostać pisarką, panno Woolfe?

- spytała Marcella. - Czy naprawdę mogę usiąść i pisać? Ale o czym?

Na chodniku przed kawiarnią Figaro piła kawę capuccino z byłą nauczycielką. Zadzwoiła do panny Woolfe pod wpływem impulsu, pragnąc porozmawiać o pisaniu.

- Napisz o trzech dziewczynach, takich jak ty - podsunęła panna Woolfe. - Każda stara się, by jej małżeństwo funkcjonowało. Jedna mogłaby podjąć pracę, druga sięgnąć po alkohol czy narkotyki, a jedna mogłaby zdradzać męża z kochankiem. Mogłabyś zawrzeć w tej historii bardzo przenikliwe spostrzeżenia na temat życia współczesnej kobiety...

- Pani zawsze mnie inspirowała! - Marcella ścisnęła dłoń nauczycielki.

Szła pogrążona w myślach zakurzonymi ulicami między Village a Littly Italy.

Bycie pisarką dawało jej nową moc. Każdego dnia przez kilka godzin czuła się ważna, kontrolując życie swych postaci, przyznając szczęście kilku zasługującym na to bohaterkom. Wykorzystała postać ojca Carmello w opowiadaniu o wojnie między księdzem a młodą, nieszczęśliwą w małżeństwie kobietą z jego parafii. Sporządziła kilka kopii opowiadania, po czym poszła do biblioteki, by sprawdzić adresy pięciu czasopism publikujących „krótkie formy literackie”. Po pracowitym zaadresowaniu pięciu kopert do pięciu redaktorów i dołączeniu do każdego opowiadania notatki o sobie, Marcellę ogarnęła fala optymizmu i ożywienia: któryś z nich na pewno zechce opublikować opowiadanie, prawda? Przez następne dwa tygodnie wyobrażała sobie, jak redaktorzy z wypiekami na twarzy czytają jej opowiadanie, jak inne czasopisma dzwonią do niej mówiąc, że muszą wydrukować *Spowiedź* Marcelli Balducci Winton.

Ale pewnego ranka otworzyła skrzynkę na listy i znalazła tam wepchnięte do niej jej trzy duże, brązowe koperty. Dwa opowiadania odesłano nie przeczytane, ponieważ nie zostały napisane na maszynie. Do trzeciego dołączono wydrukowaną informację, że nie o takie rzeczy chodzi czasopismu. Marcella położyła się na łóżku i zapłakała, a potem przypomniała sobie, że zostały jeszcze dwie redakcje. Listy od nich nadeszły po kilku dniach z niemal identycznymi notatkami. To tyle, jeśli chodzi o jej karierę pisarską. Już nigdy nie napisze opowiadania!

Kiedy rodzice Harry'ego zapowiedzieli się na obiad na następny weekend, Harry stał się nagle drobiazgowym perfekcjonistą i chciał, by wszystko zostało przygotowane jak należy. Nie odstępował Marcelli na krok.

- Co powiesz na wołowinę z konserwy albo coś równie pożywnego? - zapytał, kiedy przyrządzała makaron.

Marcella westchnęła, strzepując mąkę z twarzy.

- Pomyślałam, że lepiej zrobię to, co potrafię.

Obiad przeszedł nudno choć gładko. Matka Harry'ego

była niezdecydowaną, zblakłą kobietą, która zawsze zerknęła, czy mąż się z nią zgadza. Już wcześniej zdecydowała, że ona i Marcella powinny rozmawiać na takie tematy jak gotowanie i prowadzenie domu. Ojciec Harry'ego, swarliwy były gliniarz, uwielbiał krytykować sposób, w jaki zarządzano Nowym Jorkiem i napomykać o sekretach członków lokalnych władz. Przekroczył sześćdziesiątkę, więc w tym roku przeszedł na wczesną emeryturę, przez co czuł się znudzony i nieważny. Po obiedzie Harry i ojciec oglądali telewizję, a kobiety zmywały naczynia.

- Co robisz przez cały dzień, kiedy Harry jest w szkole?

- spytała pani Winton. - Czy nie doskwiera ci samotność? Marcella zastanowiła się nad odpowiedzią. Nagle nie mogła znieść myśli, że może stać się tak nudną kobietą jak matka Harry'ego.

- Jestem pisarką! — Usłyszała własne słowa. - Piszę opowiadania!

- Naprawdę? - Teściowa spojrzała na nią zdziwiona.

- Nie wiedziałam! Czy je wydrukują? Marcella spojrzała jej prosto w oczy.

- Wyślę je do wszystkich czasopism w Ameryce, aż w końcu komuś się spodobają! Ale nie mów Harry'emu...chcę mu zrobić niespodziankę!

- Oczywiście! Jakie to ekscytujące!

Pani Winton odwróciła się z uśmiechem do mydlin. Marcella w zamyśleniu wycierała naczynia. Czowała się lepiej.

Była kimś innym niż wyłącznie żoną Harry'ego, która czeka, aż mąż wróci do domu. Posiadała własną tożsamość.

Była pisarką!

Od koleżanki matki pożyczyła maszynę i napisała opowiadanie o kobiecie w ciąży oraz jej marzeniach dotyczących przyszłego dziecka. Rozesłała schludnie przepisany tekst do połowy tuzina czasopism. Mówiła sobie, że tym razem nie może zbyt wiele oczekiwać. Zawodowa pisarka musi wysyłać dziesiątki opowiadań. Nawet odmowy przybliżają ją powoli do celu.

Jedynym pragnieniem, jakie potrafiła sobie uświadomić, było dawne seksualne pożądanie, które nagle wróciło z mści-

wą siłą. Od nocy po bójce seks z Harrym znowu stał się pospieszną rutyną. W połowie września nadeszła fala upałów i pewnego popołudnia Marcella schroniła się pośród chłodni największej hali targowej, cztery przecznice za miastem, na skraju Littly Italy. Nowy Jork to tygiel narodowościowy. Wiele włoskich gospodyń robi zakupy spożywcze u zaprzyjaźnionych Portorykańczyków. Marcella spacerowała po dziale mrożonek i z roztargnieniem przyglądała się mięsu. Kupno całego kurczaka wypadło taniej, ale wiązało się z dodatkowym nagraniem kuchni przez piec. Podniosła wzrok i zauważyła, że przygląda się jej śniady sprzedawca, oparty cierpliwie o drzwi. Najwyraźniej czekał, aż Marcella poczuje jego wzrok. Kiedy ich oczy się spotkały, jego twarz rozjaśniła się w figlarnym uśmiechu. Miał skórę koloru kawy, starannie przystrzyżone wąsy i równe, białe zęby. Błysnął oczami o ciemnych rzęsach. Do fartucha przypiął tabliczkę z napisem „Cześć! Nazywam się Angelo! Jestem tu, żeby ci pomóc!”

Uśmiechnęła się i ruszyła dalej, nie zwracając uwagi na to, że żołądek podskoczył jej do gardła. Czy to dziecko, czy może pożądanie?

Sprzedawca stanął za nią i układał w zamrażarce opakowane w plastik paczki.

- Zastanawiała się pani nad kurczakiem? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wyciągając do niej opakowanie kurzych piersi. - Bardzo lubię piersi...

Marcella popatrzyła na jego szeroki uśmiech ze wzruszeniem ramion.

- Mamy więcej w chłodni...

Ruchem głowy wskazał na pomieszczenie za zamrażarką. Marcella skrzywiła się.

- Nawet nie wiem, czy chcę dziś piec kurczaka. Jest taki upał...

- Tak. - Mrugnął do niej. - Mnie też jest gorąco. Bardzo gorąco!

Wymownym gestem wsunął rękę do kieszeni, a Marcella poczuła dreszcz pożądania.

- Chce pani wejść do chłodni? - spytał. - Trochę się

ochłodzić? - Nachylił głowę i dodał: - Nikogo tam nie ma. Tylko ty i ja...

Marcellę ogarnęło podniecenie, szaleństwo. Zerknęła na kupujących, a potem przeniosła wzrok na jego podwinięte rękawy, ukazujące opalone ramiona i dobrze utrzymane, czyste dłonie.

- Chodź.

Lekko trącił ją palcem w ramię.

- Nie mogę - odparła cicho, prawie błagalnie. Nachylił głowę, a Marcella poczuła zapach wody kolońskiej.

- Chodź, piękna - szepnął. - Przeżyjemy kilka minut raju!

Przeszedł za zamrażarkę, bacznie lustrując wzrokiem sklep, potem stanął w drzwiach magazynu, kiwając głową zachęcająco. Marcella ruszyła za nim jak w transie, jak gdyby była kimś innym.

- Tylko żeby się trochę ochłodzić - mruknęła, mijając go. W środku panował mrok i zbawienny chłód. Sprzedawca zręcznie zamknął drzwi.

- Jestem odpowiedzialny za ten dział! - Ogarnął swe królestwo dumnym ruchem ręki. - Nikt poza mną tutaj nie wchodzi!

Z sufitu zwisały połówki świń, ale Marcella prawie nie podnosiła wzroku. Patrzyła, jak sprzedawca rozwiązuje nieskazitelnie biały fartuch. Momentalnie znalazła się w jego ramionach. Gładkie wargi okryły pocałunkami całą twarz Marcelli, zanim spoczęły na jej ustach. O Boże, tego właśnie pragnęła od Harry'ego, tego dotyku, tego uścisku!

Oddech sprzedawcy pachniał cukierkami miętowymi, a jego język wsunął się delikatnie do jej ust. Taki gładki, taki gładki. Sprawiał, że pragnęła więcej! Mężczyzna rozpiął jej bluzkę i pochylił głowę. Najpierw tylko grzał gorącym oddechem sutki. Kiedy zaczęła drżeć z niecierpliwości, zdjął jej stanik. Patrzył na brodawki, wyprężone i twarde w zimnym pomieszczeniu, wrażliwe jak zawsze. Potem, ruchem lekkim jak piórko, przesunął po nich językiem, wznecając w Marcelli małe wiry pożądania.



- Mocniej! - szepnęła oszołomiona. Musiałam zwariować - pomyślała.

Wziął brodawkę w zęby i ugryzł delikatnie. Marcella poczuła, że topi się w środku. W kroku była rozgrzana i wilgotna, tęskniła za jego dotykiem. Dłoń sprzedawcy wsunęła się delikatnie pod sukienkę, a kiedy wreszcie dotarła między nogi, jak się Marcella spodziewała, był to zupełnie inny dotyk niż Harry'ego. Naładowany zmysłowością. Mogła umrzeć od kontaktu z każdym opuszką palca. Skąd wiedział, w jaki sposób najbardziej spotęgować jej pożądanie? Ściągnął jej majtki i przesunął dłonią po wargach sromu, ledwo ich dotykając, a Marcella przyłgnęła do niego. Wsunął delikatnie palec, -nie przestając ssać piersi. O Boże, a więc to wszystko prawda! Wszystkie podejrzenia, jakie miewała w stosunku do samej siebie i mężczyzn. Ich pragnienia naprawdę wywoływały jej namiętność! Teraz nie potrafiła się już powstrzymać.

Ppęzuła twardy kształt jego męskości.

- Chcesz? - szepnął.

Marcella skinęła głową, niezdolna do wykrztuszenia choćby słowa. Rozpiął dzinsy i spuścił je razem z białymi slipami. Chrząknął ochryple, przyłgnął do Marcelli, szepcząc po hiszpańsku. Oparłszy ją o ścianę, wepchnął się między jej uda. Nie odrywała warg od jego ust. Zagłębiające się, posuwiste ruchy jego języka sugerowały istnienie całej nieznannej sztuki całowania. Wygięła się ostrożnie, opierając się o zimną ścianę, żeby przyjąć go pod właściwym kątem. Bez tchu czekała, aż wejdzie, nakierowywała go, czuła, jak jej mięśnie dygocą i witają go, jakby dostarczał jej ogniwa, klucza do życia, do rozkoszy. Ugiął kolana, żeby zrównać się z nią wzrostem. Prostując się powoli, wszedł w nią delikatnie na całą głębokość. Drżąc, wydała długie westchnienie. Jej rozkosz już się miała rozpocząć. Tak szybko, tak szybko, a pragnęła, żeby to trwało wiecznie!

Spojrzała mu w twarz

i zobaczyła, że i jego rozkosz zaraz się rozpocznie! W chwilę później osiągnęli ją jednocześnie jak wytrawni kochankowie; ich pełne zdumienia sapnięcia wypełniły chłodnię, nogi drżały, a Marcella przywarła mocno do ściany, żeby nie

upaść. Rozkosz obmywała ją jak fale i stali tak zupełnie nieruchomo, wtuleni w siebie. Odpoczywała, smakując ostatnie cenne chwile, a on masował tył jej głowy i kark, sprawiając, że niemal pogrążyła się w swobodny, szczęśliwy sen.

Westchnął i mrugając do niej, oderwał się od Marcelli. Wygładziła ubranie, a on założył fartuch, przesuważąc z uśmiechem palcami po prostych czarnych włosach. Z wysiłkiem odsunęła stalową sztabę z drzwi.

- Nigdy przedtem tego nie robiłam - wyznała cicho.

Chwycił jej dłoń i uniósł do ust, patrząc na Marcellę ciemnymi, wrażliwymi oczami. Powoli, rozważnie ucałował każdy opuszek jej palców. Dręczyła ją tylko jedna myśl: dlaczego Harry nigdy tego ze mną nie robi? Mogłaby się zakochać w człowieku, który to robił.

Wyszła szybko, nie odwracając się? Wracała do domu na miękkich nogach, w znakomitym nastroju. Była zmysłową kobietą, która uwielbiała seks i potrafiła zadowalać mężczyzn. Czowała gniew na Harry'ego. Jak to możliwe, że pakowacz mięsa w supermarkecie potrafił dać rozkosz, a potem całował opuszki jej palców? Dlaczego Harry'emu zdawało się, że może się po prostu odwrócić i zasnąć?

Pełna urazy przygotowała obiad, tuląc sekret dnia, czując wciąż jego blask. Przed powrotem Harry'ego wzięła prysznic, by zmyć z ciała zapach Angela.

Obudziła się w środku nocy z krzykiem, czując w brzuchu kłujący, paralizujący ból, jakby wkręcał się w nią olbrzymi korkociąg. Krzyk obudził Harry'ego. Kiedy odsłonił kołdrę, żeby spojrzeć na nią zwiniętą z bólu, ujrzała przesiąknięte krwią prześcieradło i zemdląca.

W szpitalu pracowali szybko i sprawnie nad jej nieprzytomnym ciałem. Później pielęgniarka powiedziała Marcelli, że Harry wybuchnął płaczem, kiedy oznajmiono mu, że dziecko nie żyje.

W końcu odzyskała przytomność i otworzyła oczy. Leżała w łóżku. Nie we własnym, w łóżku szpitalnym. Harry siedział obok z zamkniętymi oczami, z dłońmi zaciśniętymi

na kolanie. Widziała jego twarz jak przez mgłę. To skutek działania leków.

Zmusiła się, by wymówić jego imię.

- Harry?

Podskoczył i nachylił się nad nią.

- Nic ci nie jest? Jak się czujesz, Marce?

- Niezbyt świetnie - odparła ze smutną miną.

- Tak się niepokoiłem - powiedział, gestykując. - Straciłaś dużo krwi.

- Naprawdę się martwiłeś? - szepnęła. Miała wrażenie, jakby paraliż objął jej całe ciało. - Co mi się stało?

- Poroniłaś. Straciliśmy dziecko, Marce. Wyciągnęła do niego ręce, a Harry wtulił twarz w jej szyję. Marcella płakała cicho.

- Tak mi przykro, tiarry - jęknęła. Wyprostował się, patrząc na żonę.

- To nie była twoja wina - powiedział.

Słowa Harry'ego dźgnęły jak szpilety, przypominając Marce o rzeczach, o których nie chciała pamiętać. Nie jej wina? Jak mogła w to uwierzyć?

- Czy mógłbyś mi podać wody? - poprosiła. - Mam sucho w ustach!

Pomógł jej usiąść na łóżku i napić się. Opróżniła szklanekę i westchnęła ciężko.

- Lepiej nie pij więcej, dopóki nie przyjdzie pielęgniarka... - Odebrał jej szklanekę.

- Dzięki - odparła.

Widziała w oczach Harry'ego nowy wyraz. Może trzeba było takiej tragedii, żeby wyzwolić jego uczucia?

- Poprosiłem ojca Carmello o odprawienie nabożeństwa za dziecko - powiedział. - Ma się odbyć za cztery dni.

Myśl, że wydobrzejesz na tyle, żeby przyjść?

Oparła się na poduszce.

- Nie wiem, czy jestem w stanie przez to przejść. Od kiedy wierzysz w takie rzeczy?

- Chciałem coś zrobić - odparł. - Tak mnie wychowano.

Próbowała powstrzymać gonitwę myśli. Co teraz będzie?

Pobrali się z powodu dziecka. Czy to znaczy, że teraz jest wolna? Czy Harry chciał, by pozostali małżeństwem?

- Weź mnie za rękę, Harry - szepnęła.

W tej chwili potrzebowała wszelkiej pociechy, na jaką mogła liczyć. Sięgnął po jej dłoń, a ona ścisnęła go mocno.

- Przytul mnie! - poprosiła błagalnie.

Pochylił się i objął ją ramionami. Przyłgnęła do niego. Nigdy nie przypuszczała, że mogłaby się czuć tak źle.

Musiała czekać na to dziecko bardziej, niż się przed sobą przyznawała.

Kiedy rodzice przyszli ją odwiedzić, Ida nachyliła się Marcelli do ucha i szepnęła:

- Musimy być mocniejsze!

Marcella wiedziała, że matka ma na myśli kobiety. Ida spojrzała z politowaniem na Aldo, który ocierał łzy z oczu.

- Och, tato, nic mi nie będzie! - zapewniła Marcella.

Chrząknął z zakłopotaniem. Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że jego współczucie i miłość do córki nie mają granic.

Infekcja kazała Marcelli pozostać w szpitalu dodatkowe pięć dni. Opuściła więc nabożeństwo zorganizowane przez Wintonów.

Po wyjściu ze szpitala zaszyła się w domu i nie wychodziła przez wiele dni. Gdy chowała rzeczy, które zdążyła zgromadzić dla dziecka, czuła się jak morderczyni. Próbowła wyprzeć z pamięci scenę w supermarkecie. Ciężarne kobiety mogą uprawiać miłość - przekonywała się. Angelo nie zachowywał się brutalnie. Lecz to nie mogło być przypadkiem, że poroniła w tym samym dniu, kiedy zaznała takiej rozkoszy.

Podczas pierwszych odwiedzin u matki Marcella powstrzymywała łzy. Pragnęła przytulić się do Idy i płakać, ale Ida nigdy nie była tego rodzaju matką.

- Jesteś przygnębiona, to zupełnie naturalne - trąkotała, prowadząc Marcellę do kuchni. - Nigdy nie widziałam tak smutnego człowieka jak Harry w kościele. Czuje taką ulgę, że już wyzdrowiałaś.

- Ale on mnie nie dotknął, odkąd wróciłam! - krzyknęła Marcella. - Zachowuje się w ten sposób, jakbym to ja była winna temu, że straciłam dziecko!

- Oczywiście, że to nie twoja wina - powiedziała Ida, zapalając gaz. - A co? - zerknęła na córkę. - Chyba nie zrobiłaś nic, żeby się pozbyć dziecka?

- Och, mammo... - westchnęła, kręcąc głową. - Za kogo ty mnie masz?

Ida nalała im kawy.

- Lekarz mówił, że wszystko jest w porządku. Za kilka miesięcy spróbujesz znowu i urodzisz pięknego, zdrowego bobasa. Zapomnisz, że kiedykolwiek tak się czułaś!

Przez kilka minut piły gorącą kawę w milczeniu.

- Mammo? - Marcella odstawiała filiżankę na spodek. -Może to był znak, że nasze małżeństwo się nie uda? Pobraliśmy się tylko z powodu dziecka...

- Ach tak? I przypuszczam, że teraz myślisz, że możesz się rozwieść? - krzyknęła Ida. - W oczach Boga jesteś kobietą zamężną. Jak ci się zdaje, co by powiedzieli ludzie?

- Ja go nigdy nie pokocham, mammo - wyznała Marcella.

- Miłość? - Ida zaśmiała się z miną mówiącą jasno, co myślała na temat miłości.

Harry wstąpił do college'u i nadal uczęszczał na dodatkowe wieczorowe kursy księgowości. Czasami nie wracał do domu przed dziesiątą. Marcella pisała opowiadanie za opowiadaniem; o stracie dziecka, o małżeństwie, o matkach, o mężu obarczającym żonę winą za poronienie. Miała już całe listy czasopism, które jakoby publikowały beletrystykę, chociaż jak dotąd żadne nie zgodziło się wydrukować jej opowiadania, nawet za darmo. Zaczęła uważać odrzucone rękopisy za mierne, ale ilekroć wysyłała nowy tekst, czuła podniecenie. To może być to! - myślała.

Od pobytu w szpitalu Harry nie dotknął jej czule ani nie odezwał się miłym słowem, a w nocy uparcie trzymał się swojej połowy łóżka. Zbliżało się Boże Narodzenie, choinki i ozdoby zdawały się drwić z faktu, że Marcelli nie udało się stworzyć rodziny. Napięcie rosło w niej, aż pewnego wieczora-

ru, kiedy siedzieli przy kolacji, pytanie sformułowało się samo.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy pozostali małżeństwem? Podniósł wzrok pełen winy, jakby czytała mu w myślach.

- A ty?

- Ja pierwsza spytałam - odparła, kręcąc głową. Odłożył gazetę z głębokim westchnieniem.

- Dlaczego teraz o to pytasz? Upiła łyk wina.

- Ponieważ nie powiedziałeś mi ani jednej miłej rzeczy od... - Urwała, lecz wytrzymała jego spojrzenie. -

Zachowujesz się tak, jakby to była moja wina - zaczęła znowu. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak się czuje kobieta, która traci dziecko?

Przełknął ślinę, wpatrując się w talerz.

- Sądzę, że źle.

- Gorzej niż źle. Czujesz, jakby całe twoje ciało... Zaczęła płakać.

Odsunął krzesło od stołu i stanął za Marcellą. Nieśmiało dotknął jej ramienia. Odwróciła się do niego, a on ją objął.

Boże, jak silne były jej potrzeby! Jak rozpaczliwie potrzebowała ciepła! Nienawidziła się za to, że przywarła do Harry'ego, a łkanie wyrwało się z głębokiego zakątka, dokąd je wygnała. Harry tulił ją, zmieszany tym wybuchem uczuć.

Tej nocy przysunęła się do niego, myśląc, ile w tym ironii, że znowu go uwodzi. I po co? Dla dziecka, ponieważ bez niego jej życie było puste. Może gdyby publikowano jej opowiadania i płacono za nie, nie czułaby w sobie takiej pustki. Mając dziecko, mogłaby skierować na nie swą miłość, miałaby kogoś, kto by ją doceniał. Dotknęła dłoni Harry'ego.

- Nie możesz spać? - spytał. Odwrócił się do niej, a Marcella poczuła jego wyprężony członek. Dotknęła go. - Sądziłem, że długo nie będziesz mnie chciała po... - powiedział ochryple.

Położyła mu palec na ustach.

- Po prostu bądź delikatniejszy i bardziej kochający, Harry - poprosiła. - Jeszcze możemy mieć dziecko. Jeszcze możemy...

- Och, Marce!

Położył się na niej; od jego ciężaru zabrakło jej tchu. To nie to samo, jeśli trzeba przypominać mężczyźnie, żeby postępował delikatniej, z większą miłością.

- Delikatnie - przypomniała mu, kiedy gmerał przy jej koszuli nocnej. - Bardzo, bardzo delikatnie... - szepnęła, kiedy pieścił ją, a jej ciało zaczęło reagować.

Czyżby była tak wygłodzona, że z radością przyjmowała teraz nawet jego niezdarne pieszczoty? Czyżby jej matka miała rację, gdy mówiła o dziecku i ofierze? Czy rzeczywiście w ten sposób ludzkość utrzymywała się przy życiu? Poprzez ciągłą ofiarę? Niewątpliwie coś w niej przeczyło teraz rozumowi i pchało Marcellę do poczęcia, do wydania na świat dziecka.

Zawarła pakt z Bogiem. Jeśli pozwoli jej począć znowu, będzie wierną żoną. Zdusi w sobie seksualne tęsknoty, które niosły ze sobą same problemy. Przyrzekła unikać wzroku mężczyzn na ulicy, spojrzeń, które jednocześnie podniecały ją i napawały lękiem, budziły w niej coś dzikiego.

Kiedy myślała o tym mężczyźnie z supermarketu, o Angelo, było to tylko wspomnienie, dzięki któremu osiągała orgazm z Harrym. Wspomnienie delikatności, z jaką dotykał jej sutek, cudownej rozkoszy, którą jej dał, pozwalała Mar-celli osiągać szczyt pomimo techniki Harry'ego. Nakładała wspomnienie na faktyczne doświadczenia i czasem niemal wierzyła, że leży w brązowych ramionach Angelo.

Nowy rok otworzył nowe dziesięciolecie: lata siedemdziesiąte. W styczniu ponownie zaszła w ciążę. Dziecko musi wynagrodzić wszystko, czego brakowało w jej życiu. Wiedziała, że to musi być chłopiec. Jeszcze nosząc go w łonie, kochała go miłością zbyt wielką dla każdego dziecka. Wyobrażała sobie syna, którego urodzi, chłopca, którego pokocha, dziecko, które znowu wniesie do jej życia radość i światło. Jeszcze zanim urodziła, nazwała syna światłem swego życia.

*Wrzesień 1970*

Marcella trzymała w ramionach nowo narodzonego syna. Nigdy w życiu nie doznała równie silnych emocji. Patrzyła w jego maleńką twarz, na oczy zamknięte przed natłokiem nowych obrazów. Złożyła już pierwszą ofiarę: jej nieskazitelne ciało zostało rozdarte cesarskim cięciem. Lecz ważniejsze, że jego ciało było pełne i zdrowe. Przytuliła ciężką maleńką głowę, czując przypływ radości, grożącej Marcelli zatonięciem w powodzi łez. Jeszcze podczas ciąży czuła, że dziecko jest wyjątkowe; poród stanowił tylko pierwsze z szeregu wydarzeń, które je jej odbiorą. Nadała mu imię Mark, ponieważ składało się z pierwszych trzech liter jej imienia: był jej częścią.

Harry przyniósł róże i złotą bransoletkę, absurdalnie dumny z faktu, że ma syna. Kiedy odwiedzili ją teściowie, podziwiali wnuka i odnosili się cieplej do Marcelli, jakby dowiodła swej wartości. Częścią serca gardziła dumnym uśmiechem Harry'ego: czuła, że jest szczęśliwy ze wszystkich typowo męskich powodów, jakby syn stanowił dowód jego męskości. Kiedy brał Marka w ramiona, powstrzymywała się od wyciągnięcia rąk, by uchronić syna przed upadkiem.

Przebywała w szpitalu przez cztery dni, odwiedzana przez rodzinę i koleżanki ze szkoły. Dziecko wywarło na dziewczętach wielkie wrażenie; patrzyły na Marcellę z lęklwym podziwem, dzięki czemu czuła się od nich starsza i dziwnie



im obca. Myśl o opowiadaniu przyjaciółkom pieprzonych historyjek wydawała jej się teraz śmieszna. Dopiero po kilku miesiącach ciało Marcelli wróciło do normy; jej życie oraz nawyki związane ze snem uległy zmianie. Realizacja postanowienia, że będzie karmić Marka piersią, czasem ją męczyła. Kiedy znowu zaczęła się kochać z Harrym, na drodze Marcelli do rozkoszy pojawiła się nowa przeszkoda; tak pilnie nasłuchiwała wszelkich odgłosów śpiącego dziecka, że nie mogła poświęcić się seksowi. Harry musiałby być niezwykle zdolnym, doświadczonym kochankiem, by wciągnąć Marcellę w tę falę rozkoszy, ale on jak zwykle się śpieszył, jakby chciał nadrobić stracone miesiące. Nie pozwalał, by żona kierowała go ku subtelnościom swego ciała i jego reakjom. Zamiast błagać go, by zwolnił, stwierdziła, że woli teraz, żeby Harry jak najszybciej osiągnął orgazm. Teraz niezwykle krótko uprawiali miłość, a kiedy Harry zasypiał, Marcella zastanawiała się, ile żon dzieli podobny los i pozwala, by małżeństwo rozpadało się stopniowo, poczynając od łóżka. Pocieszała się myślą, że miała syna i wyłącznie on się liczył. Wszelką radość, jaka mogła jej się przydarzyć, mógł wnieść tylko Mark. Kiedy tylko Harry wychodził rano na zajęcia, włączała na cały regulator radio nastawione na odbiór programu stacji nadającej muzykę klasyczną. Miała nadzieję, że dźwięki zapadną w podświadomość Marka i wznicią w nim umiłowanie muzyki. Pragnęła, by wyrósł na inteligentnego mężczyznę kochającego sztukę. Mark miał dziewięć miesięcy, kiedy poszła na uroczystość zakończenia roku szkolnego przez jej dawne koleżanki. Betonowe boisko ozdobiono w jasny, czerwcowy dzień chorągiewkami. Ubrała syna w białe spodenki i koszulę oraz czapkę baseballową tego samego koloru. Podczas przemówień i wręczania nagród Ida trzymała Marka na kolanach. Marcella miała na sobie dżersejową sukienkę koloru burgunda, trochę za ciepłą i przylegającą zbyt ściśle do jej nowych, bardziej krągłych kształtów. Po przemówieniach przyjaciele i rodziny absolwentów

tloczyli się na dziedzińcu, pozując do zdjęć i podpisując sobie nawzajem pamiątkowe albumy. Marcella trzymała Marka na rękach i nagle zderzyła się ze znajomą postacią.

- Marcello!

To była panna Woolfe.

Marcella pocałowała dawną nauczycielkę.

- Przepraszam, że się nie odzywałam. Oto powód! -Wskazała na Marka. - Mark, przywitaj się z panną Woolfe!

Panna Woolfe posłusznie ujęła chłopca pod podbródek.

- Jest uroczy. Co z twoim pisanem? Marcella jęknęła, sadzając Marka wygodniej.

- Wszystko, czym mogę się poszczycić, to kolekcja odmownych notatek. Och, panno Woolfe, to takie przygnębiające.

- Ile odmów? - spytała nauczycielka.

- Nie wiem. Dwadzieścia, trzydzieści... Nie ma pani pojęcia, jakie to uczucie!

- Obawiam się, że mam - odparła panna Woolfe. - Nie jesteś jedyną pisarką, której utwory odrzucają!

- Pani też? - spytała Marcella, otwierając szeroko oczy. Panna Woolfe pokiwała głową.

- Dziś muszę mieć ich już ze trzysta. Kiedy mi odmawiają, wykorzystuję to jako motywację by dawać z siebie wszystko! Żeby pisać tak dobrze, by nie mogli mnie nie zauważyć!

Nagle podeszła Ida wzięła Marka, by pokazać go innej babci. Marcella dotknęła ręki panny Woolfe, dając jej znak, żeby oddaliły się nieco od tłumu.

- Odmawiają mi nawet czasopisma, które nie płacą! - poskarżyła się nauczycielce. - Nie mogę rozdawać swoich opowiadań!

- Posłuchaj, Marcello. Masz oko i ucho pisarki. Twoje uczucia znajdują wyraz i masz coś do powiedzenia. To właśnie tworzy pisarkę! Trzymaj się tego. W końcu coś ci opublikują. Wiem o tym!

Marcella spojrzała na nauczycielkę. Już dawno nikt nie mówił do niej tak, jakby była zdolna osiągnąć więcej, niż urodzić ładne dziecko. Powstrzymała łzy.

- Nie wie pani, jak ważne są dla mnie pani słowa otuchy... - powiedziała, ściskając pannę Woolfe za rękę.  
- Czy czytasz dobre książki, Marcello?  
- Sądzę, że nazwałaby je pani śmieciami! - Zaśmiała się Marcella. - Panno Woolfe, niech mi pani powie, co czytać. Mogłabym się przynajmniej kształcić.

Panna Woolfe poszperała w plecionej torbie przewieszzonej przez ramię i rzuciła Marcelli odbitkę.'

- Lista lektur na przyszły rok! - powiedziała. - Czytaj po jednej z tych książek co tydzień, a za kilka lat będziesz mogła się nazwać osobą nieźle czytana.

Mark zaczął płakać i Marcella instynktownie odwróciła głowę. Panna Woolfe poklepała ją w ramię.

- Idź go poszukać! Widzę, że jest dla ciebie wszystkim, ale nie zapomnij o pisaniu!

Marcella spontanicznie nachyliła się, pocałowała starszą kobietę w policzek, po czym pobiegła odszukać syna. Zbliżały się pierwsze urodziny Marka. Jego oczy wciąż zachowywały ten intensywny niebieski kolor, a gęste czarne włosy zdradzały włoskie dziedzictwo, przepysznie okalając oczy, nadając chłopcu pytający, dorosły wyraz twarzy. Marcella odrywała się od niego na dwie godziny w ciągu dnia, gdy zostawiała syna pod opieką rozpieszczającej go babci Idy, a sama szła na zakupy. Nigdy nie kupowała w supermarkecie, gdzie Angelo się z nią kochał. Unikała myślenia

o seksie i mężczyznach. Zastanawiając się nad swym życiem

i przyszłością, stwierdzała, że nie ma znaczenia, czy jest gruba czy chuda, piękna czy nieatrakcyjna. Była to wina Harry'ego. Nigdy nie rozmawiał z nią o ich małżeństwie czy wzajemnych relacjach, więc czuła się niekochana. On także tył, zmieniał się w ociężałego mężczyznę, który zachowywał się jak niekochany mąż. Czy mogła czekać pięć, dziesięć, piętnaście lat, aż jej syn dorośnie, zacznie z nią rozmawiać, zrozumie ją? Hojnie obdarzała Marka swą uwagą, czytała mu, puszczała muzykę, tuliła.

- Nie uduś małego, Marce - zrzędził Harry. - Chyba nie chcesz z niego zrobić maminsynka?

Marcella wręczała Marka mężowi. Lepszy maminsynek niż nieczuły cham - myślała.

Kiedy jesienią 1971 roku Harry otrzymał dyplom księgowego jego ojciec zwrócił się do owego biznesmena, który zawsze obiecywał „zrobić coś” dla jego syna. Dotrzymał słowa i wstawił się za Harrym w prestiżowej firmie maklerskiej na Wall Street, w której miał udziały.

Firma Stollman, Weller, Fine i Tellerman należała do nowojorskich gigantów. W trakcie jej rocznego programu szkoleniowego dwudziestu zdolnych kandydatów wprowadzano w świat interesów. Następnie oceniano i przydzielano im odpowiednie stanowiska w firmie. Marcella wiedziała, że Harry nie należał do ludzi szczególnie bystrych, ale wyobrażała sobie, że jego solidność oraz agresywna osobowość pozwolą mu przetrwać w tym świecie ambicji i twardych reguł gry.

Harry siedział w kafeterii firmy na swej pierwszej przerwie na kawę, w pierwszy dzień pracy. Czuł się niezręcznie w szorstkim nowym garniturze kupionym poprzedniej niedzieli na wyprzedaży, w dziale „Młody Kierownik”.

Rozglądając się po nowych, twarzach, wielu kobiecych, uzmysłowił sobie nagle, co stracił, żeniąc się tak wcześnie: umawianie się na randki i uganianie się za młodymi, atrakcyjnymi kobietami.

Zaczął obracać na palcu obrączkę, początkowo nieświadomie, potem przyglądając się jej uważnie. Zastanawiał się, czy odważyłby się ją zdejmować każdego ranka w drodze do pracy.

- Zapomnij o tym! - Usłyszał obok nosowy głos.

Odwrócił się i ujrzał Bernarda, nerwowego, przedwcześnie łysiejącego kolegę, który siedział obok niego na porannym zebraniu.

- Nie wiedziałeś, że obrączka, to pierwsza rzecz, na jaką dziewczyny zwracają uwagę, kiedy pojawia się nowe mięso? - spytał Bernard, wskazując na stół, przy którym siedziały sekretarki. - Ale nie przejmuj się, to nie musi umniejszać

twoich szans. Czy twoja żona jest ładna? Masz dzieci? Gdzie mieszkasz?

Harry wypił łyk kawy. Nie odpowiedział na żadne pytanie.

- Wiem doskonale, która lubi tę robotę - oświadczył Bernard. - Chcesz wiedzieć? Pytaj!

- Czy to nie twój pierwszy dzień tutaj? - spytał z rezerwą Harry.

- Tak, ale poznaję to po ich oczach - przechwalał się Bernard. Wskazał dłonią na siedzącą przy stole naprzeciwko chudą, ciemnowłosą sekretarkę z przypiętą tabliczką z nazwiskiem. - Na przykład ta! O ile się założysz?

Harry przeczytał tabliczkę. Gloria Defries. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, kiedy na nią patrzył.

- A nie mówiłem? Miałem rację? - pytał Bernard.

- Odczep się - warknął Harry. - Sam powiedziałeś, że jestem żonaty.

- Tak, ale jak żonaty? Są różne stopnie.

Kiedy wstali by wyjść, Harry odwrócił się i ujrzał, że dziewczyna czeka na jego spojrzenie. Nawiązali kontakt wzrokowy, jakiego Harry nie doświadczył od wielu lat. Podczas przerwy na lunch uwolnił się od nowego kumpla i kręcił się przy wejściu, z nadzieją, że Gloria jada o pierwszej. Kiedy wyszła, poszedł za nią aż do następnej przecznicy, gdzie weszła do kawiarni. Nie bierz dania na wynos - modlił się. Wszedł i zobaczył, że dziewczyna siedzi samotnie przy stoliku, studiując menu.

Miała upięte do góry ciemnobrązowe włosy i gładkie czarne rajstopy. Było w niej coś taniego i osiągalnego. Na sukience koloru zielonych jabłek wciąż tkwił przypięty identyfikator. Stanął obok stolika.

- Czy można? - spytał.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Jasne.

Usiadł naprzeciwko. Wkrótce rozmawiali swobodnie o firmie.

- Zwróciłam na ciebie uwagę, zaraz kiedy wszedłeś - wyznała, zerkając na Harry'ego znad kanapki z boczkiem, sałatą

i pomidorem. - Jest coś w twoim chodzie i zachowaniu.

- Tak? - spytał Harry ze zdziwieniem.

- Mhm. - Skinęła głową. - Jakaś pewność. Będzie ci tu potrzebna. W firmie panuje prawo dżungli. Ja unoszę się na powierzchni. Idę tam, dokąd mnie posyłają, ale niech ci się nie wydaje, że na początku mi się to podobało. Chciałam mieć, no wiesz, prawdziwego szefa, prawdziwy gabinet. Ale teraz nie oddałabym tego, co mam. Myślę, że wiem o tej firmie więcej niż ktokolwiek, bo przenoszę się z działu do działu. Kiedy spiknę się z właściwym gościem... naprawdę ambitnym... wtedy strzeż się, świecie! - wykonała taki gest, jakby kogoś nokautowała i zachichotała.

- Dlaczego? - spytał, żując hamburgera. - Znasz jakiś tajny szyfr, czy coś w tym rodzaju?

W jej oczach pojawił się blask. Była znacznie ostrzejsza, niż mu się zdawało.

- Jesteś ambitny?

- Mógłbym być. I tak trzeba wstawać rano do pracy, prawda? Równie dobrze można być ambitnym.

Wzruszyła ramionami, ocierając usta papierową serwetką.

- Wall Street to miejsce, gdzie można zarobić dużo pieniędzy. Mam na myśli, dużo! Widywałam gości, którzy zgarniali pulę i znikali. Wynosili się z kraju! Jesteś żonaty, tak?

Harry przytaknął.

- Szczęśliwie?

Wzruszył ramionami. Zrobiła współczującą minę, zsunęła pod stołem pantofel ze stopy i wsunęła duży palec w nogawkę jego nowych spodni. Unosząc brwi, patrzyła mu w oczy i gładziła palcem stopy łydkę Harry'ego.

Momentalnie poczuł podniecenie.

- Chcesz mi o tym powiedzieć? - spytała. Poruszył się, opuszczając wzrok; był aż boleśnie twardy.

- Nie ma tu wiele do opowiadania. Zaszła w ciążę i ożeniłem się z nią.

- Ach, jaki z ciebie dżentelmen! - Gloria zatrzepotała powiekami. - Szkoda, że wszystko musiało zepsuć, opowiadając mi o tym.

- Sama pytałaś.

- Przynajmniej uważasz, że postąpiłaś właściwie, co?

- Czy to było właściwe? - spytał Harry wymownym tonem.

Patrzył jej głęboko w oczy, a Gloria napawała się uwagą, jaką jej poświęcał. Powoli sunęła stopą po jego łydce w górę i w dół.

- O co chodzi? Nie jesteś szczęśliwy?

Harry westchnął głęboko i przywołał gestem kelnerkę.

- Powiem tak - oświadczył, mieszając kawę i patrząc w jej uważne oczy. Napięcie erotyczne było wyczuwalne. - Moja żona mnie nie rozumie.

Gloria pokiwała kilkakrotnie głową.

- Jeszcze jeden - stwierdziła.

Marcella kochała małego chłopca, w którego zmieniał się Mark. Lubiła zabierać go na niewielki, pokryty betonem plac zabaw i bujać na huśtawce. Mark przyglądał się wtedy ciekawie innym dzieciom. Po południu spał, a Marcella pisała opowiadania.

Pisała o młodych matkach w Little Italy, o żonach uwięzionych w małżeństwach bez miłości. Małżeństwo bez miłości stanowiło jej specjalność. Pisała o mężach terroryzujących żony i o tym, co się działo, kiedy kobiety zbierały się wreszcie na odwagę, by stawić im czoło. Wiedziała, że ona sama nie zdobędzie się na taką odwagę, dopóki nie wydrukują jej opowiadań, dopóki oficjalnie nie zostanie pisarką. Myślami, fantazjami, wyobrażeniami zapełniała blok za blokiem. Początkowo sprawiało jej radość samo przelewanie myśli na papier, lecz wkrótce pojawiła się potrzeba posiadania czytelników i odzewu z ich strony. Odszukała negatywne odpowiedzi od czasopism i czytała je, pragnąc doszukać się w nich jakiejś zachęty. Jeśli jej opowiadania będą stale krążyć, mogła mieć nadzieję, że w każdej chwili może zostać odkryta. Postanowiła wysłać nową partię, tym razem dołączając starannie ułożony list. Musiała pilnie oszczędzać pieniądze na kserokopie, koperty i znaczki. Odkładała je, nie kupując kwiatów, jedząc lunch u matki przed zostawieniem u niej Marka, czytając tylko książki wypożyczone z biblioteki. Opracowała też nowy

sposób postępowania z odmowami: postanowiła zbierać wszystkie opryskliwe listy i pewnego dnia, kiedy stanie się sławna, ujawnić nazwiska redaktorów, którzy okazali się zbyt tępi, by poznać się na jej talencie!

Nastrój Marcelli ulegał zmianie wieczorem, kiedy Harry wracał do domu. Jadł, czytając „The Wall Street Journal” i „The New York Times”.

- Czy musisz kupować obie gazety? - spytała pewnego wieczoru.

- Kiedy masz do czynienia z pieniędzmi, potrzebujesz jak najwięcej informacji, Marce.

- Powiedz, co dziś robiłeś!

Opowiedział jej o dużych pieniądzach, jakie można zarobić na akcjach, jeśli działa się szybko i dysponuje się właściwymi informacjami. Mówił z podziwem o kolegach z firmy, którzy zarabiali ponad milion dolarów rocznie. Mówił jej

o tym, że stara się obracać wśród odpowiednich ludzi

i o kierowniku, który interesował się nim i udzielał rad, jak zrobić karierę. Oczy mu lśniły, kiedy opowiadał o swej pracy i o pieniądzach, jakie mógł zarobić.

- Wiesz, podniecasz się tylko wtedy, kiedy opowiadasz o pieniądzach - oświadczyła. - Chciałabym zobaczyć, jak się podniecasz, kiedy Mark mówi nowe słowo. Ciesz się swoim synem, który rośnie, Harry. Ciesz się...

- Wall Street to ekscytujące miejsce, Marce - przerwał. - Jeśli tam pracujesz, pieniądze muszą zajmować ważne miejsce w twoich myślach.

Wrócił do lektury gazety, a ona wstała, by pozbiierać naczynia. Powiedziała: „Ciesz się synem, który rośnie”, ale chciała powiedzieć: „Ciesz się mną! Zabieraj mnie w różne miejsca! Rozmawiaj ze mną o tym, czego ja chcę, o moich marzeniach!” Wstawiła naczynia do zlewu. Nie można powiedzieć komuś, żeby się tobą interesował. A co teraz było w niej tak interesującego? Kim była, jeśli nie zaniedbaną gospodynią z nadwagą i synem, którego uwielbiała? Myła naczynia, pogrążona w żalu, kiedy odezwał się jej drugi głos: Jesteś pisarką, Marcello!

Dziewczyny w szkole słuchały twoich opowiadań. Panna Woolfe powiedziała, że masz dar..!



Tak, a tuziny redaktorów czasopism odrzucało jej opowiadania. A więc co?

A więc nigdy nie zapomnij, że jesteś pisarką! - przypomniał głos - ponieważ to ocali twoje życie! Czy każdy miał w sobie taki głos, czy tylko ona?

Spędzili kilka wieczorów w towarzystwie kolegów Harry'ego z kursu. Marcella starała się ubierać starannie i dobrze się bawić. Spojrzenia mężczyzn utwierdzały ją w przekonaniu, że ciągle niczego jej nie brakowało. Tylko dlaczego żaden z tych mężczyzn jej nie interesował? Wydawali się Marcelli bezbarwni i zżarci przez ambicję. Ich żony miały w stosunku do mężów jeszcze bardziej ambitne plany niż oni sami. Kiedy usłyszały, że Marcella mieszka w Little Italy, dały wyraz swemu politowaniu.

Napisała opowiadanie o kolacji ambitnych żon i drobnych informacjach, jakie przemycały w rozmowach: marki samochodów, pozycje mężów - symbole statusu. Podśluchała to podczas kolacji. Przynęła sobie, że Mark musi być ponad tę marność, musi umieć się cieszyć wyższymi wartościami.

Raz w tygodniu zostawiała Marka u matki i jechała metrem na Columbus Circle. Gdy szła Pięćdziesiątą Siódmą ulicą do Piątej alei, wkraczała w nowy świat. Przeglądała kreacje u Bergdorfa Goodmana i w Bonwit Teller, początkowo nieśmiało, myśląc: mam takie samo prawo być tutaj, jak każdy inny! Później nauczyła się uśmiechać do oferujących pomoc sprzedawczyń. Lubiła dotykać cudownych strojów, których ceny przekraczały jej możliwości finansowe. Później, zwiedziwszy wszystkie piętra z ubraniami, szła do księgarni, zazwyczaj do Doubleday przy Piątej alei, by sycić się widokiem błyszczących, ekscytujących okładek powieści i biografii, marząc o tym, by mogła sobie na nie pozwolić.

Och, Marcello! - wykrzyknęła Ida. - Masz najśliczniejszego chłopczyka w sąsiedztwie, a teraz urodzisz najpiękniejszą córeczkę! - przepowiedziała.

Zbliżało się Boże Narodzenie roku 1971. Marcella siedziała na wyblakłej sofie w salonie matki. Dlaczego pozwoliła

sobie na ponowną ciążę? Po to, by dać Markowi brata lub siostrę? Czy stało się to w jeden z tych złych dni, kiedy myślała o sobie nie jako o pisarce, ale jako o beznadziejnie pozbawionej talentu osobie, która lubi się uważać za pisarkę? Pewnie w jeden z takich dni nie zwracała sobie głowy pianką antykoncepcyjną, którą zawsze stosowała.

- Ależ musisz być podniecona! - krzyknęła Ida. - Co się z tobą dzieje? - spytała, przyglądając się córce uważnie.

- Zachowujesz się tak, jakby nic cię to nie obchodziło? Jesteś chora?

- Czuję się dobrze, mam - odparła spokojnie Marcella, patrząc, jak Mark bawi się na dywanie. - Po prostu nie...

- zaczęła, a potem zamilkła.

Nagle ujrzała twarz matki wyraźnie i obiektywnie. Jak mogłaby jej wytłumaczyć tę mieszaninę uczuć - zawodu, dumy i wzgardy? Dlatego właśnie zwlekała z powiadomieniem matki o ciąży.

- Cieszysz się, mam, ponieważ powielam powszechnie przyjęty model postępowania - powiedziała w końcu. - Jestem normalna, taka, jak wszyscy...

Ida chrząknęła z dezaprobatą.

- Dla ciebie bycie normalnym człowiekiem to grzech, co, Marcello? - spytała, kręcąc głową. - Ale co jest złego w pięknej, kochającej się rodzinie? Może naprawdę jesteś normalna. Czy przyszło ci to kiedyś do głowy?

- Boże broń - odparła Marcella.

Ta ciąża była zupełnie inna niż ciąża z Markiem. Mniej wyjątkowa. Tym razem Marcella nie wyobrażała sobie nowego dziecka. Mimo wszystkich opowieści o „wysokiej ciąży” czy machania nad brzuchem obrączką wcale nie miała pewności, że Mark otrzyma siostrzyczkę. W razie, gdyby urodziła dziewczynkę, Harry chciał ją nazwać Sheila. Marcelli nie podobało się to imię; wołała Sonię. Imię to kojarzyło się jej z piękną kobietą z wielką klasą. Sonia przyszła na świat w styczniu po bolesnym, dziesięciogodzinnym porodzie. Przez cały czas Marcella obiecywała sobie, że to jej ostatnie dziecko. „Ten ból się

zapomina" - powtarzała matka. Ale tym razem trwał zbyt długo, by mogła o nim zapomnieć. W końcu poprosiła o narkozę i z wdzięcznością pograżyła się w niebyt. Kiedy się obudziła i wręczono jej maleńką córeczkę, fala miłości zdumiała Marcellę. Jak mogłaby nie powitać radośnie tak doskonałego stworzonka? Dziecko było idealne, piękne, bez tej surowej czerwieni większości niemowląt. Długie, ciemne rzęsy rysowały się ślicznie na gładkich policzkach. Jak powiedziała córce wiele lat później, Sonia była piękna od chwili narodzin. Harry zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Sonia miała być „jego”, tak jak Mark był „jej”.

Po powrocie do domu Marcella natychmiast poczuła się zaniepokojona, ponieważ drobniutka panienska nie chciała jeść.

- Odrzuca moją pierś! - krzyczała Marcella przez telefon do matki.

- Próbowalas karmić ją mlekiem z proszku? Niektóre dzieci to wolą. Zaraz tam będę!

Marcella przyglądała się Soni żarłocznie ssącej smoczek.

- Ale dlaczego? - pytała matki i Harry'ego. - Czemu nie chce, żebym ją karmiła?

Rozpłakała się.

- Nie martw się! - Matka poklepała ją po ramieniu.

- Niektóre dzieci po prostu nie potrafią tak dobrze ssać. Był to pierwszy raz, kiedy córce udało się ją zmartwić, pierwsza potyczka w wojnie między matką a dzieckiem.

Kiedy przedstawiła Marka nowej siostrzyczce, ujął ją za rączkę i pocałował. Nie okazywał zazdrości ani pogardy.

- To bardzo ładnie, kochanie - powiedziała Marcella.

- Chcę, żebyś się nią opiekował. Bądź jej dużym bratem. Bądź jej najlepszym przyjacielem!

Mark pokiwał poważnie głową i, zaglądając do kołyski, patrzył na śliczną twarzączkę siostry.

Pewnej niedzieli, w domu rodziców, kiedy karmiona mlekiem w proszku Sonia miała pięć miesięcy i najwyraźniej kwitła, Marcella pokazała ojcu, jak Mark reaguje na muzykę z radia. W wieku dwóch lat wykazywał dobry słuch i podniecenie rytmem. Wymachiwał rączkami i skakał w takt.

- Mówię ci, że ma to po mojej siostrze! - wykrzykiwał z podziwem Aldo. - Ależ ona miała głos. Nigdy nie zrealizowała swego marzenia o śpiewaniu w La Scali. Może Mark zostanie muzykiem? Obiecujesz, że jeśli nim zostanie, będzie używał nazwiska Balducci?

- Jak mógłby to robić? - spytała ciepło Marcella. - Nazywa się Winton. Ale obiecuję ci, że jeśli kiedykolwiek opublikuję jedno z moich opowiadań, podpiszę je „Marcella Balducci Winton”.

- Jakich opowiadań? - spytała z powątpiewaniem Ida, a Harry, trzymający na kolanach Sonię, spojrzął z ukosa na żonę.

- Marce, pokaż matce opowiadanie o księdzu, który dał nam ślub. Na pewno jej się spodoba!

- Napisałaś opowiadanie o ojcu Carmello? - spytała Ida.

- Pozwól mi je przeczytać!

Marcella rzuciła Harry'emu gniewne spojrzenie.

- On się tylko wygłupia, mamó.

- Nie! - nalegał Harry ze śmiechem. - Ido, powinnaś przeczytać, do czego zdolny jest ten ksiądz!

- Chyba nie chcesz powiedzieć... Marcello, chyba nie...

- Ida stanęła nad Marcellą, trzymając stertę naczyń. - Kobieta z dwojgiem dzieci wypisująca takie rzeczy?

Marcella westchnęła ciężko.

- Słuchajcie mnie wszyscy! - obwieściła, przenosząc wzrok z Harry'ego na matkę. - Zostanę pisarką, nawet jeśli opublikowanie opowiadania zajmie mi całe życie! I czasem będę pisać romantyczne albo erotyczne rzeczy, czemu nie? Czy zauważyliście, co się dzisiaj drukuje?

- Nie chcę o tym słyszeć! - Machnięciem ręki Ida odsunęła na bok dziesięciolecie współczesnej literatury. - Świat oszalał. Od czasów tych hipisów za dużo jest seksu!

Ośmielona ślubowaniem złożonym matce i Harry'emu, Marcella napisała nowe opowiadanie o spragnionej seksu żonie, która odwiedza supermarket i zakochuje się w sprzedawcy z działu mięsnego. Prawie całkowicie oparła opowiadanie na zdarzeniu z Angelo, umieszczając w nim wszystkie

zmysłowe szczegóły, jakie potrafiła sobie przypomnieć. Klimat wczesnych lat siedemdziesiątych sprzyjał śmiałości tonowi literatury. Tym razem wysłała opowiadanie do „Cosmopolitan”, oczekując, że czytelnicy tego pisma docenią surowość i humor historii.

Pocztę przynoszono długo po wyjściu Harry'ego do pracy, a w soboty Marcella pilnowała, by pójść po nią, kiedy brał prysznic. Koperta od „Cosmopolitan” nadeszła po miesiącu. Wydała okrzyk zawodu na widok swego opowiadania, którego najwyraźniej nikt nie tknął ani nie przeczytał. Zdążyła znienawidzić odmowne notatki, które zawsze zaczynały się od zwrotu „Redakcja żałuje...” i nie zawierały słowa zachęty.

- A więc, czy piszę coraz lepiej? - krzyknęła Marcella w pustej kuchni. - Czy robię postępy? Czy moje opowiadania to zwykle gówno?

Odmowna notatka nie odpowiedziała. Oświadczała tylko z nieszczerym uśmiechem, że opowiadanie nie pokrywa się z zapotrzebowaniami pisma.

### *Kwiecień 1973*

Nastała wiosna i w chodzie Harry'ego dawała się zauważyć pewna zwawość. Zaprosił Głorię na randkę z lunchem, by uczcić swój drugi awans w ciągu osiemnastu miesięcy pracy w firmie. Każdego ranka, gdy mijał trzy przecznice do stacji metra, stawał się innym człowiekiem. Porzucał wątpliwości, frustracje, milczenie człowieka niekomunikatywnego i przyjmował pozę kogoś, kto zmierza do miejsca, gdzie wie, co robi. Jeśli właściwie rozegra karty, Gloria pomoże mu zarobić milion dolarów!

Czasami, kiedy nie mógł znieść dusznego metra, zatrzymywał taksówkę; warto było wydać te kilka dolarów, by przez cały dzień czuć się jak człowiek sukcesu. Wtedy siadał naprzeciwko Głorii w jej ulubionym lokalu, Wall Street Brasserie, i czuł się jak prawdziwy światowiec.

Awansował szybko, ale celowo nie mówił o tym wiele

w domu, ponieważ nie chciał się dzielić triumfem z Marcellą. Sukces należał do niego i Glorii. Intuicyjne wyczucie rynku i umiejętność szybkich obliczeń nie zaszkodziły Harry'emu. Jednak to Glorii zawdzięczał stanowisko zastępcy kierownika działu finansowego, które powierzono mu po zakończeniu kursu. Szczególne znaczenie miał fakt, że stale czuł na sobie wzrok Glorii, dopingujący go do dalszych wysiłków.

Utrzymywali swe spotkania w ścisłej tajemnicy; nikt w firmie nie mógł się dowiedzieć o ich związku, o źródle informacji Harry'ego. Gloria okazywała się niezmiernie pomocna - mówiła mu, do którego dyrektora zapukać tuż przed zwolnieniem się miejsca w danym dziale. Jej status „motylka”, dzięki któremu miała wstęp do wielu działów, oznaczał, że często słyszała jako pierwsza o zwolnieniach, rezygnacjach i transferach. Rozumiała życie korporacji i perfekcyjnie odgrywała rolę głuptutkiej sekretarki. Ubierała się seksownie, by stworzyć image, którego nikt nie musiał się bać. Była po prostu Gloria, stanowiącą w biurze równie znajomy widok co pojemnik na wodę i w tym samym stopniu groźną. Jak powiedziała podczas ich pierwszego spotkania, potrzebowała tylko ambitnego faceta, któremu mogłaby przekazywać swą wiedzę. Znajomość polityki biurowej przekazywała Harry'emu.

- Kiedy młody, ambitny człowiek wchodzi do gabinetu szefa i zaczyna prosić o różne rzeczy - powiedziała mu kiedyś - szef zaczyna go cenić. Może się zdarzyć, że taki facet zbyt wcześnie prosi o zbyt wiele, ale jeśli będzie przychodził i prosił nadal, szef zechce, by dla niego pracował. W cenie są ludzie gruboskórni, rozumiesz? Tacy, którzy się nie boją.

- To świetnie, bo nigdy w życiu się niczego nie bałem! - przechwalał się Harry.

- To niemożliwe! - zdumiała się Gloria, a był to w jej ustach największy komplement.

Rzucała Harry'emu spojrzenie, które zawsze sprawiało, że chciał się dla niej stać jeszcze lepszy.

- Wiesz dlaczego? - spytał. - Ponieważ cztery lata temu

myślałem, że się całkiem wystrzelałem. Kiedy się ożeniłem, zrobiłem właściwą rzecz, ale byłem martwy. Teraz żyję znowu, Glorio! Nie miałem pojęcia, że praca na Wall Street może tak wyglądać!

A teraz został zastępcą kierownika tego całego pieprzonego działu!

- Kiedy będziesz potrzebował sekretarki, nie zapomnij poprosić o mnie. - Gloria się uśmiechnęła. - Ale nie prosz zbyt często!

Wzniesli toast szampanem.

- To cudowne uczucie mieć twoje wsparcie - wyznał podczas lunchu. - Gdyby nie ty, nigdy by mi się nie udało.

Pod stołem pogłaskała go po kolanie

- Tak właśnie sądziłam. - Zachichotała. - Że mnie potrzebujesz.

- O, tak - odparł Harry.

- Czy ona cię nie wspiera?

Harry spojrzał w jej pytające oczy i wzruszył ramionami.

- Ona jest zupełnie inną parą kaloszy, Glorio. Moja kariera nic jej nie obchodzi. Jest pochłonięta dziećmi i swoim pisaniem. Pieniądze nie mają dla niej większego znaczenia...

- Dopóki je przynosisz do domu? - dokończyła za niego Gloria z uśmiechem. - O rany, znam ten typ! Patrzą na ciebie z góry, ale potrafią wydawać pieniądze nie gorzej niż inni. Co ona myśli o twoim awansie na zastępcę kierownika? Spojrzał na nią szczerze jasnoniebieskimi oczami.

- Jeszcze jej o tym nie powiedziałem, Glorio. Chciałem, żebyśmy my to najpierw uczcili!

Uniosła kieliszek z szampanem.

- A więc świętujmy!

Opróżniła kieliszek, przyglądając się Harry'emu.

- Powinieneś zacząć się lepiej ubierać, Harry - poradziła. - Nosisz ten garnitur od dnia, kiedyśmy się spotkali. Jeśli zaczniesz prezentować się trochę lepiej niż pozostali, zwrócą na ciebie uwagę, nie wiedząc nawet, dlaczego to robią. Chciałabym cię widzieć w lepiej skrojonych garniturach z materiałów wyższej jakości. Może nieco lżejszych, żebyś nie wyglądał tak sztywno. Na Wall Street panuje teraz

bardziej swobodny nastrój, Harry. - Zachichotała. - Bardziej w stronę Giorgio Armaniego!

- Jasne, Giorgio Armani! - Zaśmiał się Harry. - Widziałas, ile kosztują jego garnitury!

- To inwestycja - zapewniła go Gloria. - Poza tym zarabiasz teraz więcej, więc wydaj trochę na siebie!

- Sądzisz, że ona nie zauważy, jeśli zacznę się lepiej ubierać?

Gloria przewróciła oczami.

- Myślisz, że kiedy kobieta nie kocha mężczyzny, zwraca uwagę, czy ubiera się u Saint Laurie czy u Brooks Brothers? Widziałam te żony, które niosą garnitury mężów do pralni, trzymają je w wyciągniętej ręce, jakby śmierdziały czy coś w tym rodzaju!

- Dobrze... - Ujął jej dłoń pod białym lnianym obrusem. - Pozwolę ci się namówić na wieczorne zakupy...

Gloria zmarszczyła nos.

- Widzę cię w jasnoszarym... - Zmrużyła oczy, przyglądając się Harry'emu. - Gołębi! Wyglądałbyś naprawdę godnie!

Nachylił się nad stołem.

- Pocałujesz mnie dziś? Rozejrzała się dokoła.

- Nie pozwól, żeby sukces uderzył ci do głowy. Brakuje tylko, żeby nas tu ktoś zobaczył i powiedział...

Pocałował ją, zanim zdążyła dokończyć.

- Nie rozumiem. - Oparł się na krzesło. - Kiedy cię poznałem, wszyscy faceci z działu chcieli cię zaciągnąć do łóżka.

Dlaczego ja?

- To bardziej kreatywne! - Ucisnęła jego dłoń pod stołem. - Jest coś zmysłowego w fakcie, że kobieta wspiera mężczyznę. Byłeś taki, surowy! Lubię cię kształtować!

- Jestem jak glina w twoich rękach, co? - zachichotał. Gloria przytaknęła.

- Potrzebujesz mnie!

- Zabawne. - zaśmiał się Harry. - Gdybym powiedział Marcelli, że jej potrzebuję, nigdy by mi nie uwierzyła. Musisz budzić we mnie coś wyjątkowego, Glorio.



- O tym właśnie mówię! - szepnęła dziecinnym tonem. Spuściła wzrok i lekko trąciła go w pierś. - Jestem twórcza, widzisz? Jeśli uda mi się umieścić cię na właściwym stanowisku, będziesz mógł naprawdę zacząć wykorzystywać moje informacje. Czego ja nie słyszę. Zdziwiłbyś się, jakie rzeczy ludzie mówią w mojej obecności. Jestem w firmie od tak dawna, że już w ogóle mnie nie widzą! O, już dawno rozumiałam, że najlepiej będzie pozostać tam, gdzie jestem, i poczekać na właściwego faceta. Daleko zajdziemy, Harry!

W osłoniętym westybulu pocałowali się znowu. Wciąż nie wyszli poza pocałunek podczas lunchu. Czasami Gloria wsuwała stopę w rajstopach do nogawki spodni Harry'ego, a on wciąż osiągał erekcję, kiedy pieściła jego dłoń. Pożądał Glorii, ale panowała między nimi niepisana umowa, że poczekają nieco dłużej. Pragnął jej, ale pragnienie to nie przerodziło się jeszcze w namiętność. Nadal była to wyłącznie wspólna, wspólna pasja skupiona wokół jego awansu w firmie.

W następnym tygodniu poszli kupić garnitur. Gloria upierała się przy tym specjalnym odcieniu szarości. Twierdziła, że uwydatniał on karnację Harry'ego. Nikt nigdy nie zwracał uwagi na jego karnację. Nikt nie interesował się wcześniej Harrym pod tym kątem. Pewnej nocy kochał się z Marcellą, wyobrażając sobie, że leży pod nim Gloria. Wiedział, że ta fantazja wkrótce się spełni.

Ulubioną pisarką Marcelli była Amy Jagger, żywa rudowłosa kobieta, która często brała udział w spotkaniach ze specjalistami w dziedzinie seksu, podczas których zapewniała nieszczęśliwe żony, że rozwiązania ich problemów można znaleźć w jej ostatniej powieści. Jej największy sukces, powieść *Suwaki* rozeszła się kilka lat wcześniej w nakładzie pięciu milionów egzemplarzy, zapowiadając wyzwolone seksualnie lata siedemdziesiąte. Bohaterka, zmysłowa kobieta także nosząca imię Amy, poświęcała cały swój czas na jawie, a także część snu, na pogoń za zmysłowymi przyjemnościami.

Teza Amy, że kobiety powinny być odważniejsze, podnie-

cała żeńską część Ameryki. Kiedy książka pojawiła się w supermarkecie Marcelli, ta wsunęła ją do wózka obok warzyw i połknęła w ciągu dwóch popołudni. Sceny erotyczne tak bardzo pokrywały się z jej własnymi fantazjami, że tej nocy Marcella osiągnęła orgazm bynajmniej nie dzięki udoskonalonej technice Harry'ego, lecz wyłącznie dzięki pisarstwu Amy Jagger. Przeczytała więc wszystkie książki tej autorki. Jeśli prawdą było to, co Amy Jagger pisała o kobietach pożądających mężczyzn, Marcella czuła się mniej samotna.

Kiedy Sonia skończyła trzy lata, Marcella zapisała dzieci do pobliskiego przedszkola, a siebie na kurs pisarski w ośrodku edukacyjnym dla dorosłych w Greenwich Village. Powiedziała Harry'emu, że uczy się pisania na maszynie oraz stenografii i co tydzień zabierała na zajęcia podręczną maszynę do pisania.

Nauczycielką pisarstwa była prosta, pulchna kobieta nazwiskiem Nancy Warner. Miała ponad pięćdziesiąt lat i stale niemal histerycznie chichotała. Marcella wkrótce została jej pupilką. Czytając swe opowiadania podczas zajęć, Marcella ze wstydu pomijała fragmenty erotyczne. Twory pozostałych uczniów były tak nudne, że nie było wielkim komplementem wyróżnienie opowiadań Marcelli spośród jawnie autobiograficznych historii rodzinnych, wspomnień z monotonnego dzieciństwa oraz, w jednym przypadku, złej prozy science fiction autorstwa jedyne go mężczyzny w grupie, czerwieniącego się programisty komputerowego.

Podczas przerwy Marcella zazwyczaj piła kawę z Nancy, rozmawiając o pisaniu.

- Amy Jagger? - wykrztusiła Nancy, kiedy Marcella wymieniła nazwisko swej ulubionej autorki. - To nie jest literatura, Marcello. To raczej... opera mydlana.

- *Suwaki* rozeszły się w nakładzie pięciu milionów - zaprotestowała Marcella. - Coś w niej musi być!

- Może dlatego właśnie jej nie lubię - jęknęła Nancy. - Od lat wysyłam moją powieść do wydawców. Oczywiście otrzymałam kilka bardzo przychylnych odmów.

- O czym ona jest? - spytała Marcella.

- Och, o kobiecie oddanej pisarstwu, która musi opiekować się kaleką matką. Kończy się tym, że matka umiera, wyzwalając córkę, gdy ta ma pięćdziesiąt lat!

- Brzmi bardzo interesująco - zauważyła Marcella, myśląc, że zna już historię życia Nancy. Poszła za nauczycielką z powrotem do sali. - Myślę, że wiem, co kobiety chcą czytać - powiedziała. - Lubią czuć, że inne kobiety podzielają ich myśli. Ze nie są same. To właśnie czuję, kiedy czytam Amy Jagger i dlatego ją kocham. Jeśli kiedykolwiek napiszę powieść, umieszczę w niej masę własnych tęsknot i pragnień!

- Jeśli ją napiszesz, obiecuję powiedzieć ci szczerze, co o niej myślę! - przyrzekła Nancy.

- Niektóre czasopisma zamieszczają teraz po cztery albo pięć opowiadań w numerze - powiedziała Nancy klasie tego wieczoru. - Spróbujmy przebić się na ten rynek! - Uwielbiała używać profesjonalnie brzmiących słów, jak „rynek” czy „wzięte maszynopisy”, jakby zwracała się do autorów, których prace są publikowane. - Każdy z nas napisze opowiadanie z myślą o konkretnym piśmie. Wyślemy rękopisy i zobaczymy, czy komuś przyjmą! Marcello! - krzyknęła. - Ty powinnaś napisać dla „Cosmopolitan”!

Wracała podniecona do domu, planując opowiadanie oparte na zdarzeniu, jakie spotkało ją niedawno w Bonwit's. Przystojny mężczyzna poprosił ją, by doradziła mu, którą portmonetkę ma kupić żonie. Kiedy sprzedawca pakował pularsiki, mężczyzna flirtował trochę z Marcellą, a ona zwlekała chwilę z odejściem, drocząc się z nieznanym i z samą sobą, by w końcu pożegnać się chłodno. Co by się stało, gdyby zareagowała na jego ewidentne zainteresowanie? W opowiadaniu mogła rzucić się w wir przygody, na którą nie pozwoliła sobie w życiu. Co by się stało, gdyby on zadzwonił do żony i powiedział, że wróci później, a ona to samo oświadczyłaby Harry'emu? W opowiadaniu para wynajęła pokój w hotelu, wpisując się jako małżeństwo, wypila kilka cocktaili, po czym pojechała na górę na dwie godziny namiętności. Czytelnicy musieli odczuć i zobaczyć wszy-

stkie szczegóły - zmysłowy chłód atlasowej kapy na łóżku, dotyk owłosionej piersi mężczyzny na kobiecym ciele, nowe dłonie odkrywające jej wdzięki. Pisała tak, by czytelnik czuł, że Marcella podsłuchuje, stojąc o kilka centymetrów od kochanków splecionych na hotelowych prześcieradłach. Przeżywała całą scenę, a jej ciało stało się wilgotne i spragnione. W pewnym momencie poszła do łazienki, uniosła bluzkę i spojrzała na wyprężone sutki.

- Wróć do maszyny i przelej seks na papier - powiedziała do siebie.

Marcello! - krzyknęła zaczerwieniona Nancy Warner, oddając Marcelli jej opowiadanie w szkolnej kafeterii tydzień później. - Zwracam ci to prywatnie, bo, no, naprawdę!

Zakłopotanie nauczycielki było zaraźliwe i Marcella poczuła, że płoną jej policzki. Wcześniej mówiła sobie, że opinia Nancy nie ma znaczenia, ale teraz przekonała się, że liczyła na jej pochwałę.

- Czy powinnam to po prostu podrzeć? - spytała. Nancy otworzyła szeroko oczy.

- Nic podobnego! - krzyknęła. Ściszywszy głos, powiedziała: - To jest niesłuchanie zmysłowe! Prawie żałuję, że przeczytałam. Widzę teraz, co tracę!

Marcella wybuchnęła śmiechem.

- Seks nie zawsze jest tak wspaniały - pocieszyła Nancy.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodziła się szybko nauczycielka. - To fantazja, prawda? Ale bardzo przekonująca, Marcello. Wręcz szokująca. Te wszystkie lśniące, różowe fiuty! - Znowu oblała się rumieńcem.

- Był tylko jeden! - zaprotestowała Marcella.

- Tak, ale wspominasz o nim tak często! - krzyknęła Nancy. Wachlowała się opowiadaniem. - To ci się przydarzyło, prawda? - spytała prawie błagalnie, patrząc Marcelli w oczy. - Musiało ci się przytrafić, jest tak prawdziwe! Czy naprawdę są tacy mężczyźni? Tacy, którzy tyle uwagi poświęcają zadowoleniu kobiety?

Marcella wybuchnęła śmiechem.

- Nancy, uczymy się pisarstwa opartego na fikcji, pamiętasz?
  - W takim razie, jesteś znacznie lepsza, niż sądziłam! „Cosmopolitan” rzuci się na to opowiadanie! To dokładnie ich profil!
  - Tak myślisz? - wykrztusiła Marcella. - Mój mąż mnie zabije, jeśli to wydrukują.
  - To by było uzasadnione morderstwo - stwierdziła Nancy. - Chyba że to on był prototypem bohatera?
- Marszcząc brwi zerknęła na Marcellę, ale ona uśmiechnęła się tylko tajemniczo.
- W następnym tygodniu wszyscy uczniowie wysłali swe opowiadania. Marcella dała Markowi kopertę do pocałowania na szczęście.
- Harry dostał awans i kupił sobie nowy garnitur. Marcella uważała, że nie jest w jego stylu i dziwiła się, że nie poprosił, by poszła z nim wybierać. Kiedy po kolacji słuchała jego opowiadań o pracy, zdawały się jej zdominowane przez ideę współzawodnictwa; nawet zwroty, których używał
- „zabić”, „rekiny”, „rozwalić konkurencję” - były agresywne i gwałtowne. Podczas weekendów Harry zawoził ich do Central Parku, żeby dzieci miały świeże powietrze. Była późna jesień i Mark uwielbiał puszczać łódkę na jeziorku niedaleko Piątej alei. Marcella z przyjemnością obserwowała, jak bawi się z siostrą. Wykazywał tyle cierpliwości i opiekuńczości, pragnąc przekazać jej swą wiedzę o świecie.
- Później Harry grał w piłkę z Markiem, czasem rzucając mu ją bardzo mocno. Chłopczyk dzielnie starał się cieszyć, ale Marcella widziała, że nie lubi bawić się piłką z ojcem.
- Pewnego popołudnia, kiedy Harry rzucił Markowi piłką w twarz, synek wybuchnął płaczem i pobiegł do matki.
- Obchodź się z nim trochę delikatniej! - krzyknęła Marcella.
  - Próbuję zrobić z niego mężczyznę - wyjaśnił Harry.
  - Mężczyźni nie są delikatni! Zniecierpliwiony, obserwował, jak pocieszała syna.
  - Jeśli będziesz troskliwy, nie przestaniesz przez to być

mężczyznę, Harry. To tylko dziecko, na miłość boską. Idź, pobaw się z tatą - powiedziała czule, popychając chłopca lekko do ojca.

Mężczyźni nie są delikatni! To takie typowe dla Har-ry'ego! Skoro z nią w łóżku, nie potrafił postępować delikatnie, jak mogła oczekiwać, że okaże delikatność synowi?

Sonia siedziała i nawlekała paciorki, usiłując doprowadzić korale do porządku. Stała się poważną dziewczynką, której wielka uroda wywierała wręcz magiczne wrażenie. Harry nazywał ją „swoją małą księżniczką”, a Sonia zachowywała się tak jakby pozwalała składać sobie hołd. Marcella starała się poświęcać jej szczególną uwagę, bo czuła się nieco winna za to, że kochała Marka przez półtora roku przed urodzeniem Soni. Musiała przyznać, że z synem łączyła ją silniejsza więź. Kiedy Harry nazywał Sonię „swoją małą księżniczką”, Mark zawsze patrzył na Marcellę i mówił: „A Mark jest małym chłopcem mamusi”.

W pewien listopadowy poranek, kiedy Sonia leżała chora, a Marcella szorowała podłogę w łazience, zadzwonił telefon. Biegając do aparatu, Marcella ściągnęła gumową rękawiczkę. Drugą, próbowała zdjąć, kiedy przyciskała głowę słuchawkę do ramienia.

- Marcella Winton? Tu Shirley Reager, asystentka Ellen Farrell. Pannie Farrell bardzo podoba się pani opowiadanie i chce je zamieścić w lipcowym numerze „Cosmopolitan”. Czy ma pani agenta? Nie podała pani jego adresu?

- Ja...nie, no, ja nie... - jękała Marcella.

- Czy to pani pierwsze publikowane opowiadanie? Nie dołączyła pani listy swoich drukowanych utworów.

- Ja nic, no, oczywiście...

Marcella rozpaczliwie szukała właściwych słów, a jej podniecenie mieszało się z dziwnym uczuciem niereczywistości, kiedy usłyszała słowa, na które czekała od tak dawna.

- O, Ellen teraz z panią porozmawia...

Czekając, Marcella zdołała ściągnąć drugą rękawiczkę. Rzuciła ją na podłogę i w tym samym momencie usłyszała, że Sonia zaczęła płakać. Rozdarta między redaktorką działu

beletrystyki w „Cosmopolitan” a córką, Marcella pobiegła do pokoju Soni, wzięła ją na rękę i wróciła biegiem do telefonu. Ellen Farrell mówiła bardzo cicho, toteż Marcella musiała bardzo mocno przyciskać słuchawkę, żeby ją usłyszeć.

- ...oczywiście wymaga redakcji - szeptał głos - a zakończenie należałoby wzmocnić, nie musi pani poświęcać tyle miejsca jej żalowi i poczuciu winy. *Późno w mieście* to zły tytuł, brzmi jak tytuł programu radiowego z lat czterdziestych. Co by pani powiedziała na *Zmysłowe cocktaile*, jako że spotkali się pijąc.

- O nie! - krzyknęła Marcella. - Wcale mi się to nie podoba!

- Nowym autorom płacimy pięćset dolarów - ciągnęła Ellen. - Przyślę pani egzemplarz z moimi sugestiami redakcyjnymi. Jestem pewna, że zgodzi się pani z większością i...

Sonia znowu zaczęła płakać.

- Moja córka jest chora - wyjaśniła przepraszająco Marcella. - Czy mogę do pani zadzwonić?

- Nie ma takiej potrzeby! - odparła pospiesznie Ellen. - Prześlę pani rękopis przez gońca. Będzie nam potrzebny tak szybko, jak to tylko możliwe. A więc do usłyszania. Aha, Marcello? Jeśli ma pani inne opowiadania na tym poziomie, możemy je kupić.

- Sprawdzę... w moich zbiorach! - wykrztusiła Marcella. Trzask w słuchawce zakończył kontakt ze wspaniałym światem wydawniczym.

Kręciło jej się w głowie. Pięćset dolarów! Jej pierwsze zarobione pieniądze! Redaktorka rozmawiała z nią jak z prawdziwą pisarką, którą nareszcie jest! Nalała soku jabłkowego dla Soni. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Nancy. Harry nie musi wiedzieć. Pomyślałby, że opowiadanie zostało oparte na czymś, co jej się przydarzyło i miałby mniej więcej rację!

Maszynopis, przyniesiony miesiąc później przez gońca, wyglądał jak klasówka poprawiona przez złośliwie krytycznego profesora. Niemal każde zdanie zostało zaatakowane

słowami w rodzaju „dlaczego? lub , jak?“. Zakwestionowano każdy szczegół tekstu.

- Ona rzeczywiście musi znać swój rynek! - stwierdziła Nancy, studiując uwagi redaktorki, kiedy po zajęciach siedziały z Marcellą nad winem musującym w jednym z barów Village. Marcella powiedziała Harry'emu, że po zajęciach z pisania na maszynie wybiera się z resztą grupy na pizzę.

Kiedy wróciła w nocy do domu, Harry podejrzliwie pociągnął nosem.

- Wypiłyśmy po kilka drinków - wyjaśniła pośpiesznie.

- Powiedziałem, że możesz chodzić na kurs pisania na maszynie, a nie pić z jakimiś kwokami.

Tego dnia nie miała zamiaru tolerować podobnych słów.

- Słuchaj - oświadczyła, odwracając się gwałtownie. - Żeby coś zrobić nie potrzebuję twojego pozwolenia.

- Nie, jeśli ja za to nie płacę! - krzyknął Harry.

Stał tuż przed nią, a Marcella czuła tłumioną wściekłość przechodzącą między nimi jak prąd elektryczny. Zapra gnęła mu o wszystkim powiedzieć.

- Ach tak? - zapytała jednak. - Pieniądze? Mogłabym już teraz przyzwoicie zarabiać. Całkiem nieźle piszę na maszynie.

Odwrócił się na pięcie.

- Dzieci cały czas potrzebują matki. To jest teraz twoja praca!

Musiała przygryźć wargi, żeby nie krzyknąć, że wkrótce zostanie sławną pisarką, zarabiającą więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mu się śniło.

To opowiadanie mamy! - krzyknęła, wciągając Marka do swej sypialni, żeby Sonia nie widziała. Sygnalny numer lipcowego „Cosmopolitan“, na który czekała przez długą, mroźną zimę, nadszedł pod koniec marca.

- Nie mów tacie - ostrzegła syna, otwierając kopertę. - To nasz sekret!

Kartkowała czasopismo, aż znalazła swoje opowiadanie, którego początek zajmował dwie strony z barwną ilustracją



przedstawiającą bohaterkę dzwoniącą do męża z budki telefonicznej, podczas gdy na zewnątrz szalała ulewa. Nazwisko Marcelli widniało wypisane grubymi, drukowanymi literami pod nowym tytułem *Szczęśliwa godzina*. Wyglądało tak profesjonalnie, a jej tekst nabrał w druku takiej ważności. Kiedy czytała, Mark przyglądał się matce.

- Jesteś szczęśliwa, mamo?

- Jak nigdy w życiu - odparła płacząc, tuląc Marka do piersi.

- To dlaczego płaczesz?

- Nie wiem! - zaśmiała się Marcella.

W lipcu magazyn pojawił się w kioskach. Marcella kupiła tuzin egzemplarzy, po czym ukryła je w swojej szafie. Teraz, kiedy została pisarką, której utwory drukowano, uczniowie na kursie patrzyli na nią z lęklwym podziwem. Nawet miłośnik science fiction podszedł do niej i spytał, czy robiła podwójne czy potrójne odstępki między wersami. Nancy zrealizowała dla niej czek. Z dziesięcioma nowiutkimi banknotami pięćdziesięciodolarowymi w torebce Marcella pojechała taksówką do Bergdorfa Goodmana, poszła prosto do działu dziecięcego i kupiła nowe ubranka dla dzieci. Postanowiła powiedzieć Harry'emu, że jej matka znalazła je w centrum po hurtowych cenach. Dla siebie nabyła od dawna upragnione proste czarne pantofle, które mogła nosić do wszystkiego. Potem znalazła sukienkę Pucciego w jej ulubionych różach i błękitach. Kupiła też trzy oszałamiająco drogie mydła francuskie dla siebie, matki i Nancy, a w pobliskiej księgarni Doubledaya kilka nowych wydań kieszonkowych oraz ostatnią powieść Amy Jagger - swoją pierwszą w życiu książkę w twardej oprawie. Wracając taksówką do matki po dzieci, obliczyła, że zostało jej dziewięćdziesiąt dolarów.

Tego wieczoru obłożyła w gazetę grubą powieść Amy Jagger pod tytułem *Porzucona*, żeby Harry nie pytał, dlaczego wydała dwanaście dolarów na książkę. Na tylnej okładce umieszczono zdjęcie autorki w białym futrze z lisów patrzącej zuchwale w obiektyw z figlarnym uśmiechem na

ustach. „Amy Jagger jest Porzuconą!" krzychały reklamy w całym mieście. Jakie to wspaniałe, cieszyć się taką sławą! A właśnie w tej chwili nazwisko Marceli Balducci Winton widniało wypisane tłustym drukiem w setkach tysięcy egzemplarzy „Cosmopolitan". Kiedy zdjęcie Marcelli zostanie zamieszczone na okładce jej pierwszej powieści, niedbale zaprowadzi Harry'ego do księgarni, żeby mu pokazać. Oddałaby wszystko za to, żeby zobaczyć jego minę!

*Lipiec 1978*

W ciągu następnych dwóch lat Marcella opublikowała w „Cosmopolitan” trzy dalsze opowiadania i za każdym razem otrzymała pięćset dolarów. Oszczędności trzymane na koncie do którego się nie przyznawała procentowały. W dobrze schowanej teczce trzymała korespondencję od czytelników, którzy pisali, że bardzo podobają im się opowiadania Marcelli.

Jednak chociaż redaktorka obiecała jej, że pewnego dnia zjedzą razem lunch, nigdy do tego nie doszło, więc Marcella nie została wciągnięta we wspaniały świat wydawniczy. Największą miłośniczką jej talentu pozostawała Nancy, Marcella nadal bowiem uczyła na kurs pisarski.

Czasami umawiały się na lunch. Nancy namawiała wtedy Marcellę, by zaczęła pisać powieść.

- Próbuję, próbuję! - zapewniała ją Marcella. - Ale to takie trudne. Może akcja prowadzona przez całą książkę to coś, co przekracza moje możliwości, Nancy? Czasem po prostu siedzę z twarzą w dłoniach!

- To dobry początek - pokiwała głową Nancy.

- Tak, ale w tym samym czasie muszę zrobić zakupy i gotować dla czterech osób! - jęknęła Marcella. - Mogę pracować tylko do wpół do piątej, bo wtedy odbieram dzieci...

I podaję obiad Harry'emu, przygotowuję Sonię do snu, czesząc jej gęste włosy, podczas gdy córka surowo przygląda się matce w lustrze. Czasami Marcelli zdawało się, że Sonia

to piękna nieznajoma, która wszystkie pytania, uściski i pocałunki zachowuje dla ojca. Chyba tylko Mark wiedział, co czuje matka. Łączyło ich zdumiewające porozumienie, toteż Marcella zwracała się do niego jak do dorosłego, który potrafi wszystko zrozumieć. Wycygała od Harry'ego pieniądze na lekcje fortepianu dla chłopca, obiecując mężowi, że syn będzie kontynuatorem „tradycji Balduccich”, którą Harry tak się szczylił. Mark przejawiał zaskakujące zdolności do muzyki.

Praca nad powieścią posuwała się od pobieżnego szkicu do pierwszego rozdziału. Utwór miał być oczywiście na poły autobiograficzny. Główna bohaterka, Manuella, wchodziła w życie zmuszona do poślubienia terroryzującego ją mężczyzny, którego nie kochała. Tu podobieństwo się kończyło. W jakiś dziwny sposób, Manuella uzyskała własne cechy charakteru i prowadziła własne życie. Była córką hiszpańskich imigrantów, a jej płomienny temperament pozwalał, by uchodziło jej na sucho o wiele więcej, niż sama Marcella odważyłaby się spróbować. Już w pierwszym rozdziale Manuella miała bzika na punkcie mężczyzn. W zimnej chłodni supermarketu przystojny mężczyzna mogący być bliźniakiem Angelo delikatnie ułożył Manuellę na stole do ćwiartowania mięsa i doprowadził do silnego orgazmu. Każdego dnia Marcella wracała do tej sceny, dodając nowe szczegóły, śmiałe pieszczoty, które oferował kochanek, aż zamieniła go w idealnego ogiera, o jakim marzą kobiety.

Napisanie pierwszego rozdziału zajęło Marcelli popołudnia całego miesiąca. Oznaczało to, że cała książka mogła pochłonąć dwa lata! Zanim zainwestuje w pracę tyle czasu, powinna usłyszeć opinię profesjonalisty. Była to sprawa zbyt dużej wagi, by zwracać się do Nancy. Z szafy znajoma twarz mrugała do Marcelli z czwartej strony okładki. Amy Jagger! Sięgnęła po książkę i spojrzała w figlarnie śmiejące się oczy. Przecież najwyżej odpowie odmownie, albo nie odpowie wcale. Marcella mogła stracić najwyżej pieniądze na znaczek pocztowy. Spędziła wiele godzin na układaniu listu do Amy Jagger.

To wołanie o pomoc do jej najdroższego źródła inspiracji musiało być bez skazy.

*Droga Panno Jagger* - brzmiała wersja ostateczna nagłówka. Marcella przeczytała, że Amy, rozwiedziona kilkakrotnie, wołała być nazywana „panną”.

*Codziennie dostaje Pani pewnie tuziny podobnych listów, ale to mój pierwszy list do autora - proszę mi wybaczyć, jeśli nie sprostam zadaniu. Po pierwsze, chcę Pani podziękować za przyjemność, jakiej dostarcza mi lektura Pani książek. Ilekroć kończę jedną z Pani powieści, a przeczytałam wszystkie, czuję, że nie jestem sama, że gdzieś tam są inne kobiety. Sądzę, że lubię Panią. Czuję, że tak jest. Te książki naprawdę dodały mi sił. Zgadzam się z tym, co pisze Pani o mężczyznach. Lubię te same części męskiego ciała, które lubią Pani bohaterki. Mój mąż nie cierpi, żeby dotykać jego gładkiej strony żeber, którą Pani opisuje. Odpycha moją dłoń. Przypuszczam, że potrafi sobie Pani wyobrazić moje małżeństwo. Odrzuca reguły gry. Pisanie to jedyna naprawdę moja rzecz - i dlatego jest dla mnie takie cenne. Myślę, że gdyby nie dwójka naszych pięknych dzieci, odeszłabym od męża.*

*Ten list mogłam napisać tylko do Pani, bo czuję, że Pani mnie zrozumie. Pani humanizm widoczny jest w Pani powieściach. Wydaje się, że kocha Pani mężczyzn, ale także lubi i szanuje kobiety. Usiłuję napisać powieść dla kobiet. Sądzę, że się spodoba, chociaż nie mogę się równać z Panią. Jak dotąd publikowałam tylko opowiadania w „Cosmopolitan”. Nie mam odwagi, dyscypliny ani czasu, by napisać całą powieść bez jakiegóż zachęty. Gdyby takie słowa zachęty wyszły od Pani, byłaby to najcudowniejsza, najważniejsza rzecz w moim życiu. Czy zgodziłaby się Pani przeczytać rozdział, który dołączam do listu? To jak dotychczas wszystko, co napisałam. Proszę mi powiedzieć, czy mogę mieć nadzieję na zostanie powieściopisarką. Proszę o szczerłość, przeżyję to! Pani pomoc będę cenić do końca życia. Z serdecznym podziękowaniem*

*Marcella B.Winton*

Wysłała list do Amy Jagger na adres jej wydawnictwa Volumes, Inc. Potem starała się o nim zapomnieć, bo pomógł jej sam fakt, że go napisała.

Odpowiedź nadeszła po dwóch tygodniach. Na szarej kopercie widniał elegancki granatowy wypukły nadruk „Amy Jagger”. Marcella usiadła na sofie i rozerwała kopertę. Zawahała się przed rozłożeniem grubej kartki papieru, wyobrażając sobie najgorsze - drukowane zawiadomienie, że panna Jagger nie prowadzi prywatnej korespondencji. Jednak kiedy rozłożyła list, stwierdziła, że nie został wydrukowany i wcale nie był odmowny. Przeczytała go dwukrotnie, z coraz szybciej bijącym sercem.

*Droga Pani Winton - pisała Amy.*

*O, do diabła z tym, będę cię nazywać Marcellą, bo czuję, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami. By odpowiedzieć na Twoje pierwsze słowa: owszem, każdego dnia otrzymuję tuziny listów od czytelników, ale niewiele tak ciepłych i słodkich jak Twój. A już na pewno nie przysyłają mi tak interesującej prozy. Odpowiedź na Twoje drugie pytanie: owszem, masz talent! Cholera, zazdroszczę Ci twego talentu, Marcello! Kto Cię nauczył tak pisać? Coś mi mówi, że jesteś samoukiem, zgadza się? Masz jedną z najbardziej zmysłowych wyobraźni, z jaką się kiedykolwiek zetknęłam i jeden z najbardziej zmysłowych sposobów pisania o seksie. A mówię tu o Henrym Millerze, Johnie Updike'u, Erice Jong, o sobie samej! We fragmencie rozgrywającym się w supermarkecie czułam zapach wody kolońskiej tego faceta, czułam pod stopami trociny na zimnej podłodze, widziałam te okropne świnię zwisające z sufitu! Fiu, fiu! Jaką kobietą jesteś? Prawie nic nie piszesz o sobie! Puść kiedyś kantem tego swojego męża i jedźmy, pijmy, śmiejmy się, rozmawiajmy! Tymczasem zabawię się w nieoficjalnego agenta i przekazuję Twój rozdział mojemu redaktorowi z Volumes, Scottowi MacEvoy'owi. Pewnie będę tego żałować przez resztę życia. A może, jeśli Scott okaże zainteresowanie, zachowam się jak prawdziwy agent i potracę sobie dziesięć procent? Nie podałaś swojego*

*numeru telefonu, więc oto mój. Zadzwoń do mnie, spotkajmy się, żeby porozmawiać o Twojej karierze pisarskiej - i o Tobie! Ucałowania, Amy.*

- Mark! - zawołała Marcella. Wbiegł do salonu.

- Mark, napisała do mnie! - krzyczała, wymachując listem. - Pani z książki, napisała!

- Czy to dobrze? - spytał, przyglądając się matce.

- Chce, żebyśmy się z nią spotkała! - Marcella tuliła synka.

- Och, Mark!

Lunch! Lunch! Lunch! - krzyknęła Amy Jagger, kiedy Marcella wreszcie zdobyła się na odwagę i zadzwoniła do niej w następnym tygodniu. - W jakimś bardzo drogim miejscu! Oczywiście, ja płacę! Jeszcze nigdy nikogo nie odkryłam i mam zamiar bawić się jak najlepiej. Może nawet włożę kapelusz! Czy przyniesiesz nowe rozdziały?

Marcella się zawahała.

- Napisałam tylko ten jeden. To moja pierwsza powieść i...

- Ale nie ostatnia! - przepowiedziała Amy. - W Le Cirque? O wpół do drugiej w środę? Będziemy miały wielkie wejście! Przyzwyczajaj się do drogich lokali, Marcello! Nic nie jest cię już w stanie zatrzymać!

Marcella odłożyła słuchawkę. W głowie jej się kręciło. Wszystko brzmiało tak łatwo! Lunch w La Cirque! Nic jej nie zatrzyma? Potrafiła wymienić z tuzin takich rzeczy. Czas dzielący ją od środy wydawał się nie mieć końca, najeżony był małymi pułapkami. Musiała ostrożnie przejść go krok po kroku - kiedy zaprzyjaźniona matka nie mogła odebrać dzieci ze szkoły, poprosiła inną o pomoc.

- Przygotowuję małą niespodziankę dla męża - skłamała.

We wtorek wieczorem w głowie wirowało jej od planów

- rozmowa, którą przeprowadzi z Amy, sposób, w jaki przedstawi swoje życie, żeby nie wydało się zbyt beznadziejne. Harry wrócił do domu bardzo podniecony. Kilku ludzi

pracujących na tym samym piętrze poszło tego dnia na giełdzie na całość.

- Posłuzyli się poufnymi informacjami - powiedział Marcelli. - Wiesz, ile zgarnęli? - Wyjął z lodówki puszkę piwa.

- Pół miliona dolarów!

- Czy to dozwolone? - spytała.

- Dozwolone? - powtórzył ze śmiechem. - Wszyscy to robią, Marce...

Usiadł okrakiem na krześle w kuchni i zaczerpnął łyk piwa.

- A co się dzieje, kiedy tracą pół miliona? - spytała.

- Czy też się tym chwala? Harry potrząsnął głową.

- Nie zaryzykowałiby takiej sumy. Ci faceci działają w oparciu o informacje. Ktoś jest komuś winny przysługę, więc dzwoni i radzi, żeby kupić akcje firmy, która ma zostać przejęta, ma opublikować rewelacyjne dane o sprzedaży czy coś takiego. Nikomu nie przynosi to szkody i wszyscy są zadowoleni.

- Czy ich nie złapią? - spytała.

Wzruszył ramionami, dopijając piwo jednym długim haustem.

- Od czasu do czasu policja zgarnia na pokaz kilku frajerów. Łapia jakiegoś biednego lebiegę, któremu nikt nie był winny przysługi...

- Nigdy tego nie rób, Harry - powiedziała. - Niech twoi koledzy i ich chciwe żonki nie śpią po nocach, zastanawiając się, czy zostaną złapani.

- Och, Marce - westchnął, patrząc na żonę. - Nadal myślisz małymi kategoriami.

- Myślę o bezpieczeństwie - poprawiła go. - Twoje pieniądze nie na wiele zdałyby się w więzieniu, prawda?

- Słuchaj - powiedział, odwracając się do Marcelli i odrywając zawleczkę z puszki piwa. - Moja pozycja w firmie jest idealna. To są uboczne dochody. Oni oczekują, że będziemy z tego korzystać. Nie robić tego, byłoby czystą głupotą!

Przygotowywała obiad, słuchając go tylko jednym uchem.



Harry był w nastroju do rozmowy, ale Marcella chciała przemyśleć inne rzeczy.

Jeśli Amy Jagger nie myliła się co do jej talentu pisarskiego, Marcella zostanie wciągnięta w nowy, bajkowy świat.

Wydawcy, redaktorzy i właściciele księgarni zaczną zabiegać

o jej względy z wesołym błyskiem w oczach. Mogłaby wreszcie uwierzyć w obecność tej małej iskiereczki, która zawsze mówiła jej, że jest inna niż wszyscy. W nocy ledwo mogła zasnąć.

Następnego dnia rano odprowadziła dzieci do nowej publicznej szkoły położonej cztery przecznice dalej, po raz trzeci upewniła się, że sąsiadka odbierze je i zaprowadzi do kolegów, po czym wróciła do domu, żeby się wykapać.

Starannie umalowała usta nową różową szminką i nałożyła makijaż. Sukienka od Pucciego przylegała ciasno do jej ciała, nieco szczuplejszego dzięki surowej diecie, którą rozpoczęła po otrzymaniu listu od Amy Jagger. Przejrzała się w lustrze: twarz, pończochy, sukienka. O wpół do pierwszej w skromnym, schludnym mieszkaniu panowała cisza.

Omiotła je przed wyjściem uważnym spojrzeniem, jakby wyjeżdżała w daleką podróż. Tknęło ją nagle przecucie, że po tym lunchu już nic nie będzie takie jak dawniej.

Gość pani Jagger? Oczywiście! Witamy w La Cirque!

Szef lokalu z uśmiechem zaprosił ją do środka, więc twarz Marcelli także się rozjaśniła. W metrze siedziała ostrożnie, żeby nie pognieść sukienki od Pucciego. Wyobraziła sobie powitalny szpaler lokajów przed La Cirque patrzących na nią z góry, kiedy będzie wchodzić na śliskie, strome schody. Wyobraziła sobie, że potyka się na samej górze, albo zauważa, że sukienka podwinęła się jej aż do samych pośladków. Ale żadnych schodów nie było, a

Marcellę powitano jak starego gościa. Wchodząc, przejrzała się w dużym lustrze

i podziękowała Bogu, że był to jeden z tych dni, kiedy wyglądała korzystnie. Długie kasztanowe włosy płynęły za Marcellą, kiedy szła za szefem lokalu, figura, wciąż miło zaokrąglona, obwieszczała mężczyznom lubiącym prawdziwe kobiety, że oto idzie prawdziwa kobieta. Dzisiaj

najwyraźniej wielu takich mężczyzn jadło tu lunch; byli wystarczająco zaintrygowani, by oderwać wzrok od towarzyszek i przyjrzeć się Marcelli. W tej gwarnej, modnej restauracji, przywykli raczej do widoku nie budzących pożądania dam do towarzystwa. Ludzie tutaj byli inni; głądcy, niedbali, aroganccy, bawili się jedzeniem, udając, że patrzą na towarzyszki, podczas gdy w istocie rozglądali się po sali.

Szef zatrzymał się nagle na środku restauracji, doszedłszy najwyraźniej do granicy swego rewiru. Przywołał kelnera, przekazał Marcellę temu bardziej pośledniemu śmiertelnikowi, życząc jej miłego lunchu.

Marcella ruszyła za nowym przewodnikiem, rozglądając się wokoło. Wszyscy plotkowali, śmiali się, obserwowali się nawzajem i flirtowali. Marcella poczuła dreszcz podniecenia: ten świat już ją inspirował. Im więcej zobaczy, tym szczerzej będzie pisać o swych uczuciach. Chciała oszołomić tych chłodnych, nieco znudzonych ludzi, dla których cierpieniem było otrzymanie złego stolika w La Cirque.

- Oto ona, panno Jagger!

Kelner prowadził Marcellę obok najbardziej luksusowego i egzotycznego bukietu kwiatów, jaki kiedykolwiek widziała, do stolika, gdzie siedziała drobna, ruda kobieta.

- To jest Marcella? - wykrzyknęła gardłowym głosem. Amy Jagger zerwała się, okrążyła stolik i wybiegła na spotkanie z rozłożonymi ramionami. - Kochanie!

Była niższa, ładniejsza i starsza niż sugerowały fotografie Scavullo na okładkach. Tuliała Marcellę przez kilka sekund, owiewając ją obłokiem perfum i zdumiewając siłą tego chudego ciała. Wreszcie odsunęła ją na długość rąk i przyjrzała się jej dokładnie.

- Absolutnie prześliczna! - wykrzyknęła. Spojrzała na jej włosy. - Czy to naturalny kolor? Twoja skóra to czysty Renoir! Chodź, kochanie, posadź tyłek, chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko o sobie!

Rumieniąc się, gdyż poczuła się niemal nieuczciwie piękna, Marcella usiadła na krześle podsuwanym przez cierpliwego kelnera.

Amy usiadła także. Oparłszy podbródek na pięściach,

pożerała Marcelłę szmaragdowymi oczami. Początkowo zauważało się tylko te oczy. Dopiero później, kiedy Marcella oderwała wzrok od ich figlarniej zieleń, dostrzegła okalające je ładne zmarszczki śmiechu. Amy miała ten rodzaj skóry koloru kości słoniowej, która się nigdy nie opala, a piegi nadawały jej wygląd małej dziewczynki, kontrastujący z wielkim doświadczeniem życiowym. Zmierzwiłone, ognisto-rude włosy nie mogły mieć naturalnego koloru, a szczupłe ciało szczyciło się talią, którą męskie dłonie mogły bez trudu objąć i pewnie często to robiły.

- Jemy! - krzyknęła Amy, wręczając jej menu.

Marcella nigdy nie czuła się mniej głodna. Sponad wielkiej karty dań przyglądała się swej nowej mentorce. Amy miała na sobie zamszowy żakiet koloru burgunda starannie podkreślający jej kształty, a na nogach śliczne pantofelki dopasowane do żakietu. Paznokcie bez skazy pomalowała na krwistą czerwień. Puszysty biały sweter z angory okalał jej twarz przepyszną mgiełką. Wytworny wygląd Amy sprawiał, że chrypiący głos z lekkim brooklińskim akcentem brzmiał szczególnie zaskakująco. Amy Jagger już dawno wyzbyła się resztek nieśmiałości, o ile takowa kiedykolwiek jej towarzyszyła.

Kelner napełnił szampanem kieliszek Marcelli w kształcie tulipana.

- Za moją nową przyjaciółkę! - wzniosła toast Amy. Trąciły się kryształowymi kieliszkami i Marcella upiła łyk.

- Mmm... - Bąbelki wyparowały jej w gardle, zostawiając wytrawny smak. - Czy to francuski? - spytała, a Amy przytaknęła. - Mój pierwszy prawdziwy szampan - wyznała Marcella, wychylając alkohol do dna.

Amy przyglądała się jej, kiedy kelner znów nalewał trunek.

- Tak, to świetna zabawa, przyzwyczajając się do dobrych rzeczy - powiedziała z aprobatą. - Ja zaczęłam życie bardzo skromnie, Marcello. Mój ojciec uważał się za szczęściarza, kiedy znajdował w lodówce piwo. Żadnego Moet et Chandon! Ale wiedziałam, że mam głowę na karku!

I wiedziałam, że mam cipę! Od tamtej pory prowadzą ze sobą wojnę!

Wybuchnęła krótkim, wysokim śmiechem, a Marcella zawtórowała.

- Łosoś z grilla! - zawołała Amy do kelnera.

- Proszę o to samo - zgodziła się Marcella z ulgą.

- To dla mnie taka frajda - wyznała Amy Marcelli, dotykając jej ręki, kiedy kelner pośpiesznie się oddalił.

- Ubóstwiam poznawać nowych ludzi! Marcella spojrzała na trzecie nakrycie.

- Dla kogo to? - spytała.

- Scott MacEvoy, mój redaktor, wprosił się na lunch

- odparła Amy. - Ale uprzedziłam go, że tylko na deser!

- Ale po co on przychodzi, Amy? Amy uniosła brwi.

- Każdy mężczyzna, który przeczytałby ten pierwszy rozdział, chciałby cię poznać! Scott nie może się doczekać rozstrzygnięcia zakładu!

- Jakiego zakładu?

- Założyłam się z nim o twój wygląd, Marcello! - odparła Amy chichocząc. - Powiedziałam, że jesteś seksowna, a Scott, że piszesz erotyczne kawałki, żeby zrekompensować sobie własną nieatrakcyjność. Dlatego zapłaci mi dwadzieścia pięć dolarów, zanim jeszcze zaczniemy rozmawiać o książce!

- Co myśli o moim pisaniu? - spytała z wahaniem Marcella.

- No...cóż. Jeśli jego reakcja chociaż trochę przypominała moją, wejdzie tu z największym wzwodem, jaki kiedykolwiek widziano w La Cirque!

Sposób wyrażania się Amy i szampan sprawiły, że Marcella zaczęła też chichotać. Wkrótce złapała się na tym, że opowiada Amy wszystko o sobie. Amy okazała się wspaniałą słuchaczką - otwierała szeroko zielone oczy, jakby nigdy przedtem nie słyszała równie fascynujących rzeczy. Marcella obiecała sobie w duchu posługiwać się tą techniką - dawała mówiącemu tak cudowne samopoczucie. Kiedy pojawiły się ich dania, Marcella czuła się kobietą równie światową jak jej nowa przyjaciółka.

- A więc nie jesteś zadowolona ze swego męża. - Amy pokiwała głową. - Mnie także pisze się najlepiej, kiedy rogowacieję.

Marcella posłała jej uśmiech.

- To coś więcej niż tylko zrogowacenie, Amy. Czuję, jakby wielka pustka we mnie wiecznie domagała się uwagi. Kiedy mężczyzna rzuca mi takie spojrzenie, jest po mnie! Pragnę go równie mocno, co on mnie! Dlatego lepiej zostawać w domu i pisać.

- Dlaczego to jest lepsze? - spytała Amy, krojąc rybę. - Czy sądzisz, że ten twój mąż nie pieprzy wszystkiego, co się rusza?

- No... - Próbowała jeść przepysznego łososia, ale nie miała apetytu. - Potrzeby małżeńskie Harry'ego są duże prawie każdej nocy. Gdyby się łajdaczył, chyba nie...

- Akurat! - przerwała jej Amy. - Mój drugi mąż łajdaczył się jak wariat, a mimo to co noc wracał do bazy!

Oczywiście... - nachyliła się bliżej do Marcelli - uwielbiałam, kiedy wjeżdżał do bazy!

Skończyły szampana, a Amy poprosiła o drugą butelkę. Marcella czuła już, że zerwała wszystkie kotwice łączące ją z rzeczywistością i najwyraźniej unosi się kilka stóp nad dywanem.

- Amy, nie wiem, czy to przekleństwo, czy błogosławieństwo, ale jestem chyba bardziej zmysłowa niż kobiety, które znam - wykrztusiła. - Boję się nawet dopuścić to do głosu! Gdyby nie Harry, pewnie rzuciłabym się w jakiś dziki wir! Wydaje mi się, że czuję silniej niż inne...

- Oczywiście, że tak. - Amy pokiwała głową, jakby było to coś całkowicie normalnego. - A setki tysięcy kobiet z radością zapłacą po trzy dolary dziewięćdziesiąt pięć centów, żeby zastępczo doświadczyć tych doznań! Jako pisarce będą ci płacić za przechodzenie przez ten wir w zastępstwie kobiet, które nie potrafią znaleźć na to czasu lub energii! Zabrano im talerze, a kelner podsunął karty deserów. Amy nachyliła się do Marcelli.

- Porozmawiajmy o interesach, zanim Scott się zjawi. Chcę występować jako twoja agentka, Marcello.

- Nie jestem pewna, co robi agent - odparła z wahaniem.

Amy zamówiła dla nich kawę.

- Negocjowałamby z wydawcą cenę książki - odparła.

- Oznacza to, że dostałabyś zaliczkę na poczet honorarium. Zbadałabym twoją umowę pod lupą, wyszukując wszystkie ewentualne kruczki. Targowałabym się o honoraria z Nowej Zelandii i za tłumaczenie hebrajskie. I tak dalej!

Marcella skinęła głową.

- Ale dlaczego miałabyś robić dla mnie to wszystko?

- Ponieważ przez lata byłam bezpłatną agentką! - wyjaśniła Amy. - Ludzie stale przysyłają mi rękopisy, które, o ile są coś warte, zawsze przekazuję agentom lub redaktorom. Wiesz, jacy zazdrośni są pisarze? Gdybyśmy były rywalkami, chciałabym ci wydrapać oczy! W ten sposób zostaniemy przyjaciółkami, a ja dostanę swoje dziesięć procent!

- Nie mam nic przeciwko temu! - zgodziła się Marcella.

- To dla mnie zaszczyt mieć ciebie jako agentkę. Podniosła nagle wzrok i ujrzała wysokiego brodatego mężczyznę, który zatrzymał się przy ich stoliku. Zbliżał się do czterdziestki, a jego starannie przystrzyżony zarost był kilka odcieni ciemniejszy niż blond włosy. Przyglądał się Marcelli świdrującymi piwnymi oczyma. Miał na sobie granatowy garnitur i jasnoróżowy krawat zrobiony na drutach. Z rozmysłem wyjął portfel i odliczył dwa banknoty, dwudziesto- i pięciodolarowy.

- Wygrałaś - oświadczył, wręczając jej Amy. Marcella wybuchnęła śmiechem, czując, że się rumieni.

- Scott, poznaj Marcelłę Balducci Winton, moje odkrycie i klientkę! - powiedziała Amy, a Scott nachylił się i pocałował Marcelłę w rękę.

- Jeszcze nigdy tego nie robiłem - wyznał. - Ale jesteś rodzajem damy, która wymaga, by całować ją w rękę!

- A co ze mną, Scott? - jęknęła Amy. - Wymagam, żeby w co mnie całować?

- W tyłek - odparł posepnie Scott i usiadł. - Wybacz, Marcello, ale Amy lubi, kiedy jej przyjaciele zachowują się jak postacie Rabelais'go!

Marcella uśmiechnęła się, nieco zażenowana, ponieważ Scott był bardzo przystojny. Dlaczego redaktor Amy nie mógł być zgorzkniałym intelektualistą w profesorskim typie i okularach w grubej oprawie? Scott promieniał zdrowiem i schludnością, a jego regularne rysy stuprocentowego Amerykanina idealnie kontrastowały z łobuzerską brodą. Amy trąkotała, a on ponownie skierował na Marcellę rozbawione, zmysłowe spojrzenie.

- Marcella zgodziła się, żebym występowała jako jej agentka! - oznajmiła z dumą Amy.

- Naprawdę? - Zmarszczył czoło. - Od kiedy się tym trudnisz?

Amy otoczyła Marcellę ramieniem.

- Od pół godziny! - odparła.

Kelner rozdał karty deserów i Scott zajął do swojej.

- Mam ochotę na krem czekoladowy, tylko pod warunkiem, że jest szkodliwy dla zdrowia - powiedziała Amy do kelnera. - Zjesz go ze mną na spólkę, Marcello?

- Sałatkę ze świeżych owoców - zamówił Scott. - 1 dużą kawę espresso. Widzę, że muszę tu zachować pełną przytomność umysłu!

Amy zapaliła papierosa.

- Może umknęło to twojej uwadze, Scott, odkąd zostałeś redaktorem naczelnym, ale od lat występuję jako własna agentka! Wiem wszystko o sprawach wydawniczych - oświadczyła tonem przechwałki.

- Tego się właśnie obawiam - mruknął Scott.

Amy naląła mu szampana, a Scott wznosił kieliszek w stronę Marcelli.

- Za twoją karierę pisarską - wznosił toast. - i twoją jako agentki - zwrócił się do Amy.

Patrzył na Marcellę w sposób, który ją rozbijał. Wino uderzyło jej do głowy mocno i nieoczekiwanie. Kiedy Scott trącił ją kolanem, nie odsunęła nogi. Czowała ciepło bijące od jego ciała.

- Czy jesteś przygotowana do bycia agentką? - spytał Amy.

- Volumes aż dyszy, tak bardzo chce ją wydawać, prawda? - podpuściła go. - Czego mi więcej trzeba?

Scott zasapał głośno. Marcelli nawet to wydało się ekscytujące.

- Nie jestem całkiem pewna, czy będę miała całą powieść - wyznała. - Napisałam pierwszy rozdział, ale to nie znaczy, że uda mi się ją skończyć...

- Agenci mają sposoby, żeby kazać ci skończyć! - oświadczyła Amy.

- Poza tym płacimy ci zaliczkę, jesteś więc zobowiązana napisać całość! - dodał Scott.

Krem czekoladowy dostarczył Marcelli nieco kalorii a Amy po skosztowaniu jednej łyżeczki skłonił do niezwykle przekonującego odegrania orgazmu.

Gdy skończyli deser, Amy wstała i zaprowadziła Marcellę do toalety.

- I co sądzisz? - spytała, kiedy znalazły się pośród ciszy pełnej luster. - Przystojny, jak na redaktora, prawda?

- Zbyt piękne, żeby było prawdziwe - jęknęła Marcella.

- Mhm. - Amy spojrzała w lustro. - Jako twoja agentka chcę wiedzieć dokładnie o wszystkim, co zdarzy się między wami!

Marcella patrzyła, jak jej nowa przyjaciółka układa włosy.

- A co ma się, twoim zdaniem, wydarzyć? - spytała. Amy mrugnęła.

- O ile znam Scotta, po lunchu zaprosi cię do swego biura. Mam tylko nadzieję, że sprawił sobie wreszcie sofę.

Marcella poczuła, jak żołądek skacze jej z podniecenia.

- Ale... - zająknęła się. - Nawet nie będę wiedziała, jak postępować z kimś takim! Chodź z nami, proszę cię!

Amy posłała jej omdlewające spojrzenie.

- Czy nie pragniesz bliskiego, przyjacielskiego związku ze swym redaktorem, kochanie?

- Nie wiem! - odparła Marcella. - Czy powinnam? Amy pomogła jej otworzyć drzwi.

- To absolutnie niezbędne - oświadczyła szorstko.

O wpół do czwartej, zgodnie z przewidywaniem Amy, Scott zaprosił Marcellę do swego biura.

- Bez Amy - zaznaczył stanowczo.



Marcella przeprosiła z bijącym sercem i poszła zadzwonić do sąsiadki, żeby się upewnić, czy dzieci mogą u niej zostać do wpół do siódmej.

Amy pocałowała Marcellę i, obiecawszy że wkrótce spotkają się znowu, pożegnała się.

- Zadzwonię do ciebie jutro! - szepnęła jej na ucho. Paplając nerwowo, Marcella ruszyła ze Scottem do domu przy Szóstej alei, gdzie Volumes zajmowało dziesięć pięter.

- Chyba nie chcę podpisywać umowy ani brać zaliczki.

- Zaśmiała się. - Boję się, że straciłabym przez to zdolność pisania. Wiem, że to głupie, ale...

Wprowadzając ją do budynku, lekko dotknął jej łokcia. Winda była pusta, a kiedy drzwi się zamknęły, Scott odwrócił się do Marcelli, posyłając jej takie szczere, pytające spojrzenie, że poczuła, jak jej puls przyśpiesza. Przeniósł wzrok na przód swych spodni.

- Widzisz, co ze mną robisz? - spytał. Patrzyła mu w oczy.

W milczeniu walczyła ze swymi popędami.

- Hitchcock powiedział, że najwspanialsza kobieta to taka, która ma świetne maniery, jest elegancka, ale w łóżku zachowuje się jak kurwa. Zgadzasz się z tym?

- Kurwy w łóżku wyłącznie rozkładają nogi, prawda?

- Spróbowała się zaśmiać. - One tylko zarabiają na życie.

- Co zrobiłaby twoja bohaterka, gdyby pragnął jej mężczyzna? - spytał.

- Nie rozłożyłaby nóg aż do ostatniej chwili - odparła.

- Kazałaby mężczyźnie błagać.

- Czy to właśnie sprawia ci przyjemność? - Przysunął bliżej głowę. - Kiedy mężczyźni cię błagają?

- Nie mnie. Mojej bohaterce.

Jej ciało zaczęło drżeć, płonąć, a potem, w ciągu kilku sekund, stało się lodowate. Winda stanęła, drzwi się otworzyły, a Scott poprowadził Marcellę przez labirynt nisz i gabinetów. Wpatrywała się w jego szerokie ramiona. Szedł przed nią, dopóki nie przywiódł jej do gabinetu ze swym nazwiskiem na drzwiach.

- Mam spotkanie! - krzyknął do sekretarki pracującej w przyległym pomieszczeniu.

Zamknął za sobą drzwi na zamek i odchylił się. Duży pokój wyściełony był szarym dywanem. Jak ostrzegła Amy, nie było tu sofy za to mnóstwo roślin doniczkowych, wielkie biurko i kilka dużych bukietów kwiatów. Przez okna zaglądały szczyty pobliskich drapaczy chmur.

- A więc tak to nazywasz? - spytała Marcella. - Spotkaniem?

Scott podszedł do niej. Sukienka od Pucciego przylegała do ciepłej skóry i Marcella pragnęła tylko, żeby ją zdjął; chciała zatracić się w tym uczuciu, za którym tęskniło jej całe ciało.

- Kiedy mężczyzna i kobieta się spotykają, jest to spotkanie, prawda? - spytał cicho.

Spróbowała uśmiechnąć się cynicznie, ale Scott położył już dłoń między jej nogami. Z ust Marcelli wyrwał się jęk. Zbyt mocno łaknęła seksu, by móc się uśmiechać.

Nawet gdyby zechciała się teraz wycofać, jej ciało by na to nie pozwoliło. Pragnęła odpocząć po wspaniałym lunchu, po całym tym karkołomnym dniu, a szampan świetnie temu sprzyjał. Chciała mieć na sobie nagie ciało Scotta, czyste, silne, słodko pachnące. Chciała poczuć między nogami tę starannie przystrzyżoną brodę, jego język dotykający jej tam, gdzie aż do bólu pragnęła być teraz dotykana.

Patrzył na Marcellę jak na dzikie zwierzę i próbował czytać w jej myślach. Nie mogła dłużej znieść napięcia i osunęła się na podłogę. Uklękła przed nim śmiesznie bezbronna. On także opadł na kolana, nachylił się ku niej. Otworzyła usta przed jego ustami. Dłoń Scotta wsunęła się pod jedwabną sukienkę. Nic nie było ważniejsze od tego pierwszego dotyku. Rozsunęła nogi, otworzyła się przed nim, a Scott wsunął palce pod jedwabne majtki i z wahaniem dotknął samego rdzenia jej istoty. Oddała się rozkoszy przy akompaniamencie krótkich, gwałtownych oddechów. Wstała, by przez głowę mógł ostrożnie ściągnąć z niej sukienkę. Zdjął też majtki i stanik, po czym uklękł, by obejrzeć jej ciało. Piersi Marcelli czekały na jego usta, sutki były niemal

boleśnie wyprężone i czułe. Ukrył między nimi twarz, przyciskając czubki piersi do zamkniętych powiek. Rozebrał się, a ona zdjęła kolczyki, zegarek i obrączkę. Pragnęła tylko dotyku jego nagiej skóry.

Za każdym razem, kiedy kochała się z nowym mężczyzną, dowiadywała się czegoś o sobie. Teraz zdała sobie sprawę, że lubi być oglądana, kiedy jest naga, że znajduje przyjemność, gdy widzi reakcję na swe krągłe kształty, gdy patrzy, jak członek prostuje się powoli sztywniejąc w erekcji. Scott położył się na plecach na podłodze i szepnął:

- Połóż się na mnie delikatnie, tak żebyś najpierw dotknęła mnie cycuszkami...

Jego polecenia i słownictwo wywołały w Marcelli nowy wybuch pożądania. Nachyliła się nad Scottem i powoli obniżyła ciało, aż czubki jej piersi zawisły tuż nad potężną klatką piersiową. Drżąc pod wpływem laskotania jego włosów, spróbowała dopasować ich sutki. Poczwała między nogami dotyk członka; ujęła go w dłonie gotowa na jego przyjęcie. Pragnęła, by przyniósł jej to doznanie, za którym od tak dawna tęskniła. Wprowadziła go w siebie, witała, napawając się cudem jednoczenia się z mężczyzną delikatnie, dokładnie tak jak chciała, powoli, ostrożnie, ze wstrzymanym oddechem. Przez kilka chwil Scott tkwił w niej nieruchomo. Jęczał. Kiedy obrócił się i położył na Marcelli, nie opuszczając jej, pragnęła tych głębokich zanurzeń. Rozpoczął je, ocierając się pierś o jej piersi, podtrzymując jej plecy silną ręką. Każde zanurzenie wywoływało w Marcelli spazm rozkoszy. Zapragnęła, żeby jeszcze zwiększył napór, żeby zmiażdżył ją swym pożądaniem. Napierała na niego krzycząc, a Scott prowadził ją na sam szczyt pragnienia. Unosiła się z ustami otwartymi w niemym wołaniu, z mocno zamkniętymi oczami. Czuła, że dozna cudownego, hojnego spełnienia. Po kilku sekundach razem je osiągnęli. Jej ciało było niewiarygodnie otwarte na tę intensywną falę przyjemności, brodata twarz Scotta ocierała się o jej policzek, prawie go raniąc, a serce Marcelli galopowało w rytm doznań, które ją miażdżyły, pozostawiały drżącą z rozkoszy.

Dotyk grubego dywanu powoli przywracał ją do rzeczywistości. Spojrzała na przystojną twarz Scotta, który z zamkniętymi oczami napawał się ostatnimi chwilami miłości. Czy mogłaby zakochać się w kimś takim? Popatrzyła na jego dłoń. Oczywiście, nosił obrączkę... ale przecież ona też!

Wiedziała, że nie uda jej się złapać taksówki, a kiedy wreszcie ją złapała, droga do domu oczywiście była pełna czerwonych świateł i korków. Wiedziała, że Harry nie wróci tego wieczora późno, bo po raz pierwszy wyjdzie z pracy wcześniej. Nie pomyliła się ani na jotę.

- Gdzie, do cholery, byłeś? - wrzasnął Harry, kiedy wróciła do domu.

Sąsiadka przyproceedziła dzieci o siódmej, a one, wyczuwając gniew ojca, wybuchnęły płaczem, odkrywwszy, że w domu czeka na nie tylko on. Gdy zrzuciła buty i tuliła dzieci, umysł Marcelli pracował szybko.

- Byłam w centrum i nagle w pociągu zakreśliło mi się w głowie. Pomyślałam, że zemdleję, więc wysiadłam. Potem nie mogłam się zmusić, żeby wejść do nagrzanego pociągu, więc musiałam czekać wieki na taksówkę...

Mówiła prawdę; kręciło jej się w głowie. Od seksu!

- Dlaczego się tak wystroiłaś? Kiedy kupiłaś tę sukienkę?

- Dzisiaj! - skłamała, prowadząc dzieci do ich pokoju. - Podoba ci się? - zawołała wesoło przez ramię.

Dwoje zawodowców zapewniło ją, że osiągnie sukces, bogactwo, uznanie. Przystojny mężczyzna kochał się z nią w cudowny sposób, w pełni zaspokoił jej zmysły. Nie musiała się dłużej bać Harry'ego.

- Dlaczego nie przygotowałaś dzieci do snu? - spytała, kiedy wszedł za nią do pokoju. - Przynajmniej Soni! Wiesz, jaka się robi, kiedy...

- Miałem paskudny dzień! - Harry odwrócił się ze złością. - Nastąpił kryzys na rynku srebra i straciliśmy kupę pieniędzy. Nie wiem, jak sobie radzić z tymi dziećmi, kiedy zaczynają wrzeszczeć. Myśleliśmy, że miałaś wypadek, czy coś takiego... - powiedział burkliwie.

- Zaczynj robić dla nas kolację, dobrze? - krzyknęła niedbale, rozbierając Sonię. - Trzeba tylko włączyć kuchenkę, to wszystko...

Na szczęście pomyślała zawczasu, żeby przygotować coś, co wymagało tylko podgrzania.

Mark przyglądał się jej oskarżycielsko, kiedy ubierała Sonię w piżamę.

- Myśleliśmy, że nas porzucisz!

- A czemuż to? - spytała, kładąc półuspioną Sonię do łóżka, odwróciła się do syna. Siedział na komodzie, machając nogami. Oczy błyszczały mu od wypłakanych łez. - Niebawem skończysz osiem lat, kochanie, i chcę, żebyś się zachowywał jak dorosły chłopiec.

Przytuliła go, a Mark przylgnął do niej, objął ją nogami, kiedy niosła go do kuchni.

- Jak możesz myśleć, że mogłabym porzucić którekolwiek z was? - szepnęła mu we włosy. - Zwłaszcza ciebie!

Znowu go przytuliła. Właśnie takimi słowami przywiązywała do siebie syna.

- Podoba mi się kolor twojej sukienki - powiedział Mark, kiedy weszli do kuchni, gdzie siedział Harry z marsem na czole.

- Tak? - postawiła Marka na podłogę. - Taty najwyraźniej ona nie interesuje... - Pochyliła się nad kuchenką. - Och, Harry, to o wiele za wysoka temperatura!

Spraw, żeby czuł się winny - myślała. - Nie daj mu szansy na atak.

Po kolacji Marcelli udało się zamknąć w łazience, jej małym sanktuarium prywatności.

Wzięła gorącą kąpiel, by usunąć żądzę z ciała. Powtórnie przeżywała to niewiarygodne popołudnie. Miała wrażenie, że wróciła z księżycy. Wszystko musiała zachować dla siebie, o niczym nie mogła powiedzieć Harry'emu.

Następnego dnia rano, kiedy przyszła do domu po odprowadzeniu dzieci do szkoły, zadzwonił telefon.

- Dobry był? - zatrzeszczał z drugiej strony Manhattanu głos Amy. - A może zachowywał się przyzwoicie? Mówił o umowie? Padły jakieś liczby?

Marcella westchnęła głęboko. Oto cena za wejście do elity społecznej - osobiste pytania, które jej matka nazwałaby zwykłym wścibstwem.

- Podjął małą próbę poderwania mnie - skłamała. - Powiedziałam ci, że w moim życiu nie ma miejsca na romans. Miałam dość kłopotów z powodu samego lunchu!

- Zazdrosny mąż, co? - jęknęła Amy. - Och, to nie do zniesienia! Chcę, żebyś była moją nową przyjaciółką. Mam ochotę zagrać rolę Pigmaliona i patrzeć, jak dostajesz wszystkie przysmaczki, które ci się należą. To będzie takie urocze, widzieć, jak przechodzisz przez to samo co ja kiedyś: będę się cieszyć wszystkim pośrednio. Wywarłaś duże wrażenie na Scotcie, więc machnij ten konspekt i wyciągnijmy od niego trochę forsy, póki jest na ciebie napalony. Daj sobie na to miesiąc! I zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała omówić z kimś akcję powieści.

- Postaram się - obiecała Marcella. - I dziękuję, Amy, za najcudowniejszy lunch w moim życiu!

- Och, nie będzie ci tego brakowało, kochanie! Amy odłożyła słuchawkę.

Później zadzwonił Scott i zapytał, czy będą się spotykać.

- Masz swoje małżeństwo - powiedziała.

- Co z tego? Czy tego samego nie można powiedzieć o wszystkich zainteresowanych?

- Tak, cóż, ja nie podrywam facetów... - odparła idiotycznie.

- Naprawdę? - zaśmiał się Scott. - Mnie udałoby ci się poderwać.

- To znaczy, że było ci dobrze? - Nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

- A jak myślisz? - spytał ochryple. - Życie redaktora zazwyczaj nie jest tak frywolne. Najczęściej po prostu redagujemy.

- W tym właśnie problem, Scott - odparła. - Ja nie jestem frywolna. To była wina szampana. Dwie butelki!

- Szkoda - stwierdził. - Ale spotkamy się, Marcello. Amy mówiła, że za miesiąc dostarczysz mi konspekt. Mam nadzieję, że przedtem porozmawiamy?

Po odłożeniu słuchawki postanowiła zaprosić rodziców w najbliższy weekend na swą prywatną uroczystość. Zrobi lazanie, tak jak lubi ojciec, wypije mnóstwo Chianti, a może potem, w alkoholowym zaćmieniu, Harry zdoła ugasić część ognia, jaki szalał teraz w jej ciele.

Podczas sobotniego obiadu panował wesoły nastrój. Nawet Harry był w dobrym humorze. Śmiali się, pili i jedli jak rodzina Balduccich na obiadach wydawanych przez Aldo.

Jak zwykle, natychmiast po deserze Ida zerwała się do zmywania naczyń, chociaż Marcella błagała matkę, żeby zostawiła to dla niej. Jednak wykonywanie prac domowych było wszystkim, co Ida potrafiła dawać. Oprócz utulenia wnuków i położenia ich do łóżek w ten właśnie sposób mówiła: „W tym kobiety są najlepsze...” Część duszy Mar-celli zawsze się przeciwko temu buntowała.

Aldo wypytywał Harry'ego o sprzedaż terminową, a Marcella przysłuchiwała się, ponieważ zawsze pragnęła zgłębić tajemnicę terminowej sprzedaży wieprzowiny i soku pomarańczowego.

Ida niecierpliwie chwyciła stos brudnych naczyń.

- Poczekaj, mamó. - Marcella poklepała matkę po ręce. - Chcę tylko tego posłuchać.

Zawsze fascynowało ją, jak Harry się ożywia, kiedy rozmowa dotyczyła jego pracy lub pieniędzy. Czyżby to ona sprawiła, że czuł się tak niemęski, że tylko pieniądze nadawały mu ważności?

Ida rozpoczęła serię kursów do kuchni, za każdym razem biorąc większą stertę naczyń. Wreszcie Marcella wstała, żeby jej pomóc.

- Istnieje ruch wyzwolenia kobiet, wiesz? - powiedziała półzartem przy zlewie. - Kobiety nie zawsze zmywają naczynia, kiedy mężczyźni rozmawiają. Czasami mężczyźni nawet pomagają!

Ida potrząsnęła głową.

- Zawsze chcesz być inna, Marcello? - spytała, zlewając rondel gorącą wodą z płynem do naczyń.

Marcella pokręciła głową i zajęła swe zwykle miejsce po

lewej stronie matki, by wycierać naczynia. Pragnęła opowiedzieć o swym triumfalnym tygodniu, ale wiedziała, że spotkałaby się z dezaprobatą Idy. Ojciec byłby z niej dumny, gdyby wiedział. Kiedy wróciły do „mężczyzn”, Marcella uklękła przy Aldo i objęła starszego pana.

- Wspaniały obiad - pochwalił.

Przed wyjściem Harry pokazał Idzie śpiące dzieci. Aldo podszedł do córki.

- Masz dwójkę pięknych dzieci, a Harry to dobry człowiek - powiedział, wsuwając jej do ręki banknot dwudziestodolarowy. - Masz, kup im coś...

- Dziękuję, tato. - Pocałowała go. - Markowi świetnie idzie na lekcjach gry na fortepianie.

- Mamy muzykę we krwi - pokiwał głową Aldo. Spojrzała na ojca, pragnęła opowiedzieć mu, że jej życie wkrótce miało się zmienić w sposób, którego nawet ona jeszcze nie rozumiała. Że miała zamiar kołysać łódką, wzburzać fale, robić rzeczy, przed którymi ją przez całe życie ostrzegano.

- Dwa aniołki - stwierdziła Ida, owijając się szalem, choć wieczór był ciepły.

Marcella naląła sobie resztkę wina i wypła. Było za słodkie, nawet w przybliżeniu nie tak magiczne jak francuski szampan, który piła z Amy w zeszłym tygodniu. W zeszłym tygodniu? Wydawało się jej, że to kilka wcieleń temu! Harry zaproponował, że odprowadzi teściów do domu, ale zapewnili, że dadzą sobie radę.

- W takim razie zadzwońcie po powrocie - poprosiła Marcella.

Zamknęła za nimi drzwi z lekkim westchnieniem, po czym odstawiła naczynia na miejsce.

W łazience przyjrzała się w lustrze odbiciu swego nagiego ciała. Zachowuj formę - upomniała się. - Utrzymuj dobrą figurę. Obejrzała piersi, próbując zobaczyć je tak, jak Scott widział je pierwszy raz. Zastanawiała się, czy atrakcyjnie wtedy wyglądały.

Harry leżał na łóżku w bieliźnie i czekał. Już nawet nie próbował wprowadzić jej w romantyczny nastrój. Jego ciało w bieliźnie leżące na pościeli oznaczało po prostu, że mieli



się kochać. Zgodziła się, ponieważ gdyby odmówiła mógł się stać nieprzyjemny. Prościej było to robić. Zwilżyła perfumami szyję, piersi i ramiona. Postanowiła pamiętać o Scotcie i podnieceniu, jakie w sobie nawzajem wznieśli, o tym, jak polecił jej położyć się na nim nagim ciałem. Zaczęła kłaść się na Harry'ego w ten sposób, ale szybko odwrócił pozycję i przygniótł Marcellę całym ciężarem. Usiłowała nadal fantazjować. Zgrabne, opalone ciało Scotta. Muśnięcia jego brody. Sposób, w jaki dotknął jej, najpierw z wahaniem, jak otworzyła się przed nim... Harry ściągnął majtki i, jak zwykle, zadając jej ból, wszedł w nią, nim była gotowa. Próbowwała go przyjąć, ocierając się o niego delikatnie. Dyszał jej w twarz, chrząkał głośno. Nagle zadzwonił telefon stojący przy łóżku. Marcella zdała sobie sprawę, że minęło dużo czasu od wyjścia rodziców. Odzywali się dopiero po godzinie. Sięgnęła po słuchawkę.

- W porządku? - spytała.

Obcy głos poinformował ją, że mówi pracownik pobliskiego szpitala, dokąd właśnie przywieziono jej rodziców.

Marcella usiadła, odepchnawszy Harry'ego.

- Dlaczego? Co im się stało? - krzyknęła.

- Mieli wypadek... - odparł mężczyzna.

- O, mój Boże! Poważny?

- Lepiej będzie, jeśli tu pani natychmiast przyjedzie!

Samochód prowadzony przez pijanego kierowcę, który już nie żył, zjechał na chodnik i przygniótł rodziców Marcel-li do ściany. Lekarze określili stan Aldo jako śmierć kliniczną. Patrzyła na matkę podłączoną do rurek i butelek, nieprzytomną, walczącą o życie. Marcella trzymała się kurczowo ramienia Harry'ego, sparaliżowana, niezdolna do płaczu. O trzeciej nad ranem podpisała zgodę na odłączenie ojca od aparatury podtrzymującej życie. W duszy jak krzyk w pustej zimnej nocy, dźwięczało jej tylko jedno słowo: nigdy, nigdy! Rozbrzmiewało wciąż na nowo, rozdzierając mózg Marcelli swą uporczywością, rozszarpało na zawsze jej duszę! W odrętwieniu czuła tylko jedno: oto kolejna kara za jej grzechy.

*Listopad 1978*

Ból był tak wielki, że Marcella ledwie zdawała sobie sprawę, że bierze udział w pogrzebie ojca. Wszyscy odnosili się do niej nadzwyczaj serdecznie. Wprawiali ją tym w zakłopotanie; nie wiedzieli, że ponosiła winę. Skoncentrowała się na ubraniu dzieci, bo nagle wydało się jej niezwykle ważne, by wystąpiły w nienaganych strojach, jak gdyby ich wygląd miał się stać oznaką szacunku dla jej ojca. Podczas długiej drogi na cmentarz, podczas obrzędu i spotkania, patrząc na dzieci, myślała, że ich dziadek nigdy nie zobaczy, jak rosną, grają na fortepianie, tańczą, kontynuują to, co półzartobliwie nazywał „tradycją Balduccich”.

Gdy już było po wszystkim, zostawiła dzieci z Harrym i pośpieszyła do szpitala, do matki. Idzie nie powiedziano jeszcze o śmierci męża. Przesypiała większą część dnia. Marcella wróciła do domu późną nocą, wyczerpana. Harry siedział w kuchni.

- Dzieci śpią - powiedział, podnosząc wzrok.

- Jadłeś coś?

Potrząsnął głową. Podgrzała zupę. Kiedy Marcella podawała krakersy, chwycił ją za rękę.

- Lubiłem go znacznie bardziej niż mojego ojca, Marce - wyznał.

- Wiem. - Pokiwała głową i podała zupę. - On też cię lubił. Uważał cię za syna, którego nigdy nie miał.

Przełknęła łyżkę zupy, ale nie czuła jej smaku. Co pewien czas ich oczy spotykały się, ale Marcella nie potrafiła

wyrazić słowami wszystkich splątanych myśli. Później chciała tylko patrzeć w telewizor i o niczym nie myśleć. Oto dlaczego małżeństwa się rozpadają - rozważała nocą w łóżku. - Jeden partner nie jest w stanie porozumieć się z drugim. Czasami to ja, czasami Harry. Nigdy nie przychodzi moment, w którym oboje czulibyśmy to samo, oboje pragnęlibyśmy się czymś podzielić, myślą czy dotykem. Harry zgasił światło i, może powodowany szacunkiem dla jej bólu, trzymał się swojej strony łóżka. Miała ochotę mu powiedzieć, że właśnie teraz chciała, by wziął ją w ramiona, ochraniał, zapewnił ją, że odtąd on będzie się nią opiekował, że będzie jej ojcem. Nie potrafiła. Jak bardzo nienawidziła małżeństwa! Jak bardzo ją zawiodło! Dotarła przez płacz do snu, a ból tkwił w niej jak ołowiana kula w brzuchu.

Jedyną pożyteczną rzeczą, którą mogła zrobić, było jak najdłuższe przebywanie przy matce w szpitalu. Przez pierwszy tydzień unikała niespokojnych pytań o ojca.

- Najpierw wydobrzej. Potem porozmawiamy o ojcu.

- Ale czy nie mogę go zobaczyć? Jak ciężki jest jego stan? - krzyczała Ida.

W końcu Marcella musiała skłamać i powiedziała, że Aldo walczy o życie. Kiedy lekarze zdecydowali, że matka jest gotowa usłyszeć prawdę, Harry zaproponował, że ją powie Idzie, ale Marcella czuła, że to jej obowiązek. Tego popołudnia wzięła matkę za rękę.

- Mamo, mam bardzo smutne wieści o tacie - zaczęła. - Czy jesteś gotowa, żeby je usłyszeć?

Ida spojrzała na łzy płynące po twarzy córki i ścisnęła mocniej jej rękę.

- Nie żyje, tak? - spytała.

Marcella przytaknęła. Ida kilkakrotnie pokiwała głową, jakby chciała sama siebie przekonać. Potem płakały.

- Nie byłam dla niego tak dobra, jak powinnam - łkała Ida, odwracając twarz. - Nigdy nie mogłam mu wybaczyć...

- Czego, mamo? - spytała łagodnie Marcella. Ale Ida potrząsnęła głową i mocno zacisnęła usta.

Pewnie jakaś inna kobieta. Cóż innego mogło to być?

- wyraziła przypuszczenie Amy.

Cztery miesiące po wypadku siedziała naprzeciwko Marcem' w szpitalnej kawiarni o wystroju w kolorze łososiowym. Absurdalnie czarująca w jasnozielonym zamszu, najwyraźniej próbowała, tak samo jak pastelowe wnętrza, wyglądać radośnie. Dotknęła ręki Marcelli.

- Kochanie, wiem, że to potworne stracić jedno z rodziców, ale ty tak ciężko to przechodzisz. Czy tak bardzo był ci bliski?

- Owszem. - Marcella skinęła głową. - Był kochającym ojcem, uroczym człowiekiem. - Przyjęła od Amy papierosa i zapaliła. - Ale nie to mnie rozkłada, Amy.

- Co, w takim razie?

Marcella spojrzała na przyjaciółkę. Amy dawała jej cudowne oparcie, dotrzymywała Marcelli towarzystwa podczas długich czuwań, kiedy Ida przechodziła trzy kolejne operacje nogi. Obecność przyjaciółki stanowiła pocieszające przypomnienie o wystawnym życiu, które teraz zdawało się znajdować poza zasięgiem Marcelli.

- Jej stan się poprawia, prawda? - spytała Amy.

- Tak twierdzą lekarze.

- Lekarze! - Amy prychnęła i rozejrzała się dokoła. - Jeśli kiedykolwiek zachoruję, przypomnij mi, żeby unikała tego miejsca. Nikt tu nie wygląda jak Richard Chamberlain! Przypuszczam, że nie masz żadnej wiadomości dla Scotta? O książce.

Marcella wzruszyła ramionami.

- Przysłał takie cudowne kwiaty. Wysłałam kartkę z podziękowaniem. Nie napisałam ani jednego słowa konspektu

- wyznała. - Czy mówił coś o mnie?

- Nic, oprócz zwykłych pytań. A co? - Amy nachyliła się bliżej. - Czy coś zaszło między wami?

Marcella zaciągnęła się papierosem.

- Powiesz mi, Marcello?

Marcella wzruszyła ramionami, i spojrzała na przyjaciółkę.

- Czemu nie? - spytała w końcu. - To i tak przydarzyło

się komuś innemu. Kochaliśmy się. Tamtego dnia po lunchu. W jego biurze.

- Mój Boże! - krzyknęła Amy. - Czy było dobrze?

- Tak! - Marcella pochyliła się gwałtownie do Amy.

- Tak, czy nie rozumiesz? Było cudownie! Boże, Amy, nie kochałam się w ten sposób od lat! On nawet nie jest w moim typie, ale pragnął mnie i to wystarczyło, żeby...

- Wiem. Więc w czym problem? Chyba się w nim nie zakochałaś?

Marcella chwyciła Amy za rękę i wpiła w nią wzrok.

- Czy weźmiesz mnie za wariatkę, jeśli coś ci powiem? Coś, w co szczerze wierzę?

- Oczywiście, że nie! - odparła Amy z oburzeniem.

- W takim razie przysięgnij! - rozkazała Marcella. Amy pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Dobra! Przysięgam, że nie wezmę cię za wariatkę! O co chodzi?

Marcella utkwiała wzrok w fusach po kawie.

- Kiedy pierwszy raz zdradziłam Harry'ego, czułam, że zostałam ukarana - powiedziała cicho. - Straciłam dziecko.

Scott był moją drugą zdradą i straciłam ojca. Może to tylko poczucie winy, ale gdyby cokolwiek przytrafiło się moim dzieciom...

- Marcello! - Amy objęła ją ramieniem. - Nie wierz w te bzdury o boskiej zapłacie! Powiedz, czy przyjaźnię się z pastorem Billem Grahamem, czy ze zmysłową, trzeźwo myślącą kobietą, która pisze najbardziej przepelnione erotyzmem utwory, jakie kiedykolwiek...

- Pisałam - przerwała jej Marcella. - Nie jestem pewna, czy jeszcze potrafię.

- Dlaczego? - Oczy Amy płonęły. - Boisz się, że uderzy w ciebie piorun? Doprawdy! - Odepchnęła Marcelle, rzucając jej wściekłe spojrzenie. - Nie potrzebujesz Boga, żeby cię karał, Marcello! Świetnie robisz to sama!

- Ale dlaczego to robisz? - spytała błagalnie Marcella.

- Naprawdę wierzę, że kobiety zasługują na seksualne równouprawnienie, równość i całą resztę!

- To musi być wynik twojego katolickiego wychowania,

kochanie - stwierdziła Amy. - Nie bądź dla siebie taka surowa! Ja w ciebie wierzę, bez względu na to, co się stanie! Marcella uścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Dziękuję, Amy. - Otarła oczy chusteczką. - Będę musiała jakoś to wszystko przetrwać, ale napiszę tę książkę! Znajdę siłę, kiedy moja matka stąd wyjdzie i nie będę musiała latać tam i z powrotem.

Amy podsunęła jej puderniczkę Chanel, by Marcella doprowadziła nos do porządku.

- Mmm, zapach bogactwa! Zapach innego życia! - westchnęła.

- To może być też twoje życie! - zapewniła ją Amy. - Po prostu napisz tę książkę! Chryste, gdyby Bóg niszczył wszystkich, którzy zdradzają współmałżonków, nie znalazłbym żywej duszy, a ludzkość by wyginęła. Twojego ojca zabił pijany kierowca, Marcello. To takie tragiczne i proste.

Kilka tygodni później Idę wypisano ze szpitala. Wprowadziła się do mieszkania Marcelli i Harry'ego. Dzieci zamieszkały w jednym pokoju. Ida chodziła o kulach i używała wózka inwalidzkiego. Droga na targ zajmowała cały ranek, lecz był to jedyny spacer Idy w ciągu dnia, okazja by spotkać się z przyjaciółkami z sąsiedztwa, toteż Marcella zawsze zabierała matkę na zakupy.

Po kilku tygodniach przenieśli do siebie dawne rzeczy Idy, a ubrania Aldo Balducciego rozdali biedakom. Wolny pokój, który Marcella miała nadzieję przekształcić w swój gabinet pisarski, należał teraz do matki. Marcella się nie skarżyła. Czowała się tak winna, że była szczęśliwa mogąc spłacić ten duchowy dług. Gdyby tylko zdołała w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo dzieciom.

Dzieci chodziły już do publicznej szkoły, ale Ida wymagała tyle czasu i uwagi, że stanowiło to nową przeszkodę w pisaniu. Oszołomiona środkami przeciwbólowymi i telewizją matka była irytująca Marcella usiłowała temu zapobiec, rozpieszczając ją. Wkrótce czuła się tak, jakby nigdy nie opuściła domu rodziców; przez znaczną część dnia siedziała przy Idzie, a wieczorem przygotowywała posiłki dla Harry'ego.

W ciągu następnego roku próbowała wrócić do świata swej powieści, na nowo odkryć postacie bohaterów jak dawnych zaniedbanych przyjaciół. Wcześniej kończyła prace domowe, stawiała maszynę do pisania na kuchennym stole, sączyła małą kawę espresso i atakowała klawiaturę w przyływie kofeinowej energii. Potem matka grzęzła z swym wózkiem w wąskim przedpokoju albo trzeba ją było zaprowadzić do toalety. Rano telewizor Idy wyrzucał z siebie nie kończącą się paplaninę mydlanych oper lub podniecone piski quizów. Jedynym cichym miejscem, gdzie Marcella mogła myśleć, był kościół i czasem szukała tam schronienia. Siadała, by milczeć w mrocznej ciszy, pozdrawiała skinieniem głowy ojca Carmello, który wiedział, że przychodziła tam z potrzeby samotności, i szanował to.

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Mark stanowił jej światło na zakończenie dnia. Podczas gdy Sonia była chłodna i zaabsorbowana sobą, Mark zdawał się wiedzieć, co czuła matka; patrzył jej w oczy, dotykał dłoni, wspierał Marcellę w przedziwnie dorosły sposób. Harry kupił mu stare pianino, by mógł ćwiczyć w domu. Chłopiec atakował instrument natychmiast po powrocie ze szkoły. O piątej, przygotowawszy obiad, Marcella brała ciepłą kąpiel, owijała się w szlafrok i kładła na łóżku Marka. Wbiegał do pokoju i przytulał się do niej tak mocno, że musiała się od niego odrywać, by złapać oddech. Grał dla niej Debussy'ego, Bacha i łatwiejsze nokturny Chopina. Codziennie dziękowała mu za „koncert” uściskiem i wyszeptanym wyznaniem, że jest światłem jej życia, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Mark nienawidził, kiedy wychodziła wieczorem i ten problem narastał. Chłopiec płakał bezradnie, ilekroć szła z Harrym do kina czy na kolację do jego przyjaciół. Rozgrywał się dramat rozstania, podczas którego Harry czekał niecierpliwie z zaciśniętymi ustami, a Marcella odrywała Marka od siebie. Miał już dziewięć lat i wiedziała, że takie zachowanie nie jest normalne. Nie mówiła Harry'emu, że Mark niekiedy wymiotował z nerwów. Wiedziała też, że wszystko to jest jej winą, zresztą Harry nigdy nie omieszkał jej o tym przypomnieć.

Boję się, że za bardzo kocham Marka - wyznała Marcella Amy podczas jednego z ich comiesięcznych lunchów, w przeszklonej ogrzewanej kafejce przy Columbus Avenue, w zimny kwietniowy dzień.

- Czy można za bardzo kochać dziecko? - spytała Amy.

- Pamiętaj, że ja nie mam dzieci.

Marcella nawinęła spaghetti na widelec i spojrzała na przyjaciółkę.

- Macierzyństwo oznacza, że pozwalasz dziecku dotykać świeżej farby, żeby nauczyło się, że jest świeża. Pozwalasz mu się oparzyć, żeby nauczyło się, że kuchenka jest gorąca. Oznacza siedzenie i patrzenie, jak pada na nos, krwawi, płacze... - Potrząsnęła głową. - Nie mogę pozwolić Markowi upaść na nos... jestem tam i chwytam go, zanim dotknie ziemi! Zbudowałam między nami tak bliski, ochronny związek, że Mark teraz nie chce mnie stracić z oczu...

Amy oparła się o futro z norek, które przewiesiła na krześle.

- Kiedy cię słucham, jestem szczęśliwa, że nie jestem matką. - Westchnęła. - Przypuszczam, że nic nie piszesz?

- spytała, kiedy kelner przyniósł kawę. Marcella potrząsnęła głową, zapalając papierosa.

- Lubię się upewnić, że matce niczego nie brakuje. Doglądam jej, rozmawiamy. Czy ty potrafiłabyś pisać w obecności matki?

Amy wybuchnęła śmiechem.

- Denerwuję się na samą myśl o tym, że siedzi w Miami i czeka na obiad.

Kelner położył dwa widelczyki obok przepysznie wyglądających kawałków ciasta. Amy zjadła kęs i zamknęła oczy.

- Mmm... - Nachyliła się z podnieceniem i ściszyła głos.

- Tuż koło mojego domu otworzono nowy klub - powiedziała. - Nazywa się Członkowie... bardzo prosty, bardzo intymny i bardzo drogi. Jest tam wszystko! Basen, sala gimnastyczna, restauracja, bar, dyskoteka i kino. Można tam spędzić cały dzień!

- A ty to robisz? - spytała Marcella. Amy wzruszyła ramionami.



- Zaczęłam chodzić, żeby trochę poćwiczyć. Zanim nie zorientowałam się, co się tam dzieje, parę razy poszłam do kina...
- A co się dzieje? - spytała Marcella, marszcząc brwi.
- Jakiś facet ociera się kolanem o moje kolano, czyjaś ręka dotyka mojej nogi... - Amy wykrzywiła twarz w grymasie.
- Takie historie. Nie jacyś zboczeńcy w płaszczach przeciwdeszczowych, ale ci przystojni, wytworni goście... członkowie klubu! Następnym razem, kiedy poczułam na kolanie czyjeś kolano, nie odsunęłam się, a wtedy czyjaś dłoń wylądowała mi na łonie!
- Amy! - krzyknęła Marcella. - Nie wierzę!
- Zaczęła się poruszać... - ciągnęła Amy, hipnotyzując Marcellę spojrzeniem zielonych oczu. -1 wiesz co? To było niesłychanie podniecające! Ten kompletnie obcy facet siedzący obok mnie, dostarczał mi cichej ręcznej stymulacji, superwprawnej i podniecającej...
- Amy! - przerwała jej Marcella. - To gorsze niż wszystkie twoje powieści!
- Amy wytrzeszczyła niewinnie oczy.
- Wobec tego nie będę mówić dalej... - stwierdziła i zajęła się ciastem czekoladowym. - Szokuję cię.
- Marcella przygryzła wargę.
- Posunęłaś się już tak daleko, że chyba możesz mi powiedzieć, co się stało!
- Amy się uśmiechnęła.
- Doznawałam takiej przyjemności, że pomyślałam, że nieuczciwie byłoby części nie zwrócić, więc położyłam rękę na jego kolanach! Czułam, jakbym wróciła do szkoły albo na tylne siedzenie samochodu. Wymieniliśmy... nazwijmy to „pieszczotami”. Wyszedł, zanim dowiedziałam się, jak się nazywa czy jak wygląda.
- Marcella kręciła w zdumieniu głową.
- Pozwoliłaś obcemu mężczyźnie dotykać się w kinie? Amy ściągnęła usta.
- Nie ujmuj tego tak wulgarnie! To luksusowy, bardzo drogi klub, pamiętaj. Byłe element nie ma tam wstępu. Fotele są wyłożone grubym aksamitem. W powietrzu unosi się

zapach cygar hawańskich i wspaniałej wody kolońskiej. Klub jest pełen zakątków i zakamarków, gdzie ludzie mogą się... no, poznawać. To niezwykle ekscytujące, Marcello! Byłam tam potem jeszcze kilka razy. Dokończyły ciasto w milczeniu.

- Nigdy, nigdy nie mogłabym zrobić czegoś podobnego!

- powiedziała Marcella.

- Ależ oczywiście, że byś mogła - zapewniła ją Amy z uśmiechem. - Gdybyś tylko poczuła się dostatecznie napalona. Wyrobię ci kartę członkowską. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy wyszły z restauracji, Amy otuliła się futrem i uniosła dłoń, by przywołać taksówkę.

- Jadę do Członków! - zachichotała. - W trakcie opowiadania poczułam potrzebę. - Kiedy podjechała taksówka, Amy szepnęła Marcelli do ucha: - Dość z karaniem siebie, kochanie. Jesteś piękna, utalentowana, spłaciłaś swoje długi. Proszę, Marcello, zależy mi na tobie i serce mi się kraje, kiedy cię widzę w tym stanie. Zadzwoń do mnie, dobrze? Marcella patrzyła w dal za jej kiwającą dłonią, a taksówka pognęła ku jakiemuś niewyobrażalnemu światu tajemniczego seksu. Wkrótce Marcella znalazła się w wilgotnym ciepłym metrze. Poczowała nienawiść do zmęczonej twarzy odbijającej się w oknie naprzeciwko.

To wszystko było oczywiście jej winą. Karała samą siebie, jak słusznie zauważyła Amy. Czy ten potworny wypadek nie zdarzyłby się, gdyby oparła się Scottowi? A jeśli ten kierowca upijał się co sobotę i po prostu pech sprawił, że jej rodzice szli tamtą ulicą właśnie tej nocy? Masz coś wyjątkowego

- mówiła sobie. - Nie strać tego! Tak łatwo jest to utracić i stać się równie bezbarwną jak cała reszta.

Wtedy, w tym brudnym metrze przyrzekła sobie, że ukończy powieść, choćby wymagało to nadludzkiego wysiłku.

Kiedy minęła róg swej ulicy, ujrzała w oknie twarz Marka: czekał na nią. Pomachała do syna. Został z babcią, a Harry zabrał Sonię na sobotni poranek baletowy. Tylko córka była w stanie zaciągnąć Harry'ego na balet - zrobiłby dla niej wszystko.

Zaparzyła kawy dla siebie i matki, słuchając paplaniny Marka o koncercie, który właśnie obejrzał na kanale trzynastym. Amy, olśniewająca i odnosząca sukcesy, nie miała dzieci i nie była blisko z matką. Pod wpływem tej myśli Marcella nachyliła się, żeby uściskać Marka i Idę. Przypomniała sobie o nowo powziętym postanowieniu. Nie chodziło jej o pieniądze: musi znaleźć uznanie jako pisarka, nawet jeśli zrobi to tylko po to, by Mark mógł być z niej naprawdę dumny.

Tego lata Gloria pozwoliła, by Harry się z nią kochał, i pokazała mu, jak się zarabia pieniądze. Korzystając ze swych kontaktów w innych firmach brokerskich, wymieniając informacje; przysługi i napiwki, wprowadziła go w ten mały, tajemny krąg ludzi z Wall Street działający według zasady „ręka rękę myje”.

Ich pierwsza wygrana wyniosła pięćdziesiąt tysięcy dolarów, którymi podzielili się po połowie. Gloria nalegała, by złożyli się na roczny czynsz wysokości dwunastu tysięcy dolarów za wynajęcie mieszkania w wysokościowcu na Manhattanie, gdzie stałoby tylko jedno królewskie łóżce.

- Niczego więcej nie będziemy potrzebować! - chichotała. - To dopiero początek, Harry - obiecała, leżąc w jego ramionach w upalne lipcowe popołudnie.

Zerknął na zegarek, a Gloria westchnęła z irytacją.

- Boisz się, że się spóźnisz? - spytała. - Co ona robi? - Przełoży cię przez kolano i da ci klapsa?

- Obiecałem, że odbiorę Sonię z lekcji tańca. - Posłał Glorii surowe spojrzenie. - To kilka przecnic stąd.

Gloria została odpowiednio utemperowana. O życiu z Harrym nauczyła się na pewno jednego: kiedy wspominał o Soni, na twarzy Glorii powinien się malować co najmniej szacunek. Zapaliła papierosa, a Harry odsunął się. Z ręką pod głową przyglądał się nagiej żarówce zwisającej z białego sufitu.

- Co właściciel tego mieszkania myśli o sposobie, w jaki je umeblowaliśmy? - zaśmiał się.

- Myśli, że jesteśmy biednymi nowożeńcami, którzy oszczędzają na kabriolet Castro! - zachichotała Gloria.

Przekręciła się na brzuch i opierała podbródek na piersi Har-

ry'ego. Obserwował prostacki sposób, w jaki paliła, jakże odmienny od stylu, w którym Marcella wydmuchiwała dym. W pełni uświadamiał sobie różnice dzielące te dwie kobiety i uważał, że potrzebuje ich obu. Był w stanie to osiągnąć, pod warunkiem, że zachowa należyta ostrożność. Jedną na chwile takie jak ta, a drugą po to, by jego dzieci miały dobrą matkę.

- Lubisz zarabiać ze mną pieniądze, co? - droczyła się z nim Gloria, bawiąc się jego uchem.

- Który facet by nie lubił? - Harry uśmiechnął się leniwie. Nigdy nie przypuszczał, że zarabianie pieniędzy może mieć tyle zmysłowego uroku. Kochanie się z Glorią stanowiło jedno z najwspanialszych doznań w jego życiu. Napawał się nową umiejętnością doprowadzenia kobiety do krzyku z rozkoszy. Sprawiania, że patrzyła na niego z pożądaniem, które inspirowało go do robienia wszystkiego, by ją zadowolić. W jakiś sposób utrzymywała go przez wiele minut na krawędzi rozkoszy, zmuszając, by odkładał orgazm, aż razem docierali na szczyt.

- To chemia - szepnęła mu na ucho. - Czysta seksualna chemia między nami, Harry. Dlaczego musiałeś się z nią ożenić? Dlaczego?

- No cóż byłem szczeniakiem... - zastanawiał się głośno. - Byłem w wieku, kiedy dzieciaki słuchają rodziców. Rewolucja nie dotarła do Little Italy, a teraz jest już za późno.

- Dlaczego? - krzyknęła Gloria.

- Hej, daj mi spokój, dobrze? - jęknął Harry. - Czy nie możemy spędzić czasu przyjemnie i nie urządzać przesłuchania na koniec?

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie możesz od niej odejść - powiedziała ponuro Gloria. - Patrzy się na ciebie z góry i tego samego uczy twoje dzieci!

- Nie moją córkę! - ryknął.

- Ona niszczy twój potencjał, Harry! - krzyknęła Gloria.

- Nikt nie niszczy niczego mojego - zaprzeczył. - Czy kiedykolwiek mówiłem ci, że jestem wolny? Na pewno nie będę wcześniej, niż moja córka dorośnie. To znaczy za dziesięć, dwanaście lat. Nie chcę, żeby moje dziecko czuło się porzucone, ani nie stać mnie na utrzymywanie dwóch

domów. Co innego, gdybym był dyrektorem i zarabiał sześćcyfrową pensję...

- Tylko o to chodzi? - prychnęła, gasząc papierosa w taniej popielniczce Azuma, którą kupiła. - Długim paznokciem nakreśliła linię na jego piersi. - Po prostu głupie, bezduszne pieniądze?

- Skoro są takie głupie i bezduszne, to dlaczego tak bardzo się podniecałaś, kiedy wpadło nam te pięćdziesiąt tysięcy?

- Ponieważ zarobiliśmy je wspólnie. Nie rozumiesz? - krzyknęła. - To właśnie było ekscytujące! I zrobię to z tobą jeszcze wiele razy, ale nie wtedy, kiedy przy pomocy tych pieniędzy będziesz ratował swoje małżeństwo. Pamiętaj, co ci powiedziałam pierwszego dnia, kiedyśmy się spotkali? Potrzebuję tylko jednego ambitnego faceta...

- Może nie jestem wystarczająco ambitny? - Harry wzruszył ramionami.

Próbowała się z nim droczyć.

- O, nie! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że jesteś! Pokręcił głową.

- Poza tym skąd wiesz to wszystko, Glorio?

Usiadła na materacu i oparła się nagimi plecami o chłodną ścianę.

- Jestem naprawdę ostra i mam niesamowitą pamięć - odparła. - Ten facet od analizy rynku bardzo mnie lubił.

Pokazał mi rzeczy, których nie powinien pokazywać. Wystarczy, że ktoś raz mi coś pokaże, a ja zapamiętuję.

- Jakie rzeczy? - spytał Harry. Gloria wzruszyła ramionami.

- Dostęp do komputerów, jak podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, jak zbierać informacje krążące po biurze. Podczas rozmów telefonicznych ludzie dają się ponieść i czasem nie zdają sobie sprawy z tego, kto się przysłuchuje. Jeśli jesteś na to nastawiony, jedno słowo może cię nakierować na coś naprawdę istotnego.

- Czy jestem pierwszym facetem, którego włączyłaś do tej zabawy?

- Nie. - Przyjrzała się Harry'emu. - Przed tobą zarobiłam trochę forsy z innymi facetami.

- Tak? - Uniósł brwi. - A co się z nimi stało? Siedzą w pudle?

- Mmm... - Pokręciła głową. - Obleciał ich strach, więc się wycofali. Przeszli do innych firm.

- Czego się przestraszyli? Mówiłaś, że nie ma żadnego ryzyka.

- Och, proszę! - Wstała, rozejrzała się za bielizną i zaczęła się pośpiesznie ubierać. - Ryzyko istnieje, kiedy przechodzisz przez ulicę, albo lecisz samolotem, prawda? - Naciągnęła przez głowę bawełniany sweter. Patrzył jak piersi bez stanika układają się równo pod materiałem. - Dobra strona ryzyka polega na tym, że może się opłacić. Jeśli będziemy ostrożni, możemy wyciągnąć... och... - Spojrzała na Harry'ego przez ramię. - Ile musisz mieć w kieszeni, żeby czuć, że możesz odejść od tej swojej żony?

- Musieliby mi przyznać prawa rodzicielskie w stosunku do córki.

- Wiesz, że nigdy by ci się to nie udało. - Gloria skrzywiła się. Wyjęła z torebki małe lusterko i uszminkowała usta.

- Dzieci prawie zawsze przyznają matce. Chyba, że miałbyś jakiegoś naprawdę drogiego adwokata. Albo gdybyś zabrał dzieci i po prostu zniknął.

- Zniknął? Gdzie? - spytał.

Wstał z jękiem i zaczął zbierać ubranie z podłogi.

- Nie wiem... - Naciągnęła buty. - Ameryka Południowa, Hawaje?

- Najpierw zaróbmy pieniądze, potem pogadamy. - Próbował nadać słowom żartobliwy ton, ale mówił serio.

Podeszła do niego, kiedy usiadł na niskim materacu. Schyliła się i trąciła go palcem w pierś.

- Ile, Harry? O ile gramy teraz?

Harry podniósł wzrok od zawiązywanych butów.

- Może dwa miliony? Podzielilibyśmy się dokładnie po połowie.

Żarliwe postanowienie Marcelli by pisać dodawało jej sił podczas czterech najcięższych lat jej życia. Wychowywała dzieci i pielęgnowała matkę. Oni zajmowali pierwsze miejs-

ce. Na drugim była powieść. Potem Harry. Uzależnienie matki od środków przeciwbólowych czyniło ją coraz trudniejszą w obyciu, ale Marcella nigdy się nie skarżyła. Czuła, że opiekując się matką, może zmniejszyć poczucie winy, które mówiło jej, że to z jej powodu Ida jest w takim stanie. Tymczasem Harry awansował w firmie raz po raz. Być może fakt, że nie zaspokajał jej jako kobiety, przesłonił Marcelli jego zdolności, ale przełożeni Harry'ego odkryli jego intuicję do sprzedaży terminowych, co owocowało kolejnymi awansami. Ilekroć odwiedzała go w jego własnym biurze, z prywatną sekretarką, chudą dziewczyną imieniem Gloria, która rzucała Marcelli i dzieciom zuchwałe spojrzenia, trudno jej było przyzwyczaić się do tego nowego wizerunku Harry'ego. MarcelU przyszło na myśl, że Gloria może być tą „inną kobietą”, co tłumaczyłoby późne powroty Harry'ego do domu oraz fakt, że jego seksualne roszczenia w stosunku do MarcelU spadły niemal do zera. Nie była zazdrosna. Ich małżeństwo osiągnęło punkt, w którym z zadowoleniem myślała o ewentualności, że Harry gdzie indziej zaspokaja głód zmysłów.

Panowała między nimi niepisana umowa, że żyją razem ze względu na dzieci.

Harry często nalegał, by Marcella znalazła większe mieszkanie w lepszej dzielnicy. Za każdym razem, kiedy oglądała nowe domy, rozważając za i przeciw, przeciw brało górę. Małe przyjemności matki sprowadzały się do podtrzymywania znajomości okolicznych ulic i sklepów. Zawsze, kiedy Marcella wychodziła, sąsiedzi dotrzymywali Idzie towarzystwa; trudno byłoby znaleźć nowych w innej dzielnicy. Pieniądze, otrzymywane od Harry'ego spożytkowała na odnowienie mieszkania i dodatkowe wizyty pielęgniarki, która masowała i kąpała Idę. To dawało Marcelli więcej godzin na pisanie; każdego popołudnia potrafiła wygospodarować czas, by zagłębić się w sobie w poszukiwaniu energu i miłości, jakich wymagała książka.

Zamierzała zatytułować powieść *W imię miłości*, by wyeksponować wszystkie czyny, dobre i złe, popełniane z tą motywacją. Uwielbiała swą główną bohaterkę, Manuelle, która niechcący zabija swego popędliwego męża, kiedy ten

ją gwałci. Podczas procesu zakochuje się w oskarżycielu, szlachetnym mężczyźnie o siwych skroniach, przez co ma dodatkowy powód, by udowodnić swą niewinność. Oskarżyciel wygłasza pełną współczucia mowę końcową, dzięki której Manuella otrzymuje wyrok z zawieszeniem, po czym zakochuje się w niej. Marcella czekała na odpowiedni nastrój, by napisać miłosne sceny w więzieniu i w sądzie, a końcowe spełnienie po odzyskaniu wolności przez Manuellę okazało się najlepszym, najbardziej erotycznym fragmentem, jaki kiedykolwiek wyszedł z pod jej pióra. Tworząc tę scenę, wezwała w duszy wszystkie kobiety, które miały czytać jej słowa. Wkładała w słowa całe serce, wyrażała w nich całą swoją tęsknotę i pragnienie.

### *Lipiec 1984*

Książka była skończona, a Marcella nie mogła się doczekać reakcji Amy. Odepchnęła uczucie rozczarowania, które towarzyszy większości pisarzy, kiedy kończą powieść i tracą swych najlepszych przyjaciół - bohaterów. W drodze do pobliskiego punktu usług kserokopiarskich układała w myślach niedbałą notatkę, jaką postanowiła załączyć do rękopisu, który wysła Scottowi. Minęło sześć lat odkąd go poznała! Sześć lat od czasu, kiedy po raz ostatni doznała satysfakcji z seksu!

Scott dzwonił do niej czasem, ale naprawdę wspierała ją Amy. Zapraszała Marcellę na lunch, zachęcała do pracy, pełniła rolę dobrej wróżki. To Amy zapisała ją „na całe życie” do erotycznego klubu Członkowie, lecz Marcella nigdy nie skorzystała ze srebrnej, laserowo zapisanej karty.

Nie mogąc znaleźć właściwych słów, jakie chciała napisać do Scotta, zadzwoniła do Amy po poradę.

- Żadnej notatki! - zarządziła Amy tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Wyślę swego szofera po oba egzemplarze i przeczytam powieść przed Scottem! Dopiero potem mu ją wyślę. O mój Boże, nie do wiary, Marcella, naprawdę skoń-



czyłaś! Odwołuję wszystkie spotkania na ten weekend i zagłębiam się w lekturze!

Weekend dłużył się Marcelli nieznośnie. W sobotni rano snuła się po mieszkaniu. Dzieci poszły z Harrym do kina, a ona czuła się dziwnie osierocona bez książki, którą mogłaby wygładzać na kuchennym stole. Zaparzała niezliczone kawy, zrobiła porządek w szafach w sypialni, zwracając uwagę na nowe drogie garnitury, niektóre szyte na zamówienie. Harry przemycił je, nic jej nie mówiąc. Każde z nas ma własne życie - pomyślała. Dobry tytuł na nową książkę, ale zbyt smutny. Dlaczego czuł się winny, kupując sobie nowe ubrania? Zarabiał pieniądze i miał prawo je wydawać. Okazał się hojny dla niej i dzieci. Sonia była teraz dwunastolatką oddaną baletowi, a czternastoletni Mark, przystojniejszy niż kiedykolwiek, chodził na prywatne lekcje gry na fortepianie i przejawiał prawdziwy talent. Przetrwiała sobotni wieczór, popijając wino i gotując skomplikowaną kolację dla zabicia czasu. W niedzielne popołudnie była nerwowa i drażliwa. Ile czasu zajmuje Amy przeczytanie tej cholernej książki? Gdyby jej się naprawdę podobała, chyba czytałaby przez cały wieczór w sobotę? Kazała Harry'emu wziąć dzieci do parku, a sama chodziła po mieszkaniu i zastanawiała się, czy zadzwonić do Amy.

Amy odezwała się o wpół do szóstej.

- Marcello, to absolutnie cudowne! - krzyknęła w słuchawkę podniecona, a Marcella poczuła, że zdjęto z jej ramion dziesięciotonowy ciężar. Zamknęła oczy i osunęła się na fotel.

- Naprawdę ci się podobała? Dlaczego zajęło ci to tyle czasu? - wykrztusiła.

- Chciałam czytać w przyzwoitym tempie, a nie przerzucać, jak najczęściej robię - odparła Amy. - Naprawdę ją uwielbiam! Jest nie tylko zmysłowa, chociaż to też w niej jest. Ma duszę i serce. Ubóstwiam twoich bohaterów. Bardzo chciałabym spotkać tego prawnika! Powinien go grać Harrison Ford, co? A Manuellę? Joan Collins?

- Jest za stara. Może Michelle Pfeiffer?

- Zbyt jasne włosy! No, na to będziemy mieli jeszcze dość czasu...
  - Co sądzisz o scenie, kiedy się w końcu Kochają? - spytała Marcella.
  - Uuuch! - krzyknęła Amy. - Musiałam ją czytać pod zimnym prysznicem! Ale teraz nie mówię ani słowa więcej, zanim Scott jej nie przeczyta. Umówmy się na lunch w La Cirque od jutra za tydzień. Wypijemy tyle szampana, że wypłynie nam uszami! Na koszt Volumes, rzecz jasna! I przyprowadź tego swojego męża, na miłość boską. Czas, żebyśmy się poznali. Ma się dowiedzieć, że jesteś pisarką, więc równie dobrze możesz go o tym powiadomić podczas dobrego posiłku.
  - Nigdy nie zgodzi się na poniedziałek - powiedziała Marcella. - Nawet kiedy idzie do ubikacji, boi się, że przegapi coś na giełdzie. Czy nie moglibyśmy się spotkać w sobotę?
  - Redaktor naczelny podejmujący swoją pisarkę i agentkę w sobotę? - krzyknęła Amy. - To naprawdę będzie coś! Scott nie mógł wybrać się na sobotni lunch wcześniej niż we wrześniu, ale obiecał, że przeczyta książkę podczas najbliższego weekendu w Hamptons.
- Marcella odważyła się powiedzieć Harry'emu o lunchu dopiero w piątek, kiedy włączył telewizor, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości.
- Jesteśmy zaproszeni na jutro na lunch w La Cirque, Harry - powiedziała niedbale. - Mam nową przyjaciółkę, Amy Jagger. Jest dość znaną pisarką. Wykładała na kursie dla pisarzy, na który kiedyś chodziłam i...
- Harry wstał.
- Kiedy chodziłaś na kurs dla pisarzy?
  - To był kurs pisania na maszynie i stenografii, pamiętasz? - kłamała w przypływie natchnienia. - Ale kiedy nauczyciel nie przyszedł, dołączono nas do grupy pisarskiej i słuchaliśmy wykładów. Amy była jednym z wykładowców, z którymi utrzymywaliśmy kontakty...
- Dojrzała podejrzliwość w oczach Harry'ego.

- Napisałam powieść - mówiła szybko dalej. - Amy zamierza być moją agentką i zająć się sprzedażą książki. - Jej wydawca chce się ze mną spotkać. I z tobą!

- A co ja mam z tym wspólnego? - spytał, marszcząc brwi.

Marcella zaśmiała się.

- Pomyślałam po prostu, że powinieneś tam być, żeby mnie ocucić, gdyby zaproponowały mi wydanie mego dzieła

- zażartowała. - Znalazłam sąsiadkę, która zostanie z Idą i z dziećmi. Proszę cię, chodź!

- Gdzie będziecie jeść?

- W La Cirque. Harry gwizdnął.

- Wiesz, ile ta knajpa liczy sobie za lunch? Marcella wzruszyła ramionami.

- Jestem pewna, że Volumes na to stać. Wydali miliony egzemplarzy powieści Amy.

- Czy to znowu twoje historie o seksie? - spytał.

- O, jest tam wszystkiego po trochu. Seks, morderstwo, cały kram...

- Chyba powinienem założyć krawat? - spytał, po czym wrócił do lektury gazety, a Marcellę ogarnęła radość.

Nie poszło tak źle. Może na swój śmieszny sposób Harry będzie z niej nawet dumny? Kiedy poszedł wziąć prysznic, zadzwoniła do Amy z prośbą, by przypomniawsza Scottowi, żeby ' nazajutrz zachowywał się tak, jakby dopiero poznał Marcellę.

Następnego dnia, w sobotę, w La Cirque było stosunkowo pusto. Przyszli wcześniej, a Harry natknął się niespodziewanie na szefa lokalu.

- Nie wiem, na jakie nazwisko mamy zarezerwowany stolik, ale i tak widzę, że jest mnóstwo wolnych...

- Scott MacEvoy - powiedziała szybko Marcella. Zaprowadzono ich do dobrego stolika i zaserwowano cocktaile. Obecność Harry'ego w jakiś sposób pozbawiła całe zdarzenie stylu. Wydawało się, że czuje się niezręcznie w swoim drogim garniturze, jakby ubranie należało do kogoś innego. Marcella wybrała wełnianą sukienkę koloru żurawi-

ny, nieco zbyt obcisła... Czy Scott w ogóle zauważy jej figurę? Czowała się onieśmielona i była wściekła na siebie, że reaguje w ten sposób, mimo że za pierwszym razem świetnie radziła sobie tu podczas lunchu. Jeśli jej wygląd zmienił się w jakikolwiek sposób, to tylko na lepsze; wciąż miała proporcjonalną figurę, kasztanowe włosy uczesane jeszcze korzystniej, a w oczach pojawiła się nowa głębia. Harry gwizdnął na widok cen w karcie.

- Proszę cię, nie rób tego - poprosiła.

- To byłby chyba mój pierwszy hamburger za osiemnaście dolarów - powiedział. - Albo są bardzo zainteresowani twoją książką, albo to bardzo kosztowna odmowa. Właściwie o czym jest ta powieść?

- Wątek głównym jest proces o morderstwo - odparła Marcella. - Pewna kobieta morduje męża i...

- Co to ma być? - przerwał jej Harry. - Spełnienie marzenia?

Uciszyła go na widok Amy wchodzącej w towarzystwie Scotta. Amy miała na sobie czarne spodnie, za duży czerwony blezer i swój znak firmowy, biały sweter z golfem z angory. Scott trzymał ją pod ramię. Amy przedstawiła go tak, jakby Marcella rzeczywiście widziała redaktora po raz pierwszy. Wypadło znakomicie.

- Bardzo miło mi panią poznać, pani Winton - grał Scott, wpatrując się jej w oczy przez krótką, błyszczącą chwilę.

- Proszę mnie nazywać Marcella - powiedziała, spuszczać wzrok.

- A to musi być pan Winton? - rozpromieniona Amy zwróciła się do Harry'ego.

- Harry - mruknął.

Scott prawie nie postarzał się od ich ostatniego spotkania. To nieuczciwe - myślała Marcella. Był równie przystojny, jak go zapamiętała. Oto mężczyzna, który umie nosić drogie ubrania - stwierdziła, zwracając uwagę na granatowy garnitur od Armaniego, przepyszny krawat w kolorze zieleni lasu i jasnobłękitną koszulę. W swoim konserwatywnym prążkowanym garniturze, Harry wyglądał, jakby o pięć lat nie nadążał za modą.

- Jesteśmy zafascynowani twoją żoną, Harry - oświadczył Scott, kiedy złożyli zamówienie.

Marcella widziała, jak Harry robi się chłodny i naburmuszony. Nie przepadał za obcymi mężczyznami, którzy mówili mu, że ma wspierać żonę.

Scott zachowywał się swobodnie. Kiedy kelner nalewał wszystkim szampana, Scott opowiadał dowcipy, poświęcał jednakową uwagę obu kobietom, nawet z Harrym rozmawiał na tematy zawodowe.

Amy śmiała się i flirtowała z Harrym, jakby uważała go za nieodparcie atrakcyjnego; ścisnęła jego dłoń, ilekroć wymamrotała choćby monosylabę. Nie odniosła na tym polu wielkich sukcesów. Od czasu do czasu Amy lub Scottowi udawało się trącić lub szczyptać Marcellę w kolano. Popijając wino, Marcella usiłowała strząsnąć z siebie atmosferę ponurości, którą wprowadzał Harry.

Czuła, jakby ich trójka odgrywała jakąś głupią scenkę, w której Harry w żaden sposób nie mógł uczestniczyć. Amy była w swoim żywiole, szczebiotała i chichotała, piła szampana i podsuwała Harry'emu kaski na swoim widelcu.

Harry cały czas jadł.

Podano deser i ceremonialnie nalano kawy espresso. Scott wyprostował się na krześle. Nadszedł czas omawiania interesów.

- Przeczytałem *W imię miłości*, Marcello - zaczął, przenosząc wzrok z jej twarzy na Amy, potem na Harry'ego, a potem znowu na Marcellę. - Dwukrotnie, żeby się upewnić, że się nie oszukuję, albo, że nie jadłem przed pierwszą lekturą szczególnie dobrego posiłku! - Wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Marcello Balducci Winton - skłonił oficjalnie głowę - masz talent. To najbardziej ekscytujący i komercyjny maszynopis, jaki czytałem od... no, od *Suwaków* Amy Jagger!

Amy pisnęła krótko. Marcella czuła, jak rozlewa się w niej ciepła fala przyjemności.

- A jeśli wam powiem, że dorosły, twardy Scott MacEnvoy płakał na końcu - ciągnął Scott - cóż, możemy sobie wyobrazić reakcję niezawodowego czytelnika! - Wzruszył

ramionami. - To książka na dziesięć opakowań chusteczek higienicznych!

- Scott! - krzyknęła Amy, chwytając go za szyję i udając, że go dusi. - Jeśli nie powiesz, ile proponuje Volumes, zsikam się w majtki!

Scott wybuchnął śmiechem.

- Panna Amy Jagger chce, żebym zaczął mówić o pieniądzach, i wcale jej za to nie winię.

Sięgnął do kieszeni na piersi.

Marcella zamknęła oczy. Miała wrażenie, że ta chwila rozciąga się jak fotografia topiąca się w ogniu. Nieważne, ile byli gotowi zaproponować, ważne, że docenili jej talent pisarski. Wszystkie bolesne odmowy były tego warte!

Ponieważ zawsze wiedziałam! - myślała. - Wiedziałam, że mam ten dar! Otworzyła oczy i zobaczyła, że Scott wyjął z kieszeni podłużną kartkę papieru.

- Oto chyba najlepszy sposób na wyrażenie naszego zachwytu dla *W imię miłości* - powiedział, kładąc czek na stole.

Amy zerwała się na nogi, zajrzała Scottowi przez ramię i wydała okrzyk, na który wszyscy goście w restauracji odwrócili głowy. Marcella usiłowała skupić wzrok na czeku. Wydawało jej się, że jest zapisany cyframi trzy.

- To jest jedna trzecia honorarium za pierwszy nakład - wyjaśnił Scott.

- Trzysta trzydzieści trzy tysiące dolców? - krzyknęła Amy. - innymi słowy, milion dolarów za książkę? Marcello, milion dolarów!

Serce Marcelli opuściło jedno uderzenie. Przez moment zdawało jej się, że straci przytomność. Kiedy ponownie spojrzała na czek, Harry trzymał go w obu dłoniach i studiował badawczo.

- Marcello! Scott! O Boże! Harry! - Amy wykrzykiwała kolejne imiona, ścisnęła wszystkich, biegnąc wokół stolika jak nakręcana zabawka, by w końcu opaść z powrotem na krzesło. - Scott! - wykrztusiła. - Nie mam zamiaru utrudniać ci sprawy! Zgadza się! Boże, już dawno powinnam była zostać agentką, tak świetnie mi to wychodzi! Milion za jej pierwszą powieść!

- Dlaczego ten czek jest wystawiony na Amy? - spytał nagle Harry.

- Harry! - wykrzyknęła Marcella z zażenowaniem.

- W porządku - uspokoiła ją Amy, zwracając się do Harry'ego. - Jako agentka twojej żony, pobieram swój procent, a resztę jej oddaję.

- Czy ja śnię? - zaśmiała się Marcella. - Amy, czy powinnam się uszczyplić?

- Po co tracić czas na szczypanie? - krzyknęła Amy.

- Mogłabyś pójść na zakupy! - Uniosła kieliszek. - Twoje zdrowie, kochana! Za sprzedaż dziesięciu milionów egzemplarzy *W imię miłości*

Właśnie dotykała kieliszkiem kieliszka Marcelli, kiedy Harry nieoczekiwanie wykrzyknął- Nie!

Stał, przyglądając się pozostałym. Amy zachichotała.

- Co się stało, Harry? Nie sądziłeś, że twoja żona potrafi zgarnąć taki szmal?

Harry wydał nieartykułowany dźwięk, po czym wyrwał czek z rąk Marcelli. Podarł go na drobne konfetti i wsypał strzępki do popielniczki.

- Ten czek był wystawiony na mnie! - krzyknęła Amy.

- Nie miałeś prawa tego robić!

Scott wstał i nachylił się nad stołem.

- Oszalałeś? - spytał Harry'ego. - Ten czek nie należał do ciebie! Ponowne wypisanie go będzie bardzo kłopotliwe...

- Nie ma takiej potrzeby, ponieważ ona go nie przyjmie

- odparł Harry. - Wiem, jakie ona rzeczy wypisuje. Jak myślisz, dlaczego mi tego nie pokazała? - Rzucił im pogardliwe spojrzenie. - To świństwa, prawda? Dlatego tak się podniecacie! Zawsze pisała takie rzeczy! Lubi się w nich babrać!

- Nie! - przerwała mu z krzykiem Marcella. - Nie czytałeś tego, nie wiesz! Och, ty zniszczyłybyś mi wszystko gdybyś tylko mógł! Ale nie jesteś w stanie mnie powstrzymać, Harry! To moja książka!

Harry rzucił swoją zmiętą serwetkę na stół, odwrócił się i wyszedł.

W restauracji zapanowała pełna zdumienia cisza. Inni goście, którzy oderwali się od jedzenia, by przyglądać się scenie, wpatrywali się teraz w Marcellę. W końcu, kelnerzy podeszli powoli, zebrali talerze deserowe i ponownie napełnili filiżanki kawą espresso.

- No... - wykrztusił Scott. - Czy to nie była scena z *W imię miłości*? Nigdy nie wierz, kiedy pisarka ci mówi, że jej twórczość nie jest autobiograficzna!

- Zamknij się Scott i zamów dla niej brandy! - Mruknęła Amy, obejmując Marcellę. - Ona się trzęsie. Chyba nigdy jeszcze...

- Przepraszam - szepnęła Marcella. Wstała i pobiegła do wyjścia, na ulicę. Dostrzegła Harry'ego o pół przecznicy dalej na Madison Avenue.

- Harry! - krzyknęła, biegnąc za nim. - Poczekaj! Dogoniła go na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej ulicy i Madison.

- Nie uciekaj tak po prostu! - Pociągnęła go, by spojrzeć jej w twarz. - To ważne! Po dzisiejszym dniu nasze życie już nie będzie takie samo! Czy nie możemy spróbować cieszyć się wspólnie tym dniem? W imię dzieci?

Harry uśmiechnął się ponuro.

- Sądysz, że dzieci będą dumne, że ich matka napisała świńską książkę? Sonia jest właśnie w wieku...

- Ona nie jest świńska, Harry! Możesz ją przeczytać. Jest tam seks i miłość, ale to nie...

- Skoro oni dają za nią tyle forsy? - prychnął. - To musi być jedno długie rżnięcie!

- Nie!

Spojrzała w jego błyskające wściekłością oczy i zrozumiała, że już się go więcej nie boi. Czy to właśnie robią z ludzi pieniądze? - myślała, czując przypływ niezależności.

- Uciekasz, bo zarobiłam milion dolarów! - krzyknęła. - To tego nie możesz znieść!

Potrząsnął głową, przysuwając do Marcelli twarz.

- Każdy, kto ją przeczyta, pomyśli, że to o nas, o tobie i o mnie - powiedział. - A jeśli to nie o nas, zaczną się zastanawiać, skąd wiesz tyle o seksie z innymi mężczyznami!



Pokręciła głową i roześmiała się gorzko.

- Wszystko to muszę sobie wyobrażać, Harry! - krzyknęła. - Od tak dawna żyję bez tego, bo ty nie zadałeś sobie trudu, żeby odkryć, czego chcę! To ty zrobiłeś ze mnie pisarkę, bo musiałam sobie wyobrażać to, czego nigdy nie dostałam!

Odwrócił wzrok, a jego usta wykrzywił ponury grymas, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

- To twoja opinia - warknął. - Są inne kobiety, które jej nie podzielają.

- Świetnie! - krzyknęła. - Idź w takim razie i znajdź sobie jedną z nich!

- Już to zrobiłem!

Odwróciła się, by odejść, ale Harry chwycił ją za ramię.

- Zawsze próbowałaś wywołać we mnie uczucie, że jesteś dla mnie za dobra, zbyt inteligentna jak na tępego syna irlandzkiego gliniarza. Ale powiedz, co dawało ci powód do wywyższania się? Twój ojciec gotował spaghetti! Czy to czyni go kimś lepszym niż...

- Nie waż się powiedzieć choćby słowa przeciwko mojemu ojcu! - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Zostałam z tobą ze względu na dzieci! Spełniłam swój obowiązek...

- Tak... i zawsze sprawiałaś, że czułem, że to był właśnie obowiązek!

- To moi rodzice kazali mi wyjść za ciebie, pamiętasz? - krzyknęła.

- Owszem, pamiętam - odparł gorzko. - Moi rodzice zrobili to samo. Nigdy nie przestałem tego żałować!

- Ani ja! - zawołała z płaczem.

Harry miał taką minę, jakby go uderzyła. Podniósł rękę do ciosu. Uchyliła się, a wtedy opuścił dłoń i odszedł.

Marcella stała przez chwilę, gryząc wargi. Czuła, jak gorące łzy stygną jej na twarzy.

Kiedy Marcella weszła do restauracji, Amy siedziała na krześle i rozglądała się po sali.

- Och, biedne maleństwo! - podbiegła do niej i zaprowadziła z powrotem do stolika. - Jesteś w szoku! Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczymy! Wypij trochę brandy, szybko!

Marcella osunęła się na krzesło i łyknęła bursztynowego płynu z kieliszka w kształcie bańki, który podsunął jej Scott.

- Co on powiedział? - spytała Amy.

- Nienawidzi tego, co piszę. Zawsze tak było - odparła Marcella, czując jak alkohol rozlewa się w niej gorącą falą. - Kiedyś przeczytał moje opowiadanie i mnie pobił. Od tamtej pory pisałam oczywiście w tajemnicy.

- Wspaniale! - Amy wychyliła swego drinka. - Bita żona zarabia milion dolarów! Jak myślisz, Scott, czy „Enquirer” to kupi?

Scott uciszył ją, obejmując Marcellę ramieniem.

- Ten facet jest niebezpieczny - powiedział. - Uważam, że jest trochę zaburzony.

- Wybaczcie mu, że zepsuł nasz cudowny lunch - przeprosiła Marcella. - Nie jest przyzwyczajony do takich rzeczy.

- Nie przepraszaj za niego. - Scott uścisnął ją. - Znajdź dobrego adwokata od rozwodów, wyprowadź się, zrób cokolwiek, bo będziemy cię promować! Czekają cię wywiady dla radia i telewizji, rozdawanie autografów w księgarniach, cały ten kram. Będiesz potrzebowała bez reszty swej energii!

Marcella spojrzała na niego. Nie potrafiła wybiec myślą poza najbliższy wieczór, kiedy czekała ją konfrontacja z Harrym.

- Słuchajcie, dzieci - oznajmiła Amy. - To wariactwo siedzieć tu i pić za te pieniądze, nawet jeśli płaci Volumes.

Mam w domu zupełnie przyzwoitą gorzałę.

Scott podpisał rachunek, a Amy poprawiła sobie makijaż. Marcella czuła się wyczerpana. Chciała świętować swój sukces z dziećmi i matką.

Na ulicy Scott ucałował je obie na pożegnanie.

- W przyszłym tygodniu wystawimy nowy czek - obiecał Marcelli. - Gratuluję! Powinnaś być bardzo szczęśliwą damą!

Szła w milczeniu obok Amy aleją Madison do Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, w stronę południowej części Central Parku. W pełnym luster luksusowym mieszkaniu Amy rozluźniła się na obitej atlasem sofie koloru moreli, a Amy naląła dwie porcje brandy.

- Zdrowie Marcelli Balducci, kobiety niezameężnej! Życie bez Harry'ego! - wzniosła toast Amy.

- Co masz na myśli? - spytała Marcella, podnosząc na nią wzrok.

Amy opuściła podbródek i zmarszczyła brwi.

- Chyba nie zamierzasz z nim zostać po tym małym przedstawieniu? Podarł twój czek, jakby był twoim strażnikiem!

- Zawsze miał ten irlandzki temperament - odparła Marcella, sącząc brandy. - Uspokoi się, kiedy mu wyjaśnię, że...

- Wyjaśnij najpierw mnie - Amy położyła Marcelli dłoń na ramieniu. - Czemu piękna kobieta z milionem dolarów miałaby choćby rozważać możliwość życia z mężczyzną... - Przerwała i pokręciła głową. - Gdyby to się zdarzyło w jednej z moich powieści, Scott by to wyrzucił w trakcie redakcji!

- Amy, straciliśmy dziecko. - Usiłowała wyjaśnić Marcella. - To takie okropne przeżycie, że łączy dwoje ludzi.

Nigdy nie mieszkałam sama, a myśl, że miałabym zacząć w tym momencie ...

- Ale nie byłabyś sama! - krzyknęła Amy. - Dzisiaj spałabyś tutaj. Jutro poszłybyśmy coś przekąsić do takiej knajpki w SoHo, gdzie przesiaduje wielu pisarzy. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ich miny, kiedy ogłoszę wiadomość o twoim milionie dolarów! W poniedziałek bierzemy nowy czek od Scotta, zapłacisz czynsz za mieszkanie z jedną sypialnią w tym domu i z głowy!

Marcella uśmiechnęła się.

- Zapomniałaś o dwójce dzieci i matce - półinwalidce, Amy!

- No, dobra. - Amy wzruszyła ramionami. - W takim razie wpłacisz czynsz za mieszkanie z trzema sypialniami! Jest takie na czwartym piętrze!

Marcella pokręciła głową.

- Nie jestem przygotowana na tyle zmian w ciągu jednego weekendu. Dzisiaj powiedzieliśmy sobie z Harrym kilka bardzo okrutnych rzeczy. Może ja też nie byłam w stosunku do niego całkiem uczciwa...

Amy jęknęła.

- Marcello, grasz rolę ptaszka, który nie potrafi opuścić swojej złoconej klatki. Z tego, co widziałam dzisiaj, twoje małżeństwo śmierdzi! Spójrz prawdzie w oczy! Odejdiesz od niego wcześniej czy później, więc dlaczego nie wcześniej?

Dlaczego nie wcześniej? Słowa przyjaciółki rozbrzmiewały echem w jej głowie, kiedy wpadła później do Bergdorfa, żeby kupić dla wszystkich prezenty. Pożyczyła od Amy sto dolarów, które szybko rozeszły się na jedwabny krawat dla Harry'ego jako daninę na zawarcie pokoju, mydło dla matki i słodycze dla dzieci. Do domu zafundowała sobie taksówkę. Harry zdążył już się chyba uspokoić - myślała, spoglądając na zegarek. Dziś w nocy porozmawiają o małżeństwie i wspólnie zdecydują, czy uda się je ocalić dla dobra dzieci. Mogliby zastanowić się nad tym, gdzie wynająć nowe mieszkanie i jak zainwestować pieniądze. Pozwoli mu czuć, że udziela jej rad. Była skłonna zrezygnować z seksualnego zadowolenia, aby utrzymać w swym życiu pewien ład i spokój.

Spojrzała na kupione podarunki w ślicznych opakowaniach. Pieniądze pomogą jakoś przetrwać najbliższe parę lat. Potem pomyśli znowu.

Kiedy zdecydowała się wejść do mieszkania, powitała ją cisza. Mark nie ćwiczył na fortepianie ani Sonia nie tańczyła, jak to zazwyczaj miało miejsce wczesnym wieczorem.

- Marcello! - zawołała matka. - Czy to ty? Poszła szybko do jej pokoju i otworzyła drzwi.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Ida. - O wpoi do piątej miałam wziąć lekarstwo, a nikt nie przyniósł mi nic do picia.

Nachyliła się, żeby poprawić poduszkę matki.

- Czy Harry z nimi wyszedł? - spytała.

- Wszyscy pocałowali mnie na do widzenia dawno temu - burknęła Ida. - Taki łomot i hałas! Miałam wrażenie, że cały dom przewraca się do góry nogami. Ubrał je bardzo ładnie. Dokąd się wybierali?

- Nie mam pojęcia... - zaczęła Marcella, a potem ogarnęło ją złe przeczucie.

Zostawiła matkę i pobiegła wąskim korytarzem do pokoju dzieci, upuszczając po drodze prezenty. Poczula, że żołądek podchodzi jej do gardła, jakby znajdowała się w opadającej windzie. Zanim jeszcze otworzyła drzwi, wiedziała, co zobaczy. Szafy dzieci były otwarte, opróżnione z ubrań. Pojedyncza zabawka czy skarpetka na łóżku i podłódze świadczyła o pośpiechu, z jakim się wyprowadzili. Schyliła się i podniosła wykochanego pluszowego misia, z którym sypiała Sonia. W pokoju Marcelli na poduszce leżała koperta z jej imieniem.

*Nie próbuj nas znaleźć. Dobrze się nimi zajmę. Lepiej niż ty to robiłaś. Harry.*

Wpatrywała się w kartkę. Przez chwilę treść nie docierała do Marcelli. W końcu sens przesączył się powoli aż do samych wnętrzości. Matka wołała, lecz w głowie Marcelli rozlała się czerń.

## KSIEGA DRUGA

Mark nigdy wcześniej nie żywił do ojca takiej nienawiści. Zazwyczaj udawało mu się nie zwracać na niego uwagi, ale teraz wiedział ponad wszelką wątpliwość, że ojciec jest kłamcą i postanowił już nigdy mu nie ufać. Kiedy samochód mknął autostradą wymienili z Sonią spojrzenia. Mark nie wiedział nawet, że ojciec ma samochód. Zdecydował, że musiał być to wypożyczony wóz. Mark zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Poznał to po sposobie, w jaki ojciec powrzucał ich rzeczy do walizek, nie składając ich jak mama, poznał to po niecierpliwym, pośpiesznym sposobie, w jaki ich zabrał z domu. Mama zapewne nic o tym nie wiedziała. Albo umarła. Mark nie wiedział. Wiedział tylko, że nie może ulec przemożnemu pragnieniu by się rozplakać, nie może zwymiotować, bo wtedy ojciec by się z niego śmiał i sprawy przedstawiałyby się jeszcze gorzej. Jeśli mama umarła... Przeklinał się za to, że nie powtarzał w myślach szczegółowo tej części wydarzeń, dzięki czemu byłby teraz na to przygotowany. Leżąc nocą w łóżku, myślał o tym, jak bardzo kochał matkę i często wyobrażał sobie jej pogrzeb. Łzy płynęły mu po twarzy, kiedy uświadamiał sobie, że utraci najważniejszą osobę w swoim życiu. Chciał się przygotować na wypadek, gdyby rzeczywiście to się stało. Teraz był wściekły na siebie za to, że nie przewidział sposobu, w jaki zostanie powiadomiony o tym potwornym wydarzeniu, nie przewidział, że to ojciec przyniesie mu tę wiadomość. Powinien był się przygotować na takie właśnie upiorne popołudnie, kiedy zostanie porwany nowym samochodem, bez wyjaśnienia, w nieznanym sobie kierunku.

Poczuł przyływ pogardy i przerażenia i rzucił ukradkowe spojrzenie na oczy ojca odbite w lusterku.

- Dokąd jedziemy, tato? - spytał, wcale nie mając takiego zamiaru.

- Mark, jeśli jeszcze raz mnie o to spytasz... - ostrzegł Harry. - Powiedziałem ci: zobaczysz, kiedy dojedziemy.

- Czy jesteśmy już prawie na miejscu, tatusiu? - spytała Sonia.

- Prawie, księżniczko.

Mark nie pojmował, dlaczego jego siostra przyjmuje to tak spokojnie. Podparłszy dłonią podbródek, wyglądała przez okno. Zauważyła, że brat jej się przygląda i powiedziała:

- Naliczyłam osiem białych samochodów!

Mark wzruszył ramionami. Nie rozumiała, że dzieje się coś okropnego. Sonia nigdy nie płakała, kiedy matka wychodziła. Tylko on to robił, a teraz czuł w związku z tym piekący wstyd. Postanowił nadać głosowi zdecydowane brzmienie i zadać inne pytanie, od postawienia którego powstrzymywał się w ciągu ostatniej godziny.

- Czy mama tam będzie?

Była to raczej myśl pełna nadziei niż pytanie. Długo czekał w milczeniu na odpowiedź. Może ojciec zastanawiał się, czy powiedzieć im prawdę? W końcu Mark zapytał:

- Czy mamie nic się nie stało?

- Czy mama żyje? - zaśmiała się Sonia, napierając na brata i przyglądając mu się złośliwie.

- Zamknij się! - Mark odepchnął ją, odpychając lęk targający jego sercem. - O niczym nie wiesz!

- Cisza tam z tyłu! - krzyknął Harry. - Mark, nie bij siostry! Zamknijcie się oboje!

Wydawało mu się, że jada godzinami; jego umysł obracał się tak szybko jak koła, usiłując przewidzieć rzeczy, które mogą ich teraz spotkać. Zastanawiał się, dlaczego życie zmieniło się tak nagle o trzeciej trzydzieści w to sobotnie popołudnie. Dlaczego mama, która wyglądała tak ślicznie, kiedy wychodziła z ojcem na lunch, nie wróciła?

Dlaczego?

Zaparkowali na podjeździe przy ulicy, gdzie stały bardzo



do siebie podobne domy. Panowała już niemal całkowita ciemność i Sonia spała głęboko. Nie obudziła się, kiedy Harry podniósł ją z tylnego siedzenia.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Mark, a jego wysoki głos rozległ się głośno na cichej ulicy.

- To jest wasz nowy dom - odparł Harry.

Nienawidził nowego domu, jeśli naprawdę nim był. Nienawidził też kobiety, która otworzyła drzwi i rozłożyła ramiona, jakby go znała.

- Cześć! - powiedziała.

Miała na sobie za dużo makijażu i wydawała się bardzo zdenerwowana.

- To musi być Mark! - krzyknęła, tuląc go. Stał sztywno w jej objęciach.

- Znasz Glorię, prawda? - spytał ojciec. - Spotkałeś ją w moim biurze.

- Cześć, Mark! - ponowiła próbę Gloria. Uśmiechnęła się, ale Mark wiedział, że tylko udawała miłą. Tak naprawdę była taka sama jak ojciec.

- A to musi być księżniczka! - zagruchała, wpatrując się w Sonię śpiącą w ramionach Harry'ego. - A ja muszę być królową, bo jestem jej nową mamusią! - zachichotała.

- Nie mów tego, Glorio! - warknął Harry. - Pokręci im się w głowach!

- Nic nie szkodzi! Mnie też się kręci! - odparła.

Mark zmarszczył brwi; czy dorosłym może się cokolwiek pokręcić?

- Wchodzicie?

Gloria otworzyła drzwi na oścież i weszli do domu pełnego nowych zapachów, domu o jasnych podłogach wyłożonych nowymi puszystymi dywanami. Ściany pomalowano na białą i żółto.

- Daj Markowi coś do jedzenia. Położę Sonię do łóżka - powiedział ojciec.

Nowa pani zaprowadziła Marka do kuchni, także zupełnie nowej. Leżały tam kanapki na dużym tekturowym talerzu, stały plastikowe kubki i karton mleka. Wręczyła mu talerz.

- Chcesz mleka? - spytała. - Mam czekoladę, jeśli lubisz.

Mark skinął głową. Wiedział, że lepiej sobie z nią poradzi, jeśli będzie udawał, że ją lubi. Dorośli tacy jak ona, którzy zwracali się do dzieci jak do niemowlaków, zawsze lubili cię bardziej, kiedy ty ich lubiłeś.

Patrzył, jak dodaje czekolady. Wręczyła mu słomkę. Był tak głodny i spragniony, że na moment zapomniał o lękach i jadł. Kiedy skończył kanapkę, podniósł wzrok i zobaczył, że kobieta mu się przygląda. Wpatrzył się w nią.

- Zupełnie nie jesteś podobny do taty - powiedziała. Większość ludzi nazwałaby ją ładną - pomyślał. Ale nie on. Miał najpiękniejszą matkę na świecie, a wszystkie inne kobiety stanowiły jej tanią, tandetną namiastkę.

- Przypominasz mnie sobie teraz? - spytała. - Widzieliśmy się kilka razy, kiedy odwiedzałeś biuro taty. Pracuję z nim!

- Jesteś jego sekretarką! Ale co... - Przerwał, zmieszany. Nie wiedział, jak ją spytać, co tam robiła i co oni robili w jej domu. Powiedział więc: - Co się stało z moją mamą?

- Nic się z nią nie stało, kochanie.

Wręczyła mu papierową serwetkę do otarcia ust, a Mark zrobił to automatycznie, nie spuszczając wzroku z kobiety.

- Twój tata pomyślał, że tutaj będzie wam lepiej, to wszystko! - powiedziała.

- Lepiej? - powtórzył, marszcząc czoło.

- Tak, no wiesz... - mówiła, kiwając głową. - Wygodniej.

- Nigdy nie będzie mi tu wygodnie! - krzyknął. - Chcę wrócić do domu!

- To już będziesz musiał ustalić z ojcem - odparła z niezadowolonym.

Ku swemu wielkiemu zażenowaniu poczuł dwie wielkie łzy płynące mu po policzkach, a za nimi dwie następne.

Kiedy pierwsze popłynęły, nie potrafił się już powstrzymać. Na dodatek uświadomił sobie, że dolna warga wykrzywia mu się w podkówkę. Pamiętał swe odbicie w lustrze, więc wiedział, że gdy płacze, wygląda komicznie.

- Och, kochanie... - Dotknęła go ostrożnie. - Spróbuj, dobrze? Może ci się tutaj spodoba! Będiesz naprawdę szczęśliwy!

To absurdalne przypuszczenie przekonało Marka, że mówili różnymi językami i rozplakał się jeszcze bardziej.

Przypuszczałam, że człowiek, który potrafi podrzeć milion dolarów, musi być odrobinę świrnięty! - wykrzyknęła Amy. - Potrafię rozpoznać błysk szaleństwa w oczach, a kiedy ujrzałam Harry'ego...

Marcella nie odpowiedziała. Jedną z korzyści przyjaźnienia się z Amy polegała na tym, że kiedy Marcella była zbyt zmęczona, żeby reagować, Amy reagowała za nie obie.

Był wczesny poniedziałkowy poranek. Marcella nie spała od dwóch dni. Nigdy przedtem gniew nie przeszkadzał jej zasnąć, ale teraz wściekłość na Harry'ego i nieustanny niepokój o dzieci przyprawiły ją o bezsenność. Skulona na krześle w kuchni Amy, przyglądała się, jak przyjaciółka parzy kawę.

- Zostaw to mnie, dobrze, Marcello? - Amy wręczyła jej kubek. - Mam koneksje, które z kolei mają swoje koneksje. Dziś jest normalny dzień pracy. Patrz, jak wkraczam do akcji!

Sięgnęła po telefon.

Marcella musiała przyznać, że Amy była cudem. Do południa porozumiała się z najlepszymi detektywami z najlepszych agencji, z najlepszym adwokatem specjalizującym się w sprawach o uprowadzenie dzieci oraz z najbardziej uczynną jednostką policji. Odłożyła słuchawkę, po czym rzuciła Marcelli żalosne spojrzenie znad szklanki.

- No - wydyszała, łykając wodę. - Przynajmniej się czegoś dowiedziałam! Wierz mi lub nie, ale Harry nie popełnił zbrodni! Ponieważ nadal jesteście małżeństwem, w świetle prawa oboje macie prawa rodzicielskie.

Marcella spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że mam tu po prostu siedzieć i stracić dzieci?

Zaczęła płakać, a Amy wstała, żeby ją otoczyć ramieniem.

- Wypłacz swoje małe serduszko, kochanie! - Tuliła Marcellę. - Oczywiście, że nie musisz tu siedzieć i na wszystko się godzić. Na początek wynajmiemy prywatnego detektywa. Poprosiłam też, żeby przysłali kogoś z policji, by można było złożyć wyjaśnienia. Będzie tu za godzinę.

Marcella poszła pod prysznic, próbowała wziąć się w garść. Przed przyjściem policjanta, Amy nakłoniła ją do zażycia połówki valium. Później Marcella zadzwoniła do domu i rozmawiała z matką, którą przez okrągłą dobę opiekowała się wynajęta przez Amy pielęgniarka. Ida zdawała się całkowicie usatysfakcjonowana wyjaśnieniem, że Harry zrobił dzieciom niespodziankę i zabrał je do ciotki w Kanadzie. Marcella udawała, że właśnie do nich dołączyła i że dzwoni z Kanady.

- Czy podoba ci się twoja pielęgniarka? - spytała matki.

- Och, jest cudowna! - odparła Ida. - Uczy mnie grać w karty!

Marcella odłożyła słuchawkę.

- Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów - powiedziała do Amy. - Wszystko jest takie dziwaczne!

Czuła się jeszcze dziwniej, kiedy przyszedł policjant i usiadł nieśmiało w salonie. Wysoki blondyn o dużych rękach, nieco przypominający jej własnego męża.

Łagodnym, przeproszającym tonem wyjaśnił, dlaczego nie można aresztować Harry'ego.

- Może pani tylko wszcząć postępowanie sądowe w celu uzyskania wyłącznych praw rodzicielskich - oznajmił.

- Ile czasu by to zajęło? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem dokładnie, ale taka sprawa mogłaby się ciągnąć przez kilka miesięcy... - Zamilkł na widok jej miny. -

Proszę pani, czy mógłbym udzielić pani małej rady? Widziałem wiele podobnych przypadków...

Marcella nachyliła.

- Ależ tak! - ponagliła go.

- Często się przekonujemy, że te rodzinne nieporozumienia rozwiązują się w ciągu kilku dni. Ojciec łapie dzieciaki

i wypada w gniewie, ale po dniu czy dwóch widzi jaśniej całą sytuację i... Cóż, proszę pani, nie znam pani dzieci, ale z dziećmiakami nie zawsze jest prosta sprawa. Możliwe, że już ma dosyć, jeśli zaczęły mu wchodzić na głowę, rozumie pani?

Marcella spróbowała się uśmiechnąć.

- Mam nadzieję, że ma pan rację. Ale to takie trudne... siedzieć tu i czekać bezradnie!

Policjant skinął głową.

- Ale czasem to najrozsądniejsze, co można zrobić. Pani mąż mógł przekroczyć granice stanu, a w każdym okręgu panują inne prawa. Pani mówi, że mąż je uprowadził, a on stwierdzi, że zabrał je na wakacje. Proszę czekać cierpliwie. Gwarantuję, że się z panią skontaktuje!

- No, to przynajmniej jakiś początek! - Amy próbowała ją pocieszyć, kiedy policjant wyszedł. Podsunęła jej kanapkę.

- Musisz coś zjeść, Marcello. Nie masz w żołądku nic poza czarną kawą. - Marcella ugryzła kęs. - Odzyskasz je w ciągu tygodnia, a potem sąd obciąży Harry'ego Wintona największymi alimentami, o jakich kiedykolwiek słyszał Manhattan!

Marcella zapaliła kolejnego papierosa i pozwoliła Amy trajkotać, wyliczać wszystkie rzeczy, które ona zrobiłaby Harry'emu, gdyby kiedykolwiek się jeszcze spotkali, wymieniając miejsca, w które by go kopnęła, między innymi „prosto w jaja!”

W poniedziałek wieczorem Marcella była zbyt wyczerpana, żeby nie spać. Wynajęły prywatnego detektywa, który miał spróbować ustalić miejsce pobytu Harry'ego. Myśl, że jej mąż i dzieci są tropieni niczym zbrodniarze, napełniała Marcellę silnym niepokojem, pobudzając jej wyobraźnię do kreowania pełnych przemocy scen pościgów samochodowych, gangsterów wymachujących bronią. Stale widziała przestraszone twarze Marka i Soni. Kiedy zadzwonił telefon, przez kilka sekund sądziła, że to część jej snu.

Odezwał się detektyw, by złożyć sprawozdanie z pierwszego dnia swej działalności.

- Czy wiedziała pani, że mąż zrezygnował z pracy przed dwoma tygodniami?

Nie, nie wiedziała. Każdego ranka Harry wychodził z domu o zwykłej porze. Odłożyła słuchawkę i zasnęła. Po dwudziestu minutach telefon zadzwonił znowu.

- Czy wiedziała pani, że kilka miesięcy temu mąż zarobił na giełdzie znaczną sumę pieniędzy? Według niektórych kolegów, bardzo znaczną.

Nie, nie wiedziała.

- Czy wiedziała pani, że mąż spotykał się z sekretarką nazwiskiem Gloria Defries?

- Słuchaj pan! - wybuchnęła Marcella przy trzecim telefonie. - Najwyraźniej mój mąż prowadził sekretne życie, o którym nic mi nie wiadomo. Nic mnie ono nie obchodzi! Chcę tylko odzyskać dzieci!

- Pani Winton - odparł detektyw cierpliwie - te szczegóły doprowadzą nas do pani dzieci. Może mąż planował rozpocząć nowe życie ze swoją sekretarką?

- Nie! - Teraz już krzyczała. - Nie. Nie!

- Co się stało, na Boga? - Amy wpadła do pokoju, kiedy tylko Marcella odłożyła słuchawkę.

Zapaliła papierosa i zrelacjonowała nowiny.

- Ze swoją sekretarką? - powtórzyła Amy, posyłając jej znaczące spojrzenie. - Co za banal! A więc nie tylko ty wiodłaś sekretne życie?

Marcella gwałtownie rozprostowała nogi i usiadła na brzegu łóżka.

- Amy, ja nie wierzyłam, że pracował choćby dwa razy w tygodniu, ale byłam tak pochłonięta książką, że nic mnie to nie obchodziło. Och, Amy! Po prostu mnie uprzedził, to wszystko! Kto wie, może to ja złapałabym dzieci i zostawiłabym go? Tylko zrobiłabym to delikatniej, dałabym mu prawo do odwiedzin i wyjaśniła parę rzeczy. To straszne, robić coś takiego dzieciom, które nie rozumieją, co się dzieje. Gdybym tylko wiedziała, jak się czują. Gdybym tylko mogła przy nich być i zapewnić je, że wszystko będzie dobrze.

Marcello? - Znajomy głos Harry'ego rozległ się tak blisko, że aż podskoczyła. Minęło pięć dni od ich zniknięcia, a Marcella wróciła już do swego mieszkania.

- Gdzie jesteś, sukinsynu? - krzyknęła. - Gdzie są moje dzieci?  
- Nie mogę sobie poradzić z twoim synem - poskarżył się Harry. - Jest niemożliwy! Nie przestaje płakać za mamusią, odkąd...  
- Daj mu słuchawkę! - zażądała. Usłyszała rwany głos Marka.  
- Kochanie? - spytała Marcella, czując, jak łzy płyną jej po twarzy. - Nic ci nie jest? Ani na sekundę nie przestałam myśleć o tobie i Soni. Wkrótce znowu będziemy razem, Mark, obiecuję. Czy z Sonią wszystko w porządku?  
Dotarło do niej jego głębokie, spazmatyczne westchnienie.  
- Nic jej nie jest - odparł. - Podoba jej się tutaj. Chcę wrócić do domu.  
- Tak bardzo za tobą tęsknię, kochanie - powiedziała.  
- Poproszę tatusia, żeby was oboje odesłał do domu. Powiedz siostrze, że ją kocham i pamiętaj, czym dla mnie jesteś!  
- Czym? - spytał.  
- Jesteś światłem mojego życia, kochanie. A teraz zachowuj się dzielnie wobec ojca i siostry.  
Kiedy Harry odebrał chłopcu słuchawkę, otarła łzy.  
- Czy zdajesz sobie sprawę ze szkody, jaką wyrządziłeś?  
- spytała. - Nie uda się tego naprawić!  
- Nie chciałem, żebyś wychowywała moje dzieci! - odparł.  
- Ach tak? - Poczula dławiacą ją kulę bezradnej wściekłości. - Sądysz, że ta twoja raszpla, sekretarka, poradzi sobie lepiej? Uzyskam nakaz sądowy i będę z tobą walczyć, choćbym miała na to wydać ostatniego centa. To moje dzieci, Harry i chcę je odzyskać. Natychmiast!  
Zapadła chwila ciszy.  
- Sonia chce zostać z nami - powiedział. - Z chłopcem nie daję sobie rady. Zmarnowałeś tego dzieciaka, Marcello. Byłem zbyt zajęty, żeby zauważyć, co z nim zrobiłaś. Jedno jest pewne, nie będzie mężczyzną.  
- Kimkolwiek będzie, wyrośnie na lepszego człowieka niż ty - odparła. - Na kogoś, kto zwraca uwagę na uczucia innych...

- Jestem gotów zawrzeć z tobą układ, Marcello.
- Masz zbyt duże kłopoty, żeby dyktować warunki! -krzyknęła. - Będziesz zmuszony uciekać ze stanu do stanu! Po prostu odeślij mi dzieci, zanim złamiesz im życie!
- Nie... - odparł. Marcella czekała. - Możesz wziąć swojego syna, ale ja zatrzymam córkę. To uczciwe, Marcello.
- Oszalałeś? - wrzasnęła. - Chcę ich oboje! Tu, ze mną, gdzie jest ich miejsce!
- Myślisz, że wyrok sądu będzie dla ciebie taki pomyślny? - zaśmiał się Harry. - Kiedy zobaczą, co wypisujesz? Mam dość pieniędzy, żeby kupić lepszego adwokata niż twój!
- Są bratem i siostrą, Harry - błagała. - Nie możesz ich rozdzielać. Sonia to jeszcze dziecko!
- Ona chce zostać ze mną - powtórzył zdecydowanie. - Nie daję ci wyboru. Mark będzie stał przy informacji na Penn Station dziś o siedemnastej trzydzieści. To wszystko!
- Nie zgodzę się na rozdzielenie ich. Harry, ja...

Ale w słuchawce rozległ się tylko ostateczny trzask kończący połączenie.

Tego popołudnia na Penn Station, kiedy pierwsza fala powracających z pracy wypełniła dworzec, Marcella dostrzegła Marka przy informacji. Wyciągnęła ręce, zobaczył ją i puścił się biegiem. Skoczył jej w ramiona i nie odrywał się, dopóki Amy ich nie rozłączyła.

Amy zaprosiła ich do siebie na herbatę. Kobiety opadły na kanapę i słuchały bezładnej opowieści Marka o minionych pięciu dniach - jak nie chciał jeść i jak ojciec coraz bardziej tracił do niego cierpliwość.

- Myślałem nawet o tym, żeby uciec w środku nocy, ale nie miałem dość pieniędzy i nie chciałem zostawiać z nim Soni. Ale i tak ją zostawiłem... - powiedział smutno.

Marcella nie puszczała jego dłoni. Drugą ręką sięgał po ciastka i mleko, podsuwane mu przez Amy.

- I Sonia naprawdę chciała zostać z tatą? - spytała w końcu Marcella.

Mark poważnie pokiwał głową.



- Ona lubi Glorię! Ja nie mogłem jej znieść. Amy spojrzała na Marcelłę i powiedziała szybko:  
- Ona nie wiedziała, co mówi. Nowa mama to odmiana na kilka dni, ale jestem pewna, że zechce wrócić do domu.  
- Czy dziecko może być tak okrutne? - zastanawiała się na głos Marcella. - Moja własna córka?  
Świadomość ta sprawiała ból, ponieważ kazała wejrzeć w uczucia, jakie Marcella żywiła do Soni. Kochała córkę, ale olbrzymia ulga po powrocie Marka upewniła ją, że w życiu każdej matki jest miejsce tylko na jedno pierwotne dziecko. Podczas gdy oddawała się tym ponurym rozmyślaniom, Amy oprowadzała Marka po mieszkaniu. Podobnie jak Marcella uwielbiał luksus i jasne kolory; doceniał radosną atmosferę, którą stworzyła Amy.  
Po powrocie do domu ubłagał Marcelłę, by pozwoliła mu spać z nią w łóżku. Po wszystkich przeżyciach, które musiały wywołać w chłopcu uraz nie widziała powodu, by odmówić. Nazajutrz Mark miał porozmawiać z detektywem, chociaż nie bardzo wiedział, gdzie znajduje się dom Harry'ego, a ponadto Harry i tak planował się przenieść. Tej nocy Marcella spała obejmując syna, rozkoszując się ulgą, że znowu jest bezpieczny. Całowała jego kark i zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miała przy sobie oboje dzieci.  
Następny tydzień przyniósł nieprzerwany strumień nowin od detektywa oraz wizytę dwóch oficerów w cywilnych ubraniach. Ci funkcjonariusze wcześniej jej nie nachodzili.  
- Sądziłam, że policja nie miesza się do tego rodzaju spraw - powiedziała, wprowadzając ich do mieszkania.  
- Słucham? - Łysiejący policjant z nadwagą zmarszczył brwi.  
- O której sprawie pani mówi? - spytał jego kolega.  
- Oczwiście o mojej córce... - odparła Marcella niepewnie. - W zeszłym tygodniu mój mąż uprowadził dzieci i teraz występuję na drogę sądową w celu... - Zawahała się widząc, że nie mają pojęcia, o czym mówi. - Panowie przyszli w sprawie mojego męża, prawda?

Policjanci przytaknęli.

- Firma pani męża wszczęła dochodzenie w sprawie obrotów w tym konkretnym dniu, kiedy kilku osobom z biura pani męża dopisało szczęście - wyjaśnił pierwszy oficer. - Mówię „dopisało szczęście”, ponieważ istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że szczęście odegrało tu pewną rolę. Najprawdopodobniej jednak ci ludzie posłużyli się poufnymi informacjami. Pani mąż nie jest jedyną osobą, która od tamtego dnia odeszła z firmy. Wymówiła jeszcze Gloria Defries, jego sekretarka, oraz dwóch innych pracowników, którzy opuścili kraj. Wszyscy są poszukiwani. Pani mąż nie ucieka, ponieważ ubiega się o wyłączność praw rodzicielskich w stosunku do córki.

- Jak poważna jest ta sprawa? - Marcella nagle usiadła.

- Wszystko jest możliwe, od dużej grzywny do kilku lat więzienia - odparł policjant ze wzruszeniem ramion.

- Świetnie! - skinęła głową. - Więc teraz, jeśli go złapiecie, Sonia będzie miała ojca w więzieniu.

Odprowadziła ich do wyjścia, poprosiwszy, żeby ją informowali na bieżąco. Była zadowolona, że podczas kryzysu zatrzymała pielęgniarkę dla Idy, ale i tak teraz nie miała czasu cieszyć się Markiem. Volumes podało do publicznej wiadomości wypłacenie jej rekordowej zaliczki, a gazety zaczęły huczeć, opisując powieść Marcelli jako „sensacyjną, romantyczną sagę kobiecą”.

Ludzie z najpopularniejszych programów telewizyjnych zgodzili się przeprowadzić wywiady z Marcellą po ukazaniu się książki, co dało jej dziewięć miesięcy spokoju. Scott dzwonił do niej kilka razy dziennie, prosząc, żeby przyszła do wydawnictwa, poznała zespół Volumes, omówiła szczegóły redakcyjne. Amy nalegała, by kupiła mieszkanie w jej budynku, które Marcella widziała i które jej się podobało. Gdyby się przeprowadziła, Mark poszedłby do pobliskiej szkoły, gdzie mógłby rozwijać talent pianistyczny. Akademia Muzyczna Jacinthe, liceum na East Side, które kładło nacisk na intensywne pozalekcyjne zajęcia muzyczne, zdawała się najlepszym rozwiązaniem, gdyby dyrekcja zgodziła się przyjąć Marka dwa tygodnie po rozpoczęciu semestru.

W końcu Marcella zebrała siły i podjęła kilka decyzji. Złożyła ofertę wykupu mieszkania cztery piętra pod Amy, gdzie mogłaby umieścić pielęgniarkę Idy w niezależnej części lokalu. W banku, w którym miała z Harrym wspólne konto, uzyskała pożyczkę na wpłatę hipoteczną, dając gwarancję w postaci kontraktu z Volumes. Mieszkanie było drogie, ale jej nowy księgowy powiedział, że wpłaty hipoteczne będzie można odpisać od podatku, gdy jeden z pokoi uzna się za miejsce pracy. Po przekazaniu wydawnictwu zredagowanej powieści Marcella miała otrzymać kolejną jedną trzecią miliona dolarów, więc utrzymanie miała zabezpieczone.

Do przeprowadzki do centrum przystąpili, kiedy tylko Akademia Jacinthe przyjęła Marka. Ida z pielęgniarką siedziały na tylnym siedzeniu Rolls'a Amy, a Marcella jechała za nimi taksówką wypełnioną po brzegi walizkami i torbami. Później Amy zabrała Marcellę do Bloomingdale'a, by kupić meble, kryształy, len i porcelanę. Beztrosko paplała o przyjęciach, których wydawanie należało do niepisanych obowiązków świeżo upieczonej pisarki. Po powrocie do domu Marcella odkryła, że matka jest całkowicie zagubiona; nie opuszczała pielęgniarki ani na krok, rozglądała się niespokojnie po nowym mieszkaniu, jakby się czuła intruzem i nie traktowała tego miejsca jako domu. Wieczorem, kiedy rozpakowywała z Markiem kartony, przerywali kilkakrotnie, by wyjrzeć przez okna na Central Park. Wydawało jej się nie do uwierzenia, że znajduje się tuż za jej oknem.

Zawahała się, kiedy w nocy Mark stanął w drzwiach jej sypialni.

- Musisz przyzwyczać się do swojego nowego pokoju, Mark. Jesteś za duży, żeby spać z mamusią!

- Proszę! - błagał z niebieskimi oczami nabrzmiałymi bólem. - Śnią mi się takie koszmary!

Czy to wina Harry'ego? - zastanawiała się w nocy, obejmując śpiącego syna w talii. Uczucie bliskości jego ciała było cudowne, ale Mark spał niespokojnie, budząc Marcellę,

kiedy koszmary kazały mu się do niej tulić, jakby ktoś próbował ich rozdzielić.

Detektyw powiadomił Marcellę, że Harry'ego wysłedzono w motelu pod Pittsburgiem, a dziewczynkę o wyglądzie odpowiadającym opisowi Soni, ale nazywaną Sonia Ashton, zapisano do szkoły w Massachusetts jako tymczasową uczennicę. Pojawiło się też kilka fałszywych tropów. Za każdym razem, zanim zdołano wysłać nakaz sądowy, para znikła. Harry stawał się specjalistą w robieniu uników, lecz Marcella przyrzekła sobie, że w razie potrzeby będzie go ścigać nakazami sądowymi po całym kraju. Umierała z niepokoju o córkę. Sonia nigdy nie przykładała się zbytnio do nauki. Cała ta historia musiała się fatalnie odbić na jej stopniach.

Więcej szczegółów działalności finansowej Harry'ego wyszło na jaw, kiedy szefowie jego firmy postanowili wystąpić na drogę sądową. Gloria Defries została odnaleziona w New Jersey i zatrzymana na okres przesłuchania. Jeden z policjantów, którzy odwiedzali dawniej Marcellę, powiadomił ją przez telefon, że Gloria będzie zeznawać jako świadek stanowy w zamian za umorzenie przeciwko niej dochodzenia.

- Ale dlaczego? Przecież żyła z moim mężem - powiedziała Marcella.

- Najwyraźniej posprzeczali się tego dnia, kiedy mąż oddał pani syna - odparł oficer. - Zeznała, że pani mąż zachowywał się w stosunku do niej agresywnie i że porzucił ją, odjeżdżając z córką.

Każdy telefon napełniał teraz Marcellę strachem. Jej córkę woził po całym kraju wściekły, agresywny człowiek.

Tak szybko została wrzucona w nowe życie, że przeszłość w Little Italy zdawała się należeć do kogoś innego.

Uwielbiała budzić się ze świadomością, że znajduje się w Central Park South, pośrodku Manhattanu, gdzie spod Plaża dochodził zapach konnych powozów na tyle słaby, by był przyjemny. Zadzwoiła do wszystkich starych przyjaciół,

podając im nowy adres i telefon i prosiła, żeby ją odwiedzali, ale z tonu ich głosu wniosowała, że czuli, iż Marcella przeniosła się do innej sfery, znajdującej się daleko poza ich zasięgiem. Niektórzy przeczytali w gazecie o honorarium wysokości miliona dolarów i ta wiadomość napawała ich lękiem. Tylko Nancy Warner wydawała się szczerze cieszyć jej sukcesem. Przygnała obejrzyć nowe mieszkanie i piała z zachwytu.

- Naprawdę będziesz tu mogła pisać! - stwierdziła z uznaniem.

Nauczyciele w Akademii Muzycznej Jacinthe byli pod wrażeniem zdolności Marka, który szybko wchodził w nowe środowisko. Czasem Marcella odprowadzała go, w drodze powrotnej kupując bułeczki i kawę cappuccino we francuskiej piekarni. Zanosila je do Amy, która o dziesiątej leżała jeszcze w łóżku, absurdalnie bezbronna w koronkowej koszuli nocnej. Czasem, zaraz po wejściu Marcelli z mieszkania wymykał się mężczyzna.

- Gdzie ty ich wynajdujesz? - spytała Marcella, siadając na łóżku Amy w pewien piątkowy rano, wręczywszy jej filiżankę kawy. Od przeprowadzki minęło pięć tygodni. - Są zawsze tacy przystojni!

Amy z lubością wdychała woń cynamonu.

- Chodź ze mną któreś nocy do Członków, to sama zobaczysz! - zaśmiała się.

- Nie, dzięki. - Marcella upiła łyk kawy. - Zabawne, Amy, kiedyś taki pomysł wydałby mi się podniecający! Teraz seks to chyba ostatnia rzecz, jaka mi przychodzi do głowy!

- Nadal znajdujesz się w szoku - stwierdziła Amy ze współczuciem. - Masz mnóstwo czasu, żeby się pozbierać. Ale musisz pozwolić Scottowi popisać się tobą przed grubymi rybami z Volumes. Oczekuje cię w poniedziałek o dziesiątej. Wie o Harrym i Soni, okazał duże zrozumienie, ale inwestują w ciebie milion dolców. Możesz się przynajmniej pokazać, żeby im gacie opadły z zachwytu!

Marcella zrobiła ponurą minę.

- Ostatnio nie czuję się zbyt zachwycająco - westchnęła.

- W dzisiejszych czasach to należy do zawodu pisarza,

kochanie - odparła Amy, sącząc kawę. - Marcello, książkę może napisać każdy. To rzeczy, które robisz później, odróżniają dziewczyny od kobiet. Myślisz, że Judy Krantz czy Danielle Steel po prostu siedzą i mają nadzieję, że ich książki się sprzedadzą? Musisz wyjść i uderzyć! Zrób awanturę o okładkę, jeśli ci się nie spodoba. Żebraj o dodatkowe pieniądze na reklamę! Podróżuj do zapadłych dziur i bierz udział w nikomu nie znanych programach radiowych. Podpisuj książki w księgarni Barnes'a i Noble'a w Poughkeepsie... aż staniesz się znana! Marcella jęknęła.

- Wystąp w programie Johnny'ego Carsona - ciągnęła Amy. - U Phila Donahue'a, u Oprah! W odpowiedzi na każde pytanie wymieniaj tytuł swojej książki! .Aligator? To zabawne, że o nich wspominasz, Johnny, bo w mojej książce *W imię miłości*, bla, bla, bla..." Rozumiesz? - Przerwała, by złapać oddech, spoglądając na Marcellę z uniesionymi brwiami. - Bez względu na to, co mówią, wracaj do tematu książki. To jest sztuka, Marcello, i musisz się jej nauczyć.

- Naprawdę myślisz, że wystąpię w programie Johnny'ego Carsona? - spytała Marcella.

- Jeśli tylko nie ma na ten czas umówionego wywiadu z Walem czy Mailerem, czemu nie? - Amy wzruszyła ramionami. - To wszystko kwestia zgrania w czasie' i szczęścia. Program musi zostać nadany w tygodniu, w którym twoja powieść ukaże się w sprzedaży, bo w przeciwnym razie telewizjowiec jej nie znajda, a to oznacza śmierć.

W poniedziałek rano Marcella przymierzała przed Amy swój nowy lniany granatowy kostium, czekając na szofera, któremu Amy kazała przyjechać, aby dodać przyjaciółce otuchy.

- Milion dolarów! - Amy gwizdnęła, kiedy Marcella obróciła się przed nią.

- Prawie tyle kosztował ten kostium! - odparła Marcella ze śmiechem.

- Tak, ale zobacz, co dzięki niemu zyskujesz - odparła Amy.

W lustrze w przedpokoju odbijała się wyższa, szczuplejsza Marcella. Rozległ się sygnał domofonu.

- Już schodzi - powiedziała Amy szoferowi. - Teraz! - Amy przycisnęła guzik windy i strzepnęła włos z ramienia Marcelli. - Wkrocz tam z podniesioną głową. Twoją powieść ocenili na tyle wysoko, by dać ci za nią milion dolarów, a to więcej niż kiedykolwiek zapłacili debiutantowi.

Kiedy Rolls wiózł ją ku siedzibie wydawnictwa Volumes, wygładziła na udach nową spódnicę i spojrzała na stopy elegancko się prezentujące w czółenkach Manolo Blahnika za trzysta dolarów. Gdyby tylko Sonia się odnalazła, wszystko byłoby takie doskonałe - pomyślała. - Dlaczego życie nie pozwala ci nigdy mieć wszystkiego na raz?

Scott czekał na dwunastym piętrze. Pocałował ją w oba policzki, w modny na Manhattanie sposób zapożyczony z Francji. Była zdziwiona, jak łatwo przychodziło jej obcowanie z nim na stopie czysto zawodowej.

- Mam teraz nowe biuro... - powiedział, prowadząc Marcellę do gabinetu.

To dobrze - pomyślała. Nie cieszyła jej myśl o oglądaniu pokoju, gdzie przed sześcioma laty kochali się tak namiętnie. Scott zaprowadził ją do narożnego pomieszczenia z kilkoma wyszukanyimi kompozycjami kwiatowymi. Za jego biurkiem lśniły okładki najnowszych bestsellerów, rzucając Marcelli wyzwanie.

- Jakieś nowiny o córce? - spytał delikatnie. Wiedziała, że to zwykła uprzejmość, ale doceniła jego gesL

- Nie... żadnych - odparła, patrząc mu w oczy.

- Przykro mi - powiedział, częstując Marcellę papierosem. - To musi być piekło. Wiem, że pewnie nie masz humoru, ale jesteśmy niezwykle podnieceni tą książką! Wszyscy marzą o tym, aby cię poznać. Większość osób czytała maszynopis. Chcę pomówić o planach redakcyjnych i promocyjnych. *A propos*, Marcello, wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję, Scott - mruknęła.

Ku własnemu zdziwieniu nie czuła do niego absolutnie nic. Czy ta potrzeba, która ją wtedy opanowała - ta potworna, ekscytująca potrzeba - kiedykolwiek miała wrócić? Czy też było to przelotne szaleństwo wywołane frustracją małżeństwem z Harrym?

- Najpierw spotkamy się z wydawcą, Sydneyem Bur-roughsem - mówił Scott. - Potem z kilkoma szefami działów: licencje zagraniczne, reklama, szata graficzna, sprzedaż. Mamy projekt okładki...

- Już? - spytała. - Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć!

- Wiedz, że żadnemu autorowi nigdy nie podoba się okładka - ostrzegł. - W każdym razie bardzo rzadko. Twój tytuł jest bardzo długi. Przypuszczam, że nie zgodziłabyś się na zmianę? *W imię miłości* zajmuje dużo miejsca. Mogłabyś to na przykład skrócić do *Imię miłości*.

- To nie znaczy to samo - odparła zdecydowanie.

- *Imię miłości!* - Przekrzywił głowę. - Moim zdaniem wpada w ucho. Pomyśl o tym.

- Podoba mi się mój tytuł - odparła Marcella.

- I twoje nazwisko, Marcello... - zaczął Scott.

- Coś jest z nim nie w porządku? - Wypuściła nieco dymu.

- Czy naprawdę potrzebne ci wszystkie trzy części? Nie mogłabyś być po prostu Marcellą Winton?

- Scott! - Nachyliła się, by zdusić papierosa w popielniczce. - Obiecałam ojcu, że będę dbać o jego nazwisko. To jedyny dostępny mi sposób!

- Dobrze, dobrze. - Zerwał się i chwycił ją za ramię. - Pomyślałem tylko, że wstawię się za ludźmi z pracowni graficznej. Oni bardzo lubią duże litery na okładce!

Krążyli po piętach, a Scott przedstawiał ją różnym redaktorom obojga płci oraz ich błyskotliwym młodym asystentom. Każdy mówił Marcelli komplement, życzył szczęścia nowej książce i przejawiał prawdziwy, jak się zdawało, entuzjizm. Wkrótce straciła orientację w plątaniu korytarzy i małych pomieszczeń, w których redaktorzy odbywali swe tłoczne zebrania. Sterty książek, plakatów dokumentujących dawne sukcesy, wykresy bieżących zadań oraz półki pełne maszynopisów świadczyły o nawale pracy, jaki mają redaktorzy Volumes. Scott przedstawiał Marcellę wciąż nowym osobom, a nazwiska tych uśmiechniętych twarzy zawodowców wpadały i wypadały jej z pamięci. Przyrzekła sobie, że następnym razem przyniesie notes.



Sydney Burroughs, imponujący mężczyzna o dużej głowie z grzywą siwych włosów, stał przed drzwiami swego gabinetu. Pocałował Marcellę w rękę.

- Nasza wielka nadzieja na rok osiemdziesiąty piąty! - powitał ją. - Jesteśmy bardzo podnieceni twoją książką, a widzę, że jesteś tak piękna, jak sugerował mi Scott!

Usiedli w rogu gabinetu. Niczym w hallu stały tam dwie sofy i stół. Marcella policzyła, że jako wydawca Burroughs był uprawniony do czterech kompozycji kwiatowych.

- Przypuszczam, iż czytasz, że wszyscy tam są na nas wściekli za wypłacenie ci tak dużego honorarium? - Sydney Burroughs wskazał dłonią na wieżowce za oknem. - Boją się, że teraz każdy autor będzie żądał za książkę miliona dolarów! - Zaśmiał się. - Ale my zarobiliśmy już ponad milion dolarów w postaci reklamy, zamówień, reputacji i stosunków! Nasz brytyjski kontrahent zapłacił ćwierć miliona za prawo do wydania angielskiego. Setka gospodyń domowych przysłała nam już swoje powieści pisane po kryjomu.

- O, nie! - jęknął Scott. - Będziemy musieli wynająć więcej recenzentów...

Burroughs pokiwał głową.

- Ale jednocześnie przez okrągły rok będziemy dostawać najostrzejsze powieści od najbardziej przedsiębiorczych agentów, bo każdy będzie liczył na ten milion dolarów!

Weszła sekretarka z kawą.

- Oczywiście nie będziemy płacić miliona dolarów za byle powieść, Marcello - zapewnił ją Burroughs. - Nie każdy posiada twoją umiejętność całkowitego wciągnięcia czytelnika w swoją prozę. Poza tym masz wielką wartość promocyjną. Ona wystąpi we wszystkich większych programach telewizyjnych, co, Scott?

Scott przytaknął.

- Skromna gospodyni domowa, która zarobiła milion dolarów na swej pierwszej powieści. Każda kobieta w kraju się z nią zidentyfikuje. Zechcą się dowiedzieć, dlaczego książka okazała się warta tyle pieniędzy. Czy traktuje o seksie? Czy jest sprośna? Czy wyciska łyzy? Przygotujemy

Marcellę, żeby udzielała właściwych odpowiedzi. Ma dobry start: jej agentką jest Amy Jagger.

- Nie mogłabyś mieć lepszego mistrza - przyznał Burroughs. - Czy może raczej mistrzyni. Chodzi mi o promocję.

- Scavullo zrobi jej zdjęcie na ostatnią stronę okładki - powiedział Scott. - Olśniewająca, ale nie onieśmielająca.

Marcella powinna być przystępna dla czytelników.

Burroughs uśmiechnął się, odstawiając filiżankę.

- Wygląda na to, kochanie, że jako autorka jesteś na drodze do wyrobienia sobie świetnej marki. - Wstał, co było znakiem, że spotkanie dobiegło końca. Wyciągając rękę, powiedział: - Cieszę się, że mamy cię na pokładzie.

Po Burroughsie Marcella poznała dyrektorę działu licencji zagranicznych, czarującą brunetkę, Jaqui Nelson, która zapewniła Marcellę, że prawa do *W imię miłości* zostaną błyskawicznie kupione przez wiele krajów europejskich i innych, w których ludzie czytają książki. Scott zaprowadził Marcellę do działu reklamy, gdzie para asystentów rozplywała się z zachwytu nad jej książką. Później cały personel pracowni graficznej spotkał się z nią w studiu, gdzie projekt okładki czekał na ocenę. Kiedy przedstawiano Marcellę dyrektorowi i jego asystentom, Marcella ujrzała okładkę. Prostokąt wypełniał profil kobiety, z nosem zanurzonym w bukiet trzymanym męską ręką. Tytuł *W imię miłości* wypisano u góry purpurowymi literami pełnymi zawijasów. Jej skrócone nazwisko, Marcella Winton, widniało w prawym dolnym rogu.

- Oto nasza autorka! - obwieścił Scott. - Nasza Jackie Susann, Judy Krantz i Danielle Steel w jednej osobie!

Marcella uśmiechnęła się skromnie; zaczynała się przyzwyczajać do pochwał wypowiedzianych pod jej adresem przez Scotta. Zauważyła, że młodzi mężczyźni przyglądali się jej ciekawie i z uznaniem, a kobiety z zainteresowaniem.

Wszyscy zgromadzeni zajęli się okładką.

- Scott, moje nazwisko... - przypomniała.

- A, tak. Obawiam się, koledzy, że będziecie musieli wcisnąć tu jeszcze jeden człon. - Ktoś jęknął. Scott zwrócił się do Marcelli. - Co o tym sądzisz?

Oczy wszystkich skierowały się na nią i wiedziała, że musi postąpić taktownie. Wcześniej wyobrażała sobie zmysłową okładkę; nagie kończyny albo obejmująca się opalona para.

- Interesująca - powiedziała ostrożnie. - Inne... Myślałam, że zrobicie coś trochę bardziej... nie wiem... zmysłowego? Dyrektor działu obrzucił ją spojrzeniem.

- W tym sezonie wszyscy robią zmysłowe okładki, więc pomyśleliśmy, że postawimy na romantyczność. Nie jesteśmy z niej w pełni zadowoleni... wymaga jeszcze trochę pracy...

Z pracowni graficznej poszli do jednego z radców prawnych Volumes, inteligentnej blondynki w okularach nazwiskiem Janey Bridgewater, która spytała Marcellę, czy w jej powieści można się doszukać fragmentów potencjalnie zniesławiających.

- Na przykład, czy któraś z postaci jest stworzona na podstawie osoby żyjącej?

- Tylko na mnie! - odparła Marcella. Spojrzała na Scotta i roześmiała się. - Obiecuję, że nikogo nie zaskarżę!

Jeszcze szybkie rozmowy ze zgarbionymi przed monitorami komputerów ludźmi z działu sprzedaży i w końcu wrócili do biura Scotta. Marcella opadła na sofę.

- Będziesz mi musiał dać listę - powiedziała. - W żaden sposób nie spamiętam na raz tych wszystkich nazwisk.

- Sympatyczni ludzie, co? - odparł Scott. Nachylił się, żeby zapalić jej papierosa. - Teraz porozmawiajmy o stromej redakcyjnej. Jest wiele do zrobienia.

- To znaczy? - spytała Marcella.

- Cóż. - Wrócił do biurka i usiadł. - Na początek chciałbym, żebyś popracowała nad tym!

Wydawało się, że Scott trzyma coś na kolanach, a Marcella wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć co.

- Nad czym? - spytała, spoglądając ponad biurkiem.

- Chodź, zobacz... - ponaglił ją.

Zmarszczyła brwi, wstała i podeszła do biurka. Scott rozpiął rozporek i pieścił sam siebie. Stwardniał na myśl

o tym, co mieli za moment zrobić. Marcella otworzyła szeroko oczy.

- Zdejmij majtki i usiądź mi na kolanach - ponaglił ją ochryłym głosem. - Zamknąłem drzwi na klucz. Nikt nam nie przeszkodzi.

- Nie do uwierzenia! - krzyknęła. Czuła się komicznie zaszokowana, jak jakaś mała dziewczynka. Może dlatego, że w tej chwili seks nie był jej w głowie. Wróciła na sofę, usiadła i popatrzyła na Scotta. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś tak wulgarny, Scott.

- To zabawne, podczas naszego ostatniego spotkania nie uważałaś tego za wulgarne. To była niezła sesja.

- Jestem teraz kimś innym - odpowiedziała.

- Co cię odmieniło? Pieniądze?

- Nie - odparła ostro. - Urowadzenie moich dzieci!

- Ale odzyskałaś syna. I jesteś najbardziej seksowną pisarką, jaką kiedykolwiek redagowałem.

- Nie bądź tak cholernie protekcyjny, Scott. - Zdusiła papierosa. - Pracujemy razem nad tą książką, więc proszę, pozostajmy na stopie zawodowej. Znajduję się ostatnio pod dużą presją i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest to, żebyś uganiał się za mną dookoła biurka.

- Dobra! W porządku! - odparł, zapinając spodnie. Widziała, że jego męska duma została zraniona. Chwycił maszynopis. - Zajmijmy się lukami w twojej powieści.

- Jakimi lukami?

Scott spojrział na nią poprzez dym, mrużąc oczy.

- Musimy bardziej identyfikować się z Manuellą. Zrozumieć, dlaczego pozwala, by mąż maltretował ją przez lata...

- Ona się go boi - przerwała mu Marcella. - Jest oddana swoim dzieciom i...

- Poza tym akcja rozwija się zbyt wolno - ciągnął Scott. - Darujmy sobie jej dzieciństwo i zacznijmy od razu opowieść. Rozbudujmy postać prawnika, zobaczmy go poza sądem, poznajmy go lepiej. Proces sądowy trzeba wyjaśnić... szczegóły prawne, Marcello! Wy tłumacz, w jaki sposób ta kobieta, która zabija męża, zostaje uniewinniona dzięki pomocy oskarżyciela...

- Poczekaj... Scott! - przerwała mu. - Czy trochę nie przesadzasz? Dopiero co oprowadziłeś mnie po biurach, gdzie poznałam około pięćdziesięciu osób, wszystkie twierdziły, że są zachwycone moją książką. Z wydawcą włącznie!

- Wiedzą, że zostanie poddana redakcji - odparł.

- Czy to redagowanie? Czy odreagowywanie na mojej książce twojej zranionej dumy?

Scott pokręcił głową.

- Mówiłbym to samo, gdybyśmy właśnie zlewali się potem po płomiennej sesji, Marcello.

- Wygląda na to, że chcesz, żebym napisała nową powieść! - westchnęła. - Nie jestem nawet pewna, czy potrafię wejść z powrotem w nastrój. Żyłam tym przez tyle lat. Teraz już wszystko skończone.

Scott posłał jej zabójczy uśmiešek.

- Przypuszczam, że za milion dolarów zdołasz się przełamać by do niej wrócić?

Marcella oblała się rumieńcem.

- Ten milion był twoim pomysłem, nie moim - powiedziała cicho. - Zadowolilibym się jedną dziesiątą.

Scott otworzył szeroko oczy, po czym wybuchnął śmiechem.

- Jedno ci muszę przyznać, Marcello, prawdziwy z ciebie oryginał! Nigdy nie powtarzaj tego Sydneyowi Burroughsowi. Ani Amy!

Wracając do domu Rollsem Amy, czuła się jak wyżęta ścierka. Scott obiecał - czy zagroził - że przejrzy jej tekst strona po stronie i zakreśli fragmenty, które według niego wymagały „wzmocnienia”, oraz zrobi notatki na temat postaci. Jej postaci! Dysząc z wściekłości niezwłocznie poszła do Amy.

- Skąd on może wiedzieć, co robią i myślą moi bohaterowie! - wybuchła.

- Ponieważ jest redaktorem. - Amy przybrała współczującą minę i włożyła butelkę szampana do kubelka z lodem. - Słuchaj, moje biedne kochanie, nikt nie daje ci ot tak miliona dolarów. Każą ci się za niego zlewać krwawym

potem. Oczywiście, że książka im się podoba, ale czują, że mogłabyś ją nieco ulepszyć. Wyglądź ją trochę, to wszystko.

Marcella zwinęła się na sofie i wsparła podbródek na dłoniach.

- Straci całą świeżość! - skarżyła się.

Amy strzeliła korkiem, po czym naląła im szampana.

- Przeredagowywanie czyni nas profesjonalistkami, Marcello. Jeśli dziś historia zalatuje ci stęchlizną, wróć do pierwszej wersji, kiedy była nowa i świeża: powycinaj stamtąd całe zdania i wklej je do ostatniej. W ten sposób postępujemy, my stare wygi. Zdrowie!

Trąciły się kieliszkami i upiły nieco szampana.

- Odniesiesz sukces - zapewniła ją Amy. - Nie martw się! To musi być sukces! Jaki był Scott?

Marcella spojrzała na nią ponuro.

- Zrobił mi naprawdę wulgarną propozycję. Żywcem wziętą z jednej z twoich powieści!

- Wielkie nieba...! - zaszcebiotała Amy. - Cóż to musi być za wielka, rozdęta rzecz. Mam na myśli *ego* Scotta! Jak sobie poradziłaś?

- Obraziłam się - odparła Marcella. - Kompletnie nie byłam w nastroju na takie rzeczy.

- Szkoda... - westchnęła Amy, pijąc szampana. - Mogliście stworzyć najlepszy tandem redakcyjno-autorski.

Kiedy zwrócono jej maszynopis powieści - a prawie żadna strona nie uchroniła się przed krytycznymi uwagami Scotta - Marcella tak pogrzyżyla się w pracy, że przez kilka godzin dziennie udawało jej się nie myśleć o zaginionej córce. Harry wciąż wyszukiwał miejsca, w których prawa stanowe pozwalały mu mieszkać przez okres niezbędny na uzyskanie nakazów; ponadto wynajął prawników, ci zaś krępowali ruchy Marcelli przy pomocy kontrwniosków. Odbudowanie Soni musiało zająć wiele czasu, mimo że adwokat Amy pracował teraz dla Marcelli i wystąpił do sądu nowojorskiego z wnioskiem o wydanie nakazu doprowadzenia Harry'ego na przesłuchanie. Marcella starała się pogodzić z tym, że Sonia traci część dzieciństwa, ten ważny okres,

w którym dziecko zmienia się w młodą kobietę, kiedy córka najbardziej potrzebuje matki. Miała nadzieję, że właśnie w tym okresie zbliżyłyby się z Sonią i czuła gorzką nienawiść do Harry'ego za pozbawienie jej tej szansy.

Mark nadal sypiał z nią w łóżku, twierdząc, że tylko w ten sposób może wypocząć w nocy. Wiedziała, że kontynuowanie tego zwyczaju nie było właściwe, ale leżenie z palcami w jego miękkich włosach, czucie ciepła jego ciała stanowiło pewną pociechę po stracie Soni.

Kiedy Mark wracał ze szkoły późnym popołudniem, odkładała pracę, żeby spędzać czas z nim i matką. Pielęgniarka wychodziła o siódmej, a Marcella razem z Markiem podawali Idzie lekką kolację do łóżka. Ida nigdy nie pytała o Harry'ego i Sonię. Przeprowadzka do nowego mieszkania zdezorientowała ją, sprawiając, że wydarzenia często jej się plątały lub wypadały z pamięci. Marcella zauważyła z żalem, że były to oznaki starości.

Najwspanialej odpoczywała nadal, słuchając gry Marka na pięknym nowym fortepianie, który mu kupiła. Wyciągała się na sofie, patrzyła na zieleń Central Parku wypełniającą okna

i słuchała, jak Mark gra Debussy'ego czy Chopina. Wyobrażała sobie, że gdzieś tam Sonia dorasta, bawi się z koleżankami. Zastanawiała się, czy córka kiedykolwiek zdoła ustalić ich nowy adres lub numer telefonu i zrobi im niespodziankę, dzwoniąc pewnego dnia.

Volumes ulepszyło okładkę *W imię miłości*. Kobieta nadal zanurzała nos w bukietcie trzymanym męską ręką, ale teraz jej włosy były gładziej, a makijaż bardziej wyraźny. Na mankietach mężczyzny lśniły drogie złote spinki; kobieta nosiła dyskretne diamenty na szyi i uszach. Marcella nie widziała żadnego podobieństwa do swej płomiennej bohaterki i prokuratora o silnym charakterze, ale ludzie z Volumes zapewniali ją, że okładka wyraża treść książki.

Amy mdlała z zachwytu nad projektem, twierdząc, że będzie to „ta książka na plażę” na nadchodzący rok. Marcella ukończyła nową wersję w dwa miesiące. Powieść miała zostać przekazana do druku w lipcu.

Wyplacono jej drugą część zaliczki: pieniądze topniały w zatrważającym tempie - szkoła Marka była droga, podobnie jak pielęgniarka Idy. Marcella spłaciła część pożyczki zaciągniętej na mieszkanie oraz dała się zaprowadzić Amy do fryzjerów i specjalistów od makijażu, którzy zmienili ją całkowicie. Robiła się wyrafinowaną, elegancką damą. Troska o Sonię i rodzinę zmniejszyły jej apetyt; przestała pochłaniać talerze makaronu. Jej twarz stała się bardziej wyrazista i Marcella mogła się teraz szczycić wpadniętymi policzkami.

Mniejszy sukces odniosła Amy w dziedzinie przerabiania życia towarzyskiego Marcelli. Praca nad nową wersją powieści i zmartwienia odbierały jej energię; Marcella czuła się zazwyczaj zmęczona. Instynkt kazał jej zostawać w domu, czasem jeść obiad w towarzystwie Nancy Warner albo pójść z Markiem do kina. Nie czuła się na siłach, by olśniewać literacki świat, czego oczekiwała po niej Amy. Obiadki Amy na dwanaście osób, na które zapraszała Marcellę, przerażały ją. Brakowało jej pewności siebie, by konwersować z gigantami w rodzaju Normana Mailera czy Toma Wolfe'a, jacy pojawiali się przy przewspaniałym stole Amy. Amy zawsze przedstawiała przyjaciółkę jako „pisarkę, która dostała milion dolarów za pierwszą powieść!”, albo „pisarkę, której zarobki zapewnią mi bezpieczną emeryturę”. Ktoś pytał: - „Jakie to uczucie?” Marcella odpowiadała ochryple: - „Wspaniałe!” - i od tego momentu wieczór tracił dla niej cały urok; siedziała w bojaźliwym milczeniu. Amy bawiła wszystkich rewelacyjnymi dykteryjkami, raczyła gości szampanem i pysznym jedzeniem, którego nigdy sama nie przygotowywała. Była ekspertem od „ulepszania” potraw szczyptami świeżej kolendry czy masami śmietany i kawioru. Okazała się hojną, dowcipną, tryskającą życiem gospodynią, z którą Marcella nie miała zamiaru konkurować. Piękne kryształy i porcelana, kupione za namową Amy, pozostały w swych opakowaniach.

Kiedy nie podejmowała u siebie gości, Amy znikwała.

- Członkowie to wciąż najbardziej pikantne miejsce - powiedziała Marcelli. - Chyba masz jeszcze swoją kartę wstępu? Kiedy zaszczycisz nas swoją obecnością?



Marcella mijala ten dom sto razy, ale nigdy nie czula pragnienia, zeby wejsc.

- Ja nie potrafilabym bez tego zyc - stwierdzila Amy.

- Chodz tam ze mną następnym razem, Marcello. To odmieni twoje zycie!

- Czy nadal chodzisz do tego kina? - spytala Marcella.

- Do tego, gdzie robi sie ohydztwa? Amy wybuchnela smiechem.

- Nareszcie uwolnilam sie od tego nalogu. Ale niektore moje przyjaciolki wpadly. To bylo prawie doskonałe, seks bez zobowiazan! Niezwykle kuszące, Marcello!

Kiedy ksiazka po pierwszej korekcji wrócila do drukarni, Marcella nagle nie miala sie czym zajac. Zabijala czas, czekajac na ukazanie sie powiesci. W pewien zimny marcowy wieczor zgodzila sie po raz pierwszy odwiedzic klub Członkowie.

Prasa zajmujaca sie zyciem towarzyskim nazwala Członków „lokałem lat osiemdziesiątych”, którego atmosfera „tętnila typową dla dziesięciolecia świadomości!” Wyglądalo na to, ze seks schodzi do podziemia, a jego miejsce zajmuje zdrowie. Tę tendencję ilustrowala wieksza liczba biegaczy, a mniejsza gości w lokalach nocnych.

Członkowie stworzyli po prostu to, co Tom Wolfe nazwal „idealnym środowiskiem dla Dziesięciolecia Ja!” Sala gimnastyczna, basen, sauna i korty do squasha rezerwowano na kilka tygodni z góry. Panowala opinia, ze można tam zostac świetnie wymasowanym, a także doskonale pocwiczyć. Restauracja, bar i klub nocny z latwością radzily sobie z tłumem, a członkowie promienieli samozadowoleniem, popijajac w tym otoczeniu wode Perrier. O dziesiątej Amy i Marcella przyjechaly Rollsem. Członkowie zajmowali cala przecznice przy Dziewiątej alei i Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. Budynek byl kiedyś olbrzymim kinem, a sprytni dekoratorzy zachowali zewnetrzny wystrój w stylu art deco. Szczegóły architektoniczne uwydatnial neon w niezwyklych kolorach - kremowym, jasno-pistacjowym, lawendowym. Na zewnatrz nie widnial zaden napis\* gmach pokryto matową czernią, co wzmagalo nastrój

tajemniczości. Klub miał być w zamyśle ekskluzywny i anonimowy; drzwi otwierała laserowa karta członkowska wsuwana w szczelinę. Co noc przed wejściem stała grupa niedoszłych gości i z nadzieją, że ktoś ich zaprosi do środka, przyglądała się bacznie przybywającym. W środku królowała posępna czerń, zakłócana tylko rzędami małych żarówek wyznaczającymi drzwi, windy i schody ruchome w szykownym stylu high-tech-sauvage tworzącym mieszaninę rur, greckich kolumn, dziwacznych antyków i wypchanych zwierząt. Sufity migotały lub odbijały światło, a posadzki były czarne i śliskie, jak wykonane z czarnego marmuru.

Amy i Marcella zajrzały do ciemnego baru ozdobionego kopiami obrazów starych mistrzów, przesadnie wypchanymi kanapami obitymi czarno-białą wełną. Harfistka brzdąkała kojące składanki melodii. Amy skierowała Marcellę do windy i zjechały do piwnicy.

- Chcę, żebyś zobaczyła kino. - Mrugnęła. - Na wszelki wypadek.

Wyszły z windy. Przy atrapie straganu ze słodyczami rozdawano torebki prażonej kukurydzy. Marcella spojrzała na wyłożony lustrami, ciemny korytarz prowadzący na salę kinową. Panowała tu całkowita cisza.

- Nieskomplikowany, anonimowy, czysty seks - mruknęła Marcelli do ucha Amy. - Najbardziej ekscytujący na świecie.

Miniaturowy afisz obwieszczał „Sezon Alfreda Hitchcocka” i podawał program na bieżący tydzień. Z sali dobiegała przytłumiona muzyka. Serce Marcelli zabiło nagle w przyływie dziwacznej mieszanki pragnienia i lęku. Próbowała sobie wyobrazić Amy, multimilionerkę, piękną kobietę sukcesu, która wchodzi do takiego miejsca, osuwa się na fotel i rozchyła nogi, oddając się pieczytom nieznajomego. Wyuzdanie tej sceny przyprawiło ją o dreszcz.

- Gdyby jakiś obcy mnie dotknął, zaczęłabym krzyczeć - mruknęła, idąc przed Amy z powrotem do windy.

Przyjaciółka uśmiechnęła się tajemniczo.

- To jest jak kawior - powiedziała. - Uczysz się lubić ten smak!

Marcella przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze windy, która wiozła ich z pomrukiem do restauracji na najwyższym piętrze. Amy musi być w pewien sposób zubożona, skoro taki seks sprawia jej przyjemność. Co gorsza, jeśli jej to zaproponowała, musiała dostrzec taką samą cechę w Marcelli. Ale idea została zasiana. Przez cały wieczór, kiedy jadły, piły, przyglądały się tańczącym w dyskotecce, Marcella myślała o tej cichej, ciemnej sali kinowej w piwnicy i wyobrażała sobie, co tam się musiało dziać. Może kiedyś - obiecała sobie. - Jeśli kiedykolwiek będę odważniejsza, albo dostatecznie zdesperowana...

Uważacie, że jestem szalona? - pytała Sonia ludzi później, kiedy osiągnęła sławę i sukces. - Powinniście zobaczyć moje dzieciństwo!

Cóż, w rzeczywistości nie było to wcale dzieciństwo. Raczej ostry wideo-klip pod tytułem *Z tatą przeciw wszystkim, W drodze, Ucieczka*, czy coś w tym rodzaju.

Dwunastoletnie dziecko nie rozumiało w pełni, co się dzieje. Sonia wiedziała jedynie, że teraz dzieliła życie z tatą. Pewnego sobotniego popołudnia to życie zmieniło się z egzystencji przebiegającej według zwykłego, przewidywalnego schematu w coś szybkiego i niebezpiecznego.

Wszystko zaczęło się jak cudowna bajka. Od chwili, kiedy zapytał: „Czy chcesz zostać ze mną, czy wrócić z Markiem do mamy?”, Sonia zrozumiała, co było dotąd nie w porządku w jej życiu: nie miała go dosyć dla siebie. Teraz nie musiała więcej czuć się odrzucona, gdy Mark i mama prowadzili swoje prywatne rozmowy, żartowali, wymieniali spojrzenia; teraz miała jego! Jednak od tej pierwszej przerażającej nocy, kiedy odszedł Mark, od tego potwornego momentu, w którym jej słodki, kochający tatuś pchnął Glorię na podłogę i kopnął ją, Sonia zrozumiała, że tata ma dwa oblicza, a życie z nim miało być ekscytujące i straszne, bo pewnego dnia mógł jej pokazać tę drugą twarz. Nigdy wcześniej nie widziała taty tak wściekłego. Kiedy wpychał ich ubrania do walizek po raz drugi w tym tygodniu, wciągał Sonię do samochodu i, przy akompaniamencie krzyków Glorii rozbrzmiewającym echem za nimi, odjechał szybko w noc, jego twarz była przerażająca. Od tamtej pory się nie zatrzymali.

Te krzyki kobiety skrzywdzonej przez jej tatę prześladowały Sonię w koszmarach sennych, kiedy spała niespokojnie, kołysana na tylnym siedzeniu.

- Dlaczego tak się na nią wściekłeś? - spytała następnego ranka, gdy zatrzymali się na kawę, a Harry nachylił się nad mapą z ponurą twarzą.

Podniósł wzrok, a Sonia poczuła dreszcz podniecenia, bo odezwał się do niej jak do osoby dorosłej.

- Ludzie sądzą, że jesteś ich własnością, bo pomogli ci zarobić trochę pieniędzy. Ja nie jestem niczyją własnością! Skinęła głową, udając, że rozumie i że się zgadza.

Tak więc uciekali. Z miasta do miasta. Nie zawsze rozumiała, dlaczego uciekają, ale tata zrobił z tego zabawę.

Nazywała się „ucieczka”. Od mamy. Od policji. Była to dorosła wersja zabawy w chowanego, kryli się na terenie całego kraju, zamiast w kilku pokojach w mieszkaniu. Tata powiedział, że gdyby ich znaleźli, musiałyby wrócić bez niego do Nowego Jorku i nie zobaczyłyby go przez długi czas. Nie mogła znieść takiej myśli, toteż prawie się nie skarżyła na nie kończące podróże; nawet się nie krzywiła, kiedy wracała z kolejnej nowej szkoły do domu i odkrywała, że ich rzeczy zostały spakowane, a tata rzucał jej to spojrzenie, mówiąc:

- Znowu w drogę, księżniczko!

Mieszkali w sześciu, ośmiu, dziesięciu miejscach, potem Sonia straciła rachubę. Tata pokazywał jej na mapie, jak daleko znajdowali się od Nowego Jorku. Przypominało to życie w sytuacji ciągłego kryzysu, ale jej dziecięcy umysł zaakceptował je całkowicie. Z radością myślała o tym, że uciekają przed ścigającymi, ktokolwiek to był, o tym, że ich wystawiają do wiatru. Istniało jednak wiele spraw, których nie rozumiała. Na przykład rozmaite nowe mamusie. Dlaczego na początku między nimi a tatą panowały takie przyjazne stosunki, a kończyło się na bójkach? Dlaczego co kilka dni pojawiała się nowa mama, nawet jeśli na pewien czas zatrzymywali się w jednym mieście? Dlaczego wślizgiwały się do łóżka taty tylko wtedy, kiedy sądziły, że Sonia śpi?

Udając sen, słyszała wiele rzeczy. Wiedziała na przykład, że tata znalazł dużo pieniędzy, bo czasem, kiedy myślał, że spała, liczył je. Grube pliki banknotów studolarowych wypełniały prawie całą walizkę!

Pewnego razu podwozili jakąś kobietę, ale ona powiedziała coś, co rozgniewało tatę. Zatrzymał samochód na środku długiej, rozgrzanej upałem szosy, wyrzucił walizkę kobiety z auta i kazał jej wysiadać. Krzyczała, kiedy wypchnął ją z samochodu, ale on zatrzasnął drzwi i odjechał. Sonia zerknęła na profil taty, aż wreszcie spytała bardzo cicho:

- Zostawisz ją tak?

- Żebyś wiedziała, do cholery! - odparł bardzo gniewnym tonem.

Tej nocy, w motelu, po raz pierwszy śniło jej się, że to ją tata wyrzuca z samochodu na środku autostrady. Obudziła się z łkaniem, tuląc się do niego, zbyt przerażona, by powiedzieć mu o nękających ją wizjach i lękach. Kochała go i bała się jednocześnie. Musiała postępować z nim ostrożnie, bo kiedy choć trochę gniewał się na nią za jakiś drobiazg, czuła, że panika chwyta ją za gardło i nie mogła się uspokoić, póki nie nazwał jej swoją księżniczką i nie zapewnił, że jej nigdy nie opuści. Miała tylko jego, nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić po radę, porozmawiać. Tata był wszystkim.

W tym nowym życiu pojawiły się też inne dziwne rzeczy, do których Sonia musiała się przyzwyczaić. Na przykład ubrania. Mama nigdy nie pozwalała jej nosić skarpetek przez dwa dni z rzędu i Sonia stała się schludną, skrupulatną dziewczynką. Teraz ubrania wydzielały przykry zapach, na dzinsach często widziała ślady zaschniętego jedzenia - plamy rozlanego ketchupu z nie kończących się cheeseburge-rów, musztardę, która wyciekła z hot dogów. Kiedy wchodzili dla odmiany do bardziej eleganckich restauracji, Sonia miała wrażenie, że wszyscy patrzą na jej brudne ubranie.

Czasami bolał ją brzuch. Czasem tata zabierał jej wszystkie rzeczy do prania, zostawiając Sonię nagą w łóżku na całą noc. Wtedy zamykał drzwi pokoju motelowego aż do swego powrotu. Ubrania wracały zafarbowane, wymięte,

nigdy nie wyprasowane, tak jak wtedy, gdy troszczyła się o nie mama. Koszulki skurczyły się w gorącej wodzie, w której prał je tata, i Sonia paradowała z gołym brzuchem. W miarę jak podczas kilku tygodni po Glorii nowe mamusie przychodziły i odchodziły, Sonia zrozumiała, że wcale nie są mamusiami. Były po prostu koleżankami taty, kobietami, które były dla niego miłe i przytulały się do niego w łóżku, ponieważ czuł się samotny. Czasami wydawały śmieszne sapania i kręciły się w łóżku razem z tatą, a Sonia, jeśli leżała w tym samym pokoju, zamykała mocno oczy i zatykała uszy palcami. Raz czy dwa słyszała, jak mówił jakiejś pani, że bardzo ją lubi, ale że muszą odjechać, bo mama Soni jej szuka. W ten sposób nauczyła się, że chociaż mężczyzna bardzo lubi kobietę, musi ją opuścić. Często, kiedy wracała z nowej szkoły, zastawała tatę pijącego z butelki napój o silnym zapachu. Mówił wtedy, że jest samotny. Chciała rozproszyć jego smutki, a uczucie to niemal ją rozsadzało. Dotykała jego dłoni albo przytulała się, by robiło mu się lepiej. To zawsze okazywało się skuteczne. Po chwili wstawał i wzdychał:

- Dobrze, księżniczko! Wygląda na to, że jesteśmy tylko ty i ja!

Potem mówił do niej, bo nie było nikogo innego, a Sonia pożerała Harry'go wielkimi liliowymi oczami, ubóstwiając go za to, że się jej zwierza. Miała tylko dwanaście lat, ale od czasu odejścia Marka grała rolę kobiety: była odpowiedzialna za tatę.

W końcu dotarli do miasta, które, jak tata pokazał na mapie, znajdowało się w samym centrum kraju.

- Nigdy nie przyjdzie im do głowy, żeby nas tu szukać - powiedział.

Później zapuścił brodę i już w ogóle nie przypominał jej taty. Wynajęli mały dom, podobny do tych, jakie widziała na filmach w telewizji, mały dom stojący samotnie na placu, otoczony białym płotem. Sonia poszła do miejscowej szkoły, gdzie dzieci śmiały się, że ma muchy w nosie i dokuczały jej. Ale kiedy przekonały się, że potrafi być równie wredna, w końcu ją zaakceptowały. Zaczynała zawierać przyjaźnie,

lecz właśnie wtedy tata znowu oświadczył, że czas ruszać w drogę.

Czasami tata poznawał miłą nową panią, która miała dzieci. Zostawali zaproszeni do jej domu na kilka nocy, a wokół Soni robiono wielkie zamieszanie. Nagle miała nowego brata i siostrę, oboje mniej więcej w jej wieku, a pani pięknie prasowała ubrania jak prawdziwa mama, czesała jej włosy i zaplatała warkocze. Sonia płakała, kiedy odjeżdżali, bo nagle brakowało jej nowej mamy. Pewnego razu okazała wielką nieufność wobec kolejnej pani, która zaczęła się nią opiekować:

- Jesteś dla mnie miła tylko po to, żeby mój tata cię lubił! - powiedziała.

Pani dała jej mocnego klapsa i krzyknęła:

- Ależ ty masz paskudne myśli!

Ale Sonia wiedziała, że ma rację. Przywykła do bycia obiektem zainteresowania. Wszyscy w szkole gapili się na nią, bez względu na to, jak bardzo starała się do nich upodobnić i wejść w nowe środowisko. W końcu stało się to dla niej czymś naturalnym.

- Wiesz, dlaczego się na ciebie gapią, księżniczko? - pytał tata, kiedy się skarżyła.

- Chyba tak. - Kiwała poważnie głową.

- Ponieważ jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie i wszyscy ci zazdroszczą!

Sonia wykrzywiła twarz w potwornym grymasie, a Harry wybuchał śmiechem^Uwielbiała go rozweselać.

- Uważacie, że jestem szalona? - pytała znacznie później. - Powinniście zobaczyć moje dzieciństwo!

W którąś niedzielę poszli do kościoła i widziała, jak ojciec klęcząc modli się żarliwie. Później miejscowe kobiety zgromadziły się i chwaliły go za to, że jest takim oddanym ojcem. Powiedział im, że matka Soni nie żyje, a ona nie miała odwagi, żeby prostować.

- Dlaczego? - spytała później.

- Nigdy nie możemy nikomu powiedzieć, że uciekliśmy z Nowego Jorku - ostrzegł ją. - To tajemnica!

Podobało jej się, że dzieli z nim tę ważną tajemnicę,



podobnie jak inne - pieniądze, liczne mamusie, to, że kopnął Glorię, sposób, w jaki mógł zmienić się w przerażającą osobę, jeśli zechciał.

Pewnej nocy obudził ją, żeby obejrzała film w telewizji. Film nosił tytuł *National Velvet*, a Harry twierdził, że dziewczynka, która w nim występuje, jest podobna do niej. Sonia też tak uważała - mogłyby być siostrami. Chciała znowu zasnąć, ale film ją wciągnął. Tak bardzo utożsamiała się z dziewczynką jadącą na koniu, że wiedziała, że odtąd nigdy nie poczuje się szczęśliwa, dopóki nie dostanie własnego wierzchowca.

To ich życie w drodze na początku było jak gra, ale Sonię znużyło bawienie się ciągle w to samo. Zaczęła tacie wiercić dziurę w brzuchu o konia, aż obiecał, że nauczy ją jeździć, gdy osiedlą się na stałe. Kiedy to będzie? - zastanawiała się. Wydawało jej się, że podróżowali już wiele lat, wiedli dwadzieścia różnych żyć, poznali setki ludzi, mieli za sobą tuziny falstartów, ale trwało to dopiero sześć miesięcy. Miała dość cuchnących, wymiętych ubrań i jedzenia w kafeteriach. Kiedy skarżyła się tacie, odpowiadał:

- Ale wygrywamy, księżniczko!

Jej mama wciąż ich nie złapała, przemierzyli cały kraj i byli wolni!

Dotarli do Kalifornii, do małego nadmorskiego miasteczka, które miało bzik na punkcie koni. W pobliżu znajdował się duży tor wyścigowy, a sezon jeździecki trwał od kwietnia do października. Przyjechali w końcu września i wynajęli nad morzem mały oszalowany dom z pełnym umeblowaniem. Harry zapisał ją do miejscowej szkoły, gdzie ponownie oczekiwała, że będą się na nią gapić, ale tamtejsze dzieci pochodziły z bogatych rodzin i widziały już tylu przychodzących i odchodzących nowych uczniów, że nie wzbudziła ich ciekawości, ani nie wywarła wrażenia.

Teraz pragnęła tylko nauczyć się jeździć konno, mieć własnego konia, pielęgnować go i kochać jak ta dziewczynka w filmie. Na początku tata nie pozwalał jej chodzić na lekcje jazdy, na wypadek, gdyby mieli szybko ruszyć dalej.

Ale po kilku tygodniach poczuła, że tata się uspokaja. Było to takie

senne miasteczko, że nie można było uwierzyć, by cokolwiek mogło się tu przytrafić. Ludzie zdawali się zajmować własnymi sprawami, a żadna ciekawsza kelnerka ani nauczycielka nigdy nie spytała tatę, co robi sam ze swą córeczką albo gdzie jest jej mama.

Przez cały dzień tata siedział sam w domu, nachylony nad gazetami i studiował długie kolumny liczb. Każdego dnia budził się wcześniej rano, żeby zadzwonić do Nowego Jorku, ponieważ dzieliły ich od niego trzy godziny różnicy czasu. Przez to Sonia czuła się jeszcze bardziej odcięta od dawnego życia, jakby przebywali na innej planecie, gdzie nawet czas płynął inaczej. Kiedy spytała tatę, do kogo dzwoni co rano, odparł, że do przyjaciela, który prowadzi jego interesy, ale bierze za to dużo pieniędzy.

- Krew mi wysysa! - W ten sposób to określił.

Powiedział jej, że lepiej, jeśli zmienią nazwisko z Winton na Ashton, więc posłusznie na szkolnych zeszytach ćwiczyła nowy podpis, Sonia Ashton.

Podobało jej się nowe nazwisko, bo razem z nim mogła wymyślić nową Sonię. Ta dziewczynka mogła ukryć dawną Sonię, udzielić jej schronienia. Nauczyła się maskować swoją olśniewającą urodę, urodę, która świetnie działała na dorosłych, ale u rówieśników najwyraźniej wywoływała zawiść. Kiedy ubierała się w podarte džinsy i znoszone koszulki, stanowiące teraz uniform każdego kalifornijskiego dziecka, spuszczała rozczochrane włosy na zaczerwienione oczy, wykrzywiała usta wulgarnym zuciem gumy, przestawano jej się tak przyglądać i wybałuszać oczy na jej widok. Nowa, twarda Sonia miała tylko ojca. Dawna Sonia miała jeszcze matkę i brata, którzy albo uznali ją za zmarłą albo nienawidzili jej za to, że od nich uciekła.

Co noc leżąc w łóżku, rozmyślała o swym nowym życiu. Wracając ze szkoły, wciąż czuła, że żołądek burczy jej ze strachu, czy nie ujrzy spakowanych walizek. W myślach musiała uporać się z tym pęknięciem w swym życiu, pęknięciem, które kazało jej przed wyjściem do szkoły przybierać twarde wyraz twarzy, na zmierzwiłone włosy, których żadna

matka nie czesała, wkładać czapkę baseballową daszkiem do tyłu, wykrzywiać usta w zawadiackim grymasie. Posiadała potężną, sekretną moc, ponieważ, uczesawszy włosy i przybrawszy niewinną minę, mogła przemienić się z tej postaci w piękną księżniczkę tatusia. Nie definiując tego wyraźnie, była tymi dwiema Soniami, a na dowód miała dwa różne nazwiska i podpisy.

W szkole zaprzyjaźniła się z dziewczynką imieniem Gemma, która podzielała jej namiętność do koni i zapraszała Sonię, by oglądała jej lekcje w Akademii Jeździeckiej Laurie Cass. Szkoła jazdy konnej znajdowała się o kilka przecznic od domu Soni. Po lekcji jeden z pomocników stajennych, czarny chłopak imieniem Eddie, posiadający okrągłą, uśmiechniętą twarz, pozwalał im pomagać mu w czyszczeniu i karmieniu koni. Matka Gemmy, wysoka tleniona blondynka, przychodziła po nie i czasem brała dziewczynki na mrożony jogurt do pobliskiej lodziarni. Sonia nazywała matkę Gemmy panią Hailey. Była rozwódką; pewnie dlatego wyglądała tak smutno - myślała Sonia.

Czasami pani Hailey wyciągała rękę i odgarniała włosy z czoła Soni.

- Gdybyś nie pochylała głowy, Soniu, mogłabyś być modelką - powiedziała. - Mogłabyś zarobić mnóstwo pieniędzy. Sonia zaśmiała się. Dorośli potrafią być tacy niemądrzy. Wielu przechodniów mówiło jej albo jej tacie, że mogłaby zostać jedną z tych uśmiechniętych dziewczyn z magazynów lub reklam telewizyjnych. Była to chyba ostatnia rzecz, jakiej Sonia pragnęła.

- Tata nigdy by mi nie pozwolił - odpowiedziała pani Hailey.

Oglądała tyle lekcji Gemmy, że czuła, jakby już sama potrafiła jeździć konno. We śnie ścisnęła grzbiet konia nogami i galopowała kilometrami po plaży. We śnie koń był półczłowiekiem, który potrafił czytać w jej myślach i odpowiadać. Było w nim coś znajomego i kochanego; Sonia odwzajemniała jego miłość, co rano budziła się z sercem rozdartym po stracie starego, drogiego przyjaciela.

Ubóstwiała właścicielkę szkoły konnej jazdy, Laurie Cass, więc opowiadała o niej ojcu.

- Jest bardzo ładna, surowa ale miła. Kocha konie tak mocno jak Gemma i ja...

Laurie Cass była typem wiejskiej dziewczyny o rudych włosach i bladej cerze. Pewnego popołudnia posadziła Sonię przed sobą na siodle na swej ulubionej klaczy, Red. Jechały szybko, Laurie trzymała Sonię mocno; nogi dziewczynki zwisały po bokach konia, zmuszając ją, by odnalazła rytm i unosiła się płynnie razem z Laurie.

Wiatr owiewał Soni twarz i zdawało jej się, że jeszcze nigdy nikt nie mknął tak szybko; kopyta uderzały o ziemię z taką siłą i prędkością. Kiedy zsiadła, kręciło jej się w głowie i pomyślała, że ta jazda była najcudowniejszą rzeczą, najhojniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek zrobił jej dorosły.

- Dziękuję ci, Laurie! - Ścisnęła uprzęż Red, podnosząc rozplómiętą twarz. - Codziennie proszę ojca, żeby pozwolił mi brać lekcje. Wkrótce musi ustąpić!

- Nie przesadz z tym ciosaniem mu kołków na głowie, kochanie! - odparła ze śmiechem Laurie. - Wiesz, jacy są mężczyźni.

Jednak dzięki wytrwałemu marudzeniu zaczęła brać w końcu lekcje jazdy, których tak pragnęła, a także bryczesy, czapkę i wszystko, co miała Gemma, a czego Sonia tak pożałowała. Błagała ojca, żeby przyglądał się lekcjom. Dzięki temu wyszedł wreszcie z domu, oderwał się od gazet i telefonu, a wkrótce zaczął się śmiać, rozmawiać i słuchać Laurie, jak wszyscy. Wyglądało na to, że lubi ją nie mniej niż Sonia. Kiedy nagle zgolił brodę, Laurie powiedziała, że jej ojciec wygląda bardzo młodo.

Laurie Cass stanowiła dla Soni ideał kobiety - piękna i wysportowana jednocześnie. Nie było w niej nic twardego, ale potrafiła być surowa i krzyczała, jeśli ktoś nie wypełniał jej poleceń. Miała zupełnie proste, rude włosy, które opadały jej wzdłuż policzków, kiedy jechała konno, cerę pełną piegów i migoczące niebieskie oczy. Zawsze malowała rzęsy na granatowo, co przyciągało światło i czyniło Laurie olśniewającą.

- Bez tego wyglądałabym jak albinos - zaśmiała się, gdy Sonia zastała ją na malowaniu oczu przed lusterkiem w stajni.

Sonia obiecała sobie, że pewnego dnia też pomaluje sobie rzęsy na granatowo. Z uwielbieniem spytała Laurie, ile ma lat, a ona odpowiedziała ze śmiechem:

- Dziewięćdziesiąt!

Dorośli zachowywali się tak zabawnie w kwestiach wieku, bali się wyglądać na starszych, a Sonia nie mogła się doczekać, kiedy dorośnie. Domyślała się, że Laurie ma około trzydziestki.

- Dlaczego nie masz męża? - spytała, kiedy czyściły Red.

Edukacja Soni przewidywała również czyszczenie koni i było to jej ulubione zajęcie.

- Och, miałam, kochanie. - Laurie nie przestawała obserwować zamaszystych pociągnięć szczotką, którą czyściła grzbiet Red. - Poślubiłam bardzo pięknego mężczyznę. Zginął w Wietnamie.

Ponieważ Laurie była zakłopotana, mówiąc o jego śmierci, Sonia zapytała:

- Jak mężczyzna może być piękny, Laurie? Laurie uśmiechnęła się do siebie.

- Widzisz tego konia? - spytała Sonię. - Czy on nie jest piękny? Właśnie w taki sposób mężczyzna może być piękny. On też kochał konie. Mieliśmy razem prowadzić tę szkołę. To było nasze marzenie. Otworzyłam ją za pieniądze z jego ubezpieczenia. Cieszyłyby się z tego.

Pewnego niedzielnego popołudnia Sonia błagała ojca, żeby urządził na tyłach domu przyjęcie z pieczeniem mięsa na ruszcie. Chciała odplacić za całą dobroć, jaką okazała jej mama Gemmy, a poza tym chciała zaprosić Laurie. Zgodził się, więc kupili hot dogi i steki. Sonia zauważyła, że ojciec spędzał wiele czasu rozmawiając z Laurie i że Laurie wyglądała ładniej niż zwykle; miała silniejszy makijaż niż w stajni i, po raz pierwszy, założyła sukienkę - białą, jedwabną, która powiewała na wietrze.

Wkrótce Laurie Cass zaczęła składać im częste wizyty, czasami zostawała na kolacji. Wtedy piekli mięso na ruszcie tylko dla nich trojga. Aż w pewien sobotni rano Laurie Cass

stała w kuchni w białym szlafroku ojca, robiła kawę i smażyła jajecznicę. Kiedy Sonia zawahała się, stanąwszy w drzwiach, Laurie podniosła wzrok z uśmiechem.

- Chyba zostałam wczoraj do późna! - powiedziała tytułem wyjaśnienia.

Ojciec przyłączył się do nich, w pełni ubrany.

- Dzień dobry! - mruknął burkliwie.

Mrugnął do Soni, jak gdyby gość na śniadaniu nie był niczym niezwykłym.

Sonia wybiegła nagle z kuchni do swego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ze zmarszczonym czołem stała przy łóżku, a rozmaite myśli kłębiły jej się w głowie. Była wściekła, ale nie wiedziała dlaczego. Parę razy mocno kopnęła łóżko, żeby wyładować złość. Potem poczuła się bardzo szczęśliwa, że Laurie stała się członkiem rodziny. Wróciła na śniadanie z postanowieniem, że będzie się zachowywać równie dorośle jak oni.

- Są kochankami! - Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć to Gemmie tego ranka, kiedy Harry i Laurie wyszli.

- Tylko jeśli spali w jednym łóżku - zastrzegła rezolutnie Gemma. - A jeśli tak, to Laurie jest w ciąży!

Sonia potrząsnęła głową.

- Łóżko było zasłane, kiedy zajrzałam do jego pokoju po śniadaniu, a tata nigdy nie ścieli łóżka. Ona musiała to zrobić!

Gemma otworzyła szeroko oczy.

- Twój tata ożeni się z Laurie i ona zostanie twoją macochą! Będziesz mogła jeździć na Red, ile tylko zechcesz... fajnie!

Sonia zastanowiła się nad słowami przyjaciółki. Siedziały na werandzie, sącząc czekoladę na mleku.

- Nie może się z nią ożenić - powiedziała Gemmie, przypominając sobie, że wciąż jest żonaty.

- Dlaczego? - spytała Gemma. - Laurie owdowiała, a twój tata też!

Sonia spojrzała na przyjaciółkę.

- Po prostu tego nie robi i tyle.

Niedługo potem, kiedy Laurie pracowała w stajni, ojciec wezwał Sonię do gabinetu.

- Co byś powiedziała, gdyby Laurie się do nas wprowadziła? - zapytał z uśmiechem.

Co by powiedziała? To było cudowne, spełnione marzenie! Gemma może zazdrościć, jak tylko sobie chce! Będzie miała Laurie przez cały czas, bardziej starszą siostrę niż matkę.

- Czy powiedziałaś coś Laurie? - spytał ojciec. - O rodzinie i reszcie?

- Oczywiście, że nie, tato! - krzyknęła Sonia z oburzeniem. - Nigdy nikomu nie mówię, nawet Gemmie!

- To dobrze... - Oparł się o biurko. - Gdyby Laurie cię pytała, powiedz, że twoja matka umarła. Twój brat też.

- Dlaczego? - spytała Sonia, marszcząc czoło.

- Ponieważ gdyby Laurie dowiedziała się, że jestem żonaty, może nie zawracałaby sobie mną głowy - odparł z zakłopotaniem. - Jest bardzo przyzwoitą kobietą, a ja...

- Ale chciałbyś się z nią ożenić?

Skinął głową, wyciągając ręce do jej dłoni.

- Oczywiście, że tak, ale w tym celu musiałbym się najpierw rozwieść z twoją matką. Wtedy twoja matka by cię zabrała, a ja bym cię stracił. Nie chcesz, żebym cię stracił, prawda, księżniczko?

Obiegła biurko i objęła go, kręcąc głową.

- Gdybym ożenił się z Laurie, musiałbym cię stracić, a nigdy nie pozwolę ci odejść, księżniczko, nigdy! - obiecał.

Przyłgnęła do niego mocno, myśląc, że to najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

Z początkiem nowego roku przeprowadzili się do większego domu położonego bliżej stajni, a Laurie zamieszkała z nimi. Może ojciec i Laurie nie pobrali się, ale zachowywali się tak, jakby byli małżeństwem, Laurie twierdziła, że nic jej nie obchodzi, co myślą ludzie. To była kolejna rzecz, którą Sonia w niej uwielbiała. Postanowiła przyjąć tę samą postawę i także nie dbać o nic. To nowe życie rodzinne, ten nowy styl, był najbliższy normalności w całym ostatnim czasie. Dopiero kiedy znacznie później cofała się myślą do tego okresu, dostrzegła jego nierzeczywistość, rozświetlaną

wiecznym kalifornijskim słońcem o ostrych brzegach, które o piątej stawało się czerwopomarańczowe i upodabniało wszystko do hollywoodzkiego filmu. Przypominała sobie wtedy ciągły lęk, z jakim żyła, to poczucie, że jej nowe życie mogło się nagle urwać w każdej chwili, równie szybko i dziwnie jak się zaczęło.

### *Czerwiec 1985*

Ooooooto Johnny! - krzyknął Ed McMahon, a publiczność wiwatowała, wrzeszczała i wyła dokładnie tak, jak kiedy Marcella oglądała ten program o jedenastej trzydziści w Nowym Jorku w początkowych latach małżeństwa. Spojrzała na monitor w pokoju gościnnym stacji telewizyjnej NBC w Burbank w Kalifornii, drząc pod wpływem chłodnego powiewu wentylacji i ze strachu. Przylecieli zeszłego wieczora i zatrzymali się w Beverly Hilton.

*W imię miłości* oficjalnie miało się ukazać następnego dnia, ale książka już została dostarczona do sprzedaży w całym kraju. Ogromne zamówienia były wynikiem „szumu”, jaki Volumes z powodzeniem zrobiło wokół książki; promocyjna kampania reklamowa zaalarmowała zarówno czytelników jak i rynek księgarski. Wszyscy oczekiwali czegoś nadzwyczajnego.

Prasa paliła się do przeprowadzania wywiadów z „autorką wartą milion dolarów”, kreśliła portret Marcelli jako podnieconej gospodyni domowej, której szczęście dopisało na tyle, że sprzedała pierwszą książkę za siedmiocyfrową sumę. Chociaż Marcella w każdej rozmowie z dziennikarzami podkreślała, jak wiele czasu zajęło jej rozpoczęcie kariery, ile odmów otrzymała, przedstawiali jej sukces jako coś, co przyszło łatwo. Teraz, nawet gdyby książka zrobiła klapę, i tak rozpętano wokół całej sprawy dostatecznie głośną kampanię, by wynieść na piedestał zdolności wyszukiwania młodych talentów przez Volumes, a także nazwisko Marcelli Winton.



Marcella zacisnęła zęby, żeby nie dzwoniły jej ze strachu.

- Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona! - wyznała. Amy spojrzała na przyjaciółkę.

- Jak to możliwe? Dałam ci środek uspokajający, który konia by z nóg zwałił! Przerabialiśmy to sto razy. Wyglądasz rewelacyjnie. Wiesz, co masz mówić. Rozluźnij się! Za godzinę będzie po wszystkim i pójdziemy się urządzić do Spago. Co ty na to?

- Ja na to, że zaraz zwymiotuję - odparła Marcella. Amy poklepała ją po dłoni.

- Nic podobnego.

Patrzyły, jak znana gwiazda przechodzi obok w towarzystwie sekretarki, specjalisty od fryzury oraz asystenta.

Zanim Johnny Carson wszedł na wizję w pomarańczowym makijażu, Marcella zdążyła uścisnąć mu rękę.

Niektórzy ludzie nazwali *W imię miłości* książką sprośną! - próbowała w myślach. - Tak się składa, że uważam ją za romantyczną. Zawsze pisano książki o seksie. Pomyślałam: czemu ja nie miałabym takiej napisać? Co w tym złego, że mężczyźni i kobiety się kochają, Johnny?

Nagle wszystko, co sobie zaplanowała, wydało się jej głupie i banalne.

- Amy, nigdy nie zdołam powiedzieć żadnej z tych kwestii, które we mnie wpompowałaś - wybuchła. - Powiedz, że zachorowałam. - Patrzyła bezradnie na przyjaciółkę. - Nie dam rady...

- Marcello, kochanie... - Amy położyła rękę na jej drżącym ramieniu. - Pamiętasz kiedy miałaś czternaście lat i matka myła ci usta mydłem za opowiadanie historii o seksie? Powiedziałaś mi, że chciałaś ją zabić, tak? Teraz chcę, żeby ten gniew dał ci energię, żeby wyjść tam i wytłumaczyć, dlaczego kochasz pisać te historie! Bądź tą wspaniałą Marcellą, jaką odkryłam przed laty w La Cirque. Jutro kobiety będą wchodzić do księgarń, oglądać twoją książkę i mówić: „A, tak! Widziałam ją wczoraj w programie Johnny'ego Carsona...” To ty sprawisz, że zechcą ją kupić.

Wyjdź i sprzedaj ją!

- Może gdybym wypila drinka? - jęknęła Marcella przez zaciśnięte zęby.

- Nie po tym środku uspokajającym. - Amy pokręciła głową. - Chcemy, żebyś w rozmowie z Johnnym była pełna życia. Flirtuj z nim! Publiczność za tym przepada. Mów skandaliczne rzeczy, tak żeby mógł odegrać swoją rolę zakłopotanego. Ja to właśnie z nim robię. Stań na jego poziomie.

- Może się zamkniesz, Amy? - warknęła Marcella. Patrzyła, oniemiała ze strachu, jak poprzedzający ją gość, piosenkarz, którego dawny przebój odnosił ponowne sukcesy, przygotowywał się do wejścia na wizję. Podeszła asystentka producenta.

- Marcello? - Uśmiechnęła się, słuchając czegoś w słuchawkach. - Obserwuj mnie, dobrze? Kiedy zaczną mu bić brawo, puścimy reklamy, a potem dam ci znak. Przejdziesz na bok sceny i poczekaasz na instrukcje. Kiedy zagra muzyka, dam ci kolejny znak i wtedy masz wejść.

- A jeśli zwymiotuję? - spytała Marcella. Asystentka mrugnęła do Amy.

- Wytniemy to - zapewniła i odeszła.

Marcella z trudem przełknęła ślinę i spojrzała na ekran. Próbowwała nie wyobrazić sobie na nim własnej twarzy, bo to jeszcze bardziej ją denerwowało. Wzięła Amy za rękę i trzymała ją mocno jak małe dziecko.

Miała na sobie szmaragdową sukienkę z pożyczoną od Amy, a na szyi dyskretną diamentową łaźkę. Jej kasztanowe włosy upiął fryzjer w Beverly Hilton, makijaż wycieniowano nieco w garderobie NBC, aby nie wyglądała zbyt olśniewająco.

- Masz być przeciętną amerykańską gospodynią domową - przypomniała jej Amy. - Ale to nie znaczy, że nie możesz być jednocześnie seksy - syknęła, poprawiając dekolt Marcelli, aby odsłonić nieco bardziej piersi w wycięciu sukni. Przechodzący technik obrzucił je spojrzeniem, a Amy zachichotała.

- Myśli, że jesteśmy dwiema lesbiami!

Piosenkarz był dopiero w połowie utworu, kiedy Marcella spróbowała głęboko oddychać i nagle stwierdziła, że nie potrafi. Czas płynął szybciej, niż by sobie życzyła. Dotarła do niej tylko owacja i ostatnie, dodające otuchy pchnięcie

Amy. Asystentka dała znak; nagle decydująca chwila nadeszła. Marcella stała za kurtyną, słuchając, jak Johnny Carson przedstawia nową pisarkę. Mówił o niej!

- Jak wam wiadomo, zawsze staramy się was informować z wyprzedzeniem o literackich modach - śmiech publiczności - dlatego w dzisiejszy wieczór rozmawiamy z damą, która nigdy jeszcze nie występowała w tym programie. Właśnie sprzedała za milion dolarów swoją pierwszą książkę, więc niewątpliwie coś musi robić dobrze. Odkryjmy, co to takiego. Proszę powitać Marcellę Balducci Winton!

Choć nikt nigdy o niej nie słyszał, rozległa się burza oklasków. Orkiestra zagrała *Some Enchanted Evening*, a Marcella, czując komizm sytuacji, uśmiechnęła się, po czym wyszła na oświetloną scenę. Panował tam duszny upał, muzyka i brawa ogłuszały.

- Dlaczego twoja książka jest warta milion dolarów? - brzmiało pierwsze pytanie.

Wyjaśniła, iż *Volumes* uznało, że tyle właśnie książka jest w stanie zarobić.

- Nie miałem czasu, żeby ją przeczytać - powiedział przepaszająco Johnny - ale przekartkowałem i wydaje mi się całkiem ostro...

- I to jak! - zahuczał Ed.

Johnny posłużył się swoim ulubionym żartobliwym powiedzonkiem:

- Coś jakby pieprzna?

Ed zaśmiał się słynnym śmiechem:

- Tak bym powiedział! Coś jakby!

- No, dobra. - Johnny spoważniał. - Przestańmy owijać w bawełnę. Przejdźmy do sedna. Marcello, czy to jest sprośna książka?

Zaśmiała się.

- Niektórzy tak uważają. Ale nigdy nie sądziłam, że seks jest sprośny. W tej książce nie ma skrępowania. Jest romantyczna. Jest w niej mnóstwo żądy! - Przerwała, bo Johnny robił do widowni rozmaite zabawne miny.

I tak to trwało, przez tuzin gagów, powiedzonek i odpowiedzi, aż Johnny oświadczył:

- Życzymy ci dużo szczęścia. - Uniósł książkę. - *W imię miłości!* Idźcie wszyscy i uczyńcie Marcellę Balducci multimilionerką! Ed twierdzi, że powieść jest ostra! Dziękuję wam bardzo za wzięcie udziału w programie! Burza braw; Marcella ścisnęła dłoń Johnny'ego, a Ed trzymał ją za drugie ramię, żeby nie zeszła ze sceny przed początkiem reklam.

Bezceremonialnie pomogli jej wstać z krzesła, a charakteryzatorka podbiegła, by otrzeć Johnny'emu czoło. Marcella stała przez chwilę na skraju sceny, patrząc jak gospodarz programu popija wodę. Próbowwała pochwycić jego wzrok, żeby mu podziękować, może poflirtować, ale tu, na szczycie sławy i sukcesu, panował ścisły profesjonalizm. Zrozumiała nagle, jak ciężko wszyscy pracowali, by utrzymać z trudem zdobyte pozycje. Tu nie było miejsca na romanse.

W pokoju gościnnym padła w ramiona Amy.

- Nigdy, nigdy więcej nie mam zamiaru przez to przechodzić. Nie obchodzi mnie, ile egzemplarzy sprzedadzą! - zapewniła. - Nie jestem stworzona do występów publicznych! - wybuchnęła, opadłszy na krzesło.

- W przyszłym tygodniu masz Phila Donahue'a i Oprah Winfrey. Zdobędziesz nowych zwolenników w obu programach! - odparła Amy zdecydowanie. - Wystąpisz też w każdym programie telewizyjnym w małym mieście, jaki tylko cię zechce, a także w każdej najmniejszej stacji radiowej, która okaże choć cień zainteresowania!

- Dobrze, ale teraz nie chcę iść do Spago - jęknęła Marcella. - Chcę po prostu pójść do domu.

Wieczorem obejrzały program Johnny'ego w pokoju hotelowym. Marcella leżała wyczerpana na łóżku, rozkoszując się ulgą, że przeszła już próbę, ale nienawidząc widoku siebie i brzmienia własnego głosu w telewizji. Amy skubała winogrona z kosza owoców przysłanego przez Volumes. Mark zadzwonił, gdy obejrzał program w Nowym Jorku.

- Mamo, wyglądałaś pięknie! - powiedział.

Poza tym jedyne komplementy usłyszała od Scotta, kiedy wróciła nazajutrz do Nowego Jorku, oraz od człowieka

w pralni, dokąd zaniósła szmaragdową sukienkę, wyobrażając sobie, że przesiąkła wywołanym nerwami potem. Kiedy wróciła do domu, jeden z portierów wymachiwał jej książką.

- Moja żona widziała panią w programie Carsona - powiedział do Marcelli burkliwie. - Czy może pani napisać „dla Almy”? Czy Johnny Carson to miły facet, pani Winten?

- Absolutnie czarujący - odparła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek któremuś z gości udało się poznać pana Carsona.

Pielęgniarka matki zapewniła ją, że obie oglądały program; pielęgniarka została na noc podczas nieobecności Marcelli.

- Czy ona mnie poznała? - spytała Marcella, trzymając matkę za rękę.

- Myślę, pani Winten, że zasnęła - odparła pielęgniarka. - Ale ja panią widziałam i uważam, że była pani wspaniała!

- Dziękuję!

Marcella pocałowała matkę w policzek, a jej wzrok napotkał na moment oczy pielęgniarki. Panowało między nimi ciche porozumienie, aby nie przyznawać się, że Ida nikogo już nie poznaje i rzadko się odzywa. Napełniało to Marcellę takim smutkiem, że nie potrafiła spojrzeć prawdzie w oczy.

Na automatycznej sekretarce znalazła nagrane wiadomości od rozmaitych działów Volumes: reklamy, sprzedaży, a także od Scotta, który pytał, czy może przyjść do jego biura o szóstej tego wieczoru. Sądząc, że to kolejna konferencja prasowa, ubrała się w jedną ze swych olśniewających kreacji i stawiała się punktualnie.

Na jej widok Scott klepnął się w czoło.

- Och, powinienem był ci powiedzieć, żebyś ubrała się zwyczajnie! Idziemy do magazynu.

- Jakiego magazynu? - spytała.

- Zobaczysz - odparł Scott tajemniczo.

Zawiózł ją swoim samochodem do Queens. Przez całą drogę mówił o książce i jej promocji.

- Nasi ludzie wykonali świetną robotę - powiedział. - We wszystkich punktach sprzedaży Volumes rozwieszono plakaty, wycinki i zdjęcia. Twoja twarz jest widoczna w księgar-

niach, Marcello. Bardzo nam się podobało, jak wypadłaś w programie Carsona. Dzięki temu sprzedamy mnóstwo książek. Ten numer ze skromną gospodynią domową był świetny.

- A gdybym ci powiedziała, że to nie żaden numer?

- Spojrzała na niego z ukosa. - Może nie jestem gospodynią domową, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że to mi się przydarza.

- Uwierz. Wysyłamy ogromne ilości książek!

- Co się stanie, jeśli ich nie kupią?

- Och, za kilka miesięcy zobaczysz je na wyprzedażach po cenie obniżonej do dolara dziewięćdziesiąt pięć - zaśmiał się Scott. - A kiedy podniesiesz wzrok, ujrzysz mnie na parapecie Volumes, gdzie będę się zastanawiał, czy skoczyć. Dotarli wreszcie między szarymi zabudowaniami przemysłowymi do dużego neonu głoszącego VOLUMES. Scott zaparkował przed niskim, długim magazynem otoczonym barierką i zadzwonił. Strażnik wprowadził ich do środka. Wokół magazynu znajdowało się kilka pomniejszych budynków. Strażnik zatrzymał się przed jednym z nich i wręczył Scottowi pęk kluczy. Kiedy pracownik odszedł, Scott uklęknął i zdjął potężną sztabę. Pchnął stalowe drzwi, a oczom Marcelli ukazały się niezliczone sterty kartonów z napisem IMIĘ/MIŁOŚĆ. Scottowi udało się wyciągnąć jeden z kartonów i rozedrzeć go. Wypadły dwadzieścia cztery nowiutkie egzemplarze jej książki. Marcella krzyknęła z zachwytu, Scott wyjął z kieszeni aparat, żeby pstryknąć kilka zdjęć.

- Pomyślałem sobie, że zechcesz zobaczyć, jak wygląda ćwierć miliona książek! - powiedział ze śmiechem. - Druga ćwiartka jest w księgarniach. Jeśli się sprzeda, te pójdą w jej ślady!

- Och, Scott! - Uścisnęła go pod wpływem impulsu.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. Za nic nie chciałabym przepuścić takiej okazji.

Natychmiast pożałowała swego gestu. Scott żarliwie odwzajemnił uścisk, przyciągnął Marcellę do siebie i przycisnął usta do jej ust. Pocałował ją, a kiedy jego język wdarł się między jej wargi, odsunęła się zaskoczona.

- Scott, jeśli nie będę uważać, zaczniesz się ze mną kochać na kartonach pełnych moich książek!
- Czy to byłby taki zły pomysł? - mruknął, nadal trzymając ją w uścisku. - Ten strażnik nie wróci, dopóki nie zadzwonię.

Potrząsnęła głową. Uklękła i zaczęła starannie układać książki.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?

On również opadł na kolana, patrząc jej w twarz, z dłońmi zaciśniętymi na jej przegubach.

- Kiedyś byłaś bardzo zmysłową, seksowną kobietą, Marcello. Nie mów mi, że za tym pierwszym razem nie było ci przyjemnie. Wiem, że było!

- To prawda. - Odsunęła dłonie. - Ale wiele rzeczy się zmieniło. Nie lubię mieszać interesów i przyjemności.

- A ten pierwszy raz nie należał do interesów? - spytał. Wstała, otrzepując sukienkę.

- Scott, nie chcę być jedną z kobiet, z którymi się zabawiasz. Szukam czegoś więcej.

- Jak tymczasem rozwiązujesz sprawę seksu?

- Cały wkładam w moje pisanie - odparła z uśmiechem.

- Dlatego moja książka jest taka zmysłowa. Potrząsnął głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Cóż mogę powiedzieć? Przynajmniej jako twój redaktor, nie mogę się skarżyć. W każdym razie, pamiętaj o mnie, w razie potrzeby, dobrze?

- Dobrze. - Skinęła szybko głową. - Co zrobimy teraz z tymi książkami? Zniszczyłeś ten karton!

- Może podpisz je dla ludzi, którzy tutaj pracują - zaproponował Scott. - Na pewno to docenią. Spytamy strażnika o ich imiona.

Zanieśli tuzin książek do samochodu, gdzie Marcella usiadła, nie zamykając drzwi, i składała autografy. Dlaczego po prostu nie pozwoliłam Scottowi, żeby się ze mną kochał?

- myślała. Czyżby seks znalazł się tak daleko na jej liście priorytetów, że potrafiła się bez niego obyć jak Nancy Warner? O, Boże, miała nadzieję, że nie.

W drodze powrotnej do miasta Scott wręczył jej kilka czasopism.

- Widziałaś recenzje? - spytał. - Niezłe, biorąc pod uwagę..

Otwierала pisma na stronach zakreślonych na czerwono. ..Publishers Weekly" i „Kirkus Service" zamieściły zawistnie pochlebne notatki.

- *W imię miłości* wcale nie jest tak złe, jak można się było spodziewać - przeczytała na głos Marcella. - To nazywasz dobrą recenzją?

- W ustach tego faceta to praktycznie zachwyty! - zaśmiał się Scott.

- „Marcella Balducci Winton bez wątpienia posiada dar poruszania czytelnika i zmuszania go do przewracania stron"

- czytała dalej. - „Ma szansę stać się pisarką dużego formatu, w tradycji Krantz i Steel... Z wielkim zainteresowaniem czekamy na jej kolejną powieść".

Wzdrygnęła się.

- Książka dopiero co się ukazała, a oni już naciskają, żebym pisała drugą.

W następnym tygodniu Marcella posłusznie wystąpiła w programie Oprah Winfrey, w rozmowie pisarzy z udziałem Amy, w programie Phila Donahue'a pod tytułem *Jakie jest miejsce seksu?*

- Teraz musimy po prostu spokojnie usiąść i patrzeć, czy książka się sprzedaje! - powiedziała Amy.

W codziennych rozmowach telefonicznych Scott informował Marcellę o sprzedaży w skali całego kraju. Ponowne zamówienia od sieci księgarskich byłyby pierwszą oznaką powodzenia.

- Musi trafić na listę w przyszłym tygodniu albo tydzień później! - oznajmiła przez telefon Amy. - Jestem bardziej podniecona, niż gdyby dotyczyło to mojej własnej powieści!

Chodziło o listę bestsellerów publikowaną przez „The New York Times Book Review", który ukazywał się jako dodatek do „Sunday Times". Volumes wykupiło już reklamę na rozkładówce, informującą o ukazaniu się książki.

Teraz czekano, czy powieść Marcelli znajdzie się wśród piętnastu najlepiej sprzedających się książek w kraju.

- Nowy Jork i Los Angeles to jedno, ale żeby stała się



prawdziwym bestsellerem, potrzebne nam są wszystkie stany położone pomiędzy - ostrzegła ją Amy. - W Des Moines także muszą cię pokochać, kochanie!

Marcella była zbyt zdenerwowana i podniecona, by cokolwiek robić. Dwukrotnie uporządkowała biurko. Wysprzątała mieszkanie. Kilkanaście razy dziennie zaglądała do matki. Przyrządzała skomplikowane dania dla siebie i Marka. Pisanie nie wchodziło w rachubę. Aż wreszcie nowiny nadeszły w pewien czwartkowy poranek, kiedy „Times Book Review” zamieścił *W imię miłości* na miejscu czternastym, Volumes i Amy przysłali kwiaty. Marcella posłała kwiaty Amy. Mark posłał kwiaty matce. Sukces świętowano szampanem. Teraz pytanie brzmiało: jak wysoko książce uda się wspiąć? W następnym tygodniu doszła do pozycji jedenastej. Później dziewiątej. Potem ósmej. Z końcem sierpnia dotarła do czwartego miejsca.

- Zobaczmy... - Amy wyliczyła trzy żelazne pozycje na lato. - Mamy powieść szpiegowską, sagę historyczną i głównie pod tytułem *Hollywoodzkie Szkraby*, autorstwa jakiejś byłej gwiazdy filmowej. Nie wydaje mi się, że mogło ci pójść lepiej, Marcello. Wszłaś na listę przebojów lata!

Tuż przed trzynastymi urodzinami ciało Soni zaczęło podlegać przemianom. Zdaniem Laurie, która okazała się cudownie pomocna, nieco później niż to dzieje się zazwyczaj. Dobrała Soni biustonosz i wytłumaczyła jej, co się z nią dzieje.

- Co miesiąc może przyjść dzień lub dwa, kiedy nie będziesz w nastroju do jazdy - powiedziała jej Laurie.

Po prysznicu Sonia przyglądała się swemu odbiciu w lustrze w łazience, odnotowując wszystkie zmiany. Dziewczęta w szkole nieustannie chichotały i plotkowały o chłopakach i seksie. Sonia czuła się od nich bardziej dorosła, ponieważ pozwolono jej patrzeć na żrebiącą się klacz. Eddie, czarny chłopak pracujący w stajni, także przy tym był. „Mężczyzna może być równie piękny, jak koń” - powiedziała kiedyś Laurie. Sonia widziała, jak z klaczy wynurzyła się głowa, potem całe ciało. Lśniący żrebak upadł na ziemię, a potem został wylizany i niepewnie stanął na chwiejnych nogach.

Kiedy Sonia zaczęła się zmieniać w kobietę, jej ciało wyciągnęło się, stało się smukłe i wysokie jak ciało jej ojca, a dwie małe, wysokie piersi wykwitły pod wyblakłą koszulką, ukryte w staniku.

- Nie brzydniesz nawet przejściowo! - zachwycała się Laurie. - Żadnych pryszczycy, otyłości i, mam nadzieję, żadnych społecznych napadów!

Sonia powoli nauczyła się nakładać staranny makijaż, nie za mocny, żeby nie irytować ojca, któremu, wyczuwała to dobrze, nie podobało się, że córka dorasta tak szybko. Gdyby

zauważył, że na uroczystą kolację pożyczyła szminkę czy tusz do rzęs od Laurie, kazałby jej zetrzeć makijaż, wyraźnie chciał postawić barierę między dzieciństwem a dorosłością Soni. Zwracał uwagę na wszystko, co robiła, mówiła czy nosiła, jakby badał ją pod mikroskopem.

Przez pewien czas, nie spiesząc się z porzucaniem swych trzpiotowatych zajęć, słuchała ojca. Żadnego makijażu, żadnych szpilek, o takie głupstwa wcale nie dbała. Odgrywała dla niego rolę małej dziewczynki. Było to łatwe, jeśli nie zwracała uwagi na zmiany zachodzące w swoim ciele. Podobało jej się, że miała małe piersi - nie przeszkadzały w konnej jeździe. Ona i Gemma podśmiewywały się z dorosłych pań, których cycki w cwale podskakiwały rytmicznie.

W czerwcu skończyła trzynaście lat. Teraz nie była już w stanie powstrzymać procesu dorastania. Z makijażem, na szpilkach, w dorosłym ubraniu, mogła uchodzić za siedemnasto- czy osiemnastolatkę. Niemal z lękiem dostrzegała, jak piękna może się stać przez zwykłe upięcie włosów i podkreślenie oczu i ust makijażem. Spróbowały tego razem z Gemmą pewnego wieczoru, kiedy została na noc u przyjaciółki, a pani Hailey wyszła. Przebrały się w rzeczy pani Hailey, użyły jej kosmetyków. O ósmej poszły do pobliskiego baru dla samotnych, całe umalowane, szczypiąc się nawzajem, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Właśnie miano im podać Tequila Sunrise, które zamówiły, kiedy barman przyjrzał się im dokładniej i zażądał dowodów tożsamości. Wybiegły z baru, zanosząc się śmiechem w drodze powrotnej do domu. Tam starły makijaż i zmieniły ubrania, stając się znowu małymi dziewczynkami. Siedziały, przyglądały się sobie z powagą i co pewien czas wybuchały śmiechem. To wydarzenie dało Soni przedsmak dorosłości; sposób, w jaki ci mężczyźni patrzyli na nią, kiedy weszła do baru, dało jej wyobrażenie mocy, jaką posiadzie, gdy stanie się kobietą.

Tata zainteresował się bliżej szkołą konnej jazdy i po kolacji godzinami rozmawiali o niej z Laurie. Sonia przysłuchiwała się ich dyskusjom o tym, jak powiększyć szkołę, jak zainwestować pieniądze w nowe stajnie, przyjąć więcej ucz-

niów, kupić więcej koni, by zwiększyć w ten sposób zyski. Kiedy mówili o hodowli koni, oczy Laurie błyszczały. Twierdziła, że zawsze o tym marzyła, ale że było to zbyt drogie przedsięwzięcie dla jednej osoby. Mówiła o arabach i koniach czystej krwi wartych ponad milion dolarów. Milion dolarów za jednego konia! Sonia powtórzyła tę sumę Gemmie i obie dziewczynki pragnęły zobaczyć zwierzę za milion dolarów, zobaczyć, jak było uczesane, jak się poruszało, co sprawiało, że dawano za nie aż taką cenę.

Tata zaczął odwiedzać stajnie. Później w nie zainwestował. Nadal nosiły nazwę Akademii Jeździeckiej Laurie Cass, ale ojciec każdego popołudnia zjawiał się w biurze Laurie. Zarządzał budową nowych pomieszczeń, polecił Laurie zakupić nowe konie, dał ogłoszenia o naborze nowych uczniów. Zatrudnili też nowych instruktorów.

- Twój tata musi mieć mnóstwo pieniędzy! - dziwiła się Gemma.

Sonia nie odpowiedziała. Kiedyś tata wezwał ją do swego pokoju i pokazał kilka dużych poduszek leżących tam na kanapie. Rozpiął suwak jednej z nich, pokazał córce białą poszewkę, a potem ją także rozpiął. Między dwiema warstwami gąbki spoczywały zwitki banknotów studolarowych.

- Gdyby cokolwiek mi się stało, bierz to! - powiedział Soni.

Przyglądała się pieniądzom z niepokojem.

- Dlaczego nie włożysz ich do banku? - spytała.

- To jest lepsze niż jakikolwiek bank - odparł. - To jest twoje wykształcenie, twoje zabezpieczenie. W ten sposób nie wiesz, ile mamy.

Czasami rozpięła poduszkę i wsuwała rękę, by sprawdzić, czy pieniądze wciąż tam są.

Słyszała wiele szeptanych plotek na temat seksu i wiedziała mniej więcej, co mężczyźni i kobiety robili razem.

Gemma dostarczyła przyjaciółce dalszych szczegółów.

- On wsuwa jej tę rzecz i robią dziecko! Czy możesz sobie wyobrazić, jakie to uczucie?

- Czy to boli? - spytała Sonia.

- Tak! - odparła Gemma. - Kobieta krzyczy, to bardzo boli. Mogą to robić tylko wtedy, kiedy są po ślubie. Ojciec i Laurie nie wzięli ślubu, więc może tego nie robią - myślała Sonia. Może tylko przytulali się do siebie w łóżku, tak jak ona do taty, kiedy spali razem?

Z chłopców przyjaźniła się tylko z Eddiem. Był o kilka lat starszy od Soni i został odkryty przez Laurie, kiedy brał udział w wyścigach na torze Del Mar na południowym wybrzeżu. Stał się ulubionym pracownikiem Laurie, która niewątpliwie jemu właśnie najbardziej ufała. Zachowywał się przyjaźnie i miał miłą, okrągłą twarz krępego, silnego chłopca. Zawsze wyświadczał Soni specjalne przysługi, i wręczał jej szeroką szczotkę dla Red, gdy tylko Sonia zjawiała się w stajni. Gemma twierdziła, że Eddie musi się w niej kochać, ale Sonia nie przywiązywała do tego wagi. Nie myślała nawet w ten sposób o Eddiem. Był jej przyjacielem, swego rodzaju przyjacielem-zwierzęciem-człowiekiem, w połowie drogi między końmi a Sonią. Kiedy rozbierał się do pasa, żeby oblać konie wiadrami wody, jego lśniące czarne plecy pasowały do mokrego, lśniącego grzbietu czarnej klaczy. Sonia lubiła kręcić się po stajni pomagając Eddiemu, rozmawiać o koniach i jeźdźcach, wdychać niebiański zapach koni i siana.

Ojciec powiedział jej, żeby nie spędzała tyle czasu z Eddiem.

- Dlaczego? - spytała.

Zaczynała ją nużyć długa Usta rzeczy, których ojciec zabraniał jej robić.

- Kiedy ktoś dla ciebie pracuje, lepiej nie nawiązywać z nim zbyt bliskich stosunków - odparł Harry. - Eddie jest pracownikiem. Nie jest dobrze dla twojej reputacji, jeśli—

- Co to jest reputacja? - przerwała mu.

- To, co ludzie o tobie myślą - wyjaśnił.

- Ale mnie nie obchodzi, co ludzie o mnie myślą! - zapewniła ojca. - Podobnie jak Laurie! Często to powtarza!

- Słuchaj, Soniu, nie sprawiaj mi kłopotów - warknął nagle. - Jestem twoim ojcem i moje słowo jest decydujące. Przynajmniej do czasu, kiedy zaczniesz na siebie zarabiać.

Wargi Soni zadrżały. Nie mogła znieść, kiedy zwracał się do niej po imieniu, bo wiedziała, że jej wtedy nie kochał. Wracały wtedy wszystkie dawne lęki, że ją opuści.

Pobiegła odszukać Laurie. Laurie właśnie przygotowywała w kuchni kolację. Sonia przyglądała się jej przez chwilę, a potem wybuchnęła płaczem.

- Co takiego, co się stało, kochanie? - Laurie odłożyła warzywa, które obierała, i wzięła Sonię w ramiona.

- Tata mówi, żebym nie spędzała tak dużo czasu z Ed-diem! - łkała Sonia. - Eddie to mój przyjaciel, a ja...

- Och, kochanie, nie przejmuj się tak bardzo! - pocieszała Laurie. Znalazła chusteczkę i wytarła policzki Soni.

- Soniu, wyjaśnię ci coś, co dotyczy ojców i ich córek. Przez całe życie byłeś jego małą dziewczynką. Teraz widzi, jak dorastasz, prawda? Może czuje, że wkrótce zacnie cię tracić i jest trochę zazdrosny o każdego chłopca, którego lubisz?

- Gemma mówi, że Eddie się we mnie kocha - powiedziała Sonia, pociągając nosem. - Czy to prawda, Laurie?

- Myślę, że kocha cię tak, jakby kochał cię brat - odparła Laurie.

- Ja mam... - zaczęła Sonia, a potem urwała. - Miałam brata.

- Wiem, maleńka - powiedziała Laurie, z ustami we włosach Soni. - Twój tata wszystko mi opowiedział. Tak mi przykro...

Uścisk ramion Laurie wydawał się Soni taki sztuczny. Oddała jej chusteczkę i odsunęła się.

- Laurie, czy naprawdę kochasz mojego tatę?

- Kocham was oboje - odparła lekko Laurie. - Jak inaczej mogłabym z wami wytrzymać?

- A tata naprawdę cię kocha? - nalegała Sonia.

- Czemu jego o to nie spytasz? - uśmiechnęła się Laurie.

- Nie! - Potrząsnęła głową. - Lepiej tego nie rób! Mężczyźni nienawidzą rozmów o miłości!

Sonia poniechała tego tematu. Instynktownie wyczuwała, że Laurie musi mieć rację. Powiedziała, że mężczyźni nienawidzą rozmów o miłości. Laurie zawsze mówiła rzeczy,

które zmuszały Sonię do rozmyślań. Mężczyzna może być równie piękny jak koń. To także powiedziała Laurie. Tego lata Harry zawiózł ich na wakacje na Wybrzeże. Zatrzymali się w pięknej starej willi o nazwie La Jolla, z najpiękniejszym widokiem na ocean, jaki Sonia kiedykolwiek widziała. Codziennie oglądali wyścigi na torze Del Mar. Słuchając wskazówek Laurie, tata stawiał na konie i wygrał dużo pieniędzy. Śmiał się i ścisnął ją i Laurie. Później, w mieście, powiedział im, żeby wybrały sobie, czego tylko pragną. Sonia marzyła o komplecie do makijażu w plastikowej torebce, ale wyczuła, że nie zaaprobowaliby jej wyboru, a nie chciała psuć dnia kłótnią. Przystała na przenośny magnetofon ze słuchawkami oraz taśmy z nagraniami „Kiss”, „Earth Wind and Fire” i Stevie'ego Wondera.

Podczas wakacji pojechali obejrzeć domy w cichej wiejskiej miejscowości, która nazywała się Rancho Santa Fe. Jeden z nich kosztował blisko milion dolarów.

- Co na to powiecie? - spytał tata.

Wymieniła spojrzenia z Laurie. Był to najpiękniejszy dom, jaki Sonia mogła sobie wyobrazić, otoczony wieloma akrami ziemi, dwiema stodołami podzielonymi na stajnie, kortem tenisowym i basenem. Wyglądał jak dom z obrazka. Otaczał go mały sad owocowy. Wioska składała się zaledwie z kilku sennych, dobrze utrzymanych ulic. Agent od nieruchomości powiedział, że gwiazdy Hollywoodu przyjeżdżają tu na weekendy. Kiedy Harry oświadczył nagle, że kupuje ten dom, Sonia chwyciła Laurie za ręce i razem zaczęły skakać, wrzeszcząc z radości i podniecenia. Na wiosnę wprowadzili się do nowej posiadłości. Kiedy rozlokowali się już na dobre, Sonia napotykała czasami wzrok ojca i wymieniali szczęśliwe, porozumiewawcze spojrzenia. Wygrali! Cała jesień i zima obfitowała w zmiany. Sonia poszła do pobliskiej szkoły, prywatnej i ekskluzywnej, kładącej nacisk na sport i jazdę konną. Chciała chodzić na dodatkowe lekcje tańca i gry aktorskiej, a Laurie obiecała, że będzie ją w tym celu wozić do San Diego. Tata obiecał

wyhodować dla niej specjalnego konia, którego miała urodzić Red.

Laurie zatrzymała stare stajnie, co dwa tygodnie dojeżdżała, żeby ich doglądać. Najlepsze konie przenosiła do Rancho Santa Fe, a Eddie przyjechał, by się nimi zająć.

W miesiąc po przeprowadzce Sonia świętowała czternaste urodziny. Gemma i jej matka przyjechały specjalnie na tę uroczystość, podczas której Laurie wyprowadziła ze stajni Red, z ogromną białą atlasową wstęgą zawiązaną wokół szyi na kokardę.

- Jest twoja, Soniu! - ogłosiła Laurie, a wszyscy zaczęli bić brawo, śpiewać *Happy Birthday*.

Sonia uściskała Laurie i ojca. Zarzuciła ramiona na szyję swej ulubionej klaczy i ją także uściskała.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że ona jest moja! - powtarzała przez cały dzień. - Moje życie jest teraz idealne!

W wieku czternastu lat była bardzo piękna. Miała smukłe, wiotkie, silne i zgrabne ciało. Jej piersi pozostały drobne, a biodra jak u chłopca. Zmieniał jej się głos: w wyniku lekcji gry aktorskiej stał się niski, niepokojąco zmysłowy i dorosły. Na lekcjach tańca i gry aktorskiej okazała się niewątpliwie najbardziej utalentowaną uczennicą. Teraz, po raz pierwszy, jej uroda stała się bogactwem, a nie czymś, co należało skrywać. Spędzała wieczory przed lustrem w łazience, odkrywając rozmaite fryzury. Nieoczekiwanie zaczęła przejawiać wielkie zainteresowanie strojami. Soni wydawało się, że cały świat obraca się wokół niej i nie miała nic przeciwko temu.

Czy aby hodować konie arabskie, nie musisz być Arabem? - spytała Laurie.

- Nie, musisz być tylko bogata! - odparła Laurie ze śmiechem. - Chociaż ci dwaj bracia to Egipcjanie. Poznałam ich w zeszłym miesiącu na aukcji koni i zaczęliśmy rozmawiać. Kupili najlepszego, więc muszą być nadziani.

Moglibyśmy wykorzystać ich ogiera tylko na jeden ranek! Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, Red może zostać matką!



- Och, Laurie! Ja umrę! - krzyknęła Sonia. - Moja kochana Red mamą!

- Pomyślałam, że ich zaproszę - powiedziała Laurie. - Bądź bardzo gościnna i miła, to może zgodzą się współpracować. Na przykład obniżą cenę. Wypożyczenie takiego konia na jeden ranek kosztuje fortunę. Musielibyśmy zapłacić za transport, ubezpieczenie, weterynarza, za wszystko.

Mieszkali w Rancho Santa Fe dopiero od dziesięciu tygodni, kiedy bracia Fazeen przyjęli zaproszenie Laurie. Sonia nie mogła sobie wyobrazić, jak mogą wyglądać.

- To zwykła przyjacielska wizyta - powiedziała jej Laurie. - Oceniają, czy stać nas na to, żeby zapłacić za czas ich ogiera!

- Jak się nazywają? - spytała Sonia.

- Fazeen. Ashid i Gamal Fazeenowie. Ashid jest młodszy. Jest naprawdę uroczy. Użyj wszystkich swoich wdzięków, Soniu...

Zmarszczyła brwi, a potem napotkała wzrok ojca. Nigdy nie wściekał się na Laurie, ale Sonia widziała, że nie podobał mu się ten komentarz.

- Moja księżniczka nie musi się wysilać, żeby czarować dwóch egipskich hodowców koni - powiedział, ujmując Sonię pod brodę. - Ona jest czarująca dla wszystkich, prawda, malutka?

Sonia zrobiła jedną ze swych potwornych, zezowatych min i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Rankiem w dzień przyjazdu braci zrobiła staranny makijaż, szczęśliwa, że kwietniowy dzień okazał się ciepły i słoneczny. Chciała, żeby makijaż wypadł bardzo korzystnie, a jednocześnie naturalnie. Podkreśliła linie powiek ciemnoszarą kredką, a rzęsy pomalowała lekko granatowym tuszem. Usta ośmieliła się pokryć tylko wiśniową szminką, ale na powieki nałożyła lawendowy pastel i włożyła lawendowy dres, który podkreślał liliową barwę oczu i dopełniał jasną opaleniznę.

Częściowo ukryta za zasłoną w sypialni, patrzyła, jak Porsche braci powoli wjeżdża na frontowy podjazd. Kiedy

Harry wyszedł im na powitanie, zeszła chyłkiem na dół i schowała się za Laurie, czekając, aż goście wejdą do domu. Ashid stał w drzwiach wejściowych tuż za bratem. Sonia wyciągnęła szyję, żeby go zobaczyć i ich oczy się spotkały. Ciemne, migoczące oczy Ashida zahipnotyzowały ją, więc mogła tylko stać i patrzeć. Przed przybyciem braci miała niejasne wyobrażenie mężczyzn w szatach i zawojach, ale nigdy nie widziała kogoś takiego jak Ashid. W wieku około dwudziestu pięciu lat, wysoki, smagły, gładki, z wielkimi, sennymi oczyma okolonymi niemal kobiecymi, długimi, gęstymi rzęsami i wąsami podkreślającymi zmysłowe usta prezentował się wspaniale. Co kilka minut jasnorożowy język wysuwał się nerwowo i dotykał warg. Proste czarne włosy były wypomadowane i gładko zaczesane. Miał na sobie strój, jakiego nigdy nie widziała w Kalifornii - pięknie skrojony, jasnoszary garnitur, białą koszulę i krawat. Wypolerowane mokasyny lśniły w słońcu. Sonia prawie nie spojrzała na starszego brata, Gamala, znacznie grubszego, z opadającymi wąsami morsa, okrągłą twarzą i zmęczonymi oczami. Gamal łysiał i stale ocierał czoło białą chusteczką.

- To nasza córka, Sonia - przedstawiła ją Laurie.

Zdecydowali wcześniej, że prościej będzie udawać rodzinę.

Podając rękę Ashidowi, posłała mu najbardziej olśniewający ze swych uśmiechów. Jego powieki opadły niemal zalotnie, a potem odwrócił nieśmiało wzrok. Wymieniła uścisk dłoni z Gamalem. Laurie podała kawę i ciastka; przez pewien czas siedzieli w salonie i rozmawiali. Sonia nie mogła oderwać wzroku od Ashida. Próbował uciec przed jej spojrzeniem, patrząc na pozostałych, ale jego oczy wciąż wracały do Soni, zmieszane, zakłopotane, jakby zastanawiał się, ile miała lat i czy uda im się spędzić chwilę sam na sam. Po raz pierwszy poczuła, że pociąga ją mężczyzna i przeklinała, że ona ma tylko czternaście lat. Potraktowałby ją jak dziecko.

Obeszli teren, zaglądając do stajni. Wszyscy milczeli, kiedy Gamal przyglądał się uważnie koniom, które Eddie i jego ekipa wyczyścili wyjątkowo starannie. Potem usiedli

w pobliżu basenu na wiklinowych krzesłach, by porozmawiać o działalności braci. Harry'ego interesowała szczególnie procedura wypożyczenia ogiera, jej koszt, sposób przewozu i ubezpieczenia konia.

- To bardzo drogie, panie Ashton - mruknął Gamal, machnąwszy ręką niedbale. - Bardzo drogie!

Jak gdyby Harry w żaden sposób nie mógł sobie na to pozwolić. Po zmęczonym tonie, w jakim odpowiadał na pytania Harry'ego, można było poznać, że rozmiary ani poziom stajni nie wywarły na Gamalu wrażenia.

Sonia poczuła nagły przyływ gniewu. Wszyscy tak ciężko pracowali, żeby stajnie dobrze się prezentowały.

Gamal przyjął leniwie szklanek wody Perrier oraz maleńką kanapkę. Laurie uznała, że to będzie odpowiedni wikt dla Egipcjan. Sonia nie odrywała liliowych oczu od Ashida. Myślała, że gdyby zdołała wyrazić swe uczucia oczami, jak ją uczono na lekcjach gry aktorskiej, może jej by się udało nakłonić Ashida do przekonania brata, by wypożyczył im ogiera.

Podeszła do Ashida, żeby dolać mu coli i wręczyć miseczkę orzeszków. Pozwoliła, by ich palce się spotkały. To nie była jej wyobraźnia: przeskoczyła między nimi prawdziwa iskra elektryczna. Tata i Laurie byli tak pochłonięci wywieraniem korzystnego wrażenia na Gamalu, że niczego nie zauważyli. Ale jeśli Ashid potrafił się rumienić, zarumieniłby się teraz. Jego oliwkowa twarz z ciemnym cieniem zarostu sprawiała wrażenie rozgrzanej. Patrzył na Sonię przez krótką, pełną zmieszania chwilę, a potem znowu odwrócił od niej wzrok. Poczła przyływ triumfu. Laurie spojrzła na nich nieoczekiwanie.

- A Ashid? - spytała figlarnie. - Co ty o tym myślisz? Ashid machnął skromnie ręką.

- Och, wszystkie interesy zostawiam Gamalowi! - Zaśmiał się. - Ja tylko uczę się na adwokata!

Sonia wykorzystała szansę. Złapała Ashida za rękę i poderwała go z krzesła.

- Chodź, oprowadzę cię - zaproponowała, nim ojciec zdążył zaprotestować.

Kiedy zniknęli ojcu z oczu, puściła dłoń Egipcjanina. Była gorąca i wilgotna. Przechodzili przez sad pomarańczowy, a Ashid rzucił jej powłóczyście spojrzenie.

- Ile masz lat? - spytał. Roześmiała się głośno.

- Wiedziałałam, że cię to gnębi! - Przybrała tajemniczą minę. - Zgadnij!

Zatrzymał się przed nią.

- Po Amerykankach zawsze trudno poznać... Zmarszczył czoło. Uwielbiała sposób, w jaki przyglądał się jej badawczo, jakby stanowiła ważny problem do rozwiązania

- Albo jesteś bardzo młoda i chcesz wyglądać starzej

- ciągnął - albo... - w jego czarnych oczach zapalił się błysk

- ... jesteś stosunkowo stara i próbujesz wyglądać młodziej! Sonia wybuchnęła perlistym śmiechem. W tym momencie, w cieniu drzew pomarańczowych, wyglądała tak świeżo i ponętnie, na poły dziecko, na poły osoba dorosła, że Ashi-dowi wydała się nieodparcie pociągająca.

- No, dobrze. Szesnaście? Ściągnęła usta, przekrzywiając głowę.

- Nieźle. Czternaście.

- Och... - Potrząsnął poważnie głową. - O wiele za młoda!

- Za młoda dla ciebie? - Wydęła usta.

- Za młoda, żeby z tobą bezwstydnie flirtować! - zaśmiał się Ashid. - Będziesz musiała zostać moją młodszą siostrą.

Ruszyli dalej i doszli do kortu tenisowego. Stała przy siatce, przeplotła przez nią palce i odwróciła się do Ashida.

- Nasze konie nie wywarły wielkiego wrażenia na twoim bracie, prawda?

- Pewnie nie - zgodził się Ashid, ku jej rozczarowaniu.

- Ale na Gamalu prawie nic nie robi wrażenia. Myśli, że on ma najlepsze konie!

Uwiesiła mu się na ramieniu.

- Ashid, klacz, którą ojciec chce ożrebić, jest moja.

- Uniosła wzrok. - Czy nie mógłbyś się za mną wstawić? Oddałabym życie, żeby zobaczyć, jak moja klacz się żrebi!

Szaleję na punkcie koni...

- Obawiam się, że nie mam zbyt wielkiego wpływu - odparł Ashid poważnie. - Jestem tylko młodszym bratem Gamala

- Ale obiecujesz, że spróbujesz? - nalegała. - To takie ważne dla mojego taty i... miałabym okazję, żeby cię znowu zobaczyć!

- Chciałbym tego - powiedział, patrząc na ich splecione ręce.

Dłoń dziewczynki była bardzo biała na tle dużej, brązowej dłoni. Sonia przysunęła się do Ashida, poruszyła palcami, nie cofając się, aż nieśmiała mina wróciła na twarz Ashida.

- Jesteś taki przystojny - szepnęła.

- Tak?

Oderwał wzrok od ich rąk, by spojrzeć na twarz Soni a ona ujrzała z rozkoszą, że szuka na niej szczeroci. Przełknął ślinę. Sonia obserwowała, jak grdyka porusza się pod kołnierzykiem koszuli.

- A ty rozmawiasz w ten sposób z wszystkimi mężczyznami, którzy przyjeżdżają w interesach do twego ojca? - spytał niedbale.

Puściła dłoń Ashida, patrząc w ziemię.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym rozmawiam sam na sam...

Zrobiła urażoną minę i odwróciła się.

- Soniu! Poczekaj!

Postąpił duży krok, chwycił dłoń Soni uniósł do ust i pocałował. Spojrzał jej w oczy z zachwytem.

- Myślę, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem!

- Dziękuję, łaskawy panie - odparła z uśmiechem. Kiedyś słyszała tę kwestię w jakimś filmie i czekała na okazję, żeby ją wypowiedzieć.

- Porozmawiam z Garnąłem w drodze do domu - obiecał Ashid. - Ale ostrzegam cię, on rzadko mnie słucha!

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję ci bardzo, Ashid. Położyła mu ręce na ramionach i wspięła się na palce, żeby go pocałować. Usta Ashida były bardziej miękkie, niż sobie wyobrażała. Zauważyła, że podczas pocałunku zamknął oczy, jakby oddawał się jakiejś zakazanej radości.

Bracia odjechali dwadzieścia minut później, nie przyjąwszy zaproszenia Laurie na lunch. Kiedy samochód ruszał, Sonia wymieniła ostatnie porozumiewawcze spojrzenie z Ashidem.

- Fiu! - Harry otoczył ramionami Laurie i Sonię, po czym ruszyli z powrotem do domu. - Sto tysięcy dolców za wypożyczenie ogiera na jeden poranek! - Gwizdnął. - To dopiero interes, co? Wystarczy, że wypożyczy tego konia raz w miesiącu i ma milion dolarów rocznie!

- Może ten koń nie zawsze jest w nastroju? - zachichotała Laurie.

W drodze powrotnej, Ashid siedział w milczeniu obok brata. Kiedy zbliżali się do zjazdu na Santa Barbara, spojrzął na beznamietną twarz Gamala.

- Wypożyczysz tego ogiera, Gamal - powiedział cicho.

- Naprawdę? - prychnął Gamal. - Przecież odrzuciłem oferty tuzina hodowców, którzy nie sprościli moim wymaganiom. Muszę pilnować tej rasy. Nie mogę pozwalać każdemu, żeby...

- Gamal - powiedział cicho Ashid. - Ja proszę.

- Tak - zachichotał Gamal. - A kim ty jesteś?

- Najmłodszym synem twojego ojca - przypomniał mu Ashid.

- I spodobała ci się najmłodsza córka tamtego ojca! - wykrzyknął triumfalnie Gamal. - Czy nie mam racji?

Ashid nie odpowiedział, a po kilku minutach Gamal westchnął z rezygnacją.

- Nigdy nie należy robić czegoś wbrew własnej woli, tylko po to, żeby zadowolić jakiegoś członka rodziny - powiedział smutno.

*W imię miłości* utrzymało się na liście bestsellerów przez całą jesień, sprzedając się prawie w półmilionowym nakładzie, który planowali. Ten sukces sprawiał w jakiś sposób, że Marcella tęskniła za Sonią bardziej niż kiedykolwiek.

- Gdyby tylko Sonia była z nami - westchnęła do Marka, kiedy spacerowali wokół jeziora w Central Parku, gdzie on i jego siostra dawniej się bawili.

Detektyw zgubił trop Harry'ego. Marcella wreszcie zrezygnowała z jego usług. Minął ponad rok od ucieczki Harry'ego, toteż ślady zdążyły się pozacierać. Policja przypuszczała, że Harry zaszył się gdzieś w Kalifornii. Musiał zmienić nazwisko i wygląd, więc znalezienie go stało się prawie niemożliwe.

Mark uczył się już drugi rok w Akademii Muzycznej Jacinthe. Regularnie wybierano go do grania na koncertach szkolnych. Podczas jego występu Marcella siedziała zesztywniała ze zdenerwowania i dumy, a potem biła głośno brawo, pragnąc powiadomić wszystkich dookoła, że to jej syn. Nauczyciele Marka byli zadowoleni z jego postępów. Było to tak, jakby Marcella wymarzyła sobie idealnego syna, a on spełniał wszystkie pragnienia, jakie z nim wiązała. Gdyby utrzymał doskonale stopnie przez kolejne cztery lata, mógłby ubiegać się o stypendium Bolońskiego Instytutu Muzycznego, prowadzonego przez Franco Gianniego. Gianni przyjmował tylko trzech uczniów rocznie, a najlepsi absolwenci czołowych szkół świata ubiegali się o przyjęcie do instytutu. Nauka trwała dwa lata, podczas których Gianni szlifował umiejętności podopiecznych, aż wreszcie opuszczali uczelnię z wyraźnym piętnem jego stylu muzycznego i wielkości. Wielu spośród nich zostawało muzykami koncertującymi, otoczonymi przez własnych uczniów. Podpisywali kontrakty nagraniowe i dawali recitale; mieli zabezpieczoną przyszłość. Marcella często słyszała, jak ojciec opowiadał o koncercie Gianniego w Carnegie Hall. Oddanie Marka na naukę do sławnego Włocha stanowiło początkowo tylko jej marzenie, ale w miarę, jak syn czynił postępy w Jacinthe, nabierało realnych kształtów. Rozmawiała o tym z Markiem i jego nauczycielami, a wkrótce uzyskanie stypendium stało się ich wspólnym celem.

Po kilku miesiącach *W imię miłości* opuściło listę bestsellerów, a szum wokół książki powoli ucichł. Nowa powieść kielkowała w wyobraźni Marcelli. Chciała w niej zawrzeć część uczuć, jakie żywiła do córki, którą jej odebrano.

Utrata

niekochanego męża stanowiła inną skomplikowaną mieszaninę emocji. To także Marcella pragnęła przelać na papier.

Na jesieni odwiedzała z Amy salony piękności, co poniedziałek pozwalała się rozpieszczać u Elizabeth Arden, jadła w modnych, drogich restauracjach i udzielała się towarzysko. Amy wydała serię lunchów dla „pań”, podczas których zachęcała je do brania narkotyków, ale zazwyczaj kończyło się na tym, że patrzyły, jak Amy odlatuje. Nadal zapraszała Marcellę na sobotnie kolacje „literackie”. W trakcie tych zajęć, powieść nabierała kształtów.

Miała opowiadać o kobiecie, która straciła rodzinę jak Marcella. Lecz w wyniku tragedii - pożaru, który, jak przypuszczała, mogła spowodować. Jak taka kobieta zdoła sobie dać radę? Jak zdoła znaleźć nowego mężczyznę?

Marcella stworzyła bohaterkę tak kruchą, i sympatyczną, że czytelnik musiał chcieć się dowiedzieć, co ją dalej spotka. Miała mieć trzydzieści pięć lat, być zmysłowa i przerażona faktem, że znowu jest samotna; lubić mężczyzn, ale być wrażliwa i ulegać presjom. Kiedy wreszcie spotyka kochającego mężczyznę, zaczyna się wahać i przed przyjęciem go musi poradzić sobie sama ze sobą. Powieść miała nosić tytuł *Drugi mąż*.

Podczas lunchu z Amy u niej w mieszkaniu Marcella przedstawiła zarys książki. Ku jej niezadowoleniu, projekt nie wywarł na Amy wrażenia.

- To trochę przyciężkie, nie sądzisz? - spytała, po cierpliwym wysłuchaniu opowieści. - Pamiętaj, twoi czytelnicy chcą zapomnieć o sobie po ciężkim dniu w pracy czy kłopotach z dziećmi. Chcą, żeby ich podnosić na duchu, Marcello, nie dołować. Moja nowa powieść traktuje o kobiecie, która odkrywa, że posiada zdolność do przeżywania wielu orgazmów. Ale tylko wtedy, kiedy znajduje się w podróży - w samochodzie, na statku, w pociągu. Wykupuje więc bilet na rejs dookoła świata i...

- Amy! - krzyknęła Marcella. - Ja piszę, ponieważ żyję tym, co przeżywa moja bohaterka. Piszę, ponieważ muszę. Ta potrzeba udzieli się czytelnikowi...

Amy uniosła brwi.



- Słuchaj, wiesz, że czego byś nie napisała, powiem Scottowi, że książka jest lepsza niż *Suwaki*. Od tego są agenci. Ale ja uważam, że twoja następna powieść powinna być romantyczna aż do omdlenia, żeby kobiety mogły zwinąć się w kłębek z książką i pudełkiem czekoladek i pożerać! Nie mierz zbyt wysoko. Pozostań przystępna!

Marcella potrząsnęła głową.

- Amy, czy zapomniałaś, że należałam do twoich oddanych czytelniczek? Nie jesteśmy głupie! Każda kobieta, która wydaje pieniądze na książkę, postanawia kupić jakąś strawę dla umysłu, prawda?

Amy zapaliła papierosa i przyjrzała się przyjaciółce w zamyśleniu.

- Jak sądzisz, Marcello, ile warte są twoje trzy następne książki?

- Nie mam w głowie trzech - odparła ze śmiechem Marcella. - Tylko zarys tej jednej.

- To nieważne. - Amy machnęła niecierpliwie papierosem. - Musisz napisać jeszcze trzy, żebyśmy je mogły sprzedać Volumes razem. Powiedzmy pięć milionów za trzy?

- Amy! To szaleństwo! Co bym zrobiła z pięcioma milionami dolarów?

- Na początek dałabyś mi dziesięć procent - odparła Amy. - Potem urząd podatkowy weźmie swoją działkę. Nie martwiłabym się, jak wydać resztę, kochanie!

Wróciła do dawnego rytmu pracy: wstawiała około południa, po pisaniu do późnej nocy. Przeglądała pocztę, którą Mark przynosił przed wyjściem do szkoły, potem prysznic, wizyta u matki, sok pomarańczowy i kawa espresso. Około pierwszej przychodził przyływ sił twórczych wspomagany kawą. Kiedy powieść brała nad nią górę i zaczynała się z niej wylewać, były to cudowne chwile.

Marcella nigdy nie przyzwyczała się do drogiego word processora, do kupna którego namówiła ją Amy, a który teraz stał w rogu gabinetu. Wołała pisać na tej samej przenośnej maszynie do pisania, na której w Little Italy powołała do życia *W imię miłości*. Codziennie nie mogła się doczekać, aż

znowu zasiądzie do pisania, pragnąc odkryć, co przydarzy się jej dzielnej, nieugiętej choć kruchej bohaterce. Kiedy pisała

o jej pragnieniach seksualnych, czuła przyływ własnych. Jak ta kobieta da sobie radę? Jak ona dałaby sobie radę? Nie mogła kryć się przed seksem przez resztę życia. Czasami poznawała pociągających mężczyzn na spotkaniach u Amy, ale zawsze byli żonaci. Czy powinna przemóc naturalną awersję do romansu z żonatym mężczyzną? Na razie wlewała swą namiętność w powieść.

Wena twórcza nie opuszczała jej przez zimę. Marcella czuła, że wzięła górę nad trudnym przeciwnikiem - seksem i życiem bez niego. Nadal miała w portfelu kartę wstępu do Członków i nawet fantazjowała na temat udania się tam do kina. Ale to zdarzało się tylko w noc, kiedy nie siedziała przy maszynie do trzeciej nad ranem, by zaraz potem zasnąć głęboko.

Mark nadal sypiał z nią czasami. Miewał napady niezależności i dorosłości, wtedy spał sam. Później napięcia szkolne rozbudzały jego nerwowość i mówił, że musi spać w jej łóżku. Poza tym, był dojrzały jak na swoje piętnaście lat, a Marcella zwierzała mu się jak rówieśnikowi. Jakkolwiek starała się nadmiernie nie angażować, byli czymś znacznie więcej niż matką i synem. Czasami wyglądało na to, że czytają sobie nawzajem w myślach.

W łóżku nosił teraz pizamę, a Marcella uśmiechała się, widząc, jak starannie ją zapina i wiąże. Był jej wzrostu, przed rokiem przeszedł mutację, a nad górną wargą pojawił się puch; wkrótce będzie musiał zacząć się golić. Był oszłamiająco przystojny, całkowicie wolny od młodzieńczej niezdarności, ale Marcellę czasem bolało serce po stracie małego chłopca. Niedawno objęli się w łóżku i odkryła, że chłopięce ciało zmieniło się w męskie. Uświadamiała sobie, że dzieliła teraz sypialnię z dorosłym mężczyzną i z tego powodu starała się zniechęcić Marka do wspólnego spędzania nocy. Wygłaszała przemowy o tym, jak dziecinny to zwyczaj. Jednak wcześniej rano wsuwał się do pościeli i przytulał do matki, jakby było to coś całkowicie naturalnego, a ona czuła się zbyt zmęczona, żeby protestować. Nie

mieli prawdziwego życia rodzinnego; Mark nigdy właściwie nie znał ojca; może więc naprawdę potrzebował tego rodzaju bliskości?

Amy nalegała, by Marcella więcej podróżowała, żeby pojechała do Europy, ale coś stale trzymało ją w Nowym Jorku. Matka, syn, może ona sama? Od niedawna tęskniła za podróżą do Włoch. Pewnego wieczoru poszła do pokoju Marka, żeby spytać, czy chciałby pojechać do ojczyzny przodków podczas dziesięciodniowej przerwy wielkanocnej. Nigdy nie mieli przed sobą tajemnic, toteż nie zamykali drzwi na klucz. Kiedy tego wieczoru otworzyła drzwi do jego pokoju, Mark nie usłyszał, jak weszła. Był pochłonięty tym, co robił sobie przed lustrem. Miał rozpiętą koszulę i opuszczone spodnie; przez kilka sekund patrzyła na rysy syna napięte w ekstazie, zanim zorientowała się, co się dzieje. Mark miał mocno zamknięte oczy, a jego twarz wyrażała czyste pożądanie, nawet jeśli było to pożądanie samego siebie. Marcella nie mogła na to patrzeć obojętnie. Stała jak sparaliżowana, z szeroko otwartymi oczyma, czując potężny przyływ seksualnej żądzy. Jej obiektem nie był syn, ale sam seks. Z rozplómiętym ciałem, z rozgrzaną twarzą szybko zamknęła drzwi. Zapaliła papierosa i poszła na oślep do drugiego pokoju, a dawne, znane uczucie wkradło jej się w serce. O, Boże, a sądziła, że potrafi sobie z nim radzić. Błąd! Czuła się tak lubieżnie, jak w tamte gorące noce w Little Italy, kiedy leżała w łóżku udając, że dłoń spoczywająca na kołdrze należy do mężczyzny. Podeszła do okien salonu, wyjrzała i zaciągnęła się mocno papierosem. Dokąd iść? Wpół do dziewiątej, a na zewnątrz panowała całkowita ciemność. Jeden z pierwszych ciepłych wiosennych wieczorów tego roku. Soki wzbierają - pomyślała. Maleńkie pączki młodych liści na drzewach w Central Parku. Targało nią wiele sprzecznych myśli i doznań. Jedno wydawało się jasne: nie mogła pozostać teraz w mieszkaniu i czekać, aż Mark skończy, a potem wyjdzie, żeby z nią porozmawiać. Jakby w tej jednej wstrząsającej chwili nie doświadczyła jego seksualności! Chwyciła płaszcz i zjechała windą. Przerazało ją to, że

wiedziała, dokąd zmierza, a wcale nie chciała tam iść. Ale dokąd miała pójść, jak nie tam? - zadawała sobie pytanie. Przyglądała się mijanym mężczyznom. To nie Little Italy, tu żadni robotnicy nie gwizdali na widok kobiet. Elegancko ubrani mężczyźni wzywali taksówki lub spieszyli na umówione spotkania. Nie zwracali na Marcelłę uwagi. To uczucie ogarnęło jej umysł i ciało. Czy tak czuje się alkoholik, który przez wiele lat nie pił ani kropli? Wiedziała, że pierwszy dotyk mężczyzny rozbroi ją całkowicie. W takim razie wracaj do domu - mówiła sobie - popisz trochę albo wymocz się długo w ciepłej kąpeli. Spróbuj przelać na papier to uczucie, zbyt mocne, by nad nim zapanować rozumem. Jednak stopy prowadziły ją do Dziewiątej alei. Poszukiwania naukowe - mówiła sobie, gorączkowo szukając usprawiedliwienia. - Bezpośrednia obserwacja fenomenu Nowego Jorku. Dla prawdziwego pisarza taki rekonesans ma fundamentalne znaczenie. I tylko to mam tam zamiar robić - przekonywała się. - Patrzeć! Ale kiedy znalazła się w pobliżu Dziewiątej, nogi zaczęły jej drżeć, jakby miały odmówić posłuszeństwa. Zrobię to, jeśli mam kartę w torebce - postanowiła. Jeśli nie znajdzie w torebce karty, uzna to za znak od Boga, żeby nie próbowała tej nowej, niebezpiecznej rozrywki. Jeśli nie znajdzie karty, pójdzie prosto do domu. Otworzyła torebkę w zaciszu wejścia do sklepu i znalazła kartę. Wejście do klubu było już sprawą honoru. Ale jeśli jakiś mężczyzna tknie mnie palcem, ucieknę - obiecywała sobie. Ten drugi głos w jej głowie zaśmiał się i powiedział:

- Kłamczucha!

Wyrósł przed nią duży czarny budynek, w którym mieścił się klub Członków. Przed wejściem kręcił się tradycyjny tłumek niedoszłych, liczących na zaproszenie gości. „Dzięki wysokim opłatom członkowskim w klubie nie ma awantur” - powiedziała Amy.

Chwytnąjąc zazdrosne spojrzenia, wsunęła kartę do szczeliny. Drzwi odskoczyły i Marcella znalazła się w ciemnym, chłodnym wnętrzu, gdzie małe żarówki wykreślały zarys

schodów ruchomych i wind. Było trochę za wcześnie na duży ruch.

- Witamy u Członków - pozdrowił ją mężczyzna w liberii.

Odwróciła się od niego i po czarnej, śliskiej podłodze podeszła do windy, która zawiozła ją do piwnicy. Kiedy zjechała do podziemi, serce zaczęło jej bić wściekle i poczuła, że lada moment zemdleje. Jednocześnie Marcelli się zdawało, że jej świadomość wyostrzyła się, została pobudzona; czuła, jakby wkraczała w nowy wymiar życia, bardziej intensywny i rzeczywisty. Częścią siebie wiedziała, że musi to zrobić, musi stać się tą osobą. Stać się czym? - zadawała sobie pytanie, kiedy winda dojechała do celu. Być kobietą, która potrzebuje przypadkowego seksu - odpowiedziała sobie. - Kobieta, która pójdzie z każdym mężczyzną, jaki ją zechce. Na chwilę musiała się oprzeć o czarną ścianę. Jak mogła uważać, że panuje nad seksem? On po prostu przyczał się w niej, czekając na taki właśnie wieczór, by spuścić z uwięzi wszystkie dzikie instynkty Marcelli. Stała przy atrapie kasy biletowej. SEZON CARY GRANTA głosił napis na markizie. Słyszała głosy filmowych postaci gorączkowo omawiające jakiś plan, potem wybuch dramatycznej muzyki: kuszące odgłosy filmu, którego się nie ogląda. Także tym razem Marcella nie zobaczyła nikogo.

Stopy zaprowadziły ją powoli na salę. Wnętrze wydało jej się całkowicie niegroźne. Około piętnastu rzędów luksusowo obitych foteli, jak w każdym małym kinie. Ekran mały i wysoki. Po prostu popatrzę - obiecała sobie. W tylnej części sali dostrzegła jedną czy dwie męskie sylwetki. Najwyraźniej mężczyźni ci czekali, by wejść we właściwym momencie filmu. Potem zauważyła siedzących. Kobieta oplatała nogami mężczyznę, który klęczał przed nią na podłodze. Marcella ruszyła powoli środkowym przejściem, przyglądając się fotelom. Jakiś mężczyzna spojrział na nią z zainteresowaniem, a ona szybko poszła dalej. Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty - zapewniła się. - Nie musisz tu nawet zostawać. Możesz wyjść natychmiast i wrócić do ciepłego bezpieczeństwa, do przyzwoitości własnego

mieszkania. Mieszkania, w którym twój syn zabawia się sam ze sobą! Weszła między fotele, trzymając się oparcie rzędu przed sobą. Przyzwyczajała oczy do ciemności. Niektórzy mężczyźni odwrócili głowy, żeby się jej przyjrzeć. Byli całkiem atrakcyjni. Jeden czy dwaj wydali się Marcelli przystojni. Musiałam oszaleć - pomyślała siadając. - Musiałam całkowicie zwariować.

*Kalifornia, wiosna 1986*

W dzień pokrywania cała farma huczała podnieceniem. Sonia obudziła się o siódmej i przekradła do stajni. Eddie karmił tam klacz. Red rżała, niespokojna, najwyraźniej wiedziała, że coś ma się wydarzyć.

- Nie bój się, malutka - szepnęła Sonia do aksamitnego ucha. - Będziesz miała nowego chłopca! Cudowny romans z przystojnym arabskim ogierem!

Patrzyła, jak Eddie starannie związuje wokół ogona klaczy gruby biały bandaż.

- A to po co, do diabła? - spytała. Eddie zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Żebyśmy mogli... no, wiesz, odciągnąć jej na bok ogon.

- Po co? - spytała, marszcząc brwi. Eddie westchnął i kontynuował pracę.

- Soniu... czy nie wiesz, skąd się biorą małe konie? Chcesz, żebym ci to wytłumaczył? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a Sonia wykrzywiła się z irytacją.

- Odciągniemy ogon na bok, żeby nie zawadzał... no, wiesz, tej rzeczy ogiera!

- Och! - Odwróciła wzrok od jego uśmiechniętej twarzy. - Jakie to okropne! - Usiadła na skrzynce. - Czy Red jest w porządku, Eddie? Czy się grzeje?

- O, jasne, grzeje się jak trzeba - zachichotał. - Ale i tak uważam, że to cholernie dużo zamieszania jak na zwykłe pokrycie jednej klaczy. Muszą sądzić, że ten ich ogier jest bardzo cenny.

- Jest wart milion dolarów! - przypomniała mu z dumą Sonia. - Ale czy nie mogliśmy wysłać Red do nich?
  - Mim - Potrząsnął głową, wiążąc zgrabną kokardę pod ogonem klaczy. - Zaczęłyby tęsknić do domu i przestałyby się grzać. Teraz posłuchaj, księżniczko Soniu. Twój ojciec i Laurie powiedzieli, że nie chcą, żebyś się temu przyglądała. To może być bardzo sprosne.
  - Dwa pieprzące się konie? - Chwyciła jego paczkę papierosów i wyjęła jednego. - Jak bardzo sprosne?
  - Przestań! - Wyrwał jej papierosa. - Jeszcze tylko brakuje nam dzisiaj pożaru stajni.
- Sonia westchnęła.
- A to po co? - Wskazała na obitą ścianę obok przegrody Red.
  - To przegroda do kopania. Chroni klacz, na wypadek, gdyby ogierowi trochę odbiło.
  - Czemu miałyby mu odbić? - spytała. Stała przed nim i wzięła się pod boki.
  - Z pożądania! - odparł Eddie. - Och, idź poproś Laurie, żeby ci to wytłumaczyła.
  - Nie muszę - powiedziała. - Będę się wszystkiemu przyglądać. Schowam się tam i będę patrzeć przez szpary.
  - Twój tata kazał ci siedzieć w domu - przypomniał Eddie. - Jeśli cię tu znajdzie, wszystko spadnie na mnie!
- Dotknęła ramienia Eddie'ego, kiedy zwił bandaż w rolkę, by zrobić w stajni porządek.
- Proszę cię, Eddie, pozwól mi zostać! - błagała. - Będę bardzo cicho. Nikt nie musi się dowiedzieć...
  - Ja się dowiem! - krzyknęła Laurie, wchodząc do stajni. Miała na sobie męską koszulę, dzinsy, buty z wysokimi cholewami i wyglądała bardzo urzędowo.
  - Jak ona się dzisiaj miewa, Eddie? - spytała. - Trochę nerwowa? No, maleńka... - Poklepała Red po czole. - Soniu, kochanie, jedne krótkie odwiedziny, a potem wychodzisz i trzymasz się z daleka, dobrze? Mówię poważnie, moja droga.
- Sonia spojrzała na nią gniewnie.
- Dlaczego? - krzyknęła. - Nie możesz mi rozkazywać! Nie jesteś moją matką...



Laurie spojrzała na nią chłodno.

- Zdecydowaliśmy z tatą, że teraz jeszcze nie musisz się temu przyglądać. Pewnego dnia tak, ale nie dziś. I, proszę, nie zamieniaj się w zbuntowaną nastolatkę. Chyba nie jestem w nastroju!

Wyszła, rzucając przez ramię:

- Daję ci dziesięć minut, młoda damo!

- Młoda damo! — przedrzeźniła ją Sonia z niesmakiem. Zrobiła minę do Eddie'ego.

- Nie możesz jej tak odpowiadać - upomniał. - To dobra kobieta.

- Nie powinna traktować mnie jak dziecka - odparła Sonia, wzruszając ramionami. - Nie jest nawet żoną mojego ojca: są tylko kochankami.

Eddie wybuchnął śmiechem.

- Przysięgam, Soniu, że czasem potrafisz być najpaskudniejszym szkrabem pod słońcem!

Ona także zachichotała.

- Eddie, wiele razy widziałeś, jak konie się kochają?

- Jasne.

- Co one robią? Całują się? Błysnął oczami w jej stronę.

- Raczej gryzą się miłośnie. Kąsają.

- Pokaż! Kłapnął zębami.

- Ham! O tak.

Pomyślała, jakby to było, gdyby Eddie ją pocałował. Czy miał tak miękkie usta jak Egipcjanin? Czy wsunąłby w nią język, jak zdaniem Gemmy robili dorośli?

Po ukradkowych, wstydliwych spojrzeniach, jakie jej posyłał, Sonia wiedziała, że chciałby dotknąć jej ciała. Przeciągnęła się, klepnęła po obcisłych dżinsach i obciągnęła ciasno przylegający biały sweter.

- Masz! - Wręczył jej kilka kostek cukru. - Nakarm tym inne konie i przestań się naprzykrzać!

Rozejrzała się.

- Mogłabym tam kucnąć - powiedziała. - Za tą przegrodą.

- Ach tak? - spytał Eddie. - A co by się stało, gdyby twój ojciec cię znalazł?  
- Ale mnie nie znajdzie! Obiecuję, Eddie. A ty mógłbyś kucnąć na mnie. Wiem, że byś chciał!  
Spojrzała na chłopca wymownie. Potrząsnął głową.

- Niech mnie diabli, jeśli nie jesteś...

Urwał. A potem posłał jej to spojrzenie, które, zdaniem Gemmy, świadczyło o tym, że jest w Soni zakochany. Jakie to łatwe - pomyślała Sonia zdziwiona. - Można skłonić chłopców, nawet mężczyzn, do wszystkiego, przez zwykłe napomykanie, obiecywanie. Na przykład dzisiaj. Była pewna, że ogiera wypożyczono tylko z jej powodu. Ponieważ flirtowała z Ashidem podczas jego pierwszej wizyty.

- Ostrzegam cię, że to nie będzie nic ładnego - powiedział Eddie.

- Dam sobie radę - obiecała.

Mrugnęła do niego i pobiegła z powrotem do domu.

Na górze, w swoim pokoju, nałożyła starannie makijaż, tak jak przed pierwszą wizytą braci przed trzema miesiącami. Tym razem już o dziewiątej wyglądała przez okno. Przez bramę wjechały na podjazd mała przyczepa z koniem, Porsche i Mercedes. Zbiegła do gabinetu ojca.

Rozmawiał przez telefon i zakrył słuchawkę dłonią, kiedy Sonia nachyliła się, żeby go pocałować.

- Przyjechali! - krzyknęła.

- Maksymalne ubezpieczenie... - mówił. - Zostawiam to tobie. Dzięki.

Odłożył słuchawkę, a jego szeroka, zatroskana twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Dobrze, a teraz trzymaj się z daleka od stajni, księżniczko. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zawołamy cię na dół na drinka, ale nie zbliżaj się tam podczas krycia. Nie chcę, żeby moja mała dziewczynka oglądała takie rzeczy.

- Och, tato... - Udała bardzo zawiedzioną. - Nie jestem już małą dziewczynką!

Wybiegła na podjazd, przywitać się z braćmi. Postanowi-

ła, że najpierw poda rękę Gamalowi, żeby Ashid musiał czekać. Kiedy stanęła przed nim, wydał się Soni równie przystojny jak za pierwszym razem; jego uśmiechnięta twarz jaśniała, ogorzała skóra miała kolor miedzi.

- Życzę szczęścia! - powiedziała, ściskając dłoń Ashida.

- Dziękuję, ale szczęście będzie raczej potrzebne koniom!

Uśmiechnął się. Sonia patrzyła, jak wyprowadzają z przyczepy wspaniałego ogiera, który był wart tyle pieniędzy.

Kręcił głową, rżąc dumnie. Jego trener zaprowadził go na wybieg, żeby koń mógł rozprostować nogi.

Laurie przygotowała obok stajni stół zastawiony tacami kanapek i dzbankami z kawą. Z trzeciego wozu wysiadł weterynarz, agent ubezpieczeniowy i dodatkowy pomocnik ze stajni braci Fazeen.

Sonia nalała Ashidowi kawy.

- Nie pozwolono mi patrzeć - powiedziała ze smutkiem.

- Tak przypuszczam! - odparł, udając zgorzzonego. Wręczyła mu filiżankę, a Ashid zatrzymał palce na ręce Soni.

Jego barczyste ramiona wypełniały szary sweter. - To nie jest widok dla niewinnych młodych dam - zaśmiał się.

- Nie jestem niewinna! - odparła.

- W moim kraju dziewczynie nie wolno nawet przejść się po parku publicznym bez przyzwoitki - powiedział Ashid.

- Czy nie mógłbyś być moim przyzwoitkiem, Ashid? - droczyła się. - Słuchaj... - szepnęła, przysuwając bliżej głowę.

- Wiem, że tobie muszę za to podziękować.

Ashid przybrał obojętną minę.

- To prawda, tak? - nalegała.

Rzucił jej podniecone spojrzenie, ale w tym momencie Harry podszedł się z nim przywitać.

- Cześć, Ashid, jak się masz? Próbowałeś kanapek? Sonia wiedziała, że musi działać szybko, dopóki wszyscy obserwowali ogiera popisującego się na wybiegu. Laurie robiła zdjęcia koniom. Sonia zostawiła Ashida rozmawiającego z jej ojcem i wkradła się do stajni, gdzie Eddie obwiązywał kopyta Red materiałem.

- Na wypadek, gdyby kopała - powiedział.

Sonia położyła się w cieniu na stercie słomy i posyłała Eddie'emu znaczące spojrzenie. Mogła wyglądać przez szpary, niczym uprzywilejowany widz w jakimś dziwnym teatrze.

Minęło dużo czasu, zanim zaczęło się dziać coś ciekawego. Tak jak Sonia przypuszczała, Laurie i ojciec całkowicie o niej zapomnieli. Obserwowała ich ożywioną rozmowę z weterynarzem i agentem ubezpieczeniowym. Boże - pomyślała - tyle zamieszania wokół dwóch koni! Ale jeśli dzięki temu miała zostać właścicielką idealnego żrebaka, sprawa była warta zachodu. Dwóch pomocników stajennych karmiło ogiera marchewkami i cukrem, żeby mu dodać energii. Koń zgodził się, by wsunięto mu ogromny termometr; drugi włożono Red. Nastąpiły dalsze rozmowy i dyskusje, aż wreszcie Eddie'emu polecono wyprowadzić klacz.

Wyszła na owiniętych kopytach jak nerwowa panna młoda. Na widok ogiera zarżała przeciągle. Sonia otworzyła szeroko oczy. Usunięto jedną z obitych przegród koło Red, a klacz, rzucając głową na boki, zaczęła wzywać partnera. Dwaj mężczyźni podprowadzili ogiera. Miał nałożoną uzdę.

Sonia patrzyła, jak koń obwąchuje klacz i gryzie ją delikatnie w grzywę - Eddie nazwał to miłosnym kąsaniem. Zabandażowany ogon Red wzmagał dziwaczność sceny; Sonia ujrzała, jak jeden z mężczyzn odciąga go na bok i woła:

- Jest gotowa!

W tym momencie Sonia poczuła przygniatający ją ciężar i o mały włos nie krzyknęła. Eddie położył się na niej z ustami przy jej uchu, patrząc przez tę samą szparę co Sonia.

- Tylko piśniesz i będzie po nas - szepnął, łaskocząc ją ciepłym oddechem. - Twój tata właśnie mnie spytał, gdzie jesteś, a ja powiedziałem, że w domu. Nie zawieź mnie teraz...

Przygniatał ją całym ciałem.

- Daj mi złapać oddech! - wykrztusiła.

Przekręcił się na bok. Leżeli w odległości zaledwie kilku metrów od parzących się koni. Zwierzęta stały w centrum pola widzenia, a obserwatorzy - Harry, Laurie, bracia Fazeen i ich pomocnicy - po bokach. Klacz uniosła nagle ogon

i wypuściła silny strumień moczu; dwaj mężczyźni stojący nieopodal odsunęli nogi, żeby uchronić się przed ulewą. Sonia stłumiła chichot.

- Świetny moment na sikanie! - szepnęła.

- To znaczy, że jest gotowa - wyjaśnił jej Eddie.

Ogiera delikatnie doprowadzono na miejsce. Sonia patrzyła, jak jego penis rośnie, wydłużając się do czterdziestu pięciu centymetrów.

- Chryste! - szepnęła.

Eddie chrząknął, dysząc jej w szyję. Spróbowała się odwrócić i spojrzeć mu w oczy.

- Czy mężczyznom też tak rośnie? - spytała. Chłopiec stłumił śmiech.

Ogierowi ślina zaczęła płynąć z pyska, kiedy trzymający go mężczyzna powstrzymał konia. Zaczął się cofać i wierzgać. Drugi mężczyzna odsunął ogon Red i krzyknął:

- Ona mruga! Mruga!

- Co to znaczy „mruka”? - szepnęła Sonia.

- Kiedy jej... no, wiesz, jej otwór otwiera się i zamyka - odparł Eddie. - To znaczy, że chce mieć go w środku...

Eddie przysunął się bliżej, a Sonia przyszło na myśl, że on także jest podniecony. Podniecony tym, co robią konie, i tym, że na niej leży.

Ogier stał dokładnie za klaczą. Nagle zarżał, uniósł się na tylne nogi i zbliżył do Red. Powiększony penis sterczał przed nim. Patrzący zaczęli pokrzykiwać z podniecenia.

- Dobra, są gotowe! Są gotowe! Delikatnie!

- Dobra, mam ją!

Pomocnicy wydawali sobie polecenia, reagując na nagłe ruchy zwierząt. Sonia patrzyła szeroko otwartymi oczami.

Czuła, jak Eddie wierci się za nią, ociera się o jej ciało.

- Przestań, Eddie! - mruknęła, odpychając go.

Ogier uwiesił się na Red i wszedł na nią, obejmując klacz w połowie ciała przednimi nogami. Utrzymał się, gryząc grzywę Red wzdłuż szyi. Mężczyzna stojący przy klaczy nakierował penis w stronę otworu.

- On ją skrzywdzi! O, Boże, on ją skrzywdzi! - krzyknęła szeptem Sonia.

- Cicho - syknął Eddie, kładąc jej dłoń na ustach. - Nic jej nie jest. Jeszcze nigdy się tak świetnie nie bawiła! Konie wydzielały mocny zapach, a Sonia widziała parę unoszącą się z ich ciała. Ogier lśnił od potu, wpychał się głęboko w Red, charczał gardłowo. Sonia przyglądała się zwierzętom z niedowierzaniem. Czuła, że jest świadkiem czegoś zdumiewającego, nowego, o czym jednocześnie zawsze wiedziała, nawet przed sprośnymi dowcipami i plotkami w szkole. Czuła, że obserwuje spełnienie się mitu ukrytego w jej podświadomości, snu, jaki kiedyś śniła, ale potem zapomniała aż do tej chwili. Domyślała się, że wszystko zacznie przyspieszać coraz bardziej i bardziej, że zakończy się jakąś dramatyczną eksplozją. Dwie żywe istoty poruszające się tak szybko, jedna wewnątrz drugiej, musiały na pewno zmierzać do jakiegoś finału, szczytu. Sonia patrzyła, czując na uchu ciepły, wilgotny oddech Eddie'ego, jego ręce odkrywające jej ciało. Nagle wsunął dłonie pod sweter Soni i położył na małych piersiach. Leżała nieruchomo jak posąg, zimna jak lód, zbyt oburzona, by pisnąć. Kiedy poczuła, że Eddie rozpiną dzinsy i kładzie pobudzony członek na jej udzie, odzyskała głos.

- Co, do cholery, wyprawiasz? - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Myślałem, że to należy do umowy? - odszepnął. Ciężar jego ciała ją sparaliżował. W policzek wbijało jej się źdźbło słomy. Rozpiął i opuścił jej dzinsy. Czuła na sobie dotyk gorącego ciała. Ogier pracował na klaczy, drżał, poruszał udami tak szybko, że zdawało się, iż stracił kontrolę. Głowa Red dygotała od pchnięć, ale klacz stała spokojnie, poddając się cierpliwie. Wszyscy przyglądali się w milczeniu. Ogier wywracał oczami, dając sygnał, że dochodzi do kresu, a Eddie dyszał Soni w ucho, ostrożnie wprowadzając członek w szparę między jej pośladkami. Jego dotyk był tak gorący. Gorące było też nasienie, które na nią trysnęło. Wstrzymała oddech, bo nie wierzyła, że się to jej przydarza. Eddie dyszał krótko, a jego ciałem wstrząsały ostatnie spazmy. Mężczyzna trzymający cugle ogiera dał znak dwóm pozostałym, żeby mu pomogli. Ściągną i żyły na szyi zwie-

rzęcia nabrzmiały i zdawało się, że pękną. Ciało pokrywała biała piana, równie biała jak piana ciekąca mu spomiędzy warg, którymi żuł wędzidło.

Eddie otarł Sonię, naciągnął jej z powrotem dzinsy i poprawił swoje ubranie.

- Przepraszam. Nie chciałem... - jękał za jej plecami.

- Dopilnuję, żebyś za to wyleciał z pracy! - mruknęła, obserwując konie.

Ogier dygotał teraz i rzucał się, najwyraźniej straciwszy panowanie nad sobą w obliczu zbliżającego się orgazmu.

Mężczyzna dotknął nasady jego penisa i dał znak głową patrzącym.

- Jest już prawie gotowy! - krzyknął.

Koń wydał głośny kwik, który mógł oznaczać ból, przyjemność lub gniew. Odrzucił głowę w desperackim wysiłku, by odzyskać wolność, cieszyć się ekstazą, uzyskać ostatnią chwilę rozkoszy, która należałaby wyłącznie do niego.

Sonia rozumiała dokładnie, do czego zmierzał koń i pragnęła, żeby mu się udało: także dla niej miało to w tej chwili decydujące znaczenie. Ale nagle, kiedy już szczyt rozkoszy miał zostać zdobyty, ogier parsknął i osunął się z

krwawiącym pyskiem. Laurie krzyknęła, a potężny łeb opadł bezwładnie na bok, na grzbiet klaczy, z pyska wysunął się wielki język, jakby jego wiązadła puściły. Ostatni dreszcz wstrząsnął całym ciałem, które ześlizgnęło się z klaczy

i opadło na ziemię, opierając się wszelkim wysiłkom ludzi, by je pobudzić. Ktoś wylał ogierowi wiadro wody na łeb. Bez skutku. Gamal wyrzucił z siebie stek egipskich przekleństw i załamując ręce z rozpacz, podbiegł do swego

cennego ogiera. Red rżała żałośnie, wykręciwszy do tyłu głowę, by spojrzeć na padłego konia.

- Zdechł! - szepnął Eddie. - Po prostu zdechł!

- Nie! - krzyknęła Sonia, zapominając, że miała pozostać w ukryciu.

W piersi jej wzbierało łkanie, aż nagle wyrwało się głośno. To, czego doświadczyła, przekraczało jej wytrzymałość.

Poczuła, jak Eddie podnosi się z niej i wybuchnęła płaczem, leżąc z twarzą ukrytą w sianie. Poczuła, że chwytą ją czyjaś ręka, zmusza do tego, by usiadła, okręca wściekle i wymie-

rza kilka siarczystych policzków. Otworzyła oczy i ujrzała wykrzywioną z wściekłości twarz ojca.

- Czy nie mówiłem, żebyś siedziała w domu? - krzyknął. - Nie mówiłem, żebyś na to nie patrzyła?

To był jego gniew, gniew, przed którym zawsze drżała. Wreszcie skierował go na nią! Wiedziała, że to śmierć konia tak rozzłościła ojca, a ona tylko weszła mu w drogę.

Wszyscy poszli za Harrym do stajni, żeby obserwować rozwój wydarzeń.

- Panie Winton! - krzyknął Gamal od drzwi. - Koń nie żyje!

Sonia zauważyła kątem oka, że twarz Ashida jest wykrzywiona z żalu. Tak bardzo jej współczuł. Jej ojciec otwierał szeroko oczy, które lśniły, jakby stracił zmysły.

- Jesteś za młoda, żeby na to patrzeć! - krzyknął. Sonia odsunęła się od niego i położyła na sianie. Krew mieszała jej się w ustach ze śliną, poczuła mdłości i splunęła. Wyczuwała, że wszyscy ją obserwują, że stanowiła swego rodzaju lżejszy akcent po historii z końmi.

- Mój koń nie żyje, panie Winton! - powtórzył Gamal.

- Soniu, kochanie - Laurie odepchnęła Harry'ego i podbiegła do dziewczynki.

Objęła Sonię, pomogła jej wstać, ocierając jej twarz chusteczką.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła Sonia, odpychając Laurie. - Nie jestem dzieckiem! Nikogo z was nie potrzebuję!

Patrzyła na ojca załzawionymi, zaczerwienionymi oczyma.

- Przepraszam!! - powiedział. - Przepraszam, księżniczko. Nie chciałem...

Wyciągnął rękę, a ona chwyciła ją i błyskawicznie ugryzła. Wrzasnął z bólu. Sonia otarła usta. Przyglądała mu się zimno, otrzepując dzinsy.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - powiedziała. - Nigdy! Przysięgam!

Odepchnęła wszystkich: Laurie, Eddie'ego i wybiegła do domu. Słyszała, że Gamal powtarza po raz trzeci:



- Koń nie żyje, panie Winton!

Ujrzała, jak ojciec odwraca się nagle do niego i mówi:

- I co z tego? Czyja to wina? - Klęczący weterynarz stwierdził:

- To zator. Może się zdarzyć w każdej chwili, jak atak serca. Co za pech!

- Jesteśmy przed tym ubezpieczeni, co? - odparł Harry. - To nie jest zrządzenie boskie.

Domyśliła się, że wciągną ogiera wartego milion na przyczepę. Teraz będzie wart kilka dolarów jako konina. Czuła mdłości. Red wróci na łąkę, gdzie będzie brykać wesoło, nic z tego nie pojmując. Zatrzasnęła drzwi sypialni i rzuciła się z płaczem na łóżko.

- To sprawa policji! - Usłyszała krzyk Gamala i wyczerpana zapadła w sen.

Kiedy się ocknęła, wszędzie panowała cisza. Sonia zrozumiała, że zbudziło ją delikatne pukanie do drzwi. Płakała przez sen. Straciła część niewinności. Dorosła. Eddie się z nią w pewien sposób kochał. Koń zdechł tuż przed osiągnięciem ekstazy. Te dwa dziwaczne wydarzenia przytrafiły jej się tego samego dnia, niemal w tej samej chwili, toteż zastanawiała się, czy istniał między nimi jakiś związek. Ojciec poniżył ją na oczach wszystkich, a to było najgorsze. Próbowała uporządkować myśli, lecz ciche pukanie rozległo się znowu. Może tata chciał ją przeprosić?

- Wejdz - krzyknęła, nie zmieniając pozycji. Nadal leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce.

- Sonia? - odezwał się niski głos. To Ashid! Nie podniosła twarzy.

- Na dole panuje takie zamieszanie. Pomyślałem, że sprawdzę, jak się czujesz... - mówił łagodnie.

Z wahaniem dotknął jej ramienia.

Cholera! - pomyślała. Właśnie teraz musiał ją odwiedzić. Łzy na pewno zmyły cały makijaż. Odwróciła się powoli, przeciągając palcami pod oczyma, żeby wygładzić rozmazany tusz. Przystojna twarz Ashida wyrażała głęboką troskę.

- W porządku, Soniu? Jest mi bardzo przykro. Zabiłbym

twojego ojca, ale jesteś jego córką i ma prawo traktować cię, jak zechce.

- Tak sądzisz? - Pociągnęła nosem, sięgając po chusteczkę. - Ja nie. Nigdy mu tego nie wybaczę! Na oczach twoich i twojego brata. Co musicie o nas myśleć? - Wytarła nos i otarła oczy.

- Myślę, że twój ojciec nie chciał, żebyś oglądała taką scenę. - Uścisnął jej dłoń. - A teraz jest winien mojemu bratu dużą sumę pieniędzy...

- Ale to nie jego wina, że koń zdechł! - krzyknęła. Rzuciła mu się w ramiona i przytuliła do Ashida szczupłe, drobne ciało. Pokrywał jej szyję delikatnymi pocałunkami. Ku zdziwieniu Soni jego dotyk sprawiał jej przyjemność. Fala podniecenia, przyływ gorącej krwi sprawiły, że zapragnęła przyciągnąć go do siebie. Przez kilka chwil tuliła się do silnego torsu, potem odsunęła się i spojrzała na Ashida błagalnie załzawioną twarzą.

- Nie każcie mu płacić! To nie była jego wina! Ashid delikatnie odsunął jej z oczu kosmyk włosów.

- To będzie skomplikowane. Ubezpieczenie przewidywało każdą ewentualność poza tą jedną... - wzruszył ramionami. - Mój brat twierdzi, że nie przedsięwzięto dostatecznych środków ostrożności.

- Ty możesz go przekonać, Ashid! - błagała. - On ciebie słucha.

Ashid zrobił kwaśną minę.

- Tak, posłuchał mnie, kiedy go poprosiłem, żeby przywiózł tu konia...

- A więc poprosiłeś? Dla mnie? - spytała, obejmując go. Opuścił wstydliwie wzrok na ich złączone dłonie.

- Tak. Dla ciebie. Muszę być bardzo głupi, co? Ale teraz nie mogę prosić o żadne przysługi. Muszę wypić to piwo, jak byście powiedzieli.

- Gdzie są wszyscy? - spytała Sonia.

- W stajni. Gamal uważa, że to sprawa policji. Twój ojciec próbuje załatwić ją polubownie...

- Czy... zdechły koń wciąż tam jest?

- Wezwali ludzi, którzy go zabiorą. Gamal ma prawo się

smucić, Soniu. Zrobił to dla mnie i spójrz, jak mu odpłacono. Och, Soniu, tak żałuję wszystkiego, co się stało! Zeskoczyła z łóżka, chwyciła sweter i obwiązała się nim w pasie. Przed lustrem na toaletce poprawiła makijaż, nakładając więcej szminki. Okręciła się i chwyciła Ashida za rękę.

- Czy możemy się wybrać na przejażdżkę? Spojrzał na nią dużymi, poważnymi, czarnymi oczami.

- Przejażdżkę dokąd?

- Dokądkolwiek! - Wzruszyła ramionami, po czym wyciągnęła go z pokoju. - Po prostu muszę się stąd wydostać! Wybiegli z domu jak dwójka dzieci na wagarach, a Sonia popędziła prosto do jego Porsche. Ashid zajął miejsce obok niej i bardzo szybko cofnął samochód na długim podjeździe. Wyjechał na ulicę i ruszył w stronę oceanu.

Sonia zapięła pas i odwróciła się, żeby patrzeć, jak Ashid prowadzi. Wnętrze samochodu wypełniał aromatyczny zapach jego wody kolońskiej.

- Jedźmy na koniec świata! - zawołała Sonia.

- Dobrze! - odparł Ashid ze śmiechem.

Skręcił gwałtownie przed nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem, który o mały włos ich nie zmiotł, trąbiąc przeciągle.

- Czy mógłbyś przestać prowadzić jak szalowiec? To mnie przeraża. Nigdzie nam się nie śpieszy!

- To moja zwykła szybkość! - Zaśmiał się znowu. Mijali lasy i pola golfowe. Minęli bardzo eleganckie centrum handlowe złożone z budynków z drewna sekwojo-wego. Tuż obok leżało miasteczko uniwersyteckie, tego dnia opustoszałe. W końcu, kiedy ukazała się niebieska wstęga oceanu, Ashid zatrzymał samochód. Znajdowali się na pustym placu turystycznym ze stolami do pikników i paleniskami. Poza nimi nie było nikogo.

- Dlaczego tutaj? - spytała.

Przyciągnął Sonię do siebie i pocałował. Oczy miał mocno zamknięte. Język Ashida odkrywał jej usta, a Sonia patrzyła z zaciekawioną, jak pod powiekami chłopca ukazują się linie białek, jakby znajdował się w delirycznym transie. Odsunęła się od niego, kładąc dłoń na kłamec.

- Przejdźmy się! - powiedziała, bezskutecznie próbując otworzyć drzwiczki.

Przyciągnął ją z powrotem do siebie, tym razem mocniej, chowając usta na jej szyi, we włosach.

- Soniu... - jęknął. - Soniu! Odkąd cię poznałem, nie przestałem o tobie myśleć. Jakie zakłęcie na mnie rzuciłaś? Och, najdroższa.

Usiadła wyprostowana, obserwując go ostrożnie. Ujął jej dłoń i zaczął pieścić, a potem nagle przycisnął jakąś dźwignię. Oparcia foteli się cofnęły. Leżeli na plecach. Ashid przysunął się do Soni, położył jej dłoń na udzie. Czują podniecenie, ale także strach; był od niej o tyle większy.

- Proszę cię, podnieś moje oparcie - poprosiła, usiłując usiąść.

- Dlaczego? - spytał. - Czy tak nie jest miło?

Jego oddech przeszedł w dyszenie; Ashid zamknął oczy i przesunął dłonie na jej piersi.

- Nie... - powiedziała.

Dwóch mężczyzn obłapiających ją tego samego dnia - to przekraczało jej siły.

- Przestań!

Wsunął dłoń pod jej sweter, potem pod stanik, ujął sutkę między palce i ścisnął. Wstrzymała oddech. Poczwała, jak brodawka twardnieje; zdjął ją dziwny wstyd. Gdyby tylko nie powstrzymywała Ashida i robiła, czego chciał, stałaby się dziś dorosła. Ashid podwinął jej sweter, wziął w usta najpierw jedną sutkę, potem drugą, i ssał je delikatnie.

Wrażenie nie było przykre, ale Soni wydało się to potwornie głupie. Ostrożnie przesunęła dłonią po masywnej szyi Ashida.

- Och, Soniu, masz takie piękne ciało - mówił, wodząc po nim twarzą. - Jak u młodego chłopca...

Zmarszczyła czoło: też mi komplement! Miała nadzieję, że Ashid na tym poprzestanie, ale rozpiął spodnie, ściągnął je do kolan razem z majtkami. Wyprężony członek sterczał w jej stronę, nabrzmiały i sztywny. Przesunęła się na sam brzeg płaskiego skózanego fotela.

- Nie... - wykrztusiła.

Sięgnął obiema rękami do jej bioder, rozpiął jej dzinsy i zsunął, a potem majtki, tak że leżała przed nim obnażona.

- Nie! Nie chcę! - krzyknęła.

Pożerał wzrokiem jej ciało, a po chwili zagłębił twarz między nogami Soni. Poczwała, jak jego język próbuje w nią wejść. Zaciśnięła mocno nogi przed tym dziwnym wtargnięciem. Ściągał jej dzinsy, łapczywie liżąc uda i kolana. Kiedy buty spadły Soni z nóg i leżała zupełnie naga na zimnej czarnej skórze, w jej umyśle zapanowała pustka; nie wiedziała już, co ma myśleć. Po prostu nie wybiegła myślą tak daleko w przyszłość. Z nadzieją, że coś w końcu to do niego dotrze, mogła tylko powtarzać w kółko:

- Ashid, nie chcę tego robić.

Zdjął ubranie i rzucił na tylne siedzenie. Jego nagie, brązowe ciało zawisło nad Sonią, wyprężony członek wbijał się w jej brzuch, a język Ashida ślizgał się po jej gardle. Zrozumiała, że chce z nią zrobić to, co ogier zrobił rano z Red, nadzieć ją na tę rzecz, która przeżyła się przed nim w dygocie. Położył się na Soni, i rozchyliwszy jej uda, nakierował się między jej nogi. Nierealność tego, co się działo, sprawiła że Sonia o mało nie wybuchnęła śmiechem.

- Myślisz, że to we mnie wsadzisz? - krzyknęła. - Nie mogę, Ashid! To boli!

I nagle przypomniała sobie, jak dziewczyny w szkole chichotały, kiedy Gemma im powiedziała: „Wsadza to kobiecie i tak robią dziecko... ale tylko jeśli są po ślubie!” Zdjęło ją nagłe przerażenie. Wpychał to w nią, a ona była o wiele za młoda, żeby mieć dziecko; przecież to właśnie próbowały zrobić rano konie!

- Przestań! Proszę! - krzyknęła.

- Soniu, nie powstrzymuj mnie teraz - jęknął jej do ucha. - Nie mogę się zatrzymać. Muszę cię mieć! Muszę!

Szukała dłońmi czegoś, w co mogłaby się uzbroić w obronie przed jego atakiem. Natrafiła na skórzane pętle do podtrzymywania się, zwisające po bokach samochodu. Wtedy Ashid szybko wsunął w nie jej przeguby, w ten sposób przypinając do dachu. Próbowwała się wyzwolić, ale skóra wpijała się jej boleśnie w ciało. W panice zaczęła wierzgać,

uderzać stopą w szybę, a Ashid przytrzymał jej nogę, drugą dłonią szukając czegoś w kieszeni na drzwiczkach. W końcu zdjął Soni z szyi chustkę, obwiązał jej stopę, drugi koniec materiału mocując do pedału hamulca. Ze schowka wyjął elastyczny sznurek, który przywiązał do jej drugiej kostki, a potem drugi koniec przymocował do klamki po swojej stronie. W samochodzie rozlegało się teraz tylko sapanie Ashida. Sonia leżała rozciągnięta, całkowicie bezbronna. Pożerał ją pożądliwym wzrokiem, dotykał jej seksu, czubków piersi, a Sonię zdjął niemal ożywczy wstyd. Potem, kiedy Ashid położył się na niej i znowu zaczął się w nią wpychać otworzyła szeroko oczy ze strachu. Stęknął, pchnął, aż poczuła, że powoli wchodzi. Nastąpiła chwila bólu. Sonia wiedziała, że coś pękło i przestała być dziewicą. Przypomniała sobie, jak Laurie mówiła jej, że to może się stać, kiedy jedzie się konno i oczywiście tak wszystkim powie. Ashid poruszał się w tył i w przód, wślizgując się w nią, a Sonia poczuła, że wilgotnieje tam, w dole, gdzie w niej tkwił. Wilgoć pomogła złagodzić ból, który powoli zamieniał się w swego rodzaju przyjemność. Ashid już nie dyszał, ale skowyczał jej urywanie do ucha. Oczy uciekły mu w tył głowy bardziej niż kiedykolwiek; trzepotał powiekami. Widziała, że nie panuje nad tym, co robi, że jego ciało żyje własnym życiem, i mogła się tylko modlić, żeby nie padł nagle martwy jak ten koń rano. Najgorsze było to, że każde pchnięcie Ashida wywoływało w niej nowe doznania; chciała napierać na niego, spotykać się z nim w pół drogi, żeby zwiększać rozkosz. Poruszając się, ssał jej piersi, a Sonia walczyła ze wstydliwą przyjemnością, jaką jej to dawało. Przyłgął ustami do jej warg, ssał je, a potem wsuwał jej do ust swój niewiarygodnie mocny język, aż Sonia poczuła, że rozbija się w niej pierwsza fala czegoś intensywnego i rozkosznego. Jęknęła, wściekła na siebie, a Ashid odpowiedział stłumionym skowycem, poruszając się w niej jeszcze szybciej. Wślizgiwał się tak szybko, że zadawał jej ból. Kiedy to się miało skończyć? Oblała ją ta dziwna nowa rozkosz, potem kolejna, coraz słabsza, aż wiedziała, że więcej nie znieśie.

- Proszę! - krzyknęła. - Proszę!

Ashid wydał głośny okrzyk, a jego ciało zadrżało spazmatycznie, jakby wstrząsane prądem elektrycznym. We wstecznym lusterku widziała, jak jego muskularne brązowe pośladki dygoczą, a potem nieruchomieją. Ciało Ashida nagle sflaczało. Nie umieraj na mnie! - modliła się Sonia. Leżeli bez ruchu, Ashid przygniatał ją paralizująco. Rozkosz rozbrzmiewała w niej echem. Poczuła, że Ashid wyslizguje się, pozostawiając ją dziwnie rozluźnioną, triumfującą, a przy tym potwornie zawstydzoną.

- Zawieź mnie do domu - rozkazała martwym głosem.

Rozwiązał ją, a Sonia ubrała się w milczeniu. Ashid również szybko włożył ubranie i uruchomił silnik. Wracali do stajni bez słowa; Sonia wyglądała przez okno niewidzącym wzrokiem.

Wjechał na podjazd i nachylił się, żeby otworzyć drzwiczki. Sonia odsunęła się przed nim.

- Mój tata cię zabije! - powiedziała.

- Idź już! - odparł, nie patrząc na nią.

Popchnął ją brutalnie, tak że wypadła z samochodu na żwir.

- Ty zwierzaku! - krzyknęła, patrząc w jego otepiałą twarz. - Przysięgam na Boga, że mój tata rozerwie cię na sztuki! Ashid rzucił jej pełne irytacji spojrzenie, a potem zatrzasnął drzwi. Podniosła się z ziemi, a on ruszył w przód, potem w tył, i wyjechał z dziedzińca. Odprowadziła go wzrokiem, po czym powlokła się alejką do domu.

Panowała dziwna cisza. Sonia stanęła na dole w hallu.

- Tato? Laurie?

Ze ściśniętego gardła wyrwało się łkanie. Laurie stanęła na szczycie schodów, patrząc w dół z dziwnym, nowym wyrazem twarzy.

- Gdzie się, na Boga, podziewałaś? - krzyknęła. - Szukaliśmy cię wszędzie! Chodź tu i pomóż mi... nie uwierzysz, co się stało!

Jej głos brzmiał szorstko i nieprzyjaźnie.

- Ashid zabrał mnie na przejażdżkę swoim samochodem, Laurie.

Sonia zaczęła nagle łkać. Laurie odwróciła się.

- Musimy się stąd szybko wynosić. Z tobą też zechcą rozmawiać, ale... - rzuciła przez ramię.

Sonia zmusiła się do tego, by chwycić za poręcz schodów i ruszyć na górę. Kiedy weszła, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na dywan.

- Gdzie tata? - krzyknęła.

Laurie wróciła, niosąc naręczce ubrań.

- Co się z tobą dzieje? - Laurie spojrzała na Sonię. - Nie wiesz, co się stało? Zabrali go! Policja zabrała twojego cennego tatusia! Koniec zabawy, Soniu. Wszystko skończone!

- Jakiej zabawy? Nie rozumiem.

Sonia poczuła narastający chłód. Czy świat postanowił dziś kompletnie oszaleć?

- Dobra! - Laurie klęknęła przy niej. - Powiem ci wszystko, skoro postanowiłaś strugać głupią. Ten walnięty Egipcjanin był tak wstrząśnięty śmiercią swego konia, że wezwał policję i wniósł skargę na Harry'ego. Sprawdzili twego ojca i okazało się, że jest poszukiwany! Czy to rozumiesz, mała panno księżniczko? Twój ojciec to oszust!

Kryminalista! Ten dom, te stajnie, wszystko, na co pracowałam, zabierze stan, to pewne! Szukali was od dwóch lat, o czym świetnie wiesz, więc przestań tak siedzieć i udawać niewiniątko!

- Nie! - Sonia potrząsnęła głową w oszołomieniu. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby broniła się przed atakiem. - Nie, Laurie! - powiedziała dziecinnym głosem. - Uciekaliśmy przed moją mamą! Chciała mnie odebrać!

- Bzdury! - krzyknęła Laurie. - Nie jesteś aż tak głupia! Jak myślisz, skąd twój ojciec miał tyle pieniędzy?... Od Świętego Mikołaja? On i jego kumple zwinęli ponad trzy miliony na swoich drobnych szwindlach. Twój ojciec to nic innego jak parszywy złodziej! A ja go kochałam!

- Gdzie on teraz jest? - szepnęła Sonia.

- Powiedziałam ci! - westchnęła Laurie. - Aresztowali go. Nigdy nie wpłaci kaucji. A ja nie mam zamiaru sprzedawać starych stajni, żeby zdobyć te pieniądze. Dziękuję Bogu, że je zachowałam. Gdyby nie one, co by się teraz ze mną stało? - Podniosła Sonię. - A teraz pomóż mi się pakować.



Lepiej wynieśmy się stąd, zanim wrócą z jakimś nakazem sądowym i zajmą wszystko. Eddie ładuje konie na przyczepy, zawieziemy je dziś do mnie w nocy. Jeśli chcesz jechać z Eddiem, możesz...

Poduszka! Nagle Sonia przypomniała sobie o poduszce. „Ta poduszka to twoje bezpieczeństwo, księżniczko” - powiedział. - „Jeśli cokolwiek mi się stanie...” Sonia zbiegła na dół po schodach.

- Dokąd, u diabła, idziesz? - krzyknęła za nią Laurie. Jeśli nie znajdzie poduszki, będzie zależna od Laurie... zmienionej Laurie, która najwyraźniej winiła ich za to, że ją okłamali. Sonia wirowało w głowie, kiedy biegła do sofy. Poduszka leżała na miejscu, rzucona niedbale pomiędzy innymi. Rozpięła ją i szybko wsunęła rękę. Banknoty wciąż tam były, całe rulony. Wybiegła z poduszką z domu. Znalazła Eddie'ego w stajni, gdzie wrzucał siodła i sprzęt jeździecki do skrzyni.

Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Gdzie jest Red? - spytała.

- Słyszałaś nowiny?

- Gdzie ona jest? - ponagliła go Sonia.

- Na łące. Laurie cię szuka!

Sonia chwyciła siodło ze skrzyni i pobiegła na łąkę. Jej nogi nic nie ważyły, a umysł nie znajdował się w głowie, ale szybował obok. Obserwował Sonię, mówił jej, co ma robić.

Red swobodnie galopowała po torze. Na widok Soni podbiegła do ogrodzenia. Sonia przechyliła się przez barierkę i poklepała klacz po gładkim czole.

- Kochanie, moja najdroższa - mówiła czule. Przeszła przez ogrodzenie i zaczęła siodłać Red. Sonia zakładała uprzęż, a klacz stała spokojnie, parskając co pewien czas.

- Zostałyśmy same, ty i ja, kochanie - szepnęła w szpiczaste uszy, gładząc je palcami.

Nie zwracając uwagi na ból, jaki wciąż czuła, wspięła się lekko na siodło i wyprowadziła Red z łąki.

- Laurie mówi, że musimy wyjechać o ósmej! - krzyknął Eddie od strony stajni, kiedy przejeżdżała w pobliżu.

Sonia szarpnęła za cugle, a Red wypadła galopem na dziedziniec.

- Soniu! - krzyczał za nią Eddie. - Nie jedź teraz na niej! Mogłabyś mi pomóc!

Skuliła się, żeby poczuć jedność z koniem, przykleiła się do końskiego grzbietu. Pęd dawał cudowną ulgę, rodzaj wolności. Było to coś, czego ludzie nie potrafili zrozumieć, ale ona rozumiała. Potrzebowała tego.

- Żegnaj, Eddie! - zawołała, wiedząc, że go nigdy więcej nie zobaczy.

Spojrzał na nią dziwnie z drugiej strony podwórza, gdy Sonia kierowała Red w stronę domu.

Kiedy mijała dom, Laurie wychyliła się z okna na piętrze, tak jak Sonia przewidziała, jakby to wszystko śniło jej się kiedyś w nie dokończonym śnie.

Dokąd jedziesz? - usłyszała w głowie głos.

- Dokąd jedziesz? - krzyknęła Laurie. - Wracaj i pomóż mi się pakować! To są twoje rzeczy!

Dojechały do drogi za domem i Red się zawahała.

- Dalej, malutka - ponagliła ją Sonia. Wsunęła poduszkę pod sweter i skuliła się nad cuglami. - Zabierz mnie stąd. Po prostu mnie stąd zabierz!

I Red ruszyła wolnym truchtem, potem cwałem, wreszcie galopem. Mijały schludne trawniki, okazałe posiadłości, ran-cza, stację benzynową, aż dotarły do autostrady. Sonia skierowała Red na równoległą ścieżkę używaną przez rowerzystów; nabierała szybkości, odprowadzana wzrokiem uśmiechających się kierowców. Red ją dokądś zabierze! We śnie Soni wzniosłyby się w niebo, nad miasta, ale to było prawdziwe życie, więc musiała się zadowolić autostradą. Chciała galopować najszybciej, jak tylko możliwe: z dala od niepewnego dzieciństwa, kłamstw, złudzeń. Kiedy się zatrzymamy - mówiła w myślach do konia - przywiążę cię. Kiedy znajdziemy schronienie. Wiedziała, że wpadła w panikę, ale gdy jechała, rósł w niej głęboki wewnętrzny spokój, choć czuła, że wozy policyjne, których syreny słyszała w oddali, ją ścigają.

Moje biedne maleństwo - pomyślała, przysuwając poli-

czek do rozwiewanej podmuchem grzywy Red. - Obie zostałyśmy dziś przeleciane! Spojrzała na wzgórza po lewej, spowite w lawendowy obłok smogu lub dymu, na ocean po prawej, lśniący w słońcu turkusowo, szaro i granatowo. Kiedy znajdziemy schronienie - pomyślała znowu, ciesząc się spokojnym brzmieniem tego słowa. Red także cieszyła się ucieczką, z łatwością wyciągając się w galopie. A co będzie, jeśli nigdy nie znajdą żadnego pieprzonego schronienia?

Kiedy Red galopowała obok autostrady, równoległe do torów kolejowych, do oceanu, Sonia zostawiała za sobą dzieciństwo. Nie zawieź mnie, kochanie - pomyślała, trzymając cugle. - Przynajmniej ty mnie nie zawieź.

Po pół godzinie dotarły do La Jolla. Red była spieniona od potu, a Sonia nie była już tymi dwiema Soniami, co dawniej. Stała się nową Sonią, ale nie miała pojęcia, jaką. Jedno było pewne: stała się Sonią nie ufającą żadnemu mężczyźnie, Sonią, która potrafiła wykorzystywać mężczyzn.

Kiedy wjeżdżała do miasta, towarzyszył jej policyjny wóz patrolowy z dwoma oficerami. Sonia ścisnęła poduszkę pod pachą. Nagle ogarnął ją wielki spokój, poczuła się zdolna do radzenia sobie ze wszystkim. Schodząc wdzięcznie z konia, postanowiła grać dziecko, uśmiechać się w najbardziej zabójczy sposób. Znajdowali się obok małego parku nad morzem, na tyłach największego hotelu. Słońce, jak zawsze o ósmej wieczorem, zrobiło się pomarańczowe; w tym świetle wszystko jawiło się jak sfilmowane w Technicolorze.

- Dzięki Bogu, że tu jesteście! - krzyknęła do policjantów, używając wszystkich swoich wdzięków. - Ten koń zaczął uciekać! Nie mogłam jej opanować. To był dla niej wielki dzień i chyba po prostu jej odbiło...

- Masz szczęście, że żyjesz, panienko - zauważył jeden z policjantów, przyglądając się spoconej klaczy. - Co się stało? Zmęczyła się?

- Chyba tak... - Sonia ujęła cugle. - Przywiążę ją na chwilę do tego ogrodzenia, żeby zadzwonić do stajni. Przyślą po nią przyczepę...

- Z której ona jest stajni? Jaki adres? - spytał wyższy. - Spowodowałaś spore zamieszanie na autostradzie...

Spojrzała na policjanta załzawionymi oczyma.

- Ale to nie była moja wina! - krzyknęła. - Koń mnie poniósł... Co mogłam zrobić? Przez godzinę próbowałam ją zatrzymać! Sam pan powiedział, że o mały włos nie zginęłam...

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Cóż - zawahał się wyższy. - Nie możesz jej tak po prostu przywiązać do płotu.

- Dlaczego nie? - spytała błagalnie. - Jest zbyt zmęczona, żeby cokolwiek robić, a ja muszę zadzwonić do stajni.

Pierwszy policjant skinął głową do wyższego.

- Dobrze, zadzwoń. Za dwadzieścia minut znowu tędy przejedziemy. Jeśli ten koń wciąż tu będzie stał, będziemy musieli jakoś zareagować...

Wokół konia zebrała się grupka dzieci, które wcześniej grały w piłkę. Zaczęły przyglądać się Red i Soni. Zwróciła się do najstarszego chłopca.

- Popilnuj jej, dobrze? Muszę zadzwonić.

Znalazła automat przed toaletą publiczną i zadzwoniła na koszt Laurie.

- Soniu, gdzie jesteś? Nic ci nie jest? - Była zaniepokojona, prawie jak dawna Laurie. - Jedziesz z nami, tak, kochanie?

Sonia się zawahała. W głosie Laurie brzmiała taka troska i niepokój, że przez chwilę kusilo ją, żeby porzucić nowy plan i wrócić. Zostań z Laurie i dorośnij pod jej opieką.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że Red jest przywiązana do ogrodzenia przy plaży w La Jolla - powiedziała spokojnie Sonia. - Przyślij Eddie'ego z przyczepą. Ona nie może wrócić sama do domu.

- Ale co ty robisz w La Jolla? - krzyknęła Laurie.

- Do widzenia, Laurie - odparła Sonia. - Przykro mi za to, co się stało, bo naprawdę cię kochałam.

Szybko odłożyła słuchawkę. Na ulicy ostatni kupujący sobotniego popołudnia leniwie oglądali wystawy sklepowe lub zastanawiali się, gdzie jeść. Biedna Red rżała i miała dreszcze; potrzebowała wody i pożywienia. Policjanci kręcili się w pobliżu zakłopotani, wiedząc, że coś powinni przedsięwziąć. Sonia wróciła do nich.

- Za dwadzieścia minut ktoś po nią przyjedzie - obiecała. Kiedy tylko odjechali, zwróciła się do tego samego chłopca, co wcześniej.

- Czy mógłbyś znaleźć gdzieś dla niej wiadro wody?

- Spróbuję - odparł ze wzruszeniem ramion.

Kiedy poszedł na poszukiwanie, zwróciła się do wysokiej dziewczynki o trzypiotowatym wyglądzie.

- Popilnuj jej przez chwilę, dobrze? Muszę pójść do toalety.

Dziewczynka wzięła z dumą cugle, a Sonia nachyliła się do Red.

- Dziękuję, maleńka - szepnęła jej na ucho. - Dziękuję i trzymaj się, dobrze? Wiesz, że kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie, prawda? Będę bardzo za tobą tęsknić. Och, tak bardzo, kochanie...

Jeszcze jedno dotknięcie atłasowych uszu, jeszcze jedna pieszczota między oczami na tym szerokim, jedwabistym czole. Wydawało się, że Red pojmuje. Sonia objęła klacz za szyję, a łzy popłynęły jej po twarzy. Wysoka dziewczyna przyglądała się tej scenie. Sonia oderwała się od klaczy. Kiedy zaczęła się oddalać, Red zarżała cicho, jakby też wiedziała, że to pożegnanie. W nowym życiu Soni nie było miejsca na konia, nawet jeśli kochała go z całego serca. Sonia się nie obejrzała.

Czując się lekka jak piórko, Sonia przeszła przez mały park. Znalazła publiczną toaletę i z poduszką w ręku weszła do części dla kobiet. Usiadła na sedesie w zamkniętej kabinie i rozpięła powłoczkę. Wyjęła jeden banknot studolarowy. Potem spryskała zimną wodą rozgrzaną twarz.

Wyszła na główną ulicę. Idąc, starała sobie wmówić, że to nie ona, ale nowa, nieustraszona Sonia. Ludzie przyglądali się jej i czuła, że traci kontrolę nad myślami. Ludzie zawsze się jej przyglądali; tata mówił, że zazdrościli Soni urody. Nawet się z nią nie pożegnał. Wpadła na starszą kobietę, która najpierw posłała jej gniewne spojrzenie, a potem spytała z troską:

- Nic ci nie jest, kochanie? Sonia odeszła bez odpowiedzi.

Kupiła małą skórzaną torbę i schowała do niej poduszkę. Wyszędłszy na ulicę, spojrzała pod nogi, nie wiedząc, dokąd się udać. Nagle poczuła strach. Przechodząc obok księgarni zauważyła coś na wystawie, poszła dalej, ale stanęła. Coś kazało jej wrócić. Ogromna reklama książki pod tytułem *W imię miłości*, z czarno-białym zdjęciem pięknej kobiety pośrodku. Sonia patrzyła w znajome, pełne bólu oczy, przeczytała podpis. Marcella Balducci Winton.

Pozwoliła, by jej czoło dotknęło chłodnej szyby, a wargi bezgłośnie wymówiły słowo: „Matka”. Z tych oczu patrzyło takie zrozumienie, taki smutek. W końcu łzy wydostały się na wolność i popłynęły Soni po policzkach.

- Mamo! - Osunęła się na kolana na chodnik. - O, Boże, mamo!

Starsza kobieta, na którą wcześniej wpadła, przyglądała się Soni z oddali. Podbiegła, uklękła obok i otoczyła ją ramieniem.

- No, no, kochanie - pocieszyła Sonię. - Nie płacz. Znajdziemy twoją mamę...

W mroku kinowej sali Marcella patrzyła, jak Cary Grant zapala kobiecie papierosa. Zewsząd dochodziło szuranie i szepty.

- Wszyscy tu przychodzą - powiedziała jej kiedyś Amy. - Maklerzy z Wall Street, sprawozdawcy sportowi, ludzie z wiadomości telewizyjnych, członkowie mafii, turyści...

Marcella zerknęła na postacie w mroku, usiłując dostrzec, obok kogo usiadła. Czy to możliwe, żeby to się udało, gdyby zmieniła nastawienie i oczekiwania? To dobrze, że panowały tu ciemności, bo była pewna, że poczerwieniała z zażenowania. Marcelli towarzyszył głęboki wstyd, ale, co dziwne, ten wstyd zwiększał jej podniecenie. Pierwszy mężczyzna, który do niej podszedł i dotknął Marcellę, musiał sądzić, że jest chora, tak mocno drżała, kiedy położył jej delikatnie dłoń na udzie.

- Dobrze się czujesz? - szepnął, zerkając na Marcellę w blasku ekranu.

Skinęła głową; tak zaschło jej w gardle, że nie mogła mówić. Miała zamiar mu pozwolić. Postanowiła, że pozwoli pierwszemu mężczyźnie. Jej sąsiad był brunetem o regularnych rysach rozsiewającym miły zapach wody kolońskiej. Marcella położyła palce na przegubie spoczywającym tak niedbale na jej udzie. Poczwała włosy, poczwała grubość i siłę ręki. Spróbowała przełknąć ślinę; odgłos, jaki usłyszała, wydał jej się ogłuszający. Nie do wiary, na samą myśl o tym, co robiła, już czuła wilgoć między nogami. Czekała z rozsuniętymi udami na jego pierwszy dotyk, wstrzymała oddech. Ręka przesunęła się prawie niezauważalnie w stronę jej

łona. Chciała, żeby robił to ukradkiem, potajemnie. Ilekroć ekran rozjaśniał się sceną na otwartym powietrzu, Marcella zerknęła na bok. Domyślała się, że mężczyzna miał około czterdziestu lat. Jej pierwszy. Zachowywał się tak dyskretnie, jak tylko mogła sobie życzyć. Nadal wpatrywał się w ekran, wsuwając dłoń, delikatnie i miękko, pod jej spódnicę. Kiedy Marcellę dotknęły opuszki jego palców, przeszedł ją dreszcz, a z ust wyrwał się mimowolny jęk. Odchyliła się na fotelu, oddając się tej silnej, pewnej dłoni. W całej sali widziała ludzi siedzących parami. Wszyscy przyszli w tym samym celu. Dłoń mężczyzny spoczęła na łonie Marcelli, dotknęła jej przez majtki. Pozwoliła, żeby je zsunął; uniosła się na welwetowym fotelu i wyslizgnęła się z bielizny, a mężczyzna położył dłoń na jej nagim seksie. Westchnęła spazmatycznie. Zaczął delikatnie masować wargi, szparę, mocno gładził palcem wskazującym powiększony pączek. Nigdy nie czuła czegoś tak cudownego. Czysty seks - mówiła Amy i miała rację. Ale jak mogła siedzieć i pozwalać, by obcy mężczyzna robił z nią coś takiego? Jak to możliwe, że wydawało jej się to całkowicie naturalne i zupełnie nie dziwne? Zamknęła oczy, oddając się czystej fizycznej rozkoszy. Rozkosz istniała sama w sobie, bez skojarzeń mentalnych, bez myśli o tym, co stanie się z ich związkiem: nie było żadnego związku. Istniała tylko jego dłoń i jej pachwina, teraz, w przyjemnym teraz. Palce zakrzywiły się i weszły w nią; prawie nie śmiała oddychać. Zdawał się wiedzieć dokładnie, jak daleko może się posunąć. Przyjęła go, przesuwając się nieznacznie ku krawędzi fotela. Kiedy ujął jej dłoń i położył na członku w erekcji, prawie się przestraszyła. Jak wiele od niej oczekiwał? Pieściła go. Czysty seks - mówiła Amy. Bezpieczny, i czysty. Jedyne sposob na uniknięcie ryzyka. Oczywiście, takie myślenie o seksie w kategoriach medycznych, społecznie akceptowalnych, pomagało usprawiedliwić samą siebie. Można też było powiedzieć, że to bardziej szczerze, pochłaniające mniej czasu, bardziej bezpośrednie niż... - Aaa... - jęknęła cicho Marcella.

Skąd on wiedział dokładnie, jak lubiła być dotykana, jakiego napięcia potrzebowała, by unosić się tak ponad



rozkoszą, aż poczuła wzbierającą falę. Niezgrabnym ruchem sięgnęła do jego rozporka i wsunęła dłoń. Nie dlatego, że naprawdę miała na to ochotę, ale ponieważ czuła, że powinna odwzajemnić rozkosz, jaką jej dawał. Trzymała sztywny kształt przez bawełniane slipy. Był czysty, nieskazitelny, a zapach wody kolońskiej intensywniał w miarę, jak podniecenie mężczyzny rosło. Nachylił się, by przez bluzkę wziąć w usta sutkę, a Marcella rozpięła guziki i uwolniła pierś ze stanika. Ciepłe, wilgotne usta mężczyzny chwyciły stwardniałą brodawkę, ssały, wzniecając dreszcze. Wyjęła członek z szortów i pieściła go delikatnie. Ciepła ciecz zaczęła wypływać z jej ciała, a palce nieznanego nie przestawały pracować, wirowały, druga dłoń nie zmniejszała nacisku na pączek a usta przywierały do piersi.

Rozkosz płynęła teraz ze wszystkich stron, od jego palców, ust, drugiej dłoni. Umysł Marcelli nie potrafił już wyodrębnić ognisk przyjemności; zapadła się w fotelu, spowita oparem seksu, z umysłem wrzeszczącym, że to niewłaściwe, podczas gdy całe ciało potwierdzało, że owszem tak. Spojrzała na ekran. Nie rejestrując nawet obrazów, odpoczywała chwilę od nieugiętego naporu rozkoszy, który miał wybuchnąć wkrótce wspaniałym orgazmem. I wtedy zaczęła dochodzić. O, Boże, cóż to będzie za orgazm! Musiała oczywiście przeżyć go w ciszy, tłumić westchnienia i jęki, które pragnęła uwolnić, z mocno zamkniętymi oczyma, oddając się kolejnym falom rozkoszy. Kobieta została stworzona, żeby to czuć - myślała. Zbyt długo sobie tego odmawiałam. Ostatnia fala zatopiła ją, przesłała rozkosz do wszystkich zakończeń nerwowych. Zanim Marcella zdążyła się odwrócić do mężczyzny, żeby mu podziękować, odszedł nagle, zostawiając ją w mroku niemal łkającą z ulgi. Niemożliwe, żeby to było tak łatwe, tak cudowne!

Poprawiła ubranie, wygładziła spódnice, wiedząc, że wróci znowu i znowu, jak Amy. Stanie się to jej wstydliwą tajemnicą, którą nie podzieli się z nikim, bo nikt by nie zrozumiał, nawet Amy. Dla Amy była to tylko frajda, ale dla Marcelli - zdumiewające potwierdzenie zdolności jej ciała do przeżywania rozkoszy, tajemne doświadczenie dające

uczucie spełnienia. Nikomu nie wolno współuczestniczyć w tym jej triumfie, w tym pokonaniu przeciwności. Przeciwności, jakie przeszkadzały kobiecie na Manhattanie osiągać seksualne zadowolenie. Nie potrzebowała aprobującego uśmiechu Amy; chciała zachować ten sekret dla siebie. Wyszła z klubu jako inna osoba. To, co przeżyła, odmieniło wszystko, co, jak sądziła, wiedziała na swój temat.

Cycki! - powiedziała Sonia sławnemu chirurgowi w jego gabinecie w La Jolla, rozpiąwszy białą sukienkę. - Duże, ponętne, seksowne cycki!

Rozchyliła sukienkę i pokazała mu nagie ciało.

- Mam nadzieję, że niezbyt duże - odparł, przyglądając się jej profesjonalnie, a potem, z lekkim, lubieżnym uśmiechem, nieprofesjonalnie.

- Dlaczego?

Dotknęła się prowokująco, uśmiechając się do chirurga. Był tęgi, łysy, miał około pięćdziesiątki i przyglądał się Soni przez grube okulary z podwójną ogniskową. Czwarty chirurg plastyczny, którego odwiedziła; poprzedni jej odmówili.

- Ponieważ byłyby nieproporcjonalne w stosunku do pani ciała. - Nachylił się nad biurkiem i delikatnie dotknął piersi bladymi dłońmi lekarza. Potem usiadł, dając znak Soni, że może zapiąć sukienkę. - Jest pani bardzo piękną młodą damą

- oświadczył. - Czemu uważa pani, że potrzebna jej operacja plastyczna?

- Jestem modelką. - Sonia przybrała swój szczerzy, otwarty wyraz twarzy. - Zależy mi na jak największej ilości zamówień, a w tej chwili poszukiwane są modelki z cyckami. Gdzie będzie blizna? Czy będę ją widziała?

- Zobaczyłby ją tylko jakiś szczęściarz stojący pod panią

- odparł chirurg z uśmiechem - gdyby była pani naga i gdyby uniósł pani piersi.

- To znaczy, że będą zwisać nad blizną? - spytała.

- Silikonowe wkładki nie zwisają - odparł lekarz. - Moje blizny są w dziewięćdziesięciu procentach niewidoczne.

Czy naprawdę chce pani aż tyle silikonu?

- Tyle, ile trzeba - odparła Sonia.

- Pani ma...? - Zaczął wypełniać formularz. - De ma pani lat, panno Winton?
- Osiemnaście - odparła. - Mam dowód tożsamości. Sfałszował go dla niej pewien facet w hotelu, w którym się zatrzymała. Wręczyła dokument lekarzowi. Obejrzał go.
- Jest pani trochę za młoda jak na poważną operację plastyczną - oświadczył. - Czy nie może pani poczekać rok czy dwa? Jak uważają pani rodzice?
- Jestem sierotą. A przy okazji, chciałabym mieć mniejszy nos. Czy mógłby pan zrobić obie rzeczy jednocześnie?
- A czego, zdaniem pani, brakuje pani nosowi? Moim zdaniem jest idealny.
- Może w normalnym życiu - westchnęła cierpliwie. -Ale do zdjęć im mniejszy nos, tym lepiej. Chciałabym, żeby był zupełnie malutki! Cena nie gra roli. Rodzice zostawili mi dużo pieniędzy. No więc, jak pan sądzi? Mógłby pan zrobić obie rzeczy jednocześnie?

Chirurg spojrział na Sonię z irytacją, składając formularz, który zamierzał wypełnić. Zakręcił pióro Mont Blanc.

- Obawiam się, że nie mógłbym zrobić żadnej z tych rzeczy - oświadczył. - Nie zajmuję się nosami i nie wierzę, że ma pani osiemnaście lat, bez względu na dowód. Moim zdaniem, ma pani około piętnastu. Nie mam zwyczaju nawet dyskutować o operacjach z młodymi dziewczętami bez obecności rodzica lub opiekuna.

Sonia ściągnęła usta, piorunując go spojrzeniem liliowych oczu.

- Jakie to ma znaczenie, ile mam lat, skoro jestem gotowa zapłacić? - spytała wstając. - Mam gotówkę! Chyba żadne prawo tego nie zabrania, co?

Chirurg wzruszył ramionami, odsuwając na bok formularz.

- Musiałbym spytać swego adwokata, czy to jest nielegalne, ale mam prywatną zasadę nieoperowania nieletnich, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Teraz proszę odejść, zapomnieć o operacji i wrócić za pięć lat, jeśli nadal będzie ci na niej zależało. Jesteś jeszcze dzieckiem!

Sonia rozchyliła sukienkę.

- Czyżby? Czy to jest ciało dziecka?

- Będziesz musiała znaleźć kogoś z gorszą reputacją, skoro upierasz się przy tym samookaleczeniu. Mam nadzieję, że nie znajdziesz nikogo, kto zrobi to, czego chcesz. Twoje ciało nie skończyło jeszcze dojrzewać. Mogłyby się wywiązać komplikacje.

- O, cholera!

Sonia wyszła z gabinetu do szatni. Jak dotąd, jej wiek okazał się największą przeszkodą. Narzuciła płaszcz i wyszła z gabinetu do czekającej taksówki.

Kiedy mijiała pędem Nabrzeże La Jolla patrzyła na ocean. Udało jej się nakłonić starszą kobietę, pragnącą pomóc Soni odnaleźć matkę, żeby zarejestrowała ją w najlepszym hotelu w La Jolla, La Residencia. Ponieważ nie posiadała karty kredytowej, poproszono, by zapłaciła z góry. Działo się to przed dwoma tygodniami, a przez ten czas personel hotelowy wysłuchiwał ze współczuciem opowieści Soni o tym, że jest bogatą sierotą spędzającą wakacje po tragicznym wypadku samochodowym, w którym zginęli jej rodzice. Napiwki wysokości pięćdziesięciu dolarów, jakimi raczyła pokojówki i kelnerów, zapewniły jej popularność. Kiedy zbyt wiele brwi zaczęło się podnosić na widok jej najwidoczniej niewyczerpanych zapasów gotówki, Sonia kupiła czeki podróżne.

Dotychczas najbardziej pomocną osobą okazał się ucziwie wyglądający mężczyzna ubrany jak dyrektor banku. Prowadził księgowość hotelu. Od chwili, kiedy Sonia wręczyła mu gruby zwitek pieniędzy, był nią zauroczony. Ofiarował pomoc w sfalszowaniu dowodu tożsamości, kiedy przyznała mu się, że posiada taki kłopot. Nagrodą miała być kolacja we dwoje, ale Sonia wciąż odkładała datę. Mężczyzna zachowywał się zbyt poważnie, zdradzał zbyt silne pożądanie, toteż Sonia się obawiała, że powtórzy się to, co stało się w samochodzie, podczas randki z Egipcjaninem trzy soboty wcześniej. Żyła teraz tak szybko, że zdawało się jej, jakby się to stało przed trzema laty. Nadal nie miała pewności, co czuje w związku z tamtym wydarzeniem. Jedna część jej natury była zraniona, wściekła, przestraszona, ale druga, ta bardziej dorosła, odważna Sonia, zaczynała przyznawać,

że we właściwych okolicznościach rzeczy, które z nią zrobił Ashid, byłyby podniecające. Będzie miała dużo czasu, żeby to wszystko odkryć, kiedy dopełni swej przemiany.

W wieku czternastu lat żyła jak osoba dorosła, co zdumiewało ją i zachwycało. W ciągu minionych kilku tygodni została zmuszona, żeby szybko dojrzeć. Wiedziała, że to przedstawienie, stwarzanie pozorów; wiedziała, że po prostu małpuje sposób zachowania dorosłych, ale były to bardzo dobre pozory, nakładanie warstewki wypolerowanej lekcjami gry aktorskiej, wyszlifowanej wołą Soni warstewki, która miała pomóc jej przetrwać w tym nowym, ekscytującym życiu zbiega. Kiedy zmywała makijaż i rozpuszczała włosy, wciąż wyglądała jak nastolatka, ale jak dotąd nikt jej takiej nie widział, nikt nie przejrzał gry. Musiała tylko przekonać jakiegoś lekarza, że jest dostatecznie dorosła, żeby poddać się operacji plastycznej. Wróciła więc do hotelu, by znowu kartkować książkę telefoniczną.

Po południu dzwoniła do lekarzy, szpitali oraz biur o nazwie Kalifornijski Plan Upiększania Drogą Hospitalizacji. W końcu znalazła niejakiego doktora Kapłana, który tytułem zaliczki zażądał piętnastu tysięcy dolarów w gotówce. Sonia sądziła, że to wysoka suma, ale miała dość szukania i zapłaciła. Kazał jej też podpisać tuzin formularzy zdejmujących z niego wszelką odpowiedzialność na wypadek, gdyby coś się nie udało.

- Dlaczego? - zachichotała. - Żebym nie mogła pana zaskarżyć, jeśli po operacji będę wyglądać jak dzwonnik z Notre Dame?

- Nie będziesz garbusem! - obiecał. - To zwykła formalność.

Wydawało jej się, że patrzy na nią dziwnie, ale nie miała innego wyjścia, musiała mu zaufać. To było lepsze, niż pozostanie na zawsze dzieckiem.

Noc przed operacją spędziła w prywatnej klinice, gdzie koreańskie pielęgniarki robiły wokół Soni mnóstwo szumu. Oglądały w lustrze jej szczupłe ciało, goliły ją pod pachami. „Jak ciało młodego chłopca” - powiedział Egipcjanin. Już nigdy nikt jej tego nie powie - obiecała sobie.

Po wyczerpującej operacji nosa i piersi Sonia czuła się tak chora i obolała, jakby została przejechana przez ciężarówkę. Zanim zdjęli bandaż, trzymali ją w łóżku przez dwa tygodnie. Jej ciało było posiniaczone i zaczerwienione, ale Sonia ubóstwiała nowe, krągłe piersi. Doktor Kaplan wszczepił dość silikonu, by stały się pełne, mięsiste. Sutki nabrzmiały boleśnie, a mały zadarty nosek z kanciastym czubkiem sprawiał, że zdawało się, iż ma lekkiego zęza, jednak z lustra patrzyła na nią bezsprzecznie nowa Sonia, której wygląd pasował do nowej osoby, jaką się stała.

Wróciła do hotelu La Residencia i dzięki wielkim dawkom witaminy C, które połykała garściami, zdumiewająco szybko, po kilku tygodniach znów czuła się dobrze. Codziennie szła na badanie do kliniki, brała ostrożne kąpiele słoneczne i przestrzegała diety. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Laurie, ale przypomniawszy sobie jej wyraz twarzy, kiedy Laurie na nią krzyczała, postanowiła milczeć.

Kilkakrotnie podnosiła słuchawkę, by zatelefonować na policję i spytać, gdzie przetrzymywano jej ojca, ale za każdym razem stwierdzała, że lepiej tego nie robić. Mogliby zażądać zwrotu pieniędzy, a to pokrzyżowałoby jej plany. Czasami doskwierała samotność, ale nowe życie jej się podobało. Lepiej było zachować anonimowość do czasu, kiedy zostanie profesjonalną modelką, co, jak uznała, było jej przeznaczeniem. W końcu ludzie zawsze mówili, że jest piękna: teraz posłuży się swoją urodą.

Powoli zapełniła szafę kolekcją obcisłych kreacji z jedwabiu, lnu i kaszmiru podkreślających jej nową figurę. Uwielbiała zachodzić do butików wczesnym rankiem, kiedy jeszcze nie panował tam tłok, przymierzać stroje, wdzierając się przed podziwiającymi Sonię sprzedawczyniami. Wieczorami studiowała „Vogue” i „Bazaar”, robiła eksperymenty z fryzurą i makijażem, przechadzała się po nabrzeżu. Kiedy odwiedzała bary lub jadła w eleganckich restauracjach, mężczyźni zagadywali ją. Wielu próbowało poderwać. Frajerzy - myślała. Pewien facet przedstawił się jako fotograf i obiecał zrobić jej zdjęcia gratis, gdyby zgodziła się mu za

darmo pozować. Sonia zadała mu wiele pytań dotyczących pozowania i fotografii, ale nie stawiała się na umówione spotkanie.

Każdego ranka w automacie na nabrzeżu kupowała „The New York Times” i przeglądała go, jedząc śniadanie w hotelu. Wreszcie pewnego dnia obok recenzji książki znalazła to, czego szukała: notatkę zamieszczoną przez wydawnictwo Volumes i Doubleday informującą, że Marcella Balducci Winton, autorka fenomenalnie sprzedającej się powieści *W imię miłości*, w księgarni Doubleday przy Piątej alei w piątek popołudniu będzie podpisywać swoją książkę w nowym wydaniu w miękkiej okładce. Była środa. Tego dnia rano Sonia kupiła w hotelowym biurze podróży bilet na lot pierwszą klasą do Nowego Jorku.

- Z powrotnym? - spytał urzędnik.

- Mm. - Wyrzwała przez okno ze szlifowanego szkła na błękitny Pacyfik. - Nie wracam.

Poprosiła pracownika księgowości o wypisanie jej rachunku. Ponieważ była to ostatnia noc Soni w hotelu, namówił ją na wspólną kolację. Najpierw jednak poprosiła go o jeszcze jedną przysługę. Zadzwoił do hotelu Plaża w Nowym Jorku i zarezerwował dla niej pokój, podając się za kochającego wujka fundującego siostrzenicy podróż. Opłacił trzy noce w apartamencie swoją kartą kredytową, a Sonia wynagrodziła mu to szeleszczącymi studolarówkami. Odnosił się do niej z takim szacunkiem i bojaźnią, że postanowiła uczcić specjalną kreacją tę ostatnią noc kalifornijskiej Soni. Tego wieczoru w hotelowej restauracji na ostatnim piętrze tylko po to, żeby sprawdzić, jak to smakuje, zamówiła najdroższe danie w karcie - homara thermidor oraz francuski szampan w cenie stu pięćdziesięciu dolarów za butelkę. Stwierdziła, że to nic nadzwyczajnego. Podczas kolacji rozmawiali na błahe tematy, a on kilkakrotnie dotknął kolana Soni. Wydał jej się nudny, ale fascynowała ją władza, jaką miała nad dorosłym mężczyzną. Po kolacji zaproponował, żeby poszli oglądać telewizję do jej pokoju. Zgodziła się, wpuściła go do środka, po czym zniknęła w łazience. Odkręciła kran z lodowatą wodą i, chichocząc, zamoczyła

ręcznik. Wycisnąwszy nadmiar wody, zwinęła ręcznik w twardy bicz. Kiedy otworzyła drzwi, mężczyzna siedział rozparty w fotelu, bez marynarki. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia, kiedy Sonia skoczyła do niego i uderzyła ręcznikiem z całej siły. Trafiła go w policzek, zostawiając duży ślad, potem w czoło. Kiedy chwycił marynarkę i wybiegł z pokoju, przymierzała się do ciosu w oczy. Rzucił się do windy, oglądając się na nią z przestachem. Sonia zamknęła drzwi, oparła się o nie i śmiała się. Jeśli to nowa gra, jakaż była zabawna! Pozostałą część wieczoru spędziła na pakowaniu nowych ubrań, oglądaniu nowych piersi w lustrze w łazience, delikatnym podnoszeniu ich, by zobaczyć czerwone linie, które, zgodnie z obietnicą lekarza, miały zniknąć za kilka tygodni. Ostatnią noc w Kalifornii smacznie przespała.

Marcella usiadła w ostatnim rzędzie w kinie. Odwiedzała klub po raz dziesiąty w ciągu tyluż tygodni. Gdyby dawniej usłyszała o kobiecie, tak często powracającej w takie miejsce, potępiłaby ją jako ździrę. Ale jak troskliwi, jak delikatni okazali się jej kochankowie w mroku. Ich silne, pewne dłonie po mistrzowsku doprowadzały do orgazmu. W tym ciemnym ustroniu Marcella doświadczyła najwyższej rozkoszy. Początkowo czuła wdzięczność za każdą pieszczotę, zdziwiona delikatnością, jaką jej okazywano. Jak czuli byli wszyscy o osiemnastej trzydzieści, kiedy biznesmeni zatrzymują się tu na chwilę w drodze do domu. Jak ciepło pieścili Marcellę, obejmowali, robili wszystko z wyjątkiem całowania w usta, na co nigdy nie ośmieliła się zezwolić. Była im równie wdzięczna jak oni jej za pokazywanie, jak bardzo prosty, nieskomplikowany mógł być seks. Za to, że znajdowała ich tam zawsze, kiedy ich potrzebowała. Wychodząc, mówiła sobie, że to szaleństwo, obiecywała sobie, że to już ostatni raz.

Podczas każdej wizyty Marcelli towarzyszyło poczucie potencjalnego zagrożenia. A jeśli któryś mężczyzna nosił ze sobą nóż? Przypuśćmy, że usiadłaby obok psychopaty. Nieustannie obiecywała sobie, że jeśli spotka ją choćby drobna



przykrość, zapomni o klubie na zawsze. Dotychczas jednak było tu jak w bajce, krainie marzeń, miejscu rozkoszy. Niedbale położyła rękę na sąsiednim fotelu - znak w języku, jaki tu poznała. Wtedy podchodził mężczyzna, siadał o jedno albo dwa fotele dalej, omiatał ją spojrzeniem. Kiedy nie podobał jej się jego wygląd albo nastrój - a zdumiewało ją, jak dokładnie działał jej zmysłowy radar - cofała rękę i nie zwracała na mężczyznę uwagi. Ale teraz, kiedy zbliżył się poważny, najwyraźniej nieśmiały brunet, Marcella wiedziała, co robić. Wyciągnęła zachęcająco rękę. Wkrótce poczuła na niej ostrożny dotyk ciepłej dłoni. Marcelli podobała się jego delikatność. Spotkanie przebiegało według pewnego wzoru, który zawsze okazywał się zadowalający. Mężczyzna usiadł dyskretnie obok Marcelli i wkrótce zaczął masować jej łono. Tylko dłoń, tylko pięć palców, dotyk, ale Marcella była już bliska omdlenia. Zachowywał się niepewnie, badał. Delikatnie ujął w dłoń jej pierś. Nauczyła się nie nosić stanika. Ujął sutkę w dwa palce, przesuwał po niej drugą dłonią. Marcella odchyliła się. Tak dobrze poznała te fotele; wiedziała, jak daleko powinna wsunąć nogi pod siedzenie przed nią, aby głowa wsparła się na krawędzi pluszowego oparcia. Leżąc tak, w niemal horyzontalnej pozycji, oddawała się w pełni męskiej dłoni, dotykowi, który przynosił takie spełnienie. Mężczyzna zaczął gorliwie pracować, pragnąc doprowadzić ją do orgazmu. Jakiś odgłos spowodował, że Marcella odwróciła głowę i ujrzała śniadego, przystojnego, młodszego mężczyznę, który stał nad nimi i patrzył. Uśmiechnął się do niej. Wielu bywalców lubiło patrzeć na zaspokajaną kobietę, ale Marcella nie szukała tego rodzaju sytuacji. Ten wyglądał seksownie i miło. Mężczyzna siedzący obok nachylił się, położył jej głowę na łonie, wzbudzając językiem fale rozkoszy. Marcella zastanowiła się, co powiedziałyby Emily Post o pozdrawianiu mężczyzny, kiedy drugi pieścił cię między nogami. Nowo przybyły zanurkował pod fotel. Jego głowa pojawiła się między udami Marcelli i nagle pieścili ją obaj. Pod wpływem rozkoszy gwałtownie odchyliła głowę. Oddając się jej, patrzyła, jak dzielą się terytorium: jeden lizał wewnętrzne strony ud,

a drugi, odurzony perfumami, którymi się oblała, wachał, ocierał o nią nos jak kot. Pracowało im się dobrze; pierwszy najwyraźniej nie czuł żalu do przybysza. Byli jak czujni lekarze uwijający się wokół pacjentki, artyści miłośnie obrabiający dzieło, starzy kochankowie, którzy dokładnie wiedzieli, jak zadowolić. Delikatnie, słodko, unieśli nogi Marcelli, umieszczając kostki na fotelu przed nią, podwinęli spódnicę, aż opadła sfałdowa-na na brzuch. Obnażona w ten sposób Marcella, pozwoliła obu mężczyznom przesuwając językami po najbardziej wrażliwych strefach jej ciała, ocierać się nosami i brodami o włosy łonowe, pieścić wargi, dotykać szpary błędzącymi palcami. Widziała, jak języki nieznajomych czasem się stykają, widziała ich pełne zatopienie w niej i jej rozkoszy. Kiedy dłonie rozpięły jej bluzkę i ujęły piersi, sutki Marcelli wyprężyły się. Poczuła, jak przetacza się po niej grzmot rozkoszy. Dwaj mężczyźni pragnący ją zadowolić! Boże, nigdy niczego podobnego nie doświadczyła! Rozpostarta na czerwonych pluszowych fotelach przeżywała sen, fantazję! Zaczęła dochodzić. Zmuszała się, żeby nie krzyczeć. Boże, wiele orgazmów, zdobywała wciąż nowe szczyty z cichym jękiem, na co nikt z obecnych na sali nie zwracał uwagi. To ostatni raz - obiecała sobie, gdy zatrzymała się na krawędzi ekstazy, tonęła w przyjemności. Mężczyźni usiedli po jej bokach. Wyciągnęła ręce i poczuła ich członki. Jeden z mężczyzn obnażył się, zapraszając Marcellę, żeby go dotknęła. Przesunęła ręką po grubym penisie, a nieznajomy wziął jej dłoń, napluł na nią i położył z powrotem na sobie. Pod wpływem wilgotnego dotyku jęknął i spuścił się w powietrze. Drugi mężczyzna również i przez chwilę wyglądali jak jakieś trygłowe bóstwo, sześcioreki hinduski bóg oddający się rytuałowi Kama Sutry. Mężczyźni wytarli się, pokleпали Marcellę czule, nachylili się, żeby musnąć wargami jej policzek. Wkrótce znowu została sama. Przez pewien czas unosiła się między świadomością a snem. Ale przechadzający się między fotelami zaczęli zwracać na nią uwagę, toteż musiała zapiąć bluzkę, obciągnąć spódnicę, wstać na drżących nogach i wyjść.

Jaka kobieta zrobiłaby coś takiego? - zadała sobie pytanie. - Ty. Opuściła klub wyjściem przeciwpożarowym, idąc przeraźliwie ciemnym zaułkiem, żeby nikt jej nie zauważył: wątpiła, czy którykolwiek z bywalców kina w klubie Członkowie czytał jej książkę lub znał jej twarz, ale wolała nie ryzykować. Przechodząc przez Dziewiątą aleję i idąc w kierunku wschodnim Pięćdziesiątą Siódmą ulicą, wciąż czuła pulsowanie rozkoszy, jakiej zaznała.

Kiedy doszła do Broadwayu, rozejrzała się po ulicy za jedną z największych ekstrawagancji swego życia. Nie cierpiała występować w roli ubogiej krewnej Amy i pożyczać od niej samochodu tylko wtedy, kiedy był wolny. Po siódmym wydaniu jej powieści Marcella kupiła granatowego Rolls Royce'a i zatrudniła Donalda, nobliwego czarnego szofera. Miała nadzieję, że wreszcie zacznie prowadzić życie, jakie sobie wymarzyła. Mogła się obejść bez posiadłości w Southampton i basenu. Wystarczyło jej wygodne mieszkanie w Central Park South, ten cudowny samochód i sumienny szofer, gotów ją zawieźć tam, dokąd chciała. A teraz Marcella chciała po prostu wrócić do domu.

Samochód pojawił się na umówionym rogu. Zawsze kazała Donaldowi zostawiać się i zabierać w miejscach oddalonych o kilka przecznic od Członków, aby jej wyjścia i wejścia jak najmniej rzucały się w oczy. Chociaż w klubie znajdowała się sala gimnastyczna, restauracja i kilka innych miejsc spotkań, Marcella była pewna, że wszyscy wiedzieliby, że przyszła do kina. Zmęczona, usiadła na tylnym siedzeniu, a Donald podał jej kaszmirowy pled, którym okryła kolana. Marcella nie mogła mu spojrzeć w oczy, jakby znał jej tajemnicę, jakby czuł od niej zapach seksu. Zawiózł ją do domu, a Marcella życzyła mu dobrej nocy i powiedziała, żeby przyjechał nazajutrz o dziesiątej. Jeden z portierów odwiózł ją na górę windą i pożegnał się z Marcellą na jej piętrze. Wreszcie dotarła do domu, znalazła się w ukochanym kokonie mieszkania. Wzięła ciepłą kąpiel, a potem wysłuchiwała wiadomości nagranych na automatycznej sekretarce, wyglądając przez okno w gabinecie na ziele-

niejący nawet o północy Central Park. Wszystkie wiadomości dotyczyły pracy; Marcelli udało się w pewien sposób stworzyć sobie życie skoncentrowane wokół swoich książek.

Przed położeniem się do czystego, białego łóżka, uklękła na dywanie, z czołem wspartym na złączonych dłoniach, z łokciami na łóżku. Przebac mi - modliła się. Nie była pewna, do kogo kieruje tę prośbę.

Młody mężczyzna śpiący w jej łóżku leżał tak cicho, tak nieruchomo, że ktoś mógłby go wziąć za zmarłego. Ale Marcella знаła jego zwyczaje, wiedziała, że mógł się nagle rzucić, przekreślić, jęcząc coś przed ponownym zapadnięciem w głęboki sen, którego tak mu zazdrościła. Nie dotykając go, zerkając na jego idealny profil, na lekko uśmiechnięte usta, wślizgnęła się do łóżka obok syna. Leżała na plecach, z otwartymi oczami. Jeśli to było niewłaściwe, a miała pewność, że tak jest, dlaczego czuła się tak cudownie? Skoro czujesz się z tym cudownie, rób to! Czy nie tak mówiono? Skoro czujesz się z tym dobrze, po co się obwiniasz? Czemu boisz się, że to dziwne, rozkoszne uzależnienie okrada cię z czegoś... czegoś naprawdę cennego? Dobry Boże - modliła się znowu. -

Przebac mi. Jestem sobą przerażona. Wkrótce zasnę.

Pycha! - Amy nałożyła gruby plaster koziego sera na kawałek francuskiej bagietki. Jadły lunch w Ultimo, nowej włoskiej knajpce przy Broadwayu, w jeden z pierwszych gorących dni lata. - Pamiętasz to kino u Członków, które ci pokazałam? - spytała Marcellę. - Moja znajoma zupełnie wpadła. Przez wiele tygodni musiała tam chodzić co wieczór! Lubię to raz na jakiś czas, ale... - Uniosła brwi.

- Jak można uzależnić się od podobnego miejsca? - spytała Marcella, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. Piła mocną czarną kawę.

- Może niektórym dziewczynom przypomina to ich pierwsze ukradkowe przygody miłosne? - podsunęła Amy, ocierając usta. - Wiesz, kobietom w moim wieku, które dorastały przed tak zwaną rewolucją. Tarzałyśmy się w mroku. Mówi się, że początki zostawiają niezatarte piętno. Moje

przygody zawsze rozgrywały się na tylnym siedzeniu! Może dlatego tak mnie nęca taksówki i limuzyny? - zachichotała.

MarcelU wirowało w głowie. Czy była na drodze do uzależnienia? Słodka zmysłowa pocięcha, jaką niosły wyprawy do kina, zajmowała już istotne miejsce w jej życiu. Czyżby ciemność i obłapianie przywoływały niemal zatarte wspomnienia o pieszczotach ojca, o dotyku Harry'ego, mroku konfesjonału i ojcu Carmello wysłuchującym jej cierpliwie i łagodnie łajającym za przewinienia?

- Pewnego dnia napiszę o tym kinie - przyrzekła Amy. Zaczęła obierać dojrzałą figę. - Jeśli ktokolwiek w to uwierzy...

- Tak... - Marcella skinęła głową. - Trochę trudno w to uwierzyć.

Amy spojrzała na nią ostro.

- A jak ty radzisz sobie z seksem? - spytała nieoczekiwanie. - Bo że coś robisz, to widzę. Wyglodniała kobieta ma na twarzy ten szczególny wyraz bólu. Ty go nie masz, Marcello...

Marcella zapaliła papierosa, by uniknąć badawczego wzroku przyjaciółki.

- Korzystam z prawa odmowy zeznań - odparła ze śmiechem, zaciągnąwszy się głęboko i wypuściwszy dym.

- Nie chcesz mnie wtajemniczyć, co?

Amy spróbowała obrócić wszystko w żart, ale Marcella widziała, że była nieco zirytowana. Trudno - pomyślała. - Jest moją agentką i przyjaciółką, a nie spowiednikiem.

Poprzedniego dnia, wczesnym wieczorem znowu poszła do kina. Później wędrowała powoli z powrotem Dziewiątą aleją, szukając Donalda i samochodu na Pięćdziesiątej Siódmej; nogi miała miękkie z rozkoszy. W domu, po prysznicu, wyciągnęła się na łóżku, a Mark zapukał do jej drzwi.

- Chcesz posłuchać muzyki? - spytał.

- Z przyjemnością, kochanie.

Poszedł do salonu, zostawiając drzwi otwarte na oścież, wkrótce rozległy się przepiękne, czyste dźwięki Debussy'ego, a Marcella zamknęła oczy i błogosławiła swoje życie. Czy

znalazła odpowiedź? Debussy unosił się w powietrzu i w tym momencie czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Więc co z jutrem? - przerwał jej myśli głos Amy. - Przygotowałaś kreację?

- Jutro! Tak! - Marcella zdusiła papierosa. - Po południu podpisuję w Doubleday. Chyba założę kremowy lniany kostium.

- Koniecznie! - zgodziła się Amy. - I weź Rollsa, chociaż to tylko kilka przecznic. Czytelnicy książek w miękkich oprawkach oczekują nieco przepychu za swoje cztery dolce!

„Tylko ci, którzy kupili powieść pani Marcelli Balducci Winton w miękkiej oprawie, zostaną wpuszczeni do sali rozdawania autografów - informowało następnego dnia w Doubleday wypisane ręcznie ogłoszenie obwieszczające o osobistym pojawieniu się autorki *W imię miłości*, powieści wartej milion dolarów, sprzedającej się w milionowym nakładzie.

Scott powitał Marcellę i przeprowadził ją przez tłum kobiet do stołu zawalonego setkami egzemplarzy i ozdobionego kwiatami. Obok bukietu stała karafka z wodą, jakby oczekiwano od Marcelli, że coś powie.

Otoczona czerwonym pluszowym sznurem zawijała się wielokrotnie kolejka kobiet cierpliwie ściskających egzemplarze powieści. Kiedy Marcella weszła do księgarni, tłum zaczął napierać. Po raz pierwszy poczuła smak sławy i napełniło ją to dziwnym strachem, jakby ci ludzie chcieli od Marcelli więcej, niż dała z siebie w książce. Zajęła miejsce za stołem, a tłum ruszył do przodu, wyciągając egzemplarze.

- Histeria! - zawołał Scott z zadowoleniem. - W dwa tygodnie znajdziemy się na pierwszym miejscu!

Marcella zaczęła rozdawać autografy. Wpychano jej książki, spowiły ją rozmaite zapachy perfum, wstydliwie wymawiano imiona, które miała wpisać.

- Poproszę dla Judy.

- Dla Joan.

- Czy może pani napisać: „Dla mojej najlepszej przyjaciółki Renee”?

Podchodziło też wiele osób zbyt nieśmiały, by prosić o cokolwiek. Ich książki Marcella po prostu z wdzięcznością podpisywała. W księgarni zapanowała dziwna cisza, przerywana tylko dzwonieniem kasy, przyjmującej pieniądze za kolejne sprzedane egzemplarze. Przewinęła się setka kobiet.

- Och, pani Winton, uwielbiam pani powieść! - wyznała pięćdziesięcioletnia kobieta z ustami Lucille Bali. - Ta książka jest dla mojej matki!

- Życzę ci szczęścia, kochana. - Starsza dama mrugnęła.

- Manuella to ja! - szepnęła jakaś dziewczyna. Marcella usiłowała zachować spokój. To moi czytelnicy

- myślała. Z każdą osobą starała się zamienić kilka słów.

- Jak idzie praca nad nową powieścią? - mruknął Scott w chwili względnego spokoju. Marcella podniosła wzrok.

- Prawie skończyłam pierwszą wersję na brudno.

- Dobrze. Doskonale - odparł. - Chcemy, żebyś się zmieściła w terminie. Książka co osiemnaście miesięcy.

Kolejna setka czytelników, tym razem również mężczyźni. Marcella wpisywała imiona, o których istnieniu nigdy wcześniej nie słyszała. Afrykańskie, chińskie, wymyślone. Dedykacje dla mężów, córek, sióstr i najlepszych przyjaciół. Starła się koncentrować choć przez chwilę na każdym komplemente, oglądać twarze, zapamiętać, co czytelnicy mówili o płakaniu pod koniec lektury czy o utożsamianiu się z bohaterką. Wszystkie te komentarze miały Marcelli towarzyszyć by dodawać odwagi przy kończeniu drugiej powieści.

- Zrobimy krótką przerwę! - ogłosił Scott po godzinie. Nalał jej wody, a Marcella potrząsnęła zdrtwiałą prawą dłoń, zerkając na niego z wdzięcznością.

- Dzięki, że przyszedłeś.

- Służba nie drużba, proszę pani.

Dyrektor księgarni zasugerował, żeby podpisała dodatkową setkę egzemplarzy „dla sklepu”, a Marcella obiecała, że to zrobi.

Kiedy podjęła rozdawanie autografów, ujrzała kolejkę wychodzącą przez drzwi na ulicę. Zapragnęła znaleźć się

w domu, z dala od tych ciekawych spojrzeń, które zdawały się ją pożerać.

- Poproszę dla Anny.

- Może pani napisać: „Dla mojej kochanej Patrycji”?

- Dla Susan Weston, mojej największej wielbicielki.

- Poproszę dla Soni!

Na dźwięk tego imienia Marcellę przeszył ból.

- Och! - uniosła wzrok. - Mam córkę imieniem...

Urwała. Patrzyła w liliowe oczy, rzucające Marcelli wyzwanie. Wysoka młoda kobieta stała nad nią, wyciągając otwartą książkę.

- Sonia? - zawołała Marcella.

Wstała nagle, strącając karafkę na podłogę. Stojąca obok czytelniczka krzyknęła, oblana wodą.

Dziewczyna, wyższa od Marcelli, zdawała się inna, nie była już jej małą córeczką, ale w pełni rozwiniętą, oszałamiającą młodą kobietą. Miała zdumiewający wyraz twarzy. Czysta brawura, prowokowała Marcellę do tego, by zapragnęła przyjąć ją znowu.

- Och, Soniu! Soniu! Jak myśmy cię szukali! Zapomniała o tłumie gapiów i przez chwilę bajka stała się rzeczywistością: piękna młoda córka wraca do kochającej matki.

- A więc to jest Sonia! - powiedział Scott z podziwem, a przyglądające się kobiety zaczęły bić brawo, nie mając pojęcia, na czyją cześć.

- Słuchajcie, wszyscy! - ogłosiła nagle Marcella, z twarzą zalaną łzami, obejmując Sonię ramieniem. - Moja córka, Sonia, której nie widziałam od dwóch lat! Wróciła!

Tłum wiwatował i bił brawo, jak gdyby Marcella napisała nową dramatyczną scenę do kolejnej powieści. Ale to nie była książka, lecz rzeczywistość, to było jej życie! Przytuliła Sonię znowu, próbując poczuć to, co, jak wiedziała, powinna czuć - powrót córki. Ale nic, ani zapach, ani dotyk tej młodej kobiety trzymanej w ramionach, ani jej twarz, ani mina, nic nie było w najmniejszym stopniu znajome. Ta piękna młoda kobieta, która nazwała Marcellę matką, była zupełnie obca.



Sonia stała nieco sztywno w objęciach Marcelli, a potem nagle się z nich wyślizgnęła.

- To bardzo wzruszające, mamó, kochanie, ale nie rozklejajmy się za bardzo. Skończ podpisywanie, a ja poczekam. Przeszła do stoiska z książkami o sztuce. Marcella starając się uciszyć w sercu dziwny ból, patrzyła, jak sama niedbale kartkuje jakiś tom.

- Scott? - mruknęła, sięgając po nową książkę. - Jeśli oczekujesz, że spędzę tu kolejną godzinę, to lepiej każ przysłać podwójną szkocką!

Mark, to jest twoja siostra! - obwieściła Marcella tego popołudnia.

Mark upuścił książkę i zerwał się na nogi. Spojrzał na siostrę zaskoczony.

- Soniu! - krzyknął.

Podbiegł, żeby ją objąć, a Sonia nadstawiła policzek do pocałowania. Mark spojrział na nią zdumiony.

- Nigdy bym cię nie poznał! Nigdy! Zmieniłaś nos, prawda?

- Wiedziałam, że coś się zmieniło! - krzyknęła Marcella, dotykając twarzy córki.

Sonia wybuchnęła śmiechem i pobiegła na drugą stronę pokoju.

- Złamałam go, spadając z konia! - powiedziała. - Chirurg musiał go nastawić i w ogóle. Powiedziałam: „Skoro tak, to dajcie mi nos Kimberley Evans!” Wicie, kim ona jest, prawda? To modelka Estee Lauder.

Obserwowali w milczeniu, jak Sonia rozgląda się po mieszkaniu, wychodzi na mały balkon i wygląda na ulicę w dole.

- No więc! - Odwróciła się do nich. - Wróciłam! - Powiedziała to prawie jak wyzwanie. - A więc tutaj teraz mieszkamy!

Marcella przyglądała się Soni, próbując nie nazywać doświadczanych emocji. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie powrót córki.

- Powiedz teraz, skąd wzięłaś to ciało? - spytała Sonię.

- Nikt w naszej rodzinie nie miał takich kształtów!

Sonia spojrzała na siebie z dumą. Ubrana była w obcisły, cienki, czarny sweter i proste, czarne spodnie. Marcella zauważyła, że każdy element jej stroju - kolczyki, buty - był najwyższej jakości i niezwykle szykowny.

- Osiągnięcie tego ciała kosztowało wiele godzin męczarni - odparła Sonia. - Lekcje tańca, gimnastyka i jazda konna!

Oto mój sekret. Miałam własną klacz. Boże, jak strasznie będę za nią tęsknić!

Obciągnęła sweter, zerkając na Marcellę i Marka, jakby z nimi flirtowała. Potem podskoczyła i opadła na podłogę.

- Znajdziesz tu mnóstwo rzeczy do robienia, kochanie!

- Marcella pomogła córce wstać. - Chodź przywitać się z babcią. Zobaczmy, czy cię pamięta...

- O, Boże, to ona też tu mieszka? - jęknęła Sonia. Marcella spojrzała na córkę i popchnęła ją do przedpokoju.

- Oczywiście, że tak! Ma pielęgniarkę, własną łazienkę i jest całkowicie nieabsorbująca. Ależ się zdziwi!

Pielęgniarka otworzyła drzwi do pokoju jej matki.

- Och, jak cudownie! - krzyknęła pielęgniarka, odwracając się do Idy. - Ma pani gości!

Ida nie podniosła wzroku.

- Mamo? - Marcella klękła obok Idy, całując ją. - Mamy dla ciebie cudowną niespodziankę, kochanie! Sonia wróciła.

Marcella spojrzała na córkę, która stała z tyłu przestraszona. Sonia trzymała się Marka kurczowo i chowała się za nim, przerażona tak, jakby Ida była groźną wariatką.

- Chodź i pocałuj ją, Soniu! - ponagliła Marcella. Sonia podeszła ostrożnie, nachyliła się i pośpiesznie musnęła ustami policzek Idy.

Ida spojrzała na nią.

- Przez dwa lata mieszkała ze swoim ojcem! - krzyknęła Marcella. - A teraz jest tutaj z nami! Czy to nie cudowne?

Ida przeniosła z powrotem wzrok na ekran telewizyjny. Sonia wybuchnęła śmiechem.

- Ona nawet nie wie, kim jestem!

- Nie! Nie mów tak! - Marcella obronnym ruchem położyła dłoń na ramieniu matki. - Czasami trochę zapomina.

Pomóż jej sobie siebie przypomnieć!

Sonia krzywiąc się, ukłękła przy babci.

- Cześć, babciu, pamiętasz mnie?

Wstała, przyglądając się staruszce. Ida nagle wyciągnęła rękę i spróbowała odepchnąć Sonię.

- Widzisz? - Sonia ruszyła do drzwi. - Ona wcale me chce mnie widzieć.

Posłała pielęgniarce olśniewający uśmiech. Marcella wyszła za córką z pokoju. W przedpokoju Sonia zatykała usta dłonią, tłumiąc chichot.

- Spędź z nią trochę czasu, Soniu - błagała Marcella. - Ty też, Mark. Może jeśli się postaramy, pomożemy jej przypomnieć sobie pewne rzeczy.

W salonie otoczyła dzieci ramionami.

- Znowu jesteście rodziną! - powiedziała. - Soniu, nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Amy. Amy Jagger jest moją agentką i wielką pisarką. Mieszka w tym domu. Jest tyle do nadrobienia. Kiedy usłyszałam o aresztowaniu waszego ojca, zastanawiałam się, czy się odezwiesz. Miałam nadzieję... .

- Nie jesteśmy znowu rodziną, mamó - przerwała jej Sonia, kręcąc głową. - Nie jesteśmy, dopóki tata nie wyjdzie na wolność.

Marcella zapaliła papierosa i usiadła na sofie, a borna na dywanie przed nią.

- Wiesz Soniu, że rozwodzę się z twoim ojcem, prawda/

- Domyśliłam się - odparła Sonia, patrząc na nią chłodno. - Po co ci on, kiedy twoja książka tak się sprzedaje, co?

Marcella spojrzała na Marka.

- Mark, przynieś nam coś do picia, dobrze, kochanie?

- Jasne.

Wyszedł do kuchni.

- A więc uważasz, że po to wyszłam za męża za twego ojca? - spytała Sonię. .

- Mnóstwo kobiet wychodzi za męża, bo nie daje sobie

radę z zarabianiem forsy - odparła Sonia ze wzruszeniem ramion. - Ja chcę jak najwcześniej zacząć na siebie zarabiać!

- W porządku - zgodziła się Marcella. - Jeśli tylko potrafisz.

- O, nie ma problemu. Faceci zatrzymują mnie na ulicy i mówią: „Mogłabyś zostać modelką!” Mam zamiar się tego trzymać.

- Masz na to mnóstwo czasu, kochanie - powiedziała Marcella, gasząc papierosa. - Najpierw potrzebne ci porządne wykształcenie. Jakie miałaś ostatnio stopnie?

Rozmawiały o szkole Soni, o jeździe konnej, lekcjach tańca. Marcella wyczuła instynktownie, że poruszanie tematu Harry'ego oznaczałoby ślizganie się po cienkim lodzie.

Wieczorem poszli do pobliskiej francuskiej piwiarni i dalej zapełniali białe plamy minionych dwóch lat. Mówiąc dokładniej, dwóch lat życia Soni, ponieważ ona nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną kolejami losu matki i brata. Marcella przyglądała się ciekawie dwojce swoich dzieci usiłujących na nowo nawiązać kontakt.

- Nie macie pojęcia, w ilu różnych miejscach mieszkaliśmy - powiedziała im Sonia. - Tata zachowywał się paranoicznie! I to całe jeżdżenie! W końcu osiedliśmy w Kalifornii, a odkąd dostałam konia, przestało mnie obchodzić, gdzie się znajduję. Było fajnie! Tęsknię za moją przyjaciółką, Gemmą!

- Czy twój ojciec mieszkał z kimś, kiedy go aresztowali? - spytała ostrożnie Marcella.

- Tak, z Laurie. Za nią też tęsknię - odparła Sonia, a potem wzruszyła ramionami. - Ale chyba lepiej mi będzie z prawdziwą matką.

- Mam nadzieję, kochanie. - Marcella znowu spróbowała ją przytulić, znowu bez reakcji.

- Gdzie ona będzie spać? - spytał Mark, kiedy wreszcie wrócili do domu, a Sonia padła na sofę i natychmiast zasnęła.

- Mogę jej oddać swoje łóżko.

Marcella okryła Sonię lekką kołdrą.

- A ty gdzie będziesz spał, jak sądzisz? Rzuciła synowi spojrzenie.

- Z tobą! - odparł.

Zgasiła światła w salonie. Mark poszedł za nią do sypialni.

- Nie sądzę, by powinna nas widzieć śpiących razem

- powiedziała Marcella. - Masz szesnaście lat i czas, żebyśmy przestali. Soni przyda się teraz normalne życie rodzinne. I brat, służący jej za wzór. Jej życie w ciągu ostatnich dwóch lat było szalone, więc spróbujmy jej to wynagrodzić. Pamiętaj, ona jest jeszcze dzieckiem.

- Tak, ma czternaście lat, zbliża się do czterdziestki!

- zaśmiał się Mark. - Nigdy nie widziałem tak przedwcześnie rozwiniętego dziecka!

- Mark? - Pocałowała go w czoło. - Bądź wobec niej cierpliwy. Zrób to dla mnie.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Wierciła się na rozgrzanych prześcieradłach, myśląc o tym, jak Sonia może wejść z powrotem w ich życie. W wyobraźni przemeblowywała swoją małą garderobę, zamieniając ją w gabinet pisarski, żeby móc oddać gabinet Soni. O czwartej, czując wirowanie w głowie, zapaliła lampę, by narysować kilka szkiców nowych pokoi. Mark stanął w drzwiach sypialni.

- Mam jutro recital. Zawalę, jeśli się trochę nie prześpię!

- powiedział błagalnie.

Wślizgnął się razem z nią do łóżka, a Marcella zgasiła światło. Oboje zasnęli prawie natychmiast.

O ósmej rano obudziła ich Sonia. Stała nad nimi, zanosząc się od śmiechu.

- Mój Boże, co za para! - krzyczała.

Mark otworzył oko, chrząknął i odwrócił się na drugi bok.

- Czy nadal karmisz go piersią? - spytała Sonia. Marcella zirytowana usiadła na łóżku.

- Soniu, potrzebuję jeszcze godziny snu. Mark sądził, że zechcesz się przenieść do jego łóżka, jeśli obudzisz się w środku nocy. A teraz, proszę, zamknij drzwi. W tym domu pukamy, zanim wejdziemy do czyjejś sypialni.

- Jasne! - Sonia wepchnęła dłonie w dzinsy i odwróciła się na pięcie. - Mogę się założyć!

Marcella usłyszała trzaśnięcie drzwi; Sonia wyszła z mieszkania. Marcella była zbyt rozgniewana, żeby ponownie zasnąć. Usiadła, potrząsnęła Markiem, by go obudzić.

- Widzisz, co zrobiłaś? Wiedziałam, że nie powinnam ci była pozwolić na spanie ze mną! To bardzo ważne, żeby Sonia czuła się tu kochana i mile widziana, a nie odrzucona!

Po drodze do łazienki posłał jej zaspane spojrzenie.

Kiedy Mark przyniósł pocztę i wyszedł do szkoły, Marcella postanowiła odbyć szybką wyprawę do Bloomingdale's, żeby kupić nową garderobę dla Soni. Miała nadzieję, że to pomoże jej zapomnieć o porannej scenie.

Nie była pewna, co nosiły w tych czasach czternastolatki, ale znalazła całe stosy ocieplanych kombinezonów, spodni, blezer, kilka bluzek i swetrów, wszystkie w ulubionych kolorach córki: lawendowym i liliowym. Wróciła do domu taksówką, z wypchanymi torbami; porozkładała ubrania na sofie w salonie, żeby zrobić niespodziankę.

Sonia wróciła tuż przed lunchem, a tuż za nią wszedł portier, uginając się pod ciężarem dwóch walizek. Marcella pomogła wnieść bagaże do pokoju Marka i zrobiła w szafie trochę miejsca na rzeczy córki. Sonia pootwierała swoje pudełka od Louisa Vuitton, pełne drogich francuskich i włoskich kreacji. Większość była „dorosła”, seksowna, nadająca się dla *femme fatale*.

- Dziś rano zrobiłam dla ciebie zakupy, kochanie... - Marcella zaprowadziła Sonię do salonu i pokazała jej ubrania na sofie. W porównaniu z zawartością walizek wyglądały jak ubranka dziecięce. - Mam nadzieję, że ci się spodobają. W Nowym Jorku dzieci muszą wkładać coś cieplejszego wychodząc na ulicę. Przekonasz się, że będzie ci wygodniej, jeśli zaczniesz się tu ubierać niezobowiązująco.

Sonia dotknęła lekko kombinezonów, powstrzymując się od śmiechu.

- Przepraszam, mamo, kochanie, ale nigdy nie słyszałam o tych firmach. Poza tym, to nie mój styl!

- Myślałam, że szalałaś za liliowym? - spytała zawiedziona Marcella.

- Kiedy miałam dziesięć lat! - zaśmiała się Sonia. - Teraz moim kolorem jest czern. Nie widzisz?

Wskazała na czarne, obcisłe dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami.

- O! - Marcella poczuła ukłucie bólu. - Przepraszam. Zjedźmy po kanapce i chodźmy to wymienić.

Wyjście na ulicę z córką było wydarzeniem. Obcisłe odziane ciało Soni wywoływało uważne spojrzenia i gwizdy robotników pracujących na budowie; mijający je mężczyźni oglądali się nieustannie. Prowokujący chód Soni, piersi podane do przodu, długie sprężyste kroki, półotwarte usta, upodabniały ją do modelki pozującej do fotografii. W Blo-omingdale's udało jej się znaleźć bardzo drogą czarną sukienkę, kosztującą więcej niż wszystkie zwrócone ubrania razem wzięte. Przyłożyła cienki materiał do ciała, mrużąc:

- Chcę ją! - Przechadzała się przed lustrem, przymierzając sukienkę. - Jest ostra!

Marcella rozejrzała się po innych klientach, przyglądających się przedstawieniu Soni.

- Gdzie byś to nosiła? - spytała.

- W wielu miejscach! - Sonia wzruszyła ramionami. - W knajpach...

Marcella westchnęła.

- Zobacz, może znajdziesz coś bardziej odpowiedniego, kochanie. Żebyś wyglądała młodziej.

Sonia rzuciła jej zmęczone spojrzenie, odwieszając sukienkę.

- Nie ma mowy! Wrócę i kupię ją sama innym razem. W powrotnej drodze taksówką nie opuszczał jej posepny nastrój.

Lato spędzili na wylegiwaniu się w weekendy u Amy w Southampton, pławieniu się w basenie, przyglądaniu się jak pisarze odwiedzający Amy pożerają wzrokiem ciało Som odziane w bikini. Amy była zafascynowana Sonią.

- Jest piękniejsza i bardziej niesforna niż którakolwiek z moich bohaterek! - oznajmiała.

Sadzała Sonię podczas swych sobotnich kolacji obok najstarszych, najbardziej lubieżnych mężczyzn, jakich знаła, i cieszyła oczy rozgrywającym się dramatem.

We wrześniu Marcella zapisała Sonię do prywatnej szkoły, gdzie głównym językiem był francuski i kładziono nacisk na sztukę. Sonia domagała się lekcji śpiewu, tańca i gimnastyki, zapisała się na rozmaite kursy w centrum i w okolicy Broadwayu. Z początkiem roku szkolnego przestała praktycznie bywać w domu. Jej alibi stanowiły zajęcia, kursy i, niekiedy, przesłuchania. W niektóre ranki była tak zmęczona, że spała jeszcze, kiedy sprzątaczką przychodziła o jedenastej. W weekendy znikwała, albo jadła bez przerwy w kuchni, jak gdyby nic nie mogło zaspokoić jej głodu. Zakłóciła spokój ich domu jak gwałt wrzucony do cichego stawu. W nocy krzyczała we śnie, ale kiedy Marcella biegła do jej sypialni, twierdziła, że nic jej nie jest. Spojrzenie tych liliowych oczu, które mogły wyglądać tak pięknie, jeśli czegoś pragnęła, twardniało, gdy patrzyła na matkę. Nie łączyły ich chwile intymności. Marzenie Marceli o robieniu wspólnie z córką różnych rzeczy - o chodzeniu na zakupy, o spacerach po parku - blakło za każdym razem, kiedy ta cudna, zimna, obca osoba wchodziła do pokoju.

- Mój numer z opiekuńczym starszym bratem nie wychodzi - wyznał Mark.

Najwyraźniej Sonia doznała szokujących przeżyć. Wybuchy jej gniewu były przerażające. Przypadkowa uwaga ze strony Marka mogła doprowadzić do tego, że Sonia rzuciła mu się do twarzy z paznokciami. Przepraszała go później:

- Po prostu miałam ochotę cię zranić.

Nie odzywała się do brata przez wiele dni, a potem wchodziła nagle do jego pokoju, żeby pogawędzić. Opowiadała Markowi o ojcu pewnej koleżanki, w którym się kochała.

- Gdybym była starsza, już jutro zostawiłby dla mnie żonę.

- Jesteś nienormalna, wiesz o tym? - odpowiadał. Sonia się uśmiechała.

- Przynajmniej nie sypiam ze swoją mamusią! Ja to nazywam nienormalnością! Wiesz, czasem zrywam się ze



szkoły, żeby szukać pracy jako modelka. W tym interesie aż kłębi się od takich miłutkich facetów jak ty, Mark. Wszyscy oni za mną szaleją; ubóstwiają moją twarz, cycki, włosy, wszystko, ale są dla mnie jak bracia. Znam wielu słodkich gości, którzy chcieliby cię poznać. Co ty na to, Mark? Chodź ze mną kiedyś, przedstawię cię...

Wychodziła z pokoju, uśmiechając się do siebie tajemniczo. Zostawiała Marka dziwnie niezadowolonego, jakby wejrzała w tę część jego natury, do której się nigdy nie przyznawał, nawet przed sobą.

Kiedy przyszedł do niej list, przesłany przez adwokata Harry'ego, Sonia spojrzała na kopertę podejrzliwie.

- Skąd on wiedział, że tu jestem? - chciała wiedzieć. Marcella, która parzyła w kuchni kawę, odwróciła głowę i spojrzała na córkę.

- Uznano cię oficjalnie za osobę zaginioną, kochanie. Kiedy się pokazałaś, oczywiście wszyscy zostali powiadomieni, także policja i adwokat twego ojca.

Widziała w oczach córki sprzeczne uczucia. Sonia obracała w dłoniach kopertę.

- Kochanie - Marcella dotknęła jej ramienia. - Nie bądź stale taka drażhwa!

Sonia wzruszyła ramionami i wyszła do szkoły. Podczas kolacji Marcella zapytała:

- Jak się miewa tata?

- Chryste! - Sonia rzuciła widelec. - Jak ty wymawiasz to słowo! Jak gdyby był wrogiem publicznym numer jeden!

Dlaczego za niego wyszłaś, skoro go nienawidziłaś?

Marcella upiła łyk wina, zmuszając się, żeby nie patrzeć na Marka. Wiedziała, że, kiedy wymieniali spojrzenia,

Sonia dostawała białej gorączki.

- Soniu - zaczęła spokojnie. - Wiem, że masz się za bardzo dorosłą osobę, ale nie zapominaj, że jestem twoją matką i nie chcę, żebyś odzywała się do mnie w ten sposób... Nigdy! Nie czuję do twojego ojca nienawiści i nie zapominaj, że to on mnie zostawił! Zabierając was ze sobą! Teraz został aresztowany pod poważnym zarzutem i grozi mu

wyrok do piętnastu lat więzienia. Może wyjść za kaucją wysokości pół miliona dolarów, których nie udało mu się zgromadzić. To wszystko, co wiem. Może ty wiesz więcej?

Sonia wpatrywała się w ostatnie krople coca coli, którymi wirowała w szklance. Podniosła liliowe oczy na matkę.

- A ty nie mogłabyś wpłacić za niego kaucji? Marcella wytrzymała wzrok córki.

- Nie - odparła krótko.

Sonia bawiła się paczką po papierosach.

- A ranczo, stajnie, mój koń?

- Nic o tym nie wiem, ale przypuszczam, że wszystko zajął stan, żeby opłacić koszty procesu.

- Masz szczęście, że ty też nie siedzisz w więzieniu - wtrącił Mark. - Za współdział.

- Zamknij się, do kurwy! - wrzasnęła Sonia. - Nie boję się więzienia.

- Soniu! - krzyknęła Marcella. - Gdzie się nauczyłaś takiego słownictwa?

- Chyba z twoich książek - odparła Sonia wstając. Spojrzała na Marka i zachichotała. - Czy Donald może mnie zawieźć w niedzielę do taty?

- Przykro mi, ale Donald nie pracuje w niedzielę. Możesz wziąć taksówkę - zaproponowała Marcella.

Sonia potrząsnęła głową.

- To byłaby taka frajda, pojechać Rollsem na wizytę w więzieniu. Jak w *Śniadaniu u Tiffany'ego*.

- Jeśli napiszesz do ojca, możesz mu podać swój numer telefonu i będzie mógł do ciebie zadzwonić - podsunęła Marcella.

- Dzięki - rzuciła Sonia przez ramię, wychodząc z pokoju. - To wielka hojność z twojej strony, mamó, kochanie.

Marcella rozejrzała się za nową paczką papierosów, a Mark usiadł obok.

- To wiek - zapewnił ją. - Hormony uderzają ci do głowy tak, że chcesz się na kimś wyładować. Na kimkolwiek!  
Marcella uśmiechnęła się do syna. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... Ona ma talent przekręcania wszystkiego, co powiem, w ten sposób, że brzmi to źle.

Sonia zamknęła drzwi sypialni, usiadła na łóżku i z nowej kosmetyczki wyciągnęła pieniądze, które tam ukryła.

Boże, znikają tak szybko! Trochę ciuchów - najlepszych

- setki posiłków i drinków w najlepszych lokalach w mieście. Kilka tygodni spędzonych w wytwornych hotelach, dwie operacje i zostało niewiele ponad sto tysięcy. Za mało na kaucję za biednego tatę. Miała wspaniałe plany, w jaki sposób te pieniądze będą dla niej pracować. Najlepszy makijaż, najlepszy fryzjer, najlepszy portfel - jednym słowem najlepsze pieprzone opakowanie, jakie może mieć modelka, żeby zdobyć ten kraj! Napisała do ojca kartkę, podała swój numer telefonu i dodała, że bardzo za nim tęskni.

Harry zadzwonił trzy tygodnie później, kiedy Sonia była w domu w przerwie między szkołą a lekcją tańca i właśnie pochłaniała pączka, popijając mlekiem. Za moment miała się przebrać w trykoty.

- Księżniczko. - Jego głos brzmiał ponuro i już obco.

- Co się z tobą stało? Dzwoniłem do domu przez cały dzień w tamtą sobotę i nie mogłem cię zastać. Laurie powiedziała, że uciekłaś. Red znaleźli w La Jolla. Umierałem ze zmartwienia.

- Och, tato! - Instynktownie zmieniła się znowu w jego małą córeczkę. - Tak się bałam! Laurie krzyczała na mnie i... wróciłam tu, bo nie wiedziałam, dokąd pójść!

- Nie martw się, księżniczko - powiedział. - Wyjdę stąd, zanim się spostrzeżesz, obiecuję. Jest jedna ważna sprawa, o którą muszę cię spytać: czy wzięłaś tę poduszkę? Poduszkę z pieniędzmi?

- O, Boże! - Tę część potrafiła zagrać doskonale. Była na nią przygotowana. - Chryste, na śmierć o niej zapomniałam!

- Laurie mówi, że zniknęła, a ona by mnie nie okłamywała. Ty też nie, prawda, księżniczko? Widzisz, dzięki tym pieniądzom mógłbym stąd wyjść. Mógłbym zapłacić kaucję

i... - Westchnął ciężko, jakby stracił ostatnią nadzieję. - Tyle razy mówiłem ci o tych pieniądzach, jak mogłaś o nich zapomnieć?

- Gdybyś nie spoliczkował mnie tak mocno na oczach wszystkich, to może bym nie zapomniała - szepnęła.

- Przepraszam, że podniosłem na ciebie rękę, księżniczko

- mówił cicho Harry. - Myślałem o tym sto razy, odkąd zaczęli mnie tu zamykać o szóstej wieczorem.

Sonia zerknęła na zegar w radio.

- Czy po to zadzwoniłeś, tato? Żeby zapytać o pieniądze?

- Oczywiście, że nie. Nadal jesteś moją księżniczką, prawda? Chciałem się dowiedzieć, co się z tobą stało i jak się miewasz. Gdzie się podziewałaś, kiedy mnie zabrali? Szukaliśmy wszędzie...

- Ashid zabrał mnie na przejażdżkę. Chyba chciał mnie pocieszyć po tym, co stało się rano...

- No, tak - westchnął Harry.

- Tato, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego ukradłeś te wszystkie pieniądze?

- Nie ukradłem, Soniu - odparł z naciskiem. - To legalny sposób zarabiania, który nikomu nie przynosi krzywdy.

Bogaci, ważni ludzie robią to bez przerwy, tyle że ich nie łapią. Po prostu posłużyłem się specjalnymi informacjami, w celu...

- Poufnymi informacjami? - spytała.

- No, tak je nazywają. Ale to nikomu nie przeszkadza. Nie robi to ze mnie złodzieja, mordercy czy... - mruknął zde gustowany - ...jak te zwierzęta, z którymi tu jestem zamknięty.

Sonia uśmiechnęła się ponuro.

- Tak. Przepraszam, tato, ale muszę iść teraz na lekcję tańca.

- Poczekaj chwilę... nie chcesz usłyszeć, gdzie jestem?

- krzyknął. - Nie odwiedzisz mnie? Cholera, Soniu, nie obchodzi cię, co się ze mną stało?

Przełknęła ślinę i nic nie odpowiedziała.

- Księżniczko?

- A ciebie nie obchodziło, co się ze mną działo w tamtą

sobotę? - szepnęła. - Wróciłam, a ty zniknąłeś... właśnie wtedy, kiedy cię potrzebowałam. Nie obchodzi cię, co mi zrobił ten egipski wieśniak?

- Co? Co takiego, Soniu? - krzyknął Harry. - Jeśli ten facet tknął cię palcem...

- Tknął mnie czymś więcej niż palcem... - Zaczęła płakać. - Związał mnie w swoim samochodzie jak kurczaka i wy-pieprzył tak mocno, że przez kilka dni chodziłam obolała!

- Soniu, nie używaj takich słów! - krzyknął Harry. - Czy poszłaś na policję?

- Żartujesz? - Otarła łzy. - Myślisz, że stanęliby po mojej stronie?

- Soniu, ja...

- Muszę już iść, tato - przerwała mu. - Postaram się do ciebie przyjechać.

Odłożyła słuchawkę, przez chwilę siedziała wpatrując się w telefon, a potem zebrała rzeczy i poszła na lekcję tańca.

Sonia śpieszyła się na lekcję tańca. Ściskając w dłoni nadgryzionego pączka, wymijała przechodniów, unikała samochodów, biegła, by zdążyć na zielone światło. Był październik, a miasto pachniało całym minionym gorącym latem. Szła szybko, bo silikonowa przegroda w jej nosie, dzięki której jej falujące nozdrza stały się tak fotogeniczne, była niezwykle krucha. Jedno uderzenie mogło ją złamać, a lekarz uprzedził, że kolejna operacja okazałaby się bolesna i droga. Szła ze spuszczoną głową. Efekt operacji nosa nie zadowalał jej całkowicie. Możliwe, że chirurg nie przyłożył się w pełni do pracy jak rzeźbiarz, który ogląda dzieło ze wszystkich stron. Kanciasty, delikatny koniuszek sprawiał z przodu naturalne wrażenie, ale z boku wyglądał nieco tępo, jak większość operowanych nosów.

Mężczyźni oglądali się za Sonią. Jazda konno, ćwiczenia, lekcje tańca nadały jej ciału młodzieńczego wyglądu młodego żrebaka. Idąc, emanowała energią i wdziękiem. Jej komiczne trykoty, wysokie, krągłe pośladki, nieco umięśnione łydki i wyprężone, niewiarygodne piersi stanowiły drwiące zaproszenie. Zaproszenie, któremu przeczyła wyniosła mina. Ruchliwa sylwetka

przeciwstawiała się żądzy mężczyzn, utrzymując Sonię kusząco poza ich zasięgiem. W chłodne dni mocno ściągała płaszcz w wąskiej talii, by zaakcentować długie nogi które odziane w ciemne leginsy, wyglądały jak zanurzone w czarnej farbie.

- To się staje nie do zniesienia. Czuję się bezpiecznie tylko w towarzystwie ciot! - powiedziała żartem do ciemnej blondynki, stojącej obok w agencji dla modelek, dokąd poszła pewnego popołudnia po szkole.

Dziewczyna obrzuciła Sonię uważnym spojrzeniem

- Nie musisz się przejmować, kochanie - uspokoiła ją - Powiedz im tylko, że jesteś nieletnia. Ile właściwie masz lat.' Jedenaście, czy coś koło tego?

Sonia uśmiechnęła się tajemniczo.

- Co za różnica, czy mam dziesięć, czy dwadzieścia, jeśli nadaję się do tej pracy?

Odwiedziła najlepszych fotografów, każdemu opowiadając mną bajkę. Zazwyczaj wyznawała wzruszająco, że oszczędza pieniądze, aby uwolnić ojca z więzienia. Taka wersja przedstawiała Sonię w idealnym świetle jako troskliwą zasługującą na pochwałę dziewczynę, jako niewinną córkę kryminalisty. A to rozsiewało wokół niej ponętą aurę podziemia. Zresztą i tak nie słuchali tego, co mówiła. Mrużąc oczy, przyglądali się jej kościom policzkowym, wyobrażali sobie, jak nos, któremu rzeczywiście czegoś brakowało pięknie prezentowałby się na zdjęciu. Młody wiek Soni' mtrygował wszystkich. Jej rynsztokowe słownictwo podniecało. Nie mogli się doczekać, żeby ją sfotografować, toteż wkrótce skompletowała teczkę pięknych zdjęć. Na fotografiach wyglądała poważniej, na dwudziestolatkę, ale promieniejącą tym blaskiem młodości, który ciężko pracujące dwudziestolatki już straciły. Skóra Soni posiadała świeżość rosy tøk bardzo poszukiwaną przez firmy kosmetyczne. Fotografowie szaleli na punkcie jej pełnego biustu, który sprawiał że po wielu latach prezentowania ich przez płaskie modelki' na Soni wszystkie kreacje wyglądały świeżo i seksownie' Nikt nie widział jej nigdy bez makijażu ani nie znał jej prawdziwego wieku.

- Od końca lat pięćdziesiątych nikt nie wyglądał tak jak ty! - powiedział jej entuzjastycznie pewien fotograf modelek. Liliowe oczy Soni, czarne włosy i pełne piersi przypominały ludziom Elizabeth Taylor.

- Ale wyciągniętą Elizabeth Taylor... modelkę! - Słyszała, jak szeptał przez telefon podniecony fryzjer.

Wkrótce wszystkie agencje w mieście były zainteresowane reprezentowaniem Soni, ale tylko Idols, mała, ekskluzywna firma zajmująca się zaledwie kilkoma modelkami i aktorkami, przystała na warunki Soni, która zgadzała się pracować wyłącznie w weekendy.

- Czasami popołudniu, jeśli się to okaże naprawdę konieczne - zgodziła się Sonia. - Ale muszę zarezerwować sobie trochę czasu na szkołę!

- Nie zawracałabym sobie głowy płótkami, kochanie - powiedziała jej szefowa Idols, Carmen Frantzen, opanowana niemiecka eks-modelka, przekręcając twarz Soni do światła. - Z tymi kośćmi policzkowymi i oczami zrobię z ciebie gwiazdę! Udaj się prosto do „Vogue”, „Elle”, „Bazaar”, samej śmietanki. Za rok czy dwa Lauder, Lancome i Caresse będą mnie o ciebie błagać!

Nawet Carmen, której opiekuńcze, profesjonalne cmokanie bardzo się Soni podobało, nie wyjawiała swego prawdziwego wieku w obawie, że mogłoby to stworzyć problemy. Musiała podpisać umowę, zgodnie z którą firma Idols reprezentowała jej interesy, pobierała w imieniu Soni honoraria, zatrzymując dla siebie dwadzieścia procent. Sonia wiedziała, że umowa nie jest prawomocna; powiedziała Carmen, że ma osiemnaście lat.

Rozpoczęła karierę, pracując w weekendy lub wieczorami po szkole, opuszczając lekcje tańca lub gimnastykę. Jednak czasami oferty były zbyt ważne, by mogła je odrzucić i wtedy rezygnowała z całego dnia szkoły. Jej nieobecności wkrótce zaczęły za bardzo rzucać się w oczy, toteż po miesiącu została wezwana do gabinetu dyrektorki.

- Czy masz jakieś kłopoty zdrowotne, o których powin-

nam wiedzieć? - spytała godna, siwa dama, tytułowana przez wszystkich „*mademoiselle*”.

- Nic mi o tym nie wiadomo, *mademoiselle* - zachichotała Sonia.

- W takim razie, Soniu, albo mi powiesz, albo będę musiała wezwać twoją matkę.

Sonia nachyliła się do przodu i wyznała żarliwie:

- Pracuję trochę jako modelka, *mademoiselle*. Próbuję zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby wpłacić kaucję za mojego tatę. Czeka w więzieniu na proces, a ja wiem, że nic złego mi zrobił! Nikomu nie wyrządził krzywdy. Proszę nie mówić matce, *mademoiselle*] Oni się rozwodzą i wściekłyby się na mnie...

*Mademoiselle* spojrzała na swe dłonie o bezbarwnych paznokciach.

- Rozumiem - powiedziała.

Później wezwała swoją zastępczynię, *madame de la Hay*.

- Nie jestem pewna, czy chcemy mieć u siebie taką dziewczynę - powiedziała dyrektorka. - Mogłaby wyrzeć negatywny wpływ na inne uczennice.

Kiedy Marcella wróciła z Bostonu, Miami, Denver i Waszyngtonu, gdzie podpisywała książki, zastała wiadomość od dyrektorki, która prosiła o rozmowę na temat opuszczania lekcji przez Sonię. Podczas rozmowy Marcella obiecała, że Sonia się poprawi.

- Jak myślisz, dokąd ona chodzi? - spytała Amy. - Pozwalasz tej małej seksbombie zegarowej latać po Nowym Jorku? Bóg wie, w co się może wplątać.

- Mówi, że chce zostać modelką... - westchnęła Marcella. - Słuchaj, Amy, nie mogę jednocześnie myśleć o nowej powieści i pilnować Soni. Ona jest za szybka, jakby miała więcej zmysłów niż my.

Amy szybko uścisnęła przyjaciółkę.

- Pozwól mi z nią porozmawiać. Między wami istnieje wiele napięć, może potrzebujecie rozjemcy.

Wsunęła kartkę w drzwi sypialni Soni: *Spotkaj się z ciotką Amy. Niedziela, High Tea, szesnasta.*



Twoja matka i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółkami, Soniu - powiedziała Amy w niedzielę, wręczając jej filiżankę kawy i ciastka. - Nie cierpię, kiedy cokolwiek ją martwi...

- Chcesz powiedzieć, kiedy coś rozprasza ją w pracy nad książką? - spytała drwiąco Sonia.

Amy pominęła milczeniem tę odzywkę.

- Dlaczego nie zgadzacie się ze sobą? - spytała.

Sonia siedziała na sofie wyprostowana, z oczami otwartymi szeroko w wyrazie niewinności.

- Wydawało mi się, że między nami wszystko układa się świetnie. Widzisz, to nie był mój wybór, żeby tu wrócić.

Pewnej soboty przyszedłam do domu i okazało się, że zostałam z niego wyrzucona, ojca zamknięto do więzienia... Cały ten kram!

Amy przyglądała się jej, usiłując wzbudzić w sobie współczucie.

- Kochanie, jesteś taka piękna, dlaczego nie porzucisz tej roli twardej kobiety? Jesteś w wieku, kiedy życie zdaje się bardziej skomplikowane, niż jest w istocie. Podchodź do spraw z większym dystansem! Jesteś taka młoda, jeszcze tyle przed tobą.

Sonia potrząsnęła gwałtownie głową.

- Wkrótce skończę piętnaście lat. W tym interesie, im jesteś młodsza, tym lepiej. Brooke Shields była modelką prezentującą kreacje dla dorosłych w wieku dwunastu lat!

Amy odstawiła filiżankę.

- Jak sądzisz, na czym polega prawdziwy konflikt między tobą a matką? Nie chodzi o szkołę ani o karierę, prawda?

- Nie! - Sonia nachyliła się do Amy. - Jej się nie podoba, że pracuję, żeby zarobić pieniądze na ojca - wyznała. - Oni chyba nigdy się nie kochali. Próbuję zebrać na kaucję, żeby go wyciągnąć z więzienia. Muszę zebrać pół miliona!

Dlatego opuszczam szkołę, kiedy pojawia się oferta dobrze płatnej pracy.

- Mhm. - Amy potrząsnęła głową. - Nie kupuję tego ani trochę. Twoja matka mówiła mi, że nawet nie odwiedziłaś ojca...

- Ponieważ jedyny dzień, kiedy nie mam lekcji to nie-

dziela, a wtedy nie mamy samochodu. Pożycz mi swojego wozu, Amy - krzyknęła Sonia, kładąc jej dłoń na kolanie.

- Pożycz mi samochód. Costa mógłby mnie zawieźć! Och, proszę!

W następną niedzielę Sonia siedziała na przednim siedzeniu Rollsa Amy, obok jej szofera Costy. Pędzili New Jersey Turnpike. Czuła nerwowe podniecenie na myśl, że zobaczy ojca. Po rozmowie telefonicznej czuła się źle, niemal winna. Jak gdyby jedna z dawnych Soni ciągle w niej żyła i potrzebowała ojca. Jego aprobaty, miłości, czy czegoś - myślała, wyglądając przez okno. Ale przynajmniej robiła to w dobrym stylu!

Minęło sześć miesięcy, odkąd się widzieli i Sonia chciała, żeby jej nowy wygląd wywarł na Harrym wrażenie. Miała na sobie tradycyjnie czarne leginsy i spódniczkę mini, a czarny kaszmirowy sweter zarzuciła niedbale na ramiona -. był szary październikowy dzień. Oczy zarysowała lekko ciemnoszarą kredką, położyła liliowy pastel na powieki. Usta uszmiłkowała na jasnoróżowo. Na czoło nasunęła ciemne okulary przeciwsłoneczne, a włosy ściągnęła mocno w koński ogon.

- Nie jestem pewna, ile to potrwa - powiedziała szoferowi, kiedy podjechali pod wyglądający nijako budynek na skraju stanu New Jersey. Określano go mianem Instytutu Korekcyjnego Josepha P. Haynesa.

Dołączyła do grupy złożonej głównie z matek z dziećmi, czekającej przed główną bramą. Nasunęła okulary na oczy i zawiązała na włosach liliową chustkę. Punktualnie o trzeciej wpuszczono odwiedzających do środka; przeszli przez wykrywacz metalu do rozmównicy. Kiedy wprowadzono więźniów, dostrzegła ojca. Zdumiała ją zmiana w jego wyglądzie. Tak bardzo się postarzał, nie tylko fizycznie. Szedł krokiem człowieka pokonanego. Garbił się, czego nigdy nie zauważyła. Ściągnęła okulary i chustkę, żeby mógł ją poznać, a mimo to Harry dwukrotnie przesunął wzrokiem po tłumie, zanim uniosła rękę i ich oczy się spotkały.

Z kwaśnym uśmiechem wskazał na stół, przy którym mogli usiąść.

- Księżniczko! - powitał Sonię, kiedy podeszła i pocałowała ojca w policzek. - Co się z tobą stało?  
- Trochę urosłam, tato. - Zachichotała, garbiąc się, żeby schować biust. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.  
- Czy zrobiłaś coś z nosem, Soniu? - spytał, mrużąc oczy. - Wygląda inaczej. Czy robiłaś jakieś sztuczki z idealnym ciałem, które dostałaś?  
- Och, tato, daj spokój! - zaśmiała się Sonia. - Pomówmy o tobie. Czy proces odbędzie się niedługo?  
Przyjrzał się z bliska jej twarzy.  
- Najpierw powiedz, co ze sobą zrobiłaś i dlaczego! Wzruszyła ramionami, szukając w torebce gumy do żucia.  
- Wielka mi rzecz! - Poczęstowała ojca gumą. - Przeszłam operację plastyczną nosa. Wiesz, że chciałam być modelką, prawda? Pracuję, tato, oszczędzam pieniądze, żeby cię stąd wyciągnąć!  
- A to? - Ruchem głowy wskazał na biust. - Używasz wkładek, Soniu?  
Spojrzała na obcisły sweter, pod którym rysowały się idealne kule.  
- Pomógł mi trochę chirurg plastyczny. Wszyscy to robią, tato!  
Zmarszczył brwi, patrząc dziwnie na córkę, a Sonia poczuła lekki dreszcz strachu, jakby ojciec miał ją uderzyć.  
- Spójrzmy prawdzie w oczy, byłam dość płaska - powiedziała, szperając w torebce, tym razem w poszukiwaniu zdjęć.  
- Ale, mój Boże, Soniu, jesteś jeszcze dzieckiem!  
- Tato, mam już prawie piętnaście lat. Jestem dorosła! Widzisz te zdjęcia?  
Nawet nie spojrzał na nie. Trzymał dłonie na jej ramionach, a Sonia zauważyła, że były spierzchnięte, z obgryzionymi paznokciami.  
- Takie operacje są drogie - zauważył. - Kto za nie zapłacił? Matka?  
- Słuchaj... - Nie odpowiedziała na jego pytania. - Kiedy stąd wyjdiesz, chcę znowu mieszkać z tobą i Laurie. Nie pasuję do mamy i Marka. Może moglibyśmy wrócić do

Kalifornii, może do domu Laurie? Albo gdzieś na północ stanu Nowy Jork? Bylebym mogła jeździć konno... Harry nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Sonia patrzyła, jak jego miłość do niej znika, jak twarz ojca ciemnieje i zamiera.

- Nie! - krzyknęła, łapiąc go za szerokie ramiona i potrząsając Harrym delikatnie. - Wciąż we mnie wierzysz prawda? Nadal jestem twoją księżniczką?

- Ty znalazłaś te pieniądze, prawda? - odparł z zadumą Harry. - Miałś je przez cały czas, kiedy tu siedziałem?

- Co masz na myśli?

- Zapłaciłaś za oszpecenie się. Za zmienienie się w... Urwał, wpijając w Sonię rozpaczliwie spojrzenie. To było dla mego takie ważne; patrzył na nią tak przenikliwie, że wiedziała, że czyta jej w myślach.

- Nie było cię tam - powiedziała bezbarwnym głosem - Wtedy naprawdę cię potrzebowałam! - Spojrzała na swoje dłonie. - Ten facet mnie zgwałcił! Wróciliśmy do domu a on wykopał mnie z samochodu jak worek śmieci Wpadłam w histerię! Tak bardzo cię potrzebowałam, żebyś mnie pocieszył. A ciebie nie było, tato!

Szarpnął głową, jakby go spoliczkowała.

- Soniu, ja...

- Dlatego zabrałam pieniądze - przerwała mu. - Zafundowałam sobie to wszystko, żeby zrobić wspaniałą karierę i udaje się! Widzisz to?

Rozłożyła na stole zdjęcia, ale Harry nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Siedziałem unieruchomiony w więzieniu - zaczął powoli. - A ty wyprawiałaś sztuczki z twarzą i ciałem? Jesteś przeklęta. Dla mnie nie jesteś już moją córką!

Usiłowała wcisnąć mu w dłoń zdjęcia.

- Nie mów tak, tato! - Zaśmiała się. - Rozchmurz się! Nie zachowuj się jak paranoik! Wszystkie pieniądze, które zarabiam, odkładam dla ciebie! Wkrótce stąd wyjdiesz i...

- Za późno! - Chrząknął niecierpliwie i wstał. - Za parę miesięcy zacnie się proces, a sądząc po niekompetentnym adwokacie, którego mi dali, zamkną mnie tu na wiele lat.

*Zejdź* mi teraz z oczu. Nic mnie nie obchodzi, czy jeszcze cię kiedyś zobaczę!

Zdjęcia pofrunęły na podłogę, kiedy Harry przepchnął się obok Soni i minął grupki odwiedzających swoim krokiem starego człowieka. Patrzyła za nim z otwartymi ustami. Kilku Chińczyków siedzących przy sąsiednim stoliku przyglądało się jej z zaciekawieniem, a Sonia odwróciła się do nich i wzruszyła ramionami.

- Chyba ma dziś kiepski humor - powiedziała. - To musi być wina tego paskudnego miejsca!

Jakaś kobieta zachichotała, przyklękła obok Soni, żeby zebrać fotografie i oddać jej.

- Czy to ty? - zapytała, przyglądając się zdjęciom. - Och, jesteś taka piękna!

- Dziękuję! - odparła Sonia, obdarzając kobietę olśniewającym uśmiechem.

Wyjęła komplet kosmetyczny i, patrząc w lusterko, drżącą ręką nałożyła więcej szminki. Potem opuściła okulary na oczy i zawiązała na włosach chustkę. Powoli wyszła z więzienia na ulicę. Kiedy w końcu znalazła samochód, coś w niej pękło, coś bolało tak bardzo, że nie wiedziała nawet, jak tego doświadczyć. Przez chwilę stała nieruchomo, marszcząc brwi. Czuła, jakby Sonia, którą tak starannie stworzyła w Kalifornii, została zdmuchnięta, zdarta boleśnie i zostawiła całkowicie bezbronne dziecko.

Costa otworzył przed nią drzwiczki, szczerząc zęby w drwiącym uśmiechu. Najwyraźniej tylko odgrywał rolę szofera. Sonia rzuciła mu pełne irytacji spojrzenie. Miał około trzydziestki, wąskie oczy, dziobatą twarz, ciemne włosy przycięte prawie na wojskowego jeża i krępe, niskie ciało, którym się przechwalał. Czapkę szofera nosił przekrzywioną na bakier.

Wślizgnęła się na przednie siedzenie, a Costa ruszył. Wciąż mogła uratować nową Sonię, rozwinąć ją, uczynić bardziej atrakcyjną niż kiedykolwiek. Okryła się nowym wizerunkiem jak podartym w strzępy płaszczem, który za wszelką cenę musiała ocalić. Nadal mam wspaniałe perspektywy - zapewniała się. Jeśli spodoba się dostatecznie dużej

liczbie mężczyzn, zmaże niesmak ojca, który zranił Sonię jak nóż. Nowa Sonia potrafiła pokonać ten ból, potrafiła się zemścić.

Później utknęli w korku i posuwali się w ślimaczym tempie w kierunku Manhattanu. Patrząc prosto przed siebie przez przednią szybę, przysunęła dłoń bliżej uda odzianego w szare spodnie. Rzuciła Coście powłóczyście spojrzenie i położyła mu dłoń na kroczu. Boże, ale był opanowany! Nie powiedział ani słowa, tylko uśmiechnął się przelotnie i dalej prowadził samochód.

Poruszyła ręką.

- Czy nie jesteś na to trochę za młoda? - spytał, patrząc w dół.

- Stwardnij! - powiedziała, ściskając.

- Czy to rozkaz?

Skinęła głową, rozpinając mu spodnie i wkrótce pieściła jego wyprężony członek. Ruchy Soni stały się szybsze.

Costa potrząsnął głową.

- Mmm - mruknął, naciskając na hamulec. - To może być niebezpieczne. Może się zatrzymamy?

Ustawił samochód w małym parku przy autostradzie, a Sonia przeszła na tylne siedzenie ściągnęła obcisłe rajstopy.

Jej spódniczka mini kończyła się wysoko ponad kolanami. Wręczyła szoferowi rajstopy, wkładając przegub w pętlę nad oknem. Costa przeszedł na tył.

- Przywiąż mi nogę do drugiej pętli! - szepnęła. Posługując się rajstopami, spełnił jej polecenie. Sonia leżała rozciągnięta na całą szerokość samochodu. Czekala.

- A teraz wypieprz mnie najmocniej, jak potrafisz! - krzyknęła. - Pieprz mnie, jakbyś mnie gwałcił!

- Co z ciebie za zboczona świruska? - spytał.

Kiedy nie odpowiedziała, zrobił głupią minę. Ściągając spodnie, rozglądał się na wszystkie strony. Nikogo.

Wzruszył ramionami. Jego członek był wciąż wyprężony i wkrótce pompował nim Sonię, która czuła się sponiewierana i posiniaczona, ale cudownie żywa.

- Mocniej! - Jej głos drżał od pchnięć Costy. - Nie rozumiesz, kutasie? Chcę, żeby mnie bolało!

I wkrótce ból całego rozciągniętego ciała, ożywił ją, wypierając tamten, znacznie silniejszy. - Och... tak! - krzyczała. Powracało uczucie, którego zaznała dotąd tylko raz, z Egipcjaninem. Kiedy ją zalało, zmieszało się cudownie z bólem, z pogardą do szofera, z jawnym bezsenssem tego, co robiła. Mogła zapomnieć o tacie, o tym tępym szoferze z jego dużym greckim fiutem, o każdym pieprzonym mężczyźnie, jaki kiedykolwiek na nią spojrzał. Wiedziała już, czego chce od mężczyzn i co jest gotowa im dać. Wszystko, a jednocześnie nic! Swoje ciało i pogardę. Kiedy skończył, rozwiązał ją i leżała zdyszana, wyczerpana a przy tym dziwnie triumfująca, a Costa jechał szybko w stronę Manhattanu.

Marcello?

Głos Harry'ego przyprawił ją o dreszcz, jakby wciągano ją z powrotem w stare życie. Odrzuciła tę zabawną myśl.

- Witaj, Harry. - Starła się nadać głosowi opryskliwe brzmienie. - Rozumiem, że chcesz rozmawiać z Sonią. Nie ma jej w tej chwili.

- Chciałem mówić z tobą, Marce.

Od czasów Harry'ego nikt nie używał tego głupiego imienia. Nie była żadną „Marce” ani teraz, ani nigdy. Telefon przerwał jej pisanie długiej, trudnej sceny. Z westchnieniem, odepchnęła krzesło od biurka i zapaliła papierosa.

Zaciągnęła się głęboko.

- Jak myślisz, o czym mielibyśmy rozmawiać? - spytała.

- Moglibyśmy zacząć od tego, dlaczego pozwalasz Soni ubierać się jak dziwce - odparł.

- Pozwalam? - Zaśmiała się gorzko. - Myślisz, że mam na nią jakikolwiek wpływ? Kiedy porywasz dwunastoletnie dziecko, nie powinieneś mieć pretensji że daje to takie efekty.

- Nie porwałem jej, Marce. Sonia postanowiła zostać ze mną.

- Czego chcesz? - spytała Marcella po chwili milczenia.

- Potrzebuję twojej pomocy - odpowiedział Harry.

- A co takiego skłania cię do tego, by przypuszczać, że ci pomogę?

- To, że nadal jestem ojcem twoich dzieci. To, że uważam, że jesteś dobrą osobą, która nie kopie leżącego. Właśnie zwolniłem swego prawnika, Marcello.

- I co z tego?



- I to z tego, że potrzebuję prawnika. Ten facet pracował dla stanu i umiał tylko gadać o targowaniu się o karę. Albo o tym, żebym sypał kumpli. Nie zrobię tego.

- To bardzo szlachetne - stwierdziła. - Ale stąd wniosek, że byłoby co sypać?

- Marce - powiedział ochryple. - Nie utrudniaj. Pytam, czy zapłacisz za dobrego prawnika. Myśl o tym jako o pożyczce, którą spłace, kiedy tylko będę mógł. Z dobrym adwokatem mam dużą szansę na otrzymanie niskiego wyroku. Chcę też, żebyś przyjechała z dziećmi na proces w lutym. To by wyglądało znacznie lepiej, gdyby widzieli, że rodzina za mną stoi. Czy przynajmniej o tym pomyślisz?

- Zwariowałeś.

Westchnęła i zgasiwszy papierosa, zastanowiła się chwilę. Gdzie był gniew, który powinna w niej wywołać prośba Harry'ego? Nie znalazła nic poza smutkiem i głębokim żalem.

- Z jakiej racji miałabym się wstawiać za człowiekiem, który skrzywdził moje dzieci? - spytała. - One noszą blizny po tym, co zrobiłeś. Podaj mi sensowny powód, dla którego miałabym ci pomóc.

- Sensowny powód? - powtórzył. - W nocy szukam w myślach sensownych powodów wszystkiego, co zrobiłem. Marce, myślę, że przede wszystkim nie powinniśmy byli brać ślubu...

- Doszłam do tego dawno temu, Larry! - Zaśmiała się ostro.

- Wiesz, co mówią o przebaczeniu? - spytał Harry. - Przebaczenie jest sprawą boską, tak? Po prostu myślałem, że chciałabyś być tą dobrą. Przepraszam.

Z jej piersi wydobyło się urywane westchnienie. Gdyby pomogła Harry'emu, nie uczyniłaby tego wyłącznie dla niego.

- Gdybym cokolwiek zrobiła, to ze względu na Sonię - powiedziała. - Chciałabym jej wynagrodzić krzywdę, jaka ją spotkała. Może gdyby wiedziała, że ci pomagam, stałaby się mniej wroga.

- Niezależnie od tego, dla kogo to zrobisz, będę ci dogonnie wdzięczny - odparł Harry.

- Nie chcę twojej wdzięczności, Harry - powiedziała i odłożyła słuchawkę.
- Tego wieczoru po kolacji rozmawiała z dziećmi. Sonia uparcie milczała, gryząc wargę. Jako pierwszy odezwał się Mark.
- Nie chcę jechać na jego proces. Naprawdę czuję, że nic mu nie jestem winien.
  - Wielkie dzięki! - krzyknęła Sonia, a potem zwróciła się do Marcelli: - Dlaczego to robisz? Żeby pokazać się z dobrej strony?
  - Czemu jesteś taka cyniczna? - odparła Marcella, kręcąc głową. - Myślisz, że potrzebuję tego rodzaju rozgłosu? Żona kryminalisty? Wykorzystam wszystkie kontakty, żeby upewnić się, że nie będzie żadnego rozgłosu. I pójdę z tobą na przesłuchania tylko pod warunkiem, że ubierzesz się przyzwoicie. Nic wyzywającego. Chodzi o wsparcie dla twego ojca.
  - Ale dlaczego mu nagle pomagasz? - dopytywała się Sonia.
  - Ponieważ mnie o to poprosił. - Marcella westchnęła.
  - I dlatego, że chcę ci pokazać, że nie czuję do niego nienawiści. Usiłuję mu przebaczyć to, że zabrał mi ciebie na dwa lata. Może to okaże się przyzwoitym zakończeniem tego okropnego okresu, kiedy byliśmy rozdzieleni.
- Sonia odwróciła wzrok, nieprzekonana. Mark dotknął jej ręki.
- Daj mamie spokój, co? Ona wcale nie musi pomagać temu frajerowi. Sam się wplątał w kłopoty.
  - Zamknij się! - krzyknęła Sonia, odpychając rękę brata.
  - Nie mów o nim w ten sposób! Mark się zaśmiał.
  - Przypuszczam, że kochasz tatę z całego serca?
  - Żebyś wiedział, do cholery! - Zerwała się od stołu i spojrzała na matkę i brata. - I wiecie co? Tylko ja go kocham. Nie mogła przestać myśleć o ojcu, odkąd zobaczyła go w więzieniu tak zaszczutego i przybitego. Próbowала go nienawidzić, ale za bardzo bolało to, że ją odrzucił. Musiała

przyznać przed samą sobą, że był jedynym człowiekiem na świecie, na którego aprobacie jej zależało.

Pewnie, że mogę ci znaleźć adwokata - powiedziała Amy następnego ranka, kiedy Marcella ją odwiedziła. - Jednego z najlepszych. Jeśli jesteś pewna, że tego chcesz.

- Jestem pewna - potwierdziła Marcella. Patrzyła, jak Amy kartkuje swój notes.

- Zdajesz sobie sprawę, że to będzie słono kosztować?

- spytała Amy, podnosząc wzrok. - Nadstawianie drugiego policzka to droga rozrywka na Manhattanie!

Marcella skinęła głową.

- W ten sposób poczuje, że zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam. To dość wzruszające, że musiał prosić mnie o pomoc.

Kręcąc numer, Amy rzuciła jej spojrzenie pełne powątpiewania.

- Przesadzasz, Marcello - ostrzegła. - Pewnego dnia cała twoja tłumiona agresja odbije się na tobie. W ciągu jednej nocy zmienisz się w sukę! - Zrobiła do niej oko. - Mam nadzieję!

Po kilku rozmowach telefonicznych, triumfalnie zanotowała nazwisko i numer telefonu.

- Zaliczka wysokości dwudziestu pięciu tysięcy! - Gwizdnęła. - Zanim sięgnie po ołówek! Paul Stopler! - Wywijała notesem przed nosem Marcelli. - W zeszłym roku pomógł mężowi Bobbie Chasen oczyścić się z zarzutów o defraudację... - Na twarzy Amy malował się podziw.

Marcella zadzwoniła do Paula Stoplera i postanowili, że adwokat zatelefonuje do Harry'ego. Tego popołudnia, po powrocie do domu, zadzwoniła też do Scotta z prośbą, żeby pomógł jej uniknąć rozgłosu.

- To trochę nie moja działka, Marcello - wyznał Scott.

- Nie mamy tu do czynienia z recenzentami książek. To będzie tłum doświadczonych reporterów kryminalnych. Jeśli wywęszą chwytny nagłówek, nie popuszczą. Bądź na to przygotowana. Ale nie bój się, to nie wpłynie negatywnie na sprzedaż. Każdy rodzaj rozgłosu jest korzystny!

- Nawet proces kryminalny?

- Współczucie - zapewnił ją Scott - czyni cuda!

Nie będąc w stanie skupić się na pisaniu, Marcella spędzała wolny czas na lunchu z Nancy Warner, analizowaniu sprawozdań finansowych z Amy, odwiedzinach u matki. Bez powodzenia usiłowała wyjaśnić Idzie kwestię procesu.

- Mężczyzna, za którego wyszłam - próbowała Marcella. - Harry! Pamiętasz?

Drobna filipińska pielęgniarka kiwała głową i uśmiechała się, jakby miało to przywrócić Idzie pamięć.

- Ona już nie wie, kim jestem, prawda, Peggy? - spytała nagle Marcella.

Patrzyły, jak Ida przenosi wzrok z powrotem na ekran telewizyjny. Pielęgniarka uśmiechnęła się smutno.

- Och, ona zapominać, pani Winton. Wie pani, ona zapominać nazwy wielu rzeczy.

- Wygląda na to, że nic jej już nie cieszy - zauważyła Marcella.

- Ona lubić grę w karty - odparła pielęgniarka. - Ale nie prawdziwą grę. Tylko udawanie.

Marcella spędziła godzinę na nonsensownej grze, polegającej na rozkładaniu kart na stole, podczas gdy matka koncentrowała się na ich zbieraniu. Wyszła, obiecawszy Peggy:

- Będę przychodzić częściej, żeby z nią grać.

Jak gdyby pielęgniarka w pewien sposób była jej sędzią.

Wszelka nadzieja na uniknięcie rozgłosu ulotniła się pierwszego dnia procesu Harry'ego, który rozpoczął się w lutym w New Jersey, ponieważ tam była zarejestrowana jego dawna firma. Sonia i ona ubrały się skromnie; Marcella w granatową sukienkę oraz płaszcz tego samego koloru, Sonia w wąską liliową spódnicę i białą bluzkę pod ocieplaną czarną kurtką narciarską. Kiedy Paul Stopler prowadził je przez tłum do sali sądowej, reporterzy błagali o wypowiedzi, a kamery bzyczały nieustannie.

- Jak się czuje tata? - Sonia spytała adwokata szeptem .

- Bardzo się cieszy, że tu jesteś - odparł. - To może tylko pomóc.

Kiedy Harry pojawił się na sali sądowej, Marcella doznała szoku. Nie widziała go przez blisko trzy lata i nie spodziewała się wielkich zmian w jego wyglądzie. Wydał się jej o wiele starszy. Kiedy się do niej uśmiechnął, spróbowała odwzajemnić uśmiech. Mrugnął do Soni, a Marcella poczuła, jak córka chwyta ją za rękę i ściska mocno.

Kilku dawnych kolegów Harry'ego wezwano jako świadków, a Marcella mogła się przyjrzeć dokładnie Glorii Defries, która zeznawała jako świadek stanu. Czy ona była w guście Harry'ego? - zastanawiała się. - Ta zadziorna młoda kobieta, która najwyraźniej odgrywała parodię roli laleczki gangstera? Marcella rozpoznała kilku mężczyzn spotkanych na kolacjach, na które zabierał ją Harry. Ich żony przybyłe na salę sądową przyglądały się Marcelli z zaciekawieniem.

Gazety bawiły się świetnie nagłówkami: PLAN RODEM Z POWIEŚCI PRZYNOŚI MILIONY MĘŻOWI PISARKI oraz wariacje na ten temat. Podpisy pod zdjęciami Marcelli głośiły zazwyczaj: „Opuszczona żona, pisarka Marcella Bal-ducci Winton, która sprzedała pierwszą powieść za milion dolarów”. Zgodnie z przepowiednią Scotta, sprzedaż książki wzrosła w wyniku rozgłosu i *W imię miłości* wróciło wkrótce na pierwsze miejsce listy bestsellerów. Po zakończeniu procesu Marcella pragnęła zaszyć się w swoim małym gabinecie pisarskim, żeby nikt więcej się na nią nie gapił.

Pomimo drogiego adwokata Harry'emu nie dopisało szczęście. W obliczu nowej fali wewnętrznych spekulacji na Wall Street jego proces potraktowano jako pokazowy.

- Musimy pokazać ludziom pańskiego pokroju, że tego rodzaju zbrodni nie ujdzie im na sucho - podsumował sędzia, kiedy ława przysięgłych uznała Harry'ego winnym. - Ponieważ jest to zbrodnia, nawet jeśli na pozór wygląda to tylko na kilka rozmów telefonicznych.

Na sali sądowej dały się słyszeć okrzyki zdumienia, kiedy ogłoszono wyrok dziesięciu lat pozbawienia wolności. Harry pobladł, Sonia zapłakała, a Marcella otoczyła ją ramieniem. Przepchnęły się przez tłum, żeby wydostać się z sądu.

W samochodzie Sonia zdecydowała nagle, że chce wrócić i pożegnać się z ojcem. Pobiegła go szukać, Marcella siedziała w samochodzie i paliła papierosa. Sonia wróciła z zapłakaną twarzą, wyglądała tak bezbrinnie, jak nigdy dotąd. Arogancka brawura i wymuskała poza zniknęły. Marcella zobaczyła wreszcie piętnastoletnią dziewczynkę. Donald otworzył Soni drzwi, a ona wybuchnęła płaczem i rzuciła się na kolana Marcelli.

Jechali przez puste ulice w stronę autostrady. Przez kilka minut Marcella trzymając Sonię w ramionach, doświadczyła uczucia posiadania córki, która jej potrzebowała. Pomimo okoliczności, czuła się cudownie. Jej serce nabrzmiało nadzieją; może teraz zostaną wreszcie prawdziwą matką i córką? Usiłowała nie słuchać głosu mówiącego jej, że to wszystko złudzenie wywołane dramatycznymi wydarzeniami tego tygodnia.

- Dziękuję ci, że próbowałaś mu pomóc - mruknęła Sonia, wtulając się w jej kolana.

Marcella, nic nie mówiąc, objęła córkę. Był to zbyt cenny moment, żeby go psuć. Miała wrażenie, że trzyma na kolanach kota, czuła, jak to ciało wypręża się, by się uwolnić. I oczywiście, po kilku minutach Sonia usiadła, wydmuchała nos, poprawiła makijaż i przesunęła się do drugiego okna. Marcella śledziła, jak umysł córki zmienia biegi, zrywając bliskość. Zażenowana faktem, że ujawniła własną bezbronność, Sonia przyglądała się w milczeniu przez okno ruchowi ulicznemu.

Piętnaste urodziny Soni świętowali w Czterech Porach Roku, co stanowiło niewłaściwy wybór. Marcella zrozumiała to w chwili, kiedy weszli do sali. Wygląd Soni zelektryzował biznesmenów, którzy spotkali się tam na kolacji.

Odmówiła ubrania się elegancko, ponura i znudzona. Skutecznie zepsuła wieczór: zamówiła najdroższe danie w karcie, bawiła się jedzeniem przez dwie minuty, po czym oświadczyła, że „musi zadzwonić”. Jej twarz zaczynała pojawiać się w magazynach, nazywana przez redaktorów „twarzą lat dziewięćdziesiątych”.

W miesiąc po urodzinach, *mademoiselle* zdecydowała, że obecność Soni w ekskluzywnej szkole przestała być pożądana. Wezwała Marcellę, aby zabrała córkę.

- Oczywiście uregulujemy należność - zamruczała swoim kosztownie cichym głosem.

- Co ona zrobiła? - Marcella oparła się na krześle.

- Nie wiem, jak mam to określić - zaczęła dyrektorka.

- Po pierwsze, prawie nigdy jej nie ma. A kiedy przychodzi, trudno prowadzić lekcję. Stwarza taką atmosferę, taki nastrój, który uniemożliwia uczennicom koncentrację.

Znam ten nastrój - pomyślała Marcella. - Moją koncentrację też uniemożliwia.

- To urocza dziewczyna - mówiła dyrektorka. - Chciałabym pani pomóc, ale może to nie jest odpowiednia szkoła dla Soni? Jest nad wiek rozwinięta. Naprawdę uważamy, że te reklamy bielizny, w których występuje, nie są właściwe. Marcella westchnęła.

- Czy może zostać do końca semestru? Nie warto zapisywać jej do nowej szkoły tylko na czerwiec...

- Zgoda, pani Winton.

Kto ci pozwolił występować w reklamach bielizny? - spytała Marcella Sonię tego wieczoru.

Sonia uśmiechnęła się szeroko, rzucając się na sofę, kładąc nogi na stoliku do kawy.

- Wszyscy chcą mnie rozbierać - odparła z uśmiechem.

- Dobrze za to płacą i zwracam na siebie uwagę. Marcella podeszła do córki.

- Ale jesteś o wiele za młoda do takiej pracy. Czy mężczyźni, z którymi pracujesz, cię nie nagabują?

- Żartujesz? - prychnęła Sonia. - Oni wszyscy obciągają druta.

- Soniu! - krzyknęła Marcella. - Co to za język?

- Powinnaś widzieć swoją minę! - zaśmiała się Sonia.

- Takich samych słów używasz w swoich książkach. Marcella potrząsnęła głową.

- W literaturze możesz...

- Literaturze? Myślisz, że to, co piszesz, to literatura?

Och, mam, powinnaś zobaczyć tych nieudaczników, męty społeczne, które ślinią się nad twoją książką w metrze. To praktycznie analfabeci!

Marcella usiłowała zapanować nad gniewem.

- Jakoś udaje im się pisać do mnie piękne, subtelne listy

O tym, jak bardzo podobała im się moja powieść... Ale teraz rozmawiamy o tobie. Dzisiaj wezwała mnie dyrektorka szkoły, chce, żebyś odeszła. Co mam z tobą zrobić, Soniu?

Sonia westchnęła z irytacją, wspierając nogi o stolik do kawy.

- Zapisać mnie pewnie do jakiejś innej beznadziejnej szkoły dla bogatych dzieciaków - odparła, z olśniewającym uśmiechem.

- To nie jest zbyt pozytywne nastawienie - zauważyła Marcella.

Sonia przewróciła oczami.

- Mogłabym być bardzo pozytywna, gdybyś pozwoliła mi kierować własnym życiem! Pozwól mi się wyprowadzić i wynająć własne mieszkanie. Sama opłacę czynsz. Zejdę ci z drogi, będę dobrze zarabiać...

- A co ze szkołą?

- Szkoła i ja po prostu się nie zgadzamy - odparła Sonia ze wzruszeniem ramion. - Może więc dajmy sobie spokój? Mogłabym rozpocząć wielką karierę teraz, kiedy jestem młoda!

Marcella delikatnie zepchnęła nogi córki ze stolika i usiadła obok niej na sofie.

- Za trzy lata nadal będziesz młoda, kochanie - powiedziała, dotykając ramienia Soni. - Wierz mi, pamiętam, co to znaczy mieć piętnaście lat! Tak jak tobie śpieszyło mi się do wszystkiego, co dorosłe. Bądź cierpliwa jeszcze przez kilka lat. Wykształcenie bardzo się opłaca, ludzie rozmawiają z tobą i widzą, że jesteś inteligentna, posiadasz wiedzę, nie tylko urodę...

Sonia zmarszczyła brwi.

- Ale ja cię o nic nie proszę!

- W czerwcu, kiedy ta szkoła się skończy, odejdiesz - powiedziała zdecydowanie Marcella. - A we wrześniu



pójdiesz do nowej. Wtedy musisz przyłożyć się do nauki. Jeśli nie dla mnie, to dla ojca. Byłby dumny, gdybyś osiągnęła coś umysłem, a nie tylko wyglądem. Sonia zrobiła głupią minę i wyszła z pokoju.

Marcello, Musisz wydać nową książkę w ciągu dwóch lat od poprzedniej, bo inaczej czytelnicy zapomną, kim jesteś!

- powiedziała Amy podczas jednego z ich porannych spotkań w jej mieszkaniu.

- Wiem... - Marcella spojrzała bezradnie na przyjaciółkę.

- Po prostu tyle rzeczy mnie teraz rozprasza. Sonia sprawia takie kłopoty. Nie daję sobie z nią rady. Z moją matką jest coraz gorzej. Już mnie chyba nie poznaje. Amy, naprawdę nie wiem, jak długo jeszcze mogę ją trzymać w domu.

- Och, biedne kochanie! - krzyknęła Amy, obejmując Marcelłę. - Czy chcesz, żebym zaczęła się rozglądać za domem opieki?

- Jeszcze nie potrafię tego zrobić. - Marcella się wzdrygnęła. - To takie ostateczne i smutne.

- Pewnego dnia będziesz musiała - powiedziała Amy delikatnie. - Skoro ona cię nie poznaje, cóż to dla niej za różnica?

Marcella popatrzyła na przyjaciółkę.

- To będzie różnica dla mnie, Amy.

Jadąc do siebie, przeglądała się w lustrze windy. Miała zaledwie trzydzieści pięć lat, ale już zaczynała dostrzegać w sobie zapowiedź statecznej matrony. Wokół oczu pojawiły się nowe, drobne zmarszczki. Napięcia życia rodzinnego zaczynały się jej dawać we znaki. Zapragnęła natychmiast pobiec do Członków, żeby uciec od wszystkiego. Szybki zastrzyk seksu pozwoliłby spojrzeć na życie świeżym okiem, a tak tego potrzebowała. Wizyty w klubie stawały się lekarstwem na wszystko. A czasem było to po prostu miejsce, gdzie mogła pomyśleć, jak kościół w Little Italy - ciemne, ciche schronienie po środku hałaśliwego miasta.

Oparła się pragnieniu wyjścia i przez dwie godziny pracowała nad powieścią. W porze lunchu odwiedziła matkę, obserwowała, jak pielęgniarka cierpliwie karmiła ją zupą, podczas gdy Ida wpatrywała się w telewizor.

- Pozwól. - Marcella wskazała na łyżkę. - Może zrobisz sobie półgodzinną przerwę, Peggy? Jest taki piękny dzień. Pielęgniarka wyszła, a Marcella zaczęła podawać matce zupę. Kiedy skończyła, objęła Idę ramieniem. Matka otworzyła usta, a Marcella pokazała jej pustą miszkę.

- Zobacz! Pusta!

Zdała sobie sprawę, że tak właśnie karmi się dzieci. Przytuliła się do ramienia matki, wyobrażając sobie, że czuje w ubraniu Idy zapach słodczy, wspominała talerze ciast i ciasteczek, jakie matka piekła w Little Italy. Pod wpływem impulsu Marcella poszła do swej sypialni, wróciła z albumem starych fotografii i otworzyła go na kolanach Idy.

- To tata - wskazała. - Twój mąż, Aldo. Widzisz, jaki z niego przystojniak? A to ja, kiedy byłam dzieckiem...

Oczy matki śledziły przez chwilę palec Marcelli, ale potem spróbowała zepchnąć album z kolan.

Marcello, wkrótce staniesz się sensacją wydawniczą!

- krzyknął radośnie Scott przez telefon w następnny wtorek.

- Mam przed sobą „Times”, który ukaże się w najbliższą niedzielę. Wciąż jesteś na liście bestsellerów w miękkich oprawkach. Po pięćdziesięciu trzech tygodniach! Proces oczywiście pomógł. Znowu robimy dodruk, Marcello, siedemnaste wydanie!

Teraz, kiedy *W imię miłości* cieszyło się takim powodzeniem, dziennikarze dobijali się do autorki drzwiami i oknami. Prośby o wywiad płynęły przez ręce Amy, pełniącej rolę pośredniczki, od „People”, „New York” i „Cosmopolitan”. Proszono Marcellę o komentarze do artykułów, zapraszano do redagowania kolumn tematycznych, proszono o wzięcie udziału w dyskusjach panelowych i wchodzenie w skład jury konkursów opowiadań. Większość prośb odrzucała. Kiedy magazyn „People” opublikował artykuł redakcyjny o „dniu z życia pisarki-milionerki”, zamieścił jej zdjęcia zrobione podczas podlewania roślin na swym balkonie, lunchu z Amy w La Cirque i spaceru ulicą z Markiem i Sonią, jak przystało na zgraną, dużą szczęśliwą rodzinę.

- Gdybym uważała, że ta mieszczka choć trochę mnie

przypomina, bym się zabiła - powiedziała Marcella, oglądając wraz z Amy numer sygnałny.

Szczególnie nienawidziła zdjęcia, na którym elegancko ubrana siedziała za word processorem. Podpis głosił:

„Marcella pracuje dwanaście godzin dziennie. O ósmej trzydzięci przeglądała to, co napisała poprzedniego dnia!”

- To było południe! Widać po opuchniętych oczach, że dopiero wstałam... - śmiała się Marcella. - Powiedziałam im, że piszę w kufajce, ale nie zgodzili się na takie zdjęcie!

- Oczywiście, że nie. - Amy przyglądała się fotografii. - Czytelnicy chcą, żebyś przerastała życie, żebyś była olśniewająca! Żebyś obracała się w zupełnie innym świecie niż oni. Wtedy mogą cię chwalić za to, że jesteś taka zwyczajna i bezpretensjonalna!

Zawsze była nocnym markiem, a ostatnio świetnie jej się pisało do późna, kiedy Manhattan leżał pogrążony we śnie. o czwartej czy piątej nad ranem padała na duże szerokie łóżko i spała do południa, jeśli nie umówiła się z nikim na rano. Mark nadal przynosił pocztę przed wyjściem do szkoły. Serdeczne listy od czytelników sprawiały, że czuła, iż ma setki przyjaciół. Pamiętając, ile znaczył dla niej Ust Amy, zawsze odpisywała. Listy dawały MarceU energię, dzięki której codziennie siadała do maszyny.

Sonia została umieszczona w prywatnej szkole specja-Uzującej się rzekomo w trudnych uczniach. Wczesną wiosną Marcella ukończyła pierwszą roboczą wersję *Drugiego męża*, pewna, że napisała znacznie lepszą książkę niż pierwsza. Miała teraz o tyle więcej do powiedzenia. Przeżyła utratę i odzyskanie Soni, obserwowała przekształcanie się Marka w dorosłego mężczyznę, dźwigała odpowiedzialność za matkę. Dzięki tym doświadczeniom jej sposób przeżywania stał się intensywniejszy i pragnęła dzieUć się tymi nowymi uczuciami. Druga powieść miała decydujące znaczenie; ważyły się losy MarceUi jako wielkiej pisarki. W kwietniu Amy przeczytała maszynopis w ciągu jednego weekendu. W poniedziałek o dziesiątej rano zdenerwowana Marcella pojechała windą do przyjaciółki.

- Śniadanie? - Amy zaprowadziła ją na słoneczny, przeszklony taras, gdzie usadziła Marcellę na stercie żółtych poduszek spoczywających na wiklinowym krześle.
- Poproszę tylko o sok pomarańczowy i kawę. Na Boga, Amy, nie torturuj mnie. Nie cierpisz tej książki, prawda?
- Wcale nie - odparła Amy, nalewając cierpliwie sok dla Marcelli i kawę dla nich obu. Usiadła i przyglądała się przyjaciółce, smarując masłem croissanta. - Druga książka to największy sprawdzian dla pisarza. Wszyscy o tym wiedzą. Krytycy uwielbiają pisać, że druga książka „nie spełnia obietnic” rozbudzonych przez pierwszą, nawet jeśli stwierdzili, że pierwsza była beznadziejna!
- Marcella sączyła sok.
- Powiedz mi tylko, czy ci się podobała - poprosiła.
- Słuchaj. - Amy rozłożyła ręce. - Jest bardzo dobra. Jest w porządku. Nie jest tak podniecająca i zapierająca dech jak *W imię miłości*, ale nigdy się do tego nie przyznamy! Wiele kobiet utożsamia się z twoją bohaterką i spróbuje zbudować swoje życie na nowo. Ja dałabym jej z tuzin orgazmów więcej, ale to jestem ja! Scott może zacząć na ciebie naciskać, żebyś zmieniła książkę na nieco lżejszą...
- Czy on już musi ją zobaczyć? - spytała Marcella. - To dopiero pierwsza wersja, wymaga jeszcze mnóstwo pracy. Amy rzuciła rękopis na stół.
- Wiem, kochanie, ale chciałabym, żeby ją zobaczył, żeby wiedział, że nowa powieść istnieje! Zdumiałabyś się, ilu pisarzy i redaktorów targuje się o nie istniejące książki. To - uniosła plik kartek - przekona go, że coś dostaje za te pięć milionów, których domagam się dla ciebie za następne trzy teksty!
- Co powiedział na twoją propozycję? - Marcella wzięła łyk kawy.
- Oczywiście zaniemówił - zaśmiała się Amy. - Trochę się potargujemy. Jeśli nie prosisz, nie dostajesz! Na Boga, wprawy ze sprzedaży *W imię miłości* dochodzą do trzech milionów. To niewiarygodne jak na pierwszą powieść! Proces Harry'ego i dwójka cudownych dzieci też nie szkodzą twojemu wizerunkowi. Spodobałaś się prasie i czytelnikom.

Ale powiedz mi coś, Marcello... - Nachyliła się z niepokojem. - Czy naprawdę jesteś tak bezbronna jak główna bohaterka? Odnoszę wrażenie, że jesteś nieco smutna i samotna. Czy nie znajdujesz w życiu frajdy?

- Nie jestem tą postacią, Amy. To nie ja - odparła Marcella.

Amy chrząknęła z niecierpliwością.

- Daj spokój, Marcello, wiesz, że zawsze portretujemy siebie w głównych postaciach!

Marcella zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Dobrze. Cóż, „fajda” nie jest słowem, którym w chwili obecnej podsumowałabym swoje życie.

Uśmiechnęła się w zamyśleniu.

- Może przydałby ci się mężczyzna do dopełnienia całości? - spytała Amy. - Cóż, kochanie, nie możesz powiedzieć, że cię nie zachęcam. - Uniosła brwi. - Zapraszam cię na każdą kolację i podwieczorek, prawda? Nie z litości, ale dlatego, że jesteś ozdobą każdego stołu. Na moje spotkania zawsze przychodzi wielu mężczyzn, ale ty nigdy z żadnym dłużej nie rozmawiasz. Jak na tak seksowną damę, zachowujesz się naprawdę wyniośle!

Marcella wypuściła dym.

- Chyba wolę sprawiać wrażenie wyniosłej, niż zachowywać się jak te kobiece barrakudy, które przyciągają przystojnych mężczyzn. Ale są zawzięte! Zapominasz, Amy, że jestem tylko dziewczynką z Little Italy. Nie mam rzetelnego wykształcenia. Ukrywam te wady. Kiedy sadzasz mnie obok znakomitych pisarzy, wtedy się zamykam. Boję się, że mnie przejrzą! Poza tym wszyscy oni są żonaci.

- Co z tego? - spytała Amy.

- Jeśli zadaję sobie tyle trudu, żeby się z kimś wiązać, chciałabym sądzić, że to ma jakąś przyszłość.

- Niepoprawna romantyczka! - zaśmiała się Amy.

- Słuchaj, jeśli wpadnę na przystojnego, miłego, atrakcyjnego faceta w wieku czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, me daruję mu, zgoda? - obiecała Marcella. - Ale wiesz, że tacy mężczyźni są rzadkością na Manhattanie. Jeśli istnieją, oglądają się za dwudziestopięcioletkami.

- W takim razie ty też oglądaj się za dwudziestopięciolat-kami! - krzyknęła Amy.

Po powrocie do siebie Marcella poszła prosto do sypialni. Pootwierała drzwi szafy i spojrzała na prześliczne halki i koronkowe koszule nocne, które kupiła na życie, jakiego nigdy nie prowadziła. Nie odważyła się wyznać Amy, że Członkowie zaspokajali jej wszystkie potrzeby seksualne ale żadnych miłosnych.

W następnym tygodniu, kiedy Scott przeczytał maszynopis, poprosił o spotkanie. Marcella ubrała się starannie, zła na siebie za to, że się denerwuje.

- Nie bój się, Marcello! - powiedział Scott na widok jej twarzy. - Podoba mi się! - Posadził ją obok siebie na sofie w swoim gabinecie. - Kawa? Perrier? Ja? - zaproponował.

- Nie, dzięki, Scott - odparła ze śmiechem. Zapaliła papierosa i czekała.

- Jest poważniejsza niż pierwsza. - Postukał palcem w tekst. - Lepiej napisana, prawda?

- Mam nadzieję.

- Nie porównuj się z resztą masowego rynku, Marcello

- ostrzegł. - Mamy tuziny zdolnych pisarzy, którzy nie sprzedali trzech milionów swych książek tak jak ty.

- Chcę się rozwijać jako pisarka z każdą nową książką

- oświadczyła Marcella, pochylając się. - I wezmę moich czytelników ze sobą. Kobiety, które czytają moje powieści, nie są głupie. Są przygotowane na zajęcie się poważniejszymi tematami.

Przyglądał się jej z uwagą.

- Nie bądź taka pewna, że znasz swoich czytelników, Marcello. Volumes wkłada wiele wysiłku w to, by trafić do publiczności.

- Zgoda, ale książka nie sprzedaje się przez rok jak moja, jeśli nie istnieje wiele kobiet, które namawiają przyjaciółki, żeby ją kupowały. Scott, ta powieść zawdzięcza sukces ustnemu przekazowi. Mam listy, które tego dowodzą.

- Jaką pisarką chcesz zostać, Marcello? Do kogo chciałabyś być podobna?

- Do nikogo, Scott! - Zdusiła papierosa i spojrzała mu prosto w oczy. - Chcę być jedyna w swoim rodzaju.
  - Zgoda. - Skinął głową. - Jedyna w swoim rodzaju. Nie będziemy cię porównywać do Amy, Danielle Steel ani Judith Krantz. Chcesz wywalczyć sobie własne terytorium? Sądzisz, że kobiety lubią czytać o kobiecie, która się starzeje, boi się, że nie znajdzie mężczyzny, czuje się skrepowana na pierwszej randce?
  - Dlaczego nie? - spytała Marcella. - Wszystko, co zdarza się w życiu, to potencjalny materiał na książkę, pod warunkiem, że dobrze o tym napiszesz. Wychowywanie dzieci, opieka nad rodzicami. Samo starzenie się jest niebywałym doświadczeniem, Scott!
  - Tak! - jęknął. - A jakim przynębiającym! Nasi czytelnicy chcą się oderwać od procesu starzenia, Marcello!
  - Dostałam tuziny inteligentnych listów od kobiet. Sądzę, że potrafią sobie radzić z pewnymi trudnymi aspektami życia!
  - To może starczyć na jedną książkę - przyznał. - Ale jeśli myślisz o paśmie sukcesów, takim jak Amy, musisz wybiegać myślą w przyszłość. Może pozwól, że ja naszkicuję plan twoich powieści, naszkicuję postaci? Ty musiałabyś tylko pisać.
  - Czy nie mógłbyś tego zrobić przy pomocy komputera? - spytała.
  - Mógłbym, ale rezultat nie byłby nawet w jednej czwartej tak zmysłowy, jak ty, Marcello!
  - Och, Scott... - Potrząsnęła ze śmiechem głową. - Czy to doroczny podryw?
  - Cóż, zawsze siadasz jak najdalej ode mnie - poskarżył się. - Czy byłem wtedy taki beznadziejny?
  - Nie, byłeś bardzo dobry - odparła z uśmiechem. - O ile pamiętam.
  - A o ile ja pamiętam, byłaś cholernie wspaniała! Niestety, moja olśniewająca gwiazda pisarska i ja mieliśmy tylko jedną marną szansę!
- Marcella spojrzała na niego i westchnęła głęboko.
- Scott, biorąc pod uwagę, że sprzedałam trzy miliony

egzemplarzy swojej powieści dla Volumes, wydaje mi się, że zasługuję na lepsze traktowanie. Dyskutujemy o mojej nowej książce, a nie o naszym życiu seksualnym...

- Te dwie rzeczy można połączyć, Marcello! - Przysunął się do niej, kładąc dłoń na nagim ramieniu Marcelli. - Słuchaj, dzięki twoim trzem kolejnym powieściom, mógłbym zrobić z ciebie większą gwiazdę niż Danielle Steel! Utwórzmy nowy rodzaj zespołu. Możemy spotykać się tu na satysfakcjonujące sesje seksualne i wydawać bestsellery, Marcello. Bylibyśmy nie do pobicia!

Wstała.

- Nigdy nie traktowałeś mnie poważnie, a jeśli istnieje coś, czego oczekuję od mężczyzny, to tego by traktował mnie poważnie! Czy to odpowiada na wszystkie twoje pytania?

- Tak - odparł, patrząc na nią serio. Zapadła niezręczna cisza.

- Co dalej? - spytała.

Scott usiadł za biurkiem, podniósł pióro i zaczął bazgrać po bloczku.

- Jeśli tak poważnie traktujesz swoje pisarstwo, postaram się do tego dostosować. Może naprawdę potrafisz ustanowić nowy rodzaj intelektualnego bestsellera dla nowego czytelnika? Ale potrzebny ci bardziej chwytliwy, atrakcyjniejszy tytuł niż *Drugi mąż*.

Odstawiła pustą szklankę z zamyśleniem.

- Możliwe, że masz rację. Postaram się wymyślić kilka alternatywnych.

To było kłopotliwe spotkanie, ale czuła, że ustaliła kilka istotnych punktów. Nie miała zamiaru pozwalać, by Scott nią pomiatał. Pisanie jest dostatecznie trudne, bez tych dodatkowych bzdur - myślała. Jak odmienny okazał się świat wydawniczy od tego, co sobie wyobrażały z Nancy Warner w czasach, kiedy walczyły o opublikowanie swoich utworów. Każdy chciał myśleć, że ma udział w jej książce, ale przecież ukazywała się z jej nazwiskiem na okładce i Marcella postanowiła walczyć o każde słowo.

Nowy tytuł przyszedł jej do głowy w drodze do domu.



*Największa miłość ze wszystkich*, ponieważ kiedy bohaterka zakochiwała się po raz drugi, tak właśnie myślała o swej miłości.

- Wspaniały! - entuzjasmował się Scott przez telefon, kiedy zadzwoniła powiadomić go o swoim wyborze. - Byłoby miło, Marcello, gdyby wszystkie twoje książki miały w tytule słowo „miłość”. Mogłoby się stać twoim znakiem firmowym!

- Zobaczmy - odpowiedziała taktownie Marcella.

Nie chciała, żeby jej tytuły zawsze zawierały jakiegokolwiek słowo! Każda powieść miała być inna i zaskakująca dla czytelników. Jej trzydziestopięcioletnia bohaterka szukająca drugiego męża stanowiła czysty wytwór wyobraźni; Marcella praktycznie porzuciła myśl o znalezieniu partnera. Mężczyźni, obok których sadzała ją Amy podczas swoich kolacji, nie wywierali na niej najmniejszego wrażenia. Jakież to cyniczne, charakterystyczne dla Manhattanu, że jeśli nie okazywali się żonaci lub nie byli homoseksualistami, niezmiennie posiadali pewien defekt, który przeszkadzał im w znalezieniu żony - nieatrakcyjny wygląd, przeszczep włosów, który się nie przyjął, przykry charakter lub nerwowy tik. Ci uroczy i przystojni często okazywali się łowcami posagów bez grosza przy duszy. Jej anonimowe spotkania w kinie klubu Członkowie utrzymywały podniecający, erotyczny charakter, jednak zaczęła się z nimi wiązać nowa, niepokojąca tendencja. Niemal w tej samej chwili, gdy wychodziła, Marcella zapominała twarze mężczyzn, którzy dawali jej rozkosz. Uzależniła się fizycznie od tych wizyt, nienawidząc się za łamanie cotygodniowej obietnicy, że to „ostatni raz”. Zdegradowała seks do poziomu niemal zadowolającego podrapania w plecy i wiedziała, że kiedyś przyjdzie jej za to zapłacić. Mimo to ciemna sala kinowa wciąż pozostawała swego rodzaju zbiornikiem miłości, w którym mogła się zanurzyć, ilekroć potrzebowała zapewnienia, że jest pożądana, zmysłowa, kobieca.

Wiosenne niedziele aż prosiły się o długie spacery po Central Parku. Razem z Markiem oglądali dyskotekę na

wrotkach, przyglądali się wystawom sklepowym na Columbus Avenue, szperali na targach starzyzną, które wyrastały na opustoszałych boiskach szkolnych. Co niedziela Sonia opuszczała ich, mówiąc, że jedzie odwiedzić ojca. Przeniesiono go do lekkiego więzienia w New Jersey, a Sonia twierdziła, że jeździ tam pociągiem. Marcella i Mark wpadali coś przekąsić do jednej z nowych restauracji przy Columbus Avenue, wracali do domu o piątej lub szóstej, żeby czytać gazety, a Marcella zaznaczała recenzje książek, które zwróciły jej uwagę. Później Mark szedł z przyjaciółmi na koncert albo ćwiczył na fortepianie.

Pewnej niedzieli o ósmej wieczorem właśnie grał, kiedy zadzwonił telefon. Marcella spojrzała na syna pytająco, więc Mark odebrał. Sonia jeszcze nie wróciła. Często prosto po wizycie u ojca szła do przyjaciół. Marcella się niepokoiła, ale czuła, że zwiększenie dyscypliny mogłoby pogorszyć i tak już napięte stosunki.

- Halo? - powiedział Mark, a potem szepnął do matki: - Sonia.

- Czy ona słyszy? - spytała Sonia chrypiącym szeptem. Zawsze sprawiała, że Mark czuł się jak konspirator uczestniczący w jednym ze spisków siostry.

- Oczywiście! - odparł z uśmiechem.

- Słuchaj, Mark. Wymyśl taką historię, jaką chcesz - mówiła Sonia ledwie słyszalnie. - Powiedz, że utknęłam na Grand Central, albo zemdlałam na ulicy, ale przyjdź natychmiast na... masz ołówek?... Wschodnią Siedemdziesiątą Pierwszą numer sześćdziesiąt, *prontol* - zachichotała. - Daj portierowi dziesięć dolców i powiedz, że jesteś kumplem Gerry'ego Manstona. Zrozumiałeś? Zapytaj o apartament B. On pokaże ci drogę, jest przyzwyczajony. Szybko... mam kłopoty!

- Dobra - odparł Mark.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Marcelli.

- Utknęła na Grand Central bez pieniędzy. Chce, żebym ją wyratował...

Tylko Sonia potrafiła go skłonić do okłamywania matki. Marcella odetchnęła z ulgą.

- W kuchni są jakieś pieniądze, kochanie.

Mark wziął trzy banknoty dziesięciodolarowe i złapał na ulicy taksówkę. Kiedy dotarł pod wskazany adres, portier puściwszy oko przyjął dziesięć dolarów i zawiózł Marka do apartamentu B, po czym otworzył drzwi jednym z wielkiego pęku kluczy.

- Tutaj! - rozległ się głos Soni.

Mark zamknął drzwi wejściowe i poszedł za wołaniem szerokim korytarzem obwieszonym zdjęciami Roberta Map-plethorpe'a. Otworzył przeszklone drzwi do głównego pokoju. Sonia leżała na środku podłogi naga, spętana jakąś uprzężą, z kostkami przypiętymi do przegubów. Obok jej twarzy stał telefon z nie odłożoną słuchawką.

Mark wpatrywał się w siostrę, znieruchomiały ze zdumienia.

- Poznajesz ten pokój? - spytała Sonia.

Oderwał wzrok od jej ciała i rozejrzał się wokół siebie. Pokój był biały, z kilimami na parkiecie i ścianami przechwalającymi się obrazami Picassa, Rouault i Hockneya.

- Nie... - Potrząsnął w zdumieniu głową. - A powinienem?

- Był w ostatnim numerze „House & Garden” - zaszczę-biotła Sonia. - Geny Manston, kolekcjoner sztuki. Schował cały sprzęt do krepowania, a na tym haku powiesił olbrzymią paproć. Sześć pieprzonych stron! Lepiej, żeby wyciągnął z tego, ile się da, bo nie napiszą o nim więcej, kiedy się stąd wydostanę! Rozwiąż mnie teraz!

Mark rzucił marynarkę na jej nagość, niejasno rejestrując długie kończyny, kępkę ciemnych włosów między nogami, krągłe piersi, sterczące, mimo że leżała na podłodze.

- Dwie godziny zajęło mi zepchnięcie słuchawki językiem z widełek! - pochwaliła się Sonia. - Potem musiałam nacisnąć numer! Boli mnie język! Nigdy tego nie rozwiążesz, przynieś z kuchni nóż.

Jak w jakimś dziwnym śnie, Mark poszedł do kuchni, pełnej nieskazitelnej nierdzewnej stali, znalazł ostry nóż do chleba wiszący na stojaku z nożami. Klęknął obok siostry, przyglądając się skomplikowanym więzom i supłom, które ją pętały.

- Nie rozumiem, co to jest? - spytał.

- Nic nie mów - jęknęła Sonia. - Po prostu wyplącz mnie z tego!

Zaczął ostrożnie piłować grube skórzane pasy. Kiedy uwolnił jej jedną rękę, Sonia pomogła mu rozwiązać skomplikowane węzły, aż wreszcie wyszarpnęła kończyny, roztarta kostki i przeguby. Patrzyła z pełnym fascynacji przerażeniem na jaskrawoczerwone pręgi.

- Widzisz, co ten facet ze mną zrobił?! - spytała ze zdumieniem. - Och, Mark! - Rzuciła mu się nagle w ramiona. - Nigdy w życiu się tak cholernie nie bałam! Myślałam, że on mnie zabije!

Trzymał ją drżącą w ramionach. Pomimo przerażenia i niesmaku, było mu żal siostry, pragnął ją ochraniać. Płakała, tuląc się do Marka; wysoki, zawodzący głos, tak niepodobny do Soni, jaką znał. W tej rzadkiej chwili czułości odgarnął jej z twarzy długie, ciemne włosy.

- Już dobrze - szepnął. - Wszystko w porządku.

- A co by było, gdybym nie sięgnęła do telefonu? - Sonia zadrżała. - Gdybym leżała tu zamknięta przez wiele dni, a on pozwoliłby mi umrzeć z głodu?

Mark wyprostował się i zmarszczył brwi.

- Kim właściwie jest ten facet, do cholery? Dlaczego zadajesz się z takimi świrami?

Odsunęła się od brata i wstała, prostując obolałe ciało.

- Już ci mówiłam! Auu! - Wygięła plecy. - Gerry Manston, kolekcjoner sztuki. Od kilku miesięcy próbował mnie tu zaciągnąć. W końcu pomyślałam: „A co mi tam?” i przyszłam!

Rozejrzała się za dzinsami i naciągnęła je.

- To wielka, tłusta świnia handlująca narkotykami, ciągnąca forszę z Wall Street. Ma się za kolekcjonera sztuki, bo jeden czy dwóch marszandów zapłaciło mu za kokainę płótnami! - Naciągnęła miękki, czarny sweter i przesunęła dłonią po włosach. - Chodzi o to, że ja go znam! Zaufałam mu! Nie powinnam była posuwać się tak daleko. Chryste, on wie, że jestem modelką! Znam jego żonę, przyjaciół, wszystkich! Ale zobaczysz, jak wyrównam rachunki!

Zobaczysz, jak zrujnuję życie tego faceta!

Mark potrzęsnał głową.

- Może na chwilę zapomnimy o zemście i znikniemy stąd, zanim wróci?

- Dlaczego Po co ten pośpiech? - zachichotała Sonia, rozglądając się po mieszkaniu. - Myśli, że wróci tu i zastanie mnie związaną, jak mnie zostawił. Chcę mu zrobić małą niespodziankę!

Z biurka w stylu art deco chwyciła butelkę atramentu i, zanim Mark zdołał ją powstrzymać, cisnęła nią w białą ścianę. Popłynęły granatowe strumyczki, ochlapując poduszki i dywaniki.

- Teraz może się chwalić, że ma oryginalne malowidło ściennie autorstwa Soni Winton! Śmiejąc się pobiegła do kuchni. Mark rozejrzał się po pokoju. Zrobiło mu się niedobrze.

- Soniu! - zawołał. - Po prostu chodźmy już stąd! Wróciła z tacą zastawioną butelkami ketchupu, musztardy, octu i wina. Z rozłożonymi rękami, trzymając po dwie butelki w dłoniach, zaczęła wirować szaleńczo, coraz szybciej i szybciej, potem butelki wypadły jej z rąk. Poleciały po pokoju, tłukąc lustra i obrazy, wypełniając pokój zapachem alkoholu i jedzenia.

- Soniu! - krzyknął, próbując ją złapać, ale uchyliła się i podbiegła do płóciennej sofy i klękła na niej. - Boże drogi, jesteś...

Spuściła dzinsy i chichocząc nasikała.

- Po co to, do cholery, zrobiłaś? Zapięła spodnie.

- Chciałam tylko, żeby miał ode mnie małą pamiątkę.

Zaśmiała się. Umoczyła palec w kałuży ketchupu i napisała na ścianie dużymi literami PIERDOŁĘ CIĘ. Mark złapał siostrę za ramię.

- Portier nas widział, na rany Chrystusa! Możemy mieć grube nieprzyjemności!

- Tak myślisz? - Uwolniła się z jego uchwytu. Znalazła swoją torebkę i wzięła z półki kamerę video. - Ta mała nie może mnie o nic oskarżyć po tym, co mi zrobił! Mam dopiero szesnaście lat, pamiętasz? Już jutro mogłabym go posłać za kratki! Nakręcił ze mną to całe pieprzone video!

- Wyjęła z kamery kasety, którą schowała do torebki, a kamera upadła z trzaskiem na podłogę. Nagle spojrzała na zegarek. - Och, obiecałam przyjść na pokaz mody do SoHo!

- krzyknęła. - Miałam zacząć próbę w tej pedalskiej melinie pół godziny temu. Mark, zjedź na dół i złap mi taksówkę. Jeszcze zdążę! Masz jakąś forszę?

Schowała do kieszeni jego dwadzieścia dolarów, a Mark bezradnie przyglądał się spustoszeniu, jakie zrobiła. Kiedy ponownie spojrzał na siostrę, upinała włosy przed lustrem. Potrząsnął głową i zszedł na dół. Znalazł taksówkę. Sonia wybiegła z domu i pomachała portierowi na pożegnanie; wyglądała świeżo jak stokrotka.

Wskoczyła do wozu i zatrzasnęła drzwiczki.

- Chcesz wracać do domu? - spytała Marka.

Skinął głową, więc Sonia podała kierowcy oba adresy. Po drodze przez Park Avenue Mark obserwował siostrę.

- Czy naprawdę tak chcesz żyć, Soniu? - spytał. Zmarszczyła czoło, grzebiąc w torebce, znalazła papierosa.

- A co w tym złego? - spytała, zapalając.

- Czyli nie jeździsz do taty?

- Tata nie chce mnie widzieć - odparła ze śmiechem. - Uważa mnie za ździrę. Nawet w więzieniu mnie osądza!

Markowi zebrało się na mdłości. Wyglądał przez okno pełen żalu. W ten wieczór Manhattan prezentował się inaczej, dziwnie i, Mark musiał przyznać, że wspanialej.

- Tutaj! - powiedział taksówkarzowi, kiedy dojechali do Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Wysiadł i stał, trzymając za klamkę; nie chciał puścić siostry. Jako starszy brat czuł się zobowiązany, żeby coś jej powiedzieć, ostrzec ją.

Wyzwolili w nim instynkt opiekuńczy. Było to nowe, silne uczucie.

- Soniu, nie czuję się dobrze w związku z tym - wyjąkał. Zatrzasnęła drzwiczki z niecierpliwością.

- Słuchaj - powiedziała przez opuszczone okno - naprawdę mnie to gównie obchodzi!

- Ale jak możesz dziś pracować jako modelka? - zapytał.

- Makijaż! - Uśmiechnęła się szeroko. - Zakrywa wszystko!

- Ale... - Urwał, czując suchość w gardle. Nagle poczuł absurd całej sytuacji i zapragnął się rozplakać. - Jesteś taka piękna! - wykrztusił niepewnie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Co to, do kurwy, ma do rzeczy?

Wybuchnęła śmiechem, a taksówka ruszyła z piskiem opon.

- Ma! - krzyknął za nią Mark. - Powinnaś się bardziej cenić!

Sonia dumnie potrząsnęła głową. Te długie, falujące włosy, te liliowe oczy - myślał, patrząc w ślad za siostrą. Ile kobiet dałoby wszystko, żeby tak wyglądać? Ruszył w stronę domu. Jej zachowanie kłóciło się ze wszystkimi regułami normującymi życie, kontrolującymi szczęście i los. Jakaś częścią swej natury Mark czuł zarówno dezaprobatę jak i tęsknotę za tą wolnością, przygodą, ku której gnała siostra.

W ciągu tego lata Marcella wносиła poprawki do końcowej wersji *Największej miłości ze wszystkich*, którą Volumes zamierzała wydać jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Pracowała częściowo u Amy w Southampton. Mark i Sonia odwiedzali ją w weekendy. Odkryli w pobliżu stadninę, gdzie Sonia mogła jeździć i przez kilka tygodni Marcella z radością patrzyła na twarz córki, z której zniknęła posępna mina. Galopując ze śmiechem po otwartej przestrzeni, siedząc pewnie w pozycji doświadczonego jeźdźca na najlepszym koniu w stadninie, Sonia promieniała i zmieniała się w inną osobę. Pomagała Amy i Marcelli przygotowywać sałatki, domowy makaron z owocami, którym żywili się tego lata. Amy spacerowała z Markiem i Sonią po oświetlonej księżycem plaży, położonej tak blisko jej domu.

Pewnej nocy, kiedy Mark i Sonia poszli przodem, Marcella powiedziała do Amy:

- Jakie to cudowne, widzieć ją taką. Zdrowe, szczęśliwe, szesnastoletnie dziecko!

Amy ściągnęła usta.

- Niestychanie piękna, niewiarygodnie seksowna mała bomba zegarowa - poprawiła ją przyjaciółka.

- Może w mieście - zgodziła się Marcella. - Ale widziałas ją na koniu, Amy? Jaka jest wtedy piękna? Takim właśnie miała być dzieckiem!

Kiedy we wrześniu wrócili do Nowego Jorku, Marcella wybrała dla Soni nową szkołę, specjalizującą się w kształceniu dzieci posiadających problemy w nauce.

Pod koniec września Marcella poleciała do Anglii, by pilotować brytyjskie wydanie *W imię miłości* w miękkiej oprawie. Angielski wydawca powitał Marcellę ciepło i przyjaźnie, a wesoła dziewczyna odpowiedzialna za reklamę towarzyszyła jej podczas rozdawania autografów u Har-rodza i Hatcharda, a także podczas obowiązkowego udziału w programach telewizyjnych. Terry Wogan, brytyjski odpowiednik Johnny'ego Carsona, dzierżył książkę Marcelli, zapewniając widzów, że to niezwykle pasjonująca lektura. Michael Aspel, czarujący rywal Wogana, w wieczornym sobotnim programie rozmawiał z Marcellą poważniej o tym, jak napisać bestseller. Wywiady udzielane gazetom i magazynom pomogły wywindować książkę na pierwsze miejsce już w pierwszym tygodniu rozpowszechniania. Marcella była podejmowana kolacjami co wieczór przez dyrektorów brytyjskiego wydawnictwa. Ich żony przychodziły także, na wypadek gdyby olśniewająca amerykańska pisarka zamierzała polować na mężczyzn. Ale patrząc na łysiejących, grzecznych panów o różowych policzkach, Marcella miała ochotę je zapewnić, że nie istnieje żadne niebezpieczeństwo. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że atmosfera Londynu nie sprzyja przygodom miłosnym. Miała akurat dosyć czasu, żeby odwiedzić kilka sklepów przy Jermyn Street, gdzie kupiła koszule i krawaty dla Marka, perfumy dla Soni i Amy, po czym wróciła Concorde'iem do domu.

Kolejna błyskawiczna, znakomicie zorganizowana akcja reklamowa wypromowała *Największą miłość ze wszystkich* pod koniec października. Volumes tradycyjnie organizowało ekspozycję książki w księgarniach, a prasa zamieszczała nowe barwne zdjęcie Marcelli w małej ozdobnej ramce.



Kiedy książka weszła na rynek, Marcella wyruszyła samotnie do miast kluczowych dla sprzedaży nakładu. Podejmowali ją ludzie z reklamy i przedstawiciele Volumes. Wszędzie powtarzała te same historie, uśmiechała się w odpowiedzi na te same pytania, biegła do limuzyny ze zgrabnie spakowaną walizką, by pojechać do kolejnej stacji radiowej czy telewizyjnej. Było to dziesięć dni całkowitego szaleństwa, a Marcella nienawidziła każdej sekundy. Samotne kolacje w „modnych” restauracjach hotelowych, w których się zatrzymywała. Spacerowanie dla rozprostowania nóg w jakiejś zabitej dechami dzielnicy. Dziennikarze przeprowadzający z nią wywiady nie czytali książki, ale zadawali takie pytanie, jakby czytali. Musiała być czarująca dla wszystkich: reklamowanie książki stanowiło cel nadrzędny, dlatego tylko wieczorem z anonimowych pokoi hotelowych dzwoniła do Amy, żeby się poskarżyć. Amy przeżyła już kiedyś to wszystko i wiedziała, jakimi słowami pocieszać Marcellę. Po zakończeniu tournée Marcella zamknęła się w swym nowojorskim mieszkaniu i nie wychodziła z łóżka przez okrągłą dobę.

Powieść rozpoczęła karierę na liście bestsellerów od miejsca szóstego. W mieszkaniu Amy odbyła się uroczystość z toastami szampanem i przemówieniami przy kolacji. Marcella przypilnowała, żeby Amy zaprosiła Nancy Warner, która nie kryła swego uwielbienia dla wszystkich poznanych pisarzy, a podczas kolacji nieoczekiwanie zafascynowała słuchaczy opowieściami o prowadzonym przez siebie kursie pisarskim.

Kiedy książka wspięła się na drugie miejsce, Marcella musiała przyznać Amy rację, że bestseller daje poczucie, nie mogące się równać z niczym innym. Świadomość, że setki tysięcy ludzi kupowały i czytały jej dzieło, stanowiła największą nagrodę. Podpisała z Volumes nową umowę na cztery miliony dolarów za trzy kolejne książki. Nie na tak wiele jak liczyła Amy, ale Marcella i tak uważała skrycie, że to więcej, niż jej się należało.

W okresie pracy nad książką seks był prawie nieobecny w jej życiu, a podróż do Londynu odciągnęła Marcellę od jej

tradycyjnych pragnień. Jednak własne ciało przypomniało jej nagle, jak bardzo potrzebuje tego rodzaju doznań. Nastąpiła seria wizyt w tym znajomym, ciemnym miejscu, gdzie szeptane prośby i ostrożne dłonie wrzucały ją w świat mężczyzn. Wszelkiego rodzaju mężczyzn. Mogła spędzać czas z dojrzałym, światowym pięćdziesięciolatkiem albo z młodym atletą

o świeżej twarzy. Mógł być Amerykaninem, Europejczykiem, Argentyńczykiem czy Japończykiem, ale zawsze miał nienaganne maniery, był czuły i troskliwy. Możliwe, że ulegała złudzeniu, ale miała wrażenie, że przeżywa całe romanse skondensowane do trzydziestu minut. Męskie ramiona sprawiały, że czuła się doceniona, potrzebna; fakt, że nigdy więcej nie miała zobaczyć danego człowieka, dodawał przygodzie swoistej pikanterii. Nie było czasu na wtargnięcie brutalnej rzeczywistości, która mogła wszystko zepsuć. Marcella wypracowała całą nową filozofię oceniania mężczyzny po dotyku. Jediną kwestią, jaka zaprzętała jej umysł, było pytanie, w jakim stopniu jest to szkodliwe.

W kilka dni po powrocie z Londynu przystojny, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, zgrabny i dobrze zbudowany, przekręcił się w fotelu, by patrzeć, jak najpierw Marcella, a potem on osiąga zadowolenie. Chciał ją nadal dotykać, ale go odepchnęła, niezdolna przyjmować więcej rozkoszy.

Zaproponował jej drinka w barze, co zresztą robiło wielu mężczyzn. Jak zwykle odmówiła. Odgradzała swe przygody od życia towarzyskiego - nigdy nie powinny w nie wkraczać. Gdyby odkryła, czym się ten człowiek zajmuje, jak żyje, czy istnieje możliwość ewentualnego związku poza tymi czerwonymi pluszowymi fotelami, w życiu Marcelli zapanowałby chaos. Należało widzieć fantazję jako to, czym była, na tym polegała jej atrakcyjność. Dlatego funkcjonowała. Mieściła się całkowicie poza przyjętymi regułami życia i dlatego tak bardzo podniecała.

Na pożegnanie pocałowała mężczyznę w policzek i opuściła kino natychmiast, kiedy odzyskała równowagę ducha. Wiedziała, że tego popołudnia wyglądała niedbale, na pewno rozmazała jej się szminka, a oczy od rozkoszy lśniły mętnym

blaskiem. Przed wyjściem włożyła ciemne okulary, przez co musiała iść po omacku czarnym, lśniącym korytarzem, rozświetlonym rzędami małych białych żarówek. Ilekroć wychodziła z klubu, zawsze towarzyszył jej lęk, że ujrzy kogoś znajomego. Było mało prawdopodobne, że którykolwiek z tutejszych bywalców czytał jej książki, ale co by się stało, gdyby spotkała kogoś z Volumes, na przykład Scotta, dyrektora działu sprzedaży czy reklamy? Nerwowo przesunęła dłonią po włosach, kiedy nagle z mroku wyłoniła się jakaś postać i chwyciła ją za ramię.

- A ludzie mówią, że to ja jestem świrnięta! - rozległ się głos Soni.

Marcella obróciła się gwałtownie i ujrzała uśmiechniętą szyderczo, pełną triumfu twarz córki. Marcellę ogarnęła nagła panika; spróbowała uwolnić się z uchwytu. Przyszła jej do głowy szalona myśl, żeby się wyrwać, wrócić do kina i zostać tam aż do wyjścia Soni. Ale uścisk był zbyt silny. Sonia uwiesiła się na ramieniu matki i patrzyła jej prosto w oczy.

Marcella mieniła się na twarzy, aż w końcu, choć kręciło się jej w głowie, zdobyła się na uśmiech.

- Czy ty też jesteś miłośniczką Paula Newmana? - spytała.

Sonia potrząsnęła drwiąco głową.

- Och, mamo, kochanie, będziesz musiała wymyślić coś znacznie lepszego. Wiesz na pewno, jaką reputacją cieszy się to miejsce! Nie chodzi tu o oglądanie starych filmów, choćby to była klasyka... - Spojrzała na afisz zapowiadający przegląd filmów opartych na podstawie utworów Tennessee Williamsa. - *Kotka na rozpalonym blaszanym dachu* to chyba klasyka, co? - Trzymała palec na przycisku przywołującym windę. - A więc to tutaj przychodzisz. Ciekawiło mnie, gdzie moja kochana, uczciwa, romantyczna, słodka mamusia znika tak często po południu, kiedy powinna pracować w domu. To było ekscytujące... złapać taksówkę i powiedzieć: „Za tym Rollsem!” Robiłaś wrażenie winnej, kiedy Donald wysadził cię kilka przecznic stąd. Jednego musisz się nauczyć, mamo: bądź bezczelna! Wtedy wszystko

ujdzie ci na sucho! - Znowu nacisnęła guzik. - A teraz wynośmy się stąd, zanim mnie ktoś zobaczy i opowie wszystkim, że tu przychodzę!

Winda wreszcie przyjechała i drzwi się rozsunęły. Wstąpiły w mrok pełen luster.

Ona nie ma dowodu - zapewniała siebie Marcella, drżąc.

- Oprócz wyrazu mojej twarzy, nie ma żadnego dowodu. Gdy dojechały na parter, ruszyły do wyjścia, a Sonia nie puszczała ramienia Marcelli, jakby się bała, że matka ucieknie. Blask Pięćdziesiątej Siódmej ulicy oślepił je niczym lampa błyskowa.

- Przypuszczam, że Donald nie czeka na ciebie tutaj?

- spytała Sonia.

Pociągnęła ją na wschód, zdjęła ciemne okulary, żeby przyjrzeć się twarzy matki.

- Czekasz na Siódmej alei - mruknęła Marcella.

- Och, mamo — jęknęła Sonia, nie zwalniając kroku.

- Widzisz, między nami jest duża różnica. Ja robię różne rzeczy, chodzę w miejsca, o jakich nie śniło ci się w najdzikszych marzeniach. Ludzie mówią, że jestem szalona, ale mnie to naprawdę gównie obchodzi, bo nie uczę się z niczyją opinią! Tylko, że ja tego nie ukrywam. Nie chowam się za jakimś słodkim, sztucznym grymasem i nie udaję, że...

- Przestań! - krzyknęła Marcella, w końcu wyzwalając ramię z uchwytu Soni. - Nie wiem, co myślisz, że odkryłaś, poza tym, że czasem idę po południu do kina, ale...

- Porozmawiamy o tym z Marczkim - przerwała jej Sonia, znowu pociągając matkę za sobą. - Zobaczymy, jak jemu spodoba się fakt, że jego kochana mamusia chodzi popołudniu na klasyczne filmy do Członków, znanej speluny, skąd wychodzi rozpalona i rozczochrana...

- Masz nie mówić o tym Markowi! - krzyknęła Marcella. - Sama możesz myśleć, co ci się żywnie podoba, ale jego do tego nie mieszaj.

Sonia zaśmiała się.

- Porozmawiamy o tym, kiedy znajdziemy samochód.

- Wzruszyła ramionami.

Rolls czekał na rogu Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i Siód-

mej alei; Donald powitał Sonię, otwierając przed nimi drzwiczki. Usiadły z tyłu. Sonia szczelnie zamknęła szybę dzielącą je od kierowcy. Samochód jechał na wschód, a ona szeptała do Marcelli konfidencjonalnie.

- Powiem ci, co teraz będzie. Znalazłam mieszkanie, które mi się podoba, przy sześćdziesiątych ulicach wschodnich. Jedna sypialnia. Bardzo drogie, ale dostaję tyle zamówień, że mogę sobie na nie pozwolić. Nie wezmę od ciebie ani centa! Potrzebny mi tylko twój podpis na umowie wynajmu, bo jestem nieletnia. Wyprowadzę się w przyszłym tygodniu.

Marcella znalazła papierosa i zapaliła go drżącą ręką.

- Z jakiego powodu tak bardzo ci się spieszy z przeprowadzką? - spytała. - Myślisz, że szantażem możesz zmusić mnie do...

- Wracanie do was okazało się pomyłką. - Sonia wzruszyła ramionami. - Ale nie miałam dokąd pójść. Zapomniałam, jacy jesteście, ty i Mark. Na wasz widok flaki mi się przewracają!

- Czy nie możesz uwierzyć, że bardzo się cieszyliśmy z twojego powrotu? - spytała Marcella. - Nie możesz uwierzyć, że Mark i ja cię kochamy?

Sonia wzruszyła ramionami z irytacją.

- Proszę! - wzdrygnęła się. - Oszczędź mi tej sacharyny!

- Myślałam, że w końcu staniemy się rodziną - powiedziała Marcella.

- Rodziną? - powtórzyła Sonia. - Patrząc, jak wymieniacie spojrzenia, siedzieć przy śmiertelnie nudnych kolacjach, kiedy ty i Mark rozmawiacie o jego muzyce! Ty mnie nie rozumiesz! Nie rozumiesz tego, czego chcę! Tego, co osiągnę! Stanę się dziesięć razy sławniejsza niż Mark. Zobaczysz! Jeśli tylko uda mi się od was odczepić!

Marcella patrzyła na córkę, na szalony błysk w jej oczach.

- Jak do tego doszło, że taka się zrobiłaś, Soniu? - spytała cicho. - Taka zawzięta, gorzka w wieku szesnastu lat! Co się z tobą stało przez te dwa lata? Co zrobił ci ojciec?

Sonia niemal na nią warknęła.

- Nic mi nie zrobił! Był cudownym ojcem! Byłam jego

księżniczką i tak mnie traktował. Kiedy wyjdzie z więzienia, znowu zamieszkamy razem. W Kalifornii! Do tego czasu zarobię mnóstwo pieniędzy. Kupimy konie, a ja...

Potrząsnęła głową, nagle niezdolna wykrztusić ani słowa; oczy zabłysły jej łzami.

To tylko dziecko! - myślała Marcella. Wbrew temu, co się stało, chciała ją przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Położyła dłoń na ręce córki.

- Co się stało, Soniu? Powiedz mi. Może będę mogła pomóc? - spróbowała.

Sonia zamknęła oczy i odchyliła głowę na skórzane oparcie. Kiedy otworzyła oczy, tęczęwki były zalane łzami, podzielone jak kalejdoskop na odłamki czerwieni i błękitu. Patrzyła bezradnie na Marcellę.

- Po prostu pozwól mi odejść. Pozwól mi żyć na mój własny sposób. Dam sobie radę. O nic cię nie proszę.

Wyprowadziła się w najbliższy weekend, trzy dni po tym, jak Marcella podpisała umowę wynajmu.

Marcella patrzyła, jak Sonia, wspomagana przez Marka i Donalda, załadowuje do Rollsa torby pełne ubrań.

- Śmieszne - mruknęła do Amy, która stała z nią w foyer. - Prawie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. W zeszłym tygodniu... wydarzyło się coś, co niemal zburzyło barierę, która nas dzieli.

- A teraz się wyprowadza? - spytała Amy. - A więc tyle z bliskości! Ale to jeszcze dziecko, Marcello. Jak możesz jej na to pozwalać?

Marcella potrząsnęła głową, patrząc, jak Mark stawia mały telewizor na tylnym siedzeniu.

- Ty nie wiesz, Amy. Ty po prostu nie wiesz. Ona nie jest dzieckiem. Nie mam pewności, kim jest, ale Sonia czuje głód człowieka zdeterminowanego, by osiągnąć wyznaczony cel. Jej się strasznie śpieszy!

- To szczęście, że jest taka piękna - zauważyła Amy. - Bez tej urody byłaby dość przerażającą postacią...

Donald włożył ostatnie torby do bagażnika. Sonia pocałowała Marka i usiadła z przodu obok Donalda.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy pojechali z tobą i pomogli ci się rozlokować? - spytała Amy.

Sonia potrząsnęła głową.

- W tym momencie dwaj charakteryzatorzy wieszają tam zasłony! - zawołała. - A ja wcale nie chciałam zasłon! Pa, Mark! Pa, Amy! Pa, mamó, kochanie! Dzięki za gościnę! Nie zapomnijcie przesyłać listów!

Gdy wrócili do mieszkania Mark objął Marcelłę.

- Zostaliśmy tylko my dwoje. - Uściskał ją. - I to właśnie lubię najbardziej.

Mimo że uwielbiała, kiedy ją tulił, wyslizgnęła się z uścisku Marka.

- A ty jesteś moim kolejnym problemem! - powiedziała. Uśmiechnął się szeroko, jakby się z nim droczyła.

- Mówię poważnie, Mark! - dodała, kiedy wysunął dolną wargę w komicznym grymasie. - Czasami myślę, że jesteśmy sobie zbyt bliscy. Zdaniem Soni, to myśmy ją zmusili do odejścia! Co zrobisz, kiedy pewnego dnia kogoś poznasz? Mężczyznę, za którego zechcę wyjść za mąż? Jak moglibyśmy prowadzić normalne życie?

- Normalne? - zachichotał Mark. - Nasze życia nie mogą być normalne. Zdjęcie półnagiej Soni wisi w każdym wagonie metra i autobusie w mieście. Tata w więzieniu! Twoje książki są wszędzie, a ja zostanę sławnym pianistą! Podbiegł do fortepianu i na stojąco zaczął grać szalony jazzowy utwór. Marcella wybuchnęła śmiechem. Musiała mu przyznać rację. Określenie „normalne” nie przystawało do ich życia od kiedy Scott pomachał przed nią tym czepkiem w La Cirque.

Pielęgniarka Idy wychodziła o ósmej, a Marcella zaglądała potem do matki co dwadzieścia minut, w trakcie przygotowywania kolacji dla siebie i Marka. Kiedy jedli poza domem, płaciła pielęgniarce za dwie dodatkowe godziny. Pewnego wieczoru zastała Idę manipulującą przy włączonym telewizorze. Za pomocą noża udało się starszce odkręcić dwie śrubki.

- Spali cały dom, jeśli nie będziesz uważać - ostrzegła

Amy. - Ona naprawdę powinna zamieszkać w przyzwoitym domu opieki, Marcello. Dla jej własnego dobra. Dla jej własnego dobra. W jej własnym interesie. Kiedy przychodził moment wyboru między życiem własnym a rodziców, ludzie wyciągali te usprawiedliwiające określenia. Marcella nienawidziła ich, uważając, że są przejawem hipokryzji.

- Nie wiem, czy czekam na jakiś straszny wypadek, czy co? - Westchnęła do Marka. - Mogła zginąć porażona prądem. Gdybym ją umieściła w domu opieki, to byłoby takie ostateczne! Umarłaby tam, a ja nie mogę znieść myśli, że moja matka umiera wśród obcych.

Ten problem nie pozwalał Marcelli zasnąć. Pewnej nocy, kiedy wreszcie zapadła w sen, obudził ją zapach spalenizny. Błyskawicznie wstała i chwyciła szlafrok. Pokój matki był pusty. Popędziła do kuchni, skąd przez szparę pod drzwiami dobiegało światło. Otworzyła drzwi i zastała Idę, w pełni ubraną. Mieszała w garnku pełnym gęstej, wrzącej cieczy.

- Mamo!

Podbiegła do Idy, wyłączyła gaz i zajrzała do garnka, skąd unosił się ohydny odór. Spojrzała na składniki, które Ida ustawiła na blacie: ketchup, galaretkę winogronowa, masło orzechowe, majonez i mleko.

Matka odepchnęła ją z irytacją i mieszała dalej.

- Czy jesteś głodna, kochanie? - spytała Marcella. Osunęła się na krzesło i przyglądała się matce ze łzami w oczach.

Następnego dnia Donald zawiózł Marcellę do Connecticut, by mogła obejrzeć kilka domów opieki. W dzień później zabrała też Idę; pokazała jej najlepsze z nadzieją, że matka wskaże ten, który jej przypadł do gustu. Ale Ida patrzyła beznamiętnie na schludnie utrzymane ogrody i mające wywołać pogodny nastrój pokoje, nie okazując żadnej reakcji. Marcella wybrała najdroższy i najładniejszy dom, tuż przy New Haven.

W następnym tygodniu lekarz domu opieki poddał Idę drobiazgowym badaniom.



- Czy wie pani, że ona ma chorobę Alzheimera? - spytał później, kiedy Marcella oglądała wyniki prześwietlenia mózgu. - Tu widać duże obszary zniszczonych komórek mózgowych. - Wskazał na zdjęcie. - Obawiam się, że obecnie jej funkcje kognitywne są bardzo ograniczone.

Oddała mu zdjęcia i spojrzała na matkę.

- Tak, wiem - przyznała. - Próbowałam odkładać leczenie, jak długo to było możliwe.

- Czy ona traci panowanie nad sobą? - spytał. Marcella przełknęła ślinę.

- Czasami. Mam dla niej prywatną pielęgniarkę.

- To dobrze, że zdecydowała się ją pani umieścić pod opieką lekarską, pani Winton. Gdyby pozwoliła pani, by stan matki znacznie się pogorszył, o wiele mniej domów zgodziłoby się ją przyjąć.

Podziękowawszy lekarzowi, Marcella przeszła się z Idą po ogrodzie, pokazała matce starszych ludzi siedzących na krzesłach na trawnikach. Pielęgniarki opiekowały się nimi, poruszając się jak na zwolnionych obrotach, by dostosować się do tempa pacjentów.

- Będzie ci się tu bardzo podobać - zapewniła matkę, prowadząc ją ostrożnie. - Pozawierasz mnóstwo nowych przyjaźni, a ja i Mark będziemy cię co tydzień odwiedzać. Obiecuję.

Starannie rozpakowała walizkę ubrań, którą Donald wniósł do pokoju na pierwszym piętrze.

- Proszę nie składać wizyt przez najbliższe dwa tygodnie

- poradził lekarz. - Niech jej pani da czas na przystosowanie się do nowego miejsca.

- Czy macie zamiar dawać jej środki uspokajające? - spytała z przestrochą Marcella.

- Tylko w razie konieczności. - Dotknął ramienia Idy.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jakiegokolwiek problemy, prawda, pani Balducci?

Marcella uklękła przy krześle matki.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała, całując Idę w policzek

Matka spojrzała na nią i nagle odepchnęła córkę z iryta-

cją. Marcella była jej wdzięczna za ten gest. Pomogło to zaakceptować okrutną prawdę, że matka jej już nie poznaje. Potykając się, wyszła na korytarz. Obejrzawszy się, stwierdziła, że Ida nawet za nią nie patrzy.

W drodze do domu Marcella płakała. Dwa tygodnie przymusowej rozłąki zatrą w pamięci matki resztę śladów.

Teraz naprawdę zostaliśmy tylko my dwoje - powiedziała wieczorem do Marka.

Wziął ją w ramiona i przytulił.

- Czy to było straszne? - spytał.

Załamano się i wybuchnęła płaczem w objęciach syna.

- Ja nigdy ci tego nie zrobię - obiecał. - Nigdy! Spojrzała na niego błagalnie.

- Nie mów tak. Czuję się przez to jeszcze gorzej! Myślisz, że chciałam ją oddać do domu starców? Zrobiłam to, bo się bałam, że wyrządzi sobie krzywdę, jeśli nie będzie pod opieką przez całą dobę.

Codziennie dzwoniła do domu opieki, pytając o stan Idy. Kiedy zaczęli ją z Markiem odwiedzać, wydawało się, że matce nie żyje się gorzej w nowych warunkach. Siadali w ogrodzie i mówili do Idy, klepiąc ją po dłoni. Marcella mogła mieć tylko nadzieję, że ta jednostronna rozmowa przynosi matce pociechę.

Mark i ona stanowili ekskluzywny klub dla dwojga; jadalni na mieście, spacerowali po parku, chodzili do kina. W weekendy Donald woził ich do Village lub SoHo, gdzie szperali po straganach i przechadzali się w tłumie. Kazała odnowić pokój matki i urządziła w nim swoje nowe biuro.

Sonia stawiała się ulubienicą fotografów. Jej zdjęcie na okładce „Vogue”, z lubieżnie wysuniętym językiem, uczyniło z niej tę twarz. Wkrótce liliowe oczy Soni patrzyły co miesiąc ze straganów z gazetami i plakatów na przystankach autobusowych. Czasami Marcella próbowała telefonować do córki, ale mogła rozmawiać tylko z elektroniczną sekretarką; Sonia nigdy nie oddzwaniała.

Mark miał osiemnaście lat, stał na progu dorosłości i był tak oszłamiająco przystojny, że Marcella bała się o niego. Wiedziała, że żaden mężczyzna o takim wyglądzie nie może liczyć na spokojne życie. Obawiała się, że uroda może przyćmić talent muzyczny. Jak na razie jednak prowadził życie wzorowego studenta. Pracowity i poważny, był centralną postacią kółka młodych muzyków, którzy razem chodzili na koncerty, lubili pikniki w parku i wycieczki na północ stanu. Chodzili na koncerty do Carnegie Hall i Lincoln Center, a potem Mark zapraszał przyjaciół do domu na kawę. Ze śmiechem opowiadał Marcelli, o dziewczynach ze szkoły, które się w nim kochały. Wydawało się, że jest mu ich trochę żal; zniechęcał je taktownie, mówiąc, że najważniejsza jest dla niego praca. Marcella bardzo się starała, by nie wypytywać syna o jego życie osobiste.

- Należę do tych, którzy się późno rozwijają - powiedział jej tajemniczo.

Miał pewność siebie człowieka, który wie, że jest pociągający, lecz żadnej próżności. Czasami martwiła się, że Mark nie okazuje wielkiego zainteresowania dziewczętami, ale zdecydowała, że nie sposób ocenić życia seksualnego własnego dziecka.

Najwięcej mówił o nauczycielu, który niedawno przyszedł do Akademii Jacinthe, muzyku nazwiskiem Cole Ferrer. Zainicjował on gorąco dyskutowany kurs muzyki jazzowej, swingu, boogie i synkopowania. Władze szkoły doszły do wniosku, że taki kurs uzupełni edukację uczniów, a większość z nich z entuzjazmem zapisała się do klasy Ferrera.

- Mówi się, że żaden pianista klasyczny nie może być prawdziwie wszechstronny, nie znając przynajmniej trochę jazzu - powiedział Mark do Marcelli. Obrócił się na stołku i zagrał kilka akordów boogie. - Boogie wspaniale wzmacnia lewą dłoń...

Marcella patrzyła na jego dłonie na klawiszach.

- Widzę, ale nie będziesz tego grał za dużo, dobrze, Mark? - spytała. - W twoim wykonaniu to jakoś źle brzmi.

- Ferrer jest naprawdę wredny wobec uczniów, którzy nie traktują poważnie jego przedmiotu. Dlatego ćwiczę! - za-

śmiał się Mark. - Ten facet to sadysta. Zupełnie niepodobny do innych nauczycieli... sposób, w jaki się ubiera, jak się do nas zwraca...

Kiedy przyjaciele Marka przyszli kiedyś do niego, Marcella podsłuchiwała, że rozmawiali o nowym nauczycielu z wyraźnym lękiem. Pewnego dnia Mark wyznał matce, że kiedy szczególnie źle zagrał utwór Gershwina, Cole Ferrer doprowadził go do płaczu.

W następnym tygodniu przeczytała artykuł o Ferrerze w niedzielnym wydaniu „Timesa”. Jego posada w Akademii Jacinthe została zakwestionowana, kiedy zaczął występować w nocnych koncertach w Carlyle Lounge. Grał i śpiewał Gershwina i Cole'a Portera, który stanowił jego specjalność. Uprzejmie odrzucił krytykę, mówiąc:

- Jestem artystą estradowym. Gram wszędzie, gdzie mi płacą!

Zamożniejsi uczniowie wyprawiali się do centrum i płacili po dwadzieścia pięć dolarów, by posłuchać, jak ich nauczyciel gra w piątkową noc. Podczas sześciotygodniowych występów w Carlyle Lounge, Cole Ferrer stał się w pewnych kręgach postacią kultową.

Na poniedziałkowych lekcjach wpatrywał się w Marka hipnotycznymi, czarnymi oczami. Tym nielicznym kolegom, którym się zwierzał, wyznał, że nigdy nie miał bardziej utalentowanego ucznia. Niejeden z wykładowców zastanawiał się, czy to talent Marka wywiera na Ferrerze takie wrażenie, czy jego uroda. Mark, ze swej strony, nie miał do powiedzenia nic pozytywnego o swym nauczycielu, którego określał jako „zimnego jak lód” i „aroganckiego”.

Dlatego też Marcella była zdziwiona, kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem Mark powiadomił ją, że zaprosił do domu Cole'a Ferrera wraz z grupą przyjaciół po koncercie chopinowskim w Carnegie Hall.

*Największa miłość ze wszystkich* utrzymywała się na liście bestsellerów już wiele tygodni, ale teraz, z powodu zalewu książkowych prezentów gwiazdkowych, jej pozycja spadała. Amy zaczęła zasypywać Marcellę pytaniami, ponaglać ją do rozpoczęcia pracy nad nową powieścią. Marcella nie

znalazła jeszcze tematu i korzystała z wszelkich wymówek, by trzymać się z dala od gabinetu.

- Wydamy przyjęcie! - zaproponowała Markowi. - Cole Ferrer to znana postać, prawda?

Zazwyczaj podobali jej się młodzi ludzie zapraszam przez Marka do domu, zwłaszcza dziewczęta, które posyłały mu spojrzenia pełne uwielbienia, potwierdzając jej dobre zdanie o synu.

- Powiedz mi, Mark, dlaczego go zapraszasz? - spytała. - Sądziłam, że w szkole nie jest lubiany.

- Kontakty. - Zrobił oko. - Pomyślałem, że jeśli cię pozna, może przestanie mi dawać taki wycisk! Chyba nie masz nic przeciwko temu, że cię wykorzystuję, mamó? Postaraj się wyglądać tak cudownie, jak potrafisz!

Sądząc, że Mark bawi się w swata, postanowiła zrobić mu przyjemność i użyć wszystkich swoich wdzięków, przypodobać się Ferrerowi, żeby stawiał Markowi dobre stopnie i nie nękał go więcej.

We francuskiej piekarni na Columbus, którą uwielbiała, zamówiła kilka tac małych ciasteczek, ozdobiła salon piętro-wymi bukietami lilii, orchidei i róż. Tuziny świeczek migotały w pokoju, podczas gdy Marcella ubierała się tak starannie, jakby szła na koncert. Gdy na kwadrans przed jedenastą rozległ się dzwonek na dole, była gotowa na przyjęcie gości.

Pomyśl, że Mark chciał ją swatać, zniknął, kiedy tylko ujrzała Cole'a Ferrera. Rzadko ktoś nie podobał jej się od pierwszego wejrzenia, ale kiedy Mark wprowadził wysokiego bruneta, poczuła, że uśmiech zamiera jej na ustach.

- Mamó... Cole Ferrer, mój najbardziej przerażający nauczyciel! - przedstawił go Mark. - Jest też twoim wielkim wielbiciele!

Uniosła brwi, gdyż Ferrer ujął jej dłoń i przycisnął do ust. Zdjęcie, jakie widziała, nie przygotowało Marcem' na jego sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i władczy sposób bycia. Miał długą twarz o sennych powiekach i oczach tak ciemnych, że prawie nie widziało się ich wyrazu. Gładko zaczesane do tyłu czarne włosy. Szczupłe, ociężałe ciało

odziane w długi płaszcz, zarzucony na ramiona na kształt operowej peleryny. Był z innego dziesięciolecia, może z innego wieku.

- Cieszę się, że mogę panią poznać - wymamrotał. -Czytałem pani książki.

Wargi wykrzywił mu grymas pogardy, kąciki nieco opadały, jeśli nie starał się nad tym panować. Marcella wzdrygnęła się, kiedy musnęły grzbiet jej dłoni. Miała wrażenie, że dotknęła skóry jaszczurki.

- Moje książki zazwyczaj czytają kobiety! - zauważyła. Zaśmiał się lekko.

- Zgadza się. I wykazują dobry gust! Moja matka czytała *W imię miłości*, które potem jakimś sposobem znalazło się na stoliku obok mego łóżka. Zacząłem i nie mogłem się oderwać. Ależ pani ma talent narracyjny! Natychmiast kupiłem *Największą miłość ze wszystkich*. Podobała mi się jeszcze bardziej. Czy pracuje pani nad trzecią książką?

- Próbuję.

Cofnęła rękę, nieco zmieszana. Wyczuwała, że tak wybredny mężczyzna nie rozdaje wielu komplementów i nie ufała jego próbom przymilania się. Przywitała się z pozostałymi przyjaciółmi Marka, z których większość znała. Po drodze do kuchni zerknęła w lustro, żalując, że się tak elegancko ubrała. Jej kreacja okazała się o wiele za szykowna jak na małe spotkanie przy gorącej czekoladzie i ciastkach.

Wniosła do salonu tacę z ciasteczkami, którą Cole natychmiast jej wyrwał.

- Gdzie mam to postawić? - spytał.

- Może na fortepianie? - Skinęła głową. - O ile nie uważa pan tego za świętokradztwo?

Odwrócił się do niej z błyskiem w oczach. Obejrzał ją od fryzury po czubki pantofli, ważył każdy szczegół, oceniał go według swego smaku. Potem rozejrzał się po pokoju, robiąc to samo z meblami.

- Widzę, że pani kolekcjonuje? - Podniósł brwi. - Czy mogę obejrzeć?

- Oczywiście. - Zrobiła zapraszający gest. - Przyniosę

panu gorącej czekolady. Czy może raczej wolałby pan drinka?

- Gorąca czekolada brzmi wspaniale!

Nie spuszczała Cole'a z oczu, czekając, aż Mark naleje czekolady z dzbanka ze starej holenderskiej porcelany, której komplet niedawno kupiła. Patrzyła, jak Ferrer krąży po salonie, zaznajamiając się z jej książkami, meblami, małą kolekcją wiktoriańskiego szkła i porcelany.

Podawała mu czekoladę, co przerywało inspekcję półki angielskich bibelotów, które nabyła w londyńskim sklepie z antykami w zbyt dużym pośpiechu. Kiedy odwrócił się, sądziła, że powie, że to falsyfikaty.

- Mark mówił mi, jak bardzo jesteście sobie bliscy.

- Wziął filiżankę dziękując skinieniem głowy. Usiadł obok Marcelh na sofie, w pewnym oddaleniu od młodych ludzi.

- Podzielam to uczucie. Matka to moja najdroższa przyjaciółka i nie wyobrażam sobie mieszkania z kimkolwiek innym, chociaż wielu ludziom wydaje się to dziwne. Rzecz jasna, matka psuje mnie nieprzyzwoicie. Jestem pewien, że tak jak pani Marka!

- Nie sądzę, żebym go psuła. - Marcella zmarszczyła brwi i zapaliła papierosa. - Wszystko, co mogę zrobić ułatwiając mu życie, daje mu więcej czasu i energii do nauki.

- A, jak pani wie, jest geniuszem - dodał Cole dobitnie.

- Geniusze chodzą własnymi drogami.

Serce Marcelli zabiło gwałtownie i poczuła, jak uśmiech rozjaśnia jej twarz.

- Naprawdę pan tak uważa? - spytała.

- Gdybym tak nie myślał, nie byłbym dla niego taki surowy. Czy nie mówił pani, jaki ze mnie sukinsyn? Mark wykazuje zdumiewający talent jazzowy. Wielka rzadkość u pianisty z klasycznym wykształceniem.

- Ale to ma mu tylko pomóc w studiach klasycznych, prawda? - spytała Marcella. - Nie zrezygnowałby z zamiaru zostania pianistą koncertowym? Otrzymania stypendium Gianniego?

Cole spojrział na nią zdziwiony.

- Pani oczywiście rozmawia z nim o tym wszystkim,

tak? - Uniósł brew. - Mmm... - Pił czekoladę jak kot śmietanę. - Pycha! - Musnął usta serwetką. - Czy dodała pani szczyptę gałki muszkatołowej? Pani Winton... - Odstawił filiżankę, zwracając się ku Marcelli. - Kiedyś uczyłem chłopca, który grał Bacha jak anioł. Mógł zostać największym organistą świata. Zaskoczył mnie bo został wokalistą „Con-trol”, to taka grupa rockowa. Do dziś nagrywają przebojowe albumy, a on jest multimilionerem.

Marcella nachyliła się do niego i powiedziała żarliwie:

- Mark nie musi zaniedbywać muzyki dla pieniędzy! Mam tyle, ile mu potrzeba!

- Jak najbardziej. - Cole skinął głową. - Ale dzisiejsi młodzi ludzie lubią zarabiać własne pieniądze, zauważyła pani? A Mark musi robić to, co chce robić. Zrozumiałem podczas swej kariery nauczycielskiej, że można doprowadzić muzyka na scenę, ale nie sposób go zmusić do grania...

Dopił czekoladę, a Marcella wpatrywała się w niego z zakłopotaniem; złowrogie słowa Ferrera unosiły się w powietrzu.

Podszedł Mark.

- Co pan powie na zarobienie grą na swoją kolację, panie Ferrer? Moja matka nigdy pana nie słyszała...

Cole Ferrer wstał, strzepując okruchy z kolan.

- Poza szkołą, jestem Cole - poprawił Marka.

Ciastka zostały zdjęte z fortepianu, a wieko otwarto. Kiedy Cole usiadł do instrumentu, rozległ się szmer. Popłynęły lekkie akordy.

- Co za cudny dźwięk! - Ferrer pochwalił instrument. Zaczął grać, a Mark ścisnął dłoń matki. Marcella nigdy nie słyszała, by ktoś grał Gershwina tak, jak Cole Ferrer. Grał go z delikatnością i szacunkiem należnym Debussy'emu i Chopinowi. Niektóre utwory sam zaaranżował i wykonywał je z subtelnością, która odmieniła stosunek Marcelli do tej muzyki. Zawsze uważała kompozycje Gershwina za przesadnie romantyczne, nadające się do filmów lub do wspomniania minionych czasów przy cocktailach. Ferrer grał znane utwory z taką świeżością, że Marcella nie mogła go nie podziwiać. Obserwowała, jak Mark mu się przygląda.



Czy miał zamiar wielbić tego człowieka jak bohatera? - zastanawiała się. Markowi zabrakło w życiu kochającego, opiekuńczego ojca, ale bezsprzecznie nikt nie nadawał się mniej by zastąpić ojca niż Cole Ferrer.

Po zakończonym występie zaczęła krążyć pośród przyjaciół syna.

- Proszę, jedzcie te ciastka - błagała. - Nie zasnę, wiedząc, że są w mieszkaniu!

Czekała niecierpliwie, aż goście wyjdą, chcąc podzielić się z Markiem swymi obawami i usłyszeć, jak ją uspokaja. Znacznie później, kiedy przyjaciele Marka wreszcie wychodzili, Cole Ferrer ujął jej dłoń.

- Mama zwariuje, kiedy się dowie, że panią poznałem! Oboje czekamy z utęsknieniem na nową książkę! - powiedział szczerze.

Odprowdziła wszystkich z Markiem do windy. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Mark odwrócił się do matki z zapalem.

- No i? Co o nim myślisz?

Kiedy prowadził ją pod ramię z powrotem do salonu, żarliwe niebieskie oczy szukały na jej twarzy aprobaty.

- Dokonałeś prawdziwego zwrotu! - zauważyła ze zdumieniem. - Dawniej ten człowiek cię przerażał!

- Nauczyłem się posługiwać humorem! - Mark uśmiechnął się szeroko. - Ferrer ma takie dziwaczne poczucie humoru. Lubi też, kiedy ktoś mu się przeciwstawia! - Nalał sobie wina i dodał lodu. - Poza tym potrzebowałem kopa w tyłek, w sensie muzycznym! Stawałem się trochę snobem. Słyszałaś, jak cudownie można grać Gershwin, jeśli ma się odpowiednią wrażliwość.

- To bardzo interesujący człowiek. - Marcella odwróciła głowę, zapalając papierosa, aby Mark nie zauważył wyrazu jej oczu. Potrafili zawsze poznać, że druga strona kłamie.

- Niezwykle wykształcony. Czy jest Anglikiem? Wydawało mi się, że słyszę akcent.

- Nauczał przez trzy lata w Londynie - odparł Mark.

- Podchwycił akcent!

- Bardzo wysoko ceni twoją grę, Mark.

- Boże, gdybym potrafił grać tak jak on! - powiedział Mark, zbierając talerze ze stołu. - Kiedyś wieczorem wybieremy się do Carlyle i posłuchamy, jak gra!

Poszła za nim do kuchni, niosąc przepelnione popielniczki.

- Nie będziesz grał za dużo takiej muzyki kochanie, dobrze? - spytała.

Wrócił do salonu po dalsze talerze, a Marcella ruszyła za nim.

- Nie wiem! - Mark ustawił kilka talerzy w stertę, a potem padł na sofę i wyciągnął się, zrzucając buty. - Jazz, blues i ragtime to dzisiaj praktycznie klasyczny repertuar. Czy wiesz, co Hans Dichter śpiewał dziś na bis? *Summerti-me*

- Dla Franco Gianniego to nie jest klasyczny repertuar - przypomniała.

- Czy to cię martwi? - Mark usiadł, posyłając Marcelli uśmiech, od którego zamierało serce; nikt inny nie potrafił się tak uśmiechać. Zerwał się na nogi, podbiegł i pocałował matkę w policzek. - Mamo, wiesz, jak ciężko pracowałem, żeby dostać to stypendium! Oczywiście, że Chopin jest na pierwszym miejscu! Nawet jeśli jego utwory nie mają słów!

Razem z Amy dotarli do Carlyle w piątkowy wieczór. Sala była nabita, na widowni panowała cisza jak makiem zasiał. Ludzie obawiali się, że mogliby nie usłyszeć choćby echa którejkolwiek nuty Cole'a. Marcella musiała przyznać, że był nadzwyczajnym pianistą i piosenkarzem. Uśmiechała się widząc, jak Mark klaszcze nad głową po każdym utworze. Jeśli to było uwielbienie bohatera, nie ma w nim chyba nic groźnego - myślała.

Ferrer przysiadł się do nich po występie, razem z ludźmi z wytwórni płytowej, którzy usiłowali odciągnąć go od firmy nagraniowej, z którą obecnie współpracował. Mężczyźni ci, z ich grubą złotą biżuterią i modnym słownictwem, wydali się Marcelli i Amy wyjątkowo fascynujący.

Kiedy w końcu sobie poszli, Cole przeprosił Marcellę i Amy.

- Przkro mi z powodu tych typów z Las Vegas, ale dzięki

nim mama i ja opłacamy czynsz. Muszę się mieć na baczności. Nie mam zamiaru zostać odpowiedzialną lat osiemdziesiątych na Liberace'ie! Mam silną alergię na kandelabry!

Marcella i Amy nie mogły powstrzymać się od śmiechu, słuchając jego skarg na zmęczenie światem. Mark spijał każde słowo Ferrera.

- To tylko taki okres, przez który przechodzą - uspokoiła Amy Marcellę w drodze do toalety. - W każdym razie, tak słyszałam.

Po powrocie do domu Marcella leżała, rozmyślając o nowych planach powieściowych. Atmosfera panująca w hallu hotelowym, dziwny związek między muzyką klasyczną a popularną podziałały inspirująco na jej wyobraźnię. Cole dostarczył jej nowego, oryginalnego wzoru postaci. Przerastał normalnych ludzi, był dramatyczny! Gdyby poprawiła jego wygląd zewnętrzny, uczyniła go atrakcyjnym, męskim, dała mu piękną młodą uczennicę na zabój zakochaną w nauczycielu... przedstawiłaby go jako okrutnego, przystojnego, wymagającego nauczyciela muzyki, mogłaby się pobawić w stworzenie między uczennicą a nauczycielem napięcia w stylu Svengali. Zapaliła nocną lampkę i zaczęła robić notatki. Mogłaby zawrzeć w książce całą wiedzę o muzyce, jaką zdobyła od Marka; romantyczna opowieść rozgrywałaby się w czasie dwóch dziesięcioleci w salach koncertowych Ameryki i Europy. Burzliwa równowaga sił między nauczycielem a uczennicą uległaby zmianie, kiedy bohaterka zdobyłaby światową sławę. Tytuł natychmiast przyszedł Marcelli do głowy: *Muzyka miłości*. Scottowi by się podobał, bo zawierał słowo „miłość”, a czytelnicy uwielbialiby czystą rozrywkę. Wciągnęłaby ich w opowieść, tak że nie mogliby odłożyć książki, nie przeczytawszy jej do końca.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie jej brakować obecności matki ani ile razy przerywała pracę, żeby do niej zajrzeć, wypić kawę z pielęgniarką, upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Teraz przez cały dzień była sama, pisała od południa do wieczora, przerywała tylko po to, żeby

zjeść kanapkę przy biurku. Mark czytał niektóre rozdziały i służył radą w kwestiach muzycznych. Pracując wiele godzin dziennie, często siedem dni w tygodniu, spostrzegła, że stworzyła całą powieść w zdumiewającym okresie czterech i pół miesiąca.

- Czym ty jesteś, jakąś pieprzoną maszyną produkującą powieści? - wykrztusiła Amy, kiedy pod koniec kwietnia otrzymała maszynopis. - Mnie pisanie wydaje się zajmować coraz więcej czasu. Oczywiście, moja najnowsza powieść, *Między moimi nogami*, nie wymaga zbyt wielu badań!

- To był szczęśliwy traf - zaśmiała się Marcella. - Zobacz najpierw, czy ci cię podoba, zanim zaczniesz mnie poklepywać po plecach.

- Kolejny hit, Marcello! - zaszczębiotała Amy przez telefon, kilka dni później. - Musimy to uczcić! Czas, żebyś wyjechała na wakacje, a nikt lepiej niż ja nie wprowadzi cię do Europy.

- Dokąd do Europy? - spytała Marcella z powątpiewaniem.

- Na Majorkę! - zawołała Amy. - Migdałowce zakwitną w maju. Sosnowe powietrze i turkusowe, krystaliczne morze! Nie będziesz w stanie się oprzeć. Och, Marcello, wpadnij do mnie dziś o ósmej, omówimy wstępne szczegóły! Kiedy Marcella przysłała do Amy tego wieczoru, na ścianie w salonie wisiała mapa Hiszpanii. Śródziemnomorska wyspa Majorka została zakreślona liliowym flamastrem.

Amy usadziła Marcellę z butelką lodowatego szampana i talerzami pełnymi pysznych rzeczy do pogryzania, potem wstała i zaczęła wskazywać srebrnym widelczykiem.

- Nasz cel! - ogłosiła, dźgając Palmę, stolicę. Przesunęła widelec nad Morzem Śródziemnym ku właściwej Hiszpanii.

- Po przylocie do Barcelony, polecimy trzydzieści minut nad morzem. Majorka jest oryginalną, tajemniczą wyspą, jednym z najlepiej strzeżonych sekretów Europy! Oczywiście przed Amerykanami bo Europejczycy wiedzą o niej wszystko!

Marcella sączyła szampana, opierając się na stercie poduszek, które podsunęła jej Amy. Za oknami Central Park

osiągnął swój najciemniejszy odcień zieleni; wieże na jego obwodzie migotały blaskiem świateł.

- A dlaczego to takie wyjątkowe miejsce? - Marcella uśmiechnęła się. - Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby mi powiedzieć!

Amy zaczerpnęła wzięła łyk szampana i zrobiła zamach widelczykiem.

- No, dobrze... najbardziej bajeczni mężczyźni na świecie znajdują się w Hiszpanii i na jej wyspach: czy to zbrodnia? Zatrzymamy się w bardzo przyzwoitym hotelu, Son Vida, wysoko na wzgórzu nad Palmą. Wieczorami wyruszamy chyłkiem na akcję. Jeśli dopisze nam szczęście i spotkamy prawdziwych Majorkańczyków, pokażą nam te części wyspy, co trzeba, i pomyślisz, że znalazłaś się w raju, przysięgam! Byłam tam trzy lata temu... nie wiem, dlaczego nie zostałam.

Marcella zamknęła oczy, rozpierając się na sofie.

- Brzmi niebiańsko! - powiedziała.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO